

Porywająca książka przygodowa utrzymana  
w konwencji najlepszych powieści MacLeana i Bagleya!

# GEOFFREY JENKINS

## TAJEMNICZA WYSPA

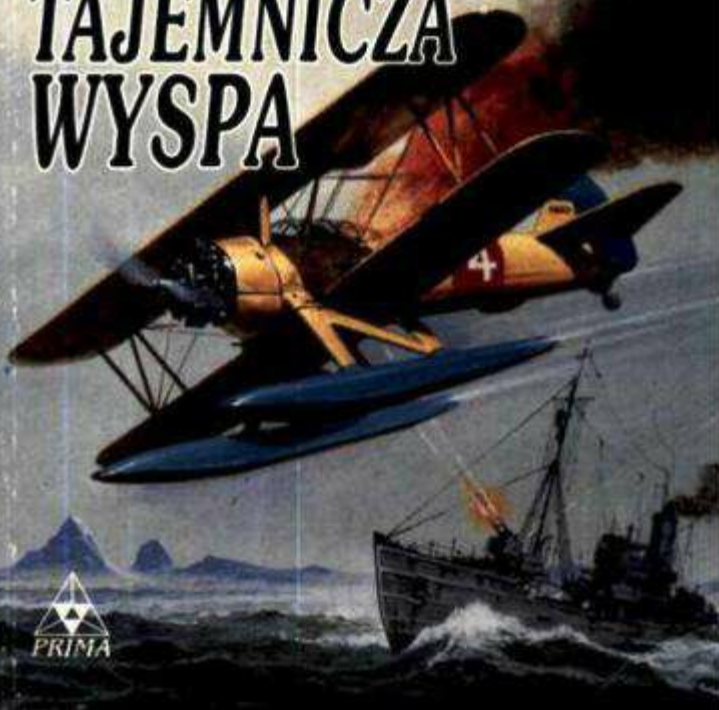


PRIMA

Porywająca książka przygodowa utrzymana  
w konwencji najlepszych powieści MacLeana i Bagleya!

# GEOFFREY JENKINS

## TAJEMNICZA WYSPA

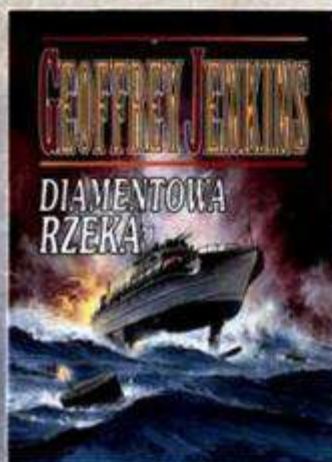


PRIMA

**Powieści Geoffreya Jenkinsa nawiązują do najlepszych tradycji książek Alistaira MacLeana i filmów w rodzaju przygód Indiany Jonesa Stevena Spielberga.**

Jakieś 1600 mil od najbardziej na południe wysuniętej części Afryki, na wodach Antarktydy, leży Wyspa Thompsona z niezwykle bogatymi złożami cennych minerałów; jej dokładna pozycja geograficzna stanowi jedną z największych zagadek morza.

Wielu ludzi pragnęłoby poznać lokalizację wyspy, a wśród nich sir Frederick Upton, bezwzględny milioner, właściciel floty wielorybniczej. Upton zwraca się o pomoc do kapitana Bruce'a Weatherby'ego, jedyne go człowieka, który jest w stanie odnaleźć tajemniczą wyspę. Gdy Weatherby odkryje prawdziwe zamiary Uptona, będzie musiał stanąć do walki na śmierć i życie z okrutną naturą i grupą ludzi zdecydowanych na wszystko ...



**W cyklu:**  
**TAJEMNICZA  
WYSPA  
DIAMENTOWA  
RZĘKA  
ZAPACH MORZA  
GWIEZDNA  
SZCZELINA**



ISBN 83-85855-31-9

*TAJEMNICZA*

*WYSPA*

Przełożył

BOLESŁAW ORŁOWSKI

Tytuł oryginału: A GRUE OF ICE

Copyright © Geoffrey Jenkins 1962

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo PRIMA 1994

Copyright © for the Polish translation by Boleslaw Orłowski 1994

Cover illustration © Gino D'Achille/ArtisU Partners Ltd.

Ilustracja na okładce: Gino D'Achille

Opracowanie graficzne okładki: Studio PRIMA

Redakcja:

Barbara Nowak

Redakcja techniczna:

Janusz Festur

ISBN 83-85855-31-9

Wydawnictwo PRIMA

Warszawa 1994.

Wydanie I

Objętość 14,0 ark, wyd., 15,0 ark, druk.

Skład: Zakład „Kolonel” w Łomiankach

Druk i oprawa:

Drukarnia Wojskowa w Łodzi

# Od autora

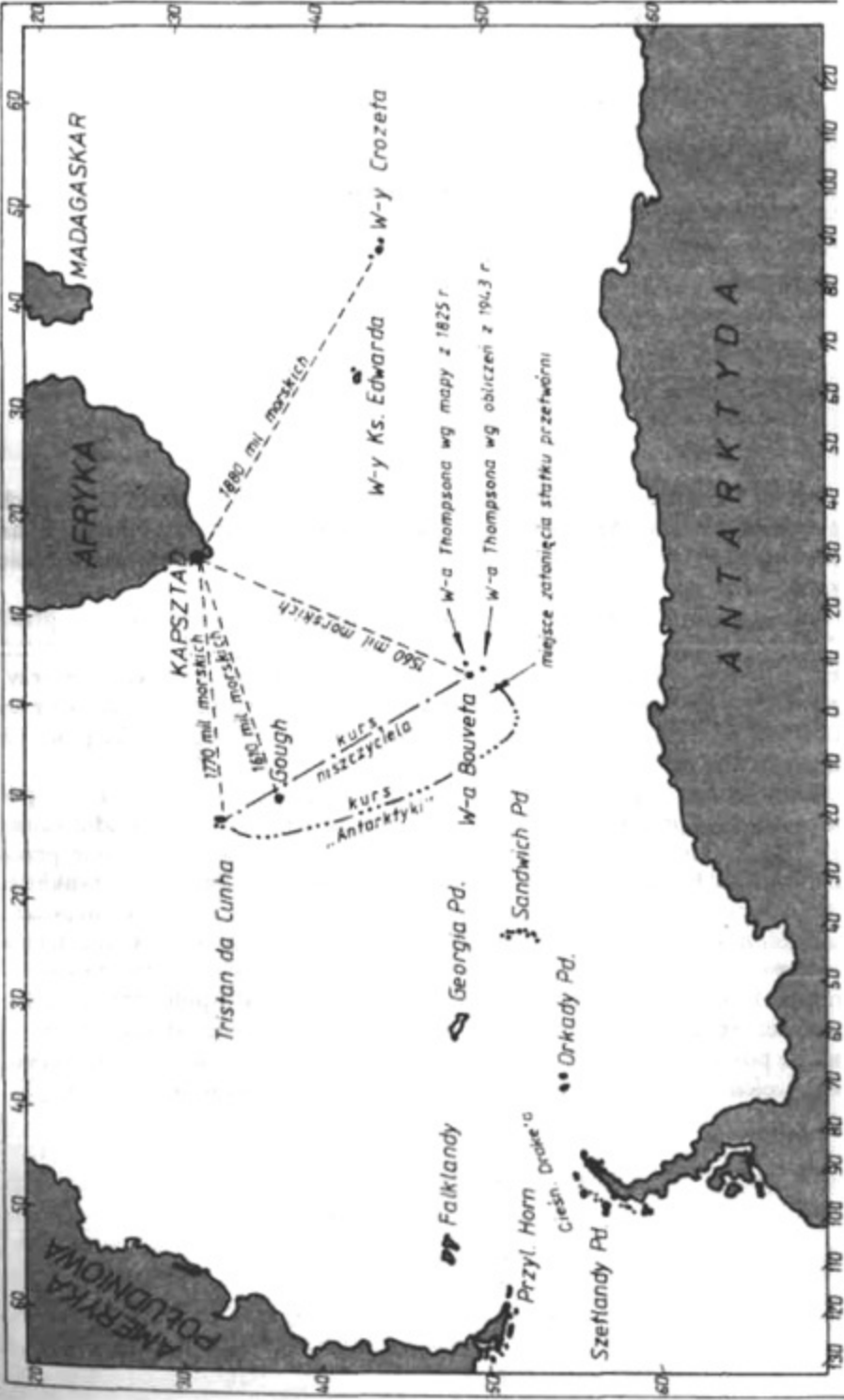
Wyspa Thompsona istnieje naprawdę. Jednakże jej położenie na smaganych sztormami wodach Antarktyki – jakieś tysiąc sześćset mil morskich na południe od Przylądka Dobrej Nadziei – jest jedną z największych tajemnic morza.

Została odkryta 13 grudnia tysiąc osiemset dwudziestego piątego ro-ku przez załogę brytyjskiego statku łowców fok, Sprightly, którym dowodził kapitan George Norris. Potem usiłowało ją odnaleźć wielu zna-komitych żeglarzy, a nawet organizowano specjalne wyprawy. Nikomu wszakże nie udało się jej zlokalizować. Dopiero w sześćdziesiąt osiem lat po Norrisie natknął się na nią przypadkowo kapitan amerykański Joseph J. Fuller.

Norris nie tylko sporządził mapę Wyspy Thompsona, ale wykonał też z pół tuzina szkiców prezentujących ją z rozmaitej perspektywy. Przystudiowałem jego mapę i rysunki. Zapoznałem się również z wywiadem udzielonym przez sędziwego już Fullera przedstawicielowi amerykańskiego Instytutu Franklina.

Cmentarzysko statków, podobne do opisanego w tej książce, napotkał

Shackleton w maju tysiąc dziewięćset szesnastego roku w Cieśninie Króla Haakona w Georgii Południowej podczas swej głośnej podróży otwartą łodzią. Tristan da Cunha – „najsamotniejsza wyspa świata”, położona o tysiąc siedemset pięćdziesiąt mil morskich na południowy wschód od Kapsztadu – stała się powszechnie znana z powodu straszliwej erupcji wulkanicznej, erupcji, która częściowo ją zniszczyła i spowodowała ewakuację jej ludności do Anglii.



1.

# Stopa Albatrosa

– Z Cieśniny Drake'a!

Potrząsnąłem głową. Sailhardy się mylił. Ostry przejmujący powiew był zbyt słaby, by choćby zmarszczyć powierzchnię morza. A jednak właśnie stamtąd miało to nadejść. Sailhardy poluzował toporne zamocowanie grotzagła. Dłonie miał szorstkie jak sękaty wręgi wielorybicznej łodzi. Bom grota telepał się niechlujnie. Tak jak na dziesięciometrowej jednostce o dużym zanurzeniu. Łódź leżała na własnym odbiciu – żółte na żółtym, niebieskie na niebieskim, białe na białym.

– Z Szetlandów Południowych – zaproponowałem.

Sailhardy zdawał się mnie nie słyszeć. Odruchowo wcisnął kolano w przednią dulkę prawej burty. Działał bezwiednie, ale wyczuwało się w tym instynkt psa myśliwskiego. Na kratownicy pomiędzy wiosłami znalazłem jeszcze jeden ołowiany obciążnik do zatapiania mojej specjalnej sieci. Bez pośpiechu przywiązałem go do dwustumetrowej linki sonda-

zowej zwiniętej na dnie łodzi. Sailhardy jakby coś przeczuwał. Przypuszczam, że, rybacy są tacy sami na całym świecie. Zatapianie w głębinie oceanu, tutaj, na peryferiach Południowego Kontynentu Lodowego, specjalnej nylonowej sieci na małe żyjątka planktonu sprawia mi podobną frajdę, jak zarzucanie wędki w odległej stąd o dziesięć tysięcy kilometrów Szkocji. Przygarbione plecy Sailhardy'ego drgnęły pod spłowiałą czerwono-pomarańczową wiatrówką. Miał wrodzoną czujność, która pozwalała człowiekowi zwyciężyć wrogość morza, bardziej bezlitosnego na tych antarktycznych wodach niż gdziekolwiek indziej na świecie. Ja zaś łowiłem i choć na chwilę pragnąłem zapomnieć o misji naukowej powierzonej mi przez londyńskie Royal Society.

7

– Nie, Bruce... – zaczął Sailhardy.

Uśmiechnąłem się do niego, opuszczając za burtę ołowiany obciąż-

nik. Ciągle jeszcze przychodziło mu z trudem zwracanie się do mnie po imieniu. W końcu faceci z dolnego pokładu nie „tykają” swego dowódcy. W każdym razie nie w Królewskiej Marynarce Wojennej. Podczas wojny, przez dwa długie gorzkie lata, Sailhardy był moim podoficerem torpedowym na HMS *Scott*. Dowodziłem wówczas Południowoszetlandzką Grupą Operacyjną Sił Morskich Jego Królewskiej Mości, mają-

cą bazę na Wyspie Szachrajskiej, osiemset kilometrów na południe od najbardziej wysuniętego na południe koniuszka Ameryki Południowej.

Moim zadaniem było strzec przejścia morskiego pomiędzy południowym Pacyfikiem a południowym Atlantykiem – Cieśniny Drake'a. Był

to ulubiony szlak piratów atakujących statki handlowe, niemieckich U-bootów i japońskich łodzi podwodnych. Wybierali go z uwagi na mgłę oraz nieustanne sztormy, uniemożliwiające



zlokalizowanie okrętu znajdującego się nawet w odległości kilku kilometrów. Znałem Cieśninę Drake'a aż za dobrze. Miała dla mnie dźwięk wichur w wantach dawne-go klipra. Minęło jakieś piętnaście lat, odkąd ostatni raz oglądałem te niespokojne wody z mostka kapitańskiego mojego małego niszczyciela, ale wciąż miałem w pamięci przeraźliwe odgłosy wichru i lodu. Czujność, jaką przejawiał Sailhardy owego spokojnego słonecznego popołudnia na skraju burzliwego oceanu, którego przed laty strześliśmy wspólnie, była przejawem wrodzonej nieufności wobec morza, charakterystycznej dla wyspiarzy z Tristana. Człowiek wobec potęgi morza. Obaj dobrze wiedzieliśmy, że na tych wodach szanse człowieka były nikłe.

Nawiązałem do dawnych układów.

– Podoficerze torpedowy Sailhardy...

Nie wyszło mi. Uśmiechnąłem się do niego raz jeszcze. Spojrzenie miał odległe jak horyzont.

– Uspokój się – powiedziałem. – Wyglądasz, jakbyś próbował zobaczyć stąd wszystko aż po biegun południowy.

– Chciałbym, gdybym mógł – odparł. – Wiedziałbym wtedy, jakiego rodzaju sztorm ma nas dopaść.

Wskazałem mu na panujący spokój. Parę kilometrów za rufą łodzi widać było wielką wyspę, a na horyzoncie za dziobem dwie mniejsze.

Tworzyły trójkąt o bokach mających w przybliżeniu piętnaście i trzydzieści kilometrów. Największa była najbliżej.

– Nic nas nie zamierza dopaść – powiedziałem leniwie. – Zupełnie nic.

8

Sailhardy spojrzał za siebie, na wielką wyspę, która była jego ojczyzną, jakby chciał zaczerpnąć sił z jej posępnych urwisk skalnych.

– Na wyspie Tristan da Cunha nigdy nie przestajemy mieć się na baczności – oznajmił z osobliwą intonacją. – Dlatego udało nam się przetrwać. Ten wietrzyk zwiastuje wielki sztorm.

Odwróciłem się również i spojrzałem na pobliską wyspę. Ogromne stado gołębi z Przylądka Dobrej Nadziei tworzyło białą świetlistą plamę na jej spiętrzonych majestatycznie ciemności, idąc o lepsze z białą śnież-

nej czapy wygasłego wulkanu wznoszącego się na ponad dwa kilometry.

Tristan da Cunha – najbardziej samotna z zamieszkanym wysp świata.

Położona, wraz z dwiema małutkimi sąsiadkami, których szczyty mogłem dostrzec za dziobem łodzi, w połowie drogi między Afryką a Ameryką Południową, na trasie pomiędzy Kapsztadem a Montevideo, i prawie tak samo oddalona o trzy tysiące kilometrów od najbliższego krańca lodowego



kontynentu Antarktydy. Do czasów Napoleona i bezpośrednio po nich wyspa była ważną bazą wojsk brytyjskich i amerykańskich łowców fok, operujących na mroźnych łowiskach Południa. Trzech pierwszych jej stałych osadników przybyło właśnie z Ameryki, pół wieku przed wojną secesyjną. Podczas pobytu Napoleona na Wyspie św. Heleny, oddalonej o dwa tysiące czterysta kilometrów na północny wschód, Brytyjczycy utrzymywali na Tristanie garnizon wojskowy. Z jego to pozostałości, z domieszką wspomnianych Amerykanów, wywodzi się plemię obecnych mieszkańców wyspy. Przez blisko półtora stulecia pozostawało odcięte od świata. Statki zawijały tu rzadko.

Podczas wojny sprowadziłem na Tristana z Cape Town jednostki Royal Navy oraz ludzi z Południowoafrykańskich Sił Powietrznych do obsługi radiostacji. Stamtąd właśnie moją małą flotyllą z HMS *Scott* na czele dokonywałem wypadów tysiące kilometrów na południe i założy-

łem bazę na Wyspie Szachrajskiej, będącej zatopionym kraterem wulkanu na skraju lodowego kontynentu. Dwie sąsiadki Tristana, widoczne przed dziobem, to Wyspa Słowicza i Wyspa Nieprzystępna. Dalej we wszystkie strony rozciągało się na tysiące kilometrów kwadratowych całkowicie puste morze.

Gołębie z Przylądka Dobrej Nadziei, wspaniałe w swej sprężystej bieli, znajdowały schronienie na Tristanie. Sailhardy zwinął trójkątny fok, jakby dla podkreślenia, że coś nam zagraża.

Nie mogłem brać poważnie jego przeczuć. Było zbyt spokojnie. Miałem 9

się wkrótce przekonać, jak wiele już zapomniałem z nabytej niegdyś wiedzy o tej krainie lodu.

– Jestem naukowcem – odpowiedziałem łagodnie. – Mam doskonałą okazję, by dowieść, że słusznie przyznano mi stypendium badawcze Royal Society w dziedzinie oceanografii i limnologii. Żeglowaniem zaj-mujesz się ty.

Podchwycił mój nastrój i odwzajemnił uśmiech.

– Pamiętam, że byłem omalże chory ze strachu, kiedy podczas wojny wzięłeś mnie z Tristana na pokład HMS *Scott*. Kapitanowie marynarki wydawali mi się wówczas bogami.

– Któż, u licha, powiedział ci wtedy, żebyś tytułował mnie kapitanem-profesorem? – zaśmiałem się.

– Jeden z midszypmanów – odparł. – Powiedział mi, że kapitan, zanim objął dowództwo okrętu, był przed wojną profesorem nauk ścisłych.

Musiałeś być zatem kapitanem-profesorem.

Uśmiechnął się wspominając...

– Nie byłem profesorem – odrzekłem. – Nigdy. Robiłem tylko specjalne badania oceanograficzne. Byłem zresztą za młody, żeby być profesorem.

– Miałeś wtedy dwadzieścia siedem lat – stwierdził. – To znaczy, że masz teraz czterdzieści dwa.

Pamiętałem, jak parę minut wcześniej zawahał się, zanim zwrócił się do mnie po imieniu.

– Założę się, że kiedy zameldowałeś się wtedy na mostku, nigdy nie przyszłoby ci do głowy, że będziesz ze mną na ty – powiedziałem.

– Słuchaj, Bruce... – przerwał na chwilę – zawsze, na całe życie pozostałbyś dla mnie kapitanem Wetherby, gdyby nie to, co powiedziałeś mi tego dnia, kiedy wróciłeś po wojnę na Tristana. To już będzie dwana-

ście lat temu. My, wyspiarze, prowadzimy ciężkie życie. Utrzymujemy się z morza, jeśli nie liczyć paru akrów zagonów kartofli, jabłoni i jakiejś setki bydła i owiec. Ty po wojnie miałeś świat u swych stóp. Za sobą wspaniałe osiągnięcia z czasów wojny, a przed sobą imponującą karierę uniwersytecką. Pamiętam, jak schodziłeś z frachtowca na redzie. Czeka-

łem tam w pierwszej łodzi. Nie wiedziałem, że przyływasz. „Kapitanie Wetherby!” – odezwałem się. Nigdy nie zapomnę twojej odpowiedzi:

„Nie, Sailhardy, jestem Bruce. Kapitanem Wetherbym byłem podczas wojny. Wróciłem do czegoś, czego potrzebuję, do ciebie, Sailhardy, na Tristana, na południowy ocean”.

Potraktowałem to lekko.

10

– Zapomniałeś, że powiedziałem wtedy, iż potrzebuję też twojej łodzi – zaśmiałem się.

Roześmiał się cicho. Długa izolacja od świata przyniosła mieszkań-

com Tristana szczególne dziedzictwo – jeszcze dziś mówią mieszkanką angielszczyzny z hrabstw południowo-zachodnich, przetykanej wyrażeniami, jakie zapożyczyli z nosowej, od dawna martwej gwary wielorybników z Nowej Anglii, przyniesionej tu prądem zachodnim.

– Mojej łodzi – powtórzył. – To znaczy żądać wszystkiego od wyspiarza z Tristana. Jesteśmy najbiedniejszymi ludźmi na świecie. Taka łódź czyni mnie jednym z najbogatszych na wyspie. Łodzi, powiedzia-

łeś. Potrzebowałeś łodzi, by badać i odkrywać największe tajemnice morza.

Sailhardy zesztauował grotzagiel i obrzucił czule spojrzeniem łódź aż po sześć wiosł uwiązanych na kratownicy. Tak jak Grenlandia zawdzię-

czała kajak długim łodziom wikingów, tak wielorybnicy z New Bedford pozostawili Tristanowi sekret budowy swoich szybkich, sprawnych na morzu ścigaczy. A wyspiarze, urodzeni i wychowani dla morza, wzbo-gacili ową wiedzę, dochodząc do dzisiejszej łodzi wielorybniczej, tak rdzennej dla Tristana, jak *baldie* dla Leith czy *sixern* dla Szetlandów. Na Tristanie prawie nie ma drewna, toteż wyspiarze budują je z płótna.

Drewno na wręgi – równie cenne i rzadkie jak czyste złoto – pochodzi z karłowatych, wysmaganych przez wiatr jabłoni przywartych, by, przetrwać, do ścian kamiennych domostw, na wpół schowanych w ziemi przed wichurą, podobnie jak chaty hebrydzkich zagrodników. Zauważy-

łem, że wzdłużny pas poszycia pokładu łodzi Sailhardy'ego w przedniej części lewej burty był rozszczepiony; pozostawał w takim stanie, gdyż brakowało drewna na naprawę. Łódź była wymazana – trudno to nazwać pomalowaniem – na jaskrawożółto, niebiesko i biało. Zrobiono to ze względów czysto funkcjonalnych; żeby płótno stało się wodoodporne, mazano łodzi tym, co się tylko dało znaleźć lub wyżebrać od napotka-nych statków. Były to najwspanialsze jednostki morskie na świecie.

Mógłbym dotrzeć wszędzie, dysponując łodzią wielorybniczą z Tristana z miejscową dziesięcioosobową załogą. Byli to żeglarze wychowani w twardej szkole pełnego morza. Nauczyli się przybijać tymi łodziami do kamienistych dzikich plaż i usianych skałami urwisk swojej wyspy w sposób niesamowity nawet dla moich żeglarskich oczu.

Kępka wodorostów, gruba jak ciało mężczyzny, a długa na jakieś 11

siedem metrów, przedryfowała obok. Znajdowaliśmy się o osiem kilometrów od Tristana opasanego potężną barierą wodorostów. Wewnątrz owej bariery morze jest okiełznane liściastymi okowami, aż do szarej posępności. Tajemnica morza! W tym momencie pragnąłem, by to raczej wodorost stanowił wskazówkę do tej tajemnicy, dla której przebyłem tysiące kilometrów, niż drobny plankton poszukiwany specjalną siecią setki metrów pod powierzchnią morza. Sailhardy wydawał się odgadywać moje myśli.

– Dobrze idzie? – zapytał.

Potrząsnąłem głową.

Stopa Albatrosa! Jak powiedział jeden z uczonych dżentelmenów z Royal Society, brzmiało to zachęcająco i miał rację. Ta dziwaczna, niemal hipnotyczna nazwa wracała do mnie we wspomnieniach z wojennych lat, podobnie jak Sailhardy czy Tristan da Cunha. Tego dnia, kiedy Sailhardy zjawił się na pokładzie niszczyciela, zakotwiczonego przy Tristanie, nigdy bym nie pomyślał, że on i Stopa Albatrosa staną się moją gwiazdą przewodnią na następne dwanaście lat. Zanim do tego doszło, już od sześciu lat żyłem pod wrażeniem magii owej nazwy.

Nauce Stopa Albatrosa nie była znana! Ani mnie, choć już przed wojną prowadziłem zaawansowane badania oceanograficzne. Sailhardy mi powiedział, że był to największy sekret mieszkańców Tristana.

Utrzymywali oni, że wiosną – zresztą nie każdej wiosny, raczej dość nieregularnie – pojawiał się potężny ciepły prąd kierujący się od strony Afryki ku Ameryce Południowej, niosący ze sobą nieprzeliczone miliardy mikroskopijnych żyjątek morskich zwanych planktonem, stanowią-

cych pożywienie wszystkiego, co żyje w południowym oceanie, od naj-mniejszych rybek po wieloryby. Sailhardy twierdził, że wyspiarze nazywali go Stopą Albatrosa dlatego, że ów prąd przypominał w makroskali ciepłą podwójną żyłę w stopie albatrosa. Służy ona temu wielkiemu pta-

kowi do ochrony jaj przed zamrożeniem podczas ich wysiadywania. Ta życiodajna żyła jest jedyną ciepłą rzeczą w gnieździe albatrosa, przy temperaturach poniżej zera. Podobnie życiodajny – zdaniem Sailhardy'ego – był, w najdosłowniejszym sensie, ten prąd, gdyż przynosił ze sobą wczesnym latem żywy plankton stanowiący podstawę wszelkiego innego życia w mroźnych morzach wokół Tristana oraz roztopiał swym ciepłem lód.

– Z Cieśniny Drake'a – powtórzył Sailhardy. – Stamtąd nadchodzi 12

sztorm. Wyczuwam go nosem. Właśnie z Cieśniny Drake'a, a nie z Szetlandów Południowych.

Jego głos, o dziwnym fascynującym akcencie, miał osobliwą klarowność modulacji. Nie musiał podnosić go, gdy rozmawiał podczas sztormu. Panowała martwa cisza, przerywana jedynie od czasu do czasu po-wiewami wietrzyka.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – spytałem.

Spojrzał na mnie z wyrzutem.

– Zbyt długo byłeś daleko od wód południowych, Bruce – powiedział. – Zapomniałeś. Kiedy po wojnie wróciłeś na Tristana, zostałeś przez rok, aż przyplłynął następny statek, ale resztę czasu spędziłeś w Kapsztadzie i Londynie.

Zaśmiałem się.

– Człowiek musi żyć, Sailhardy, nawet oceanograf. Wróciłem po wojnie na Tristana i wydałem co do pensa zasiłek demobilizacyjny, pró-

bując znaleźć Stopę Albatrosa. Przecież wiesz. Ileż to dni owego roku spędziliśmy razem na morzu, ty i ja, w tej właśnie łodzi?

Przeszedł na rufę i wyciągnął duży niezgrabny rumpel, jakby powtarzając ostrzeżenie przed nadchodzącym sztormem.

– Nie dość długo – powiedział. – Dopiero po trzech latach Stopa Albatrosa nadpłynęła ponownie. Powinieneś być czekać.

– Chcę dowodu – odparłem. – Chcę planktonu. Potrzebuję osiemdziesięciu ośmiu milionów tych żyjatek.

Odciągnął do tyłu zmaltretowaną marynarską czapkę, odsłaniając czerwonobrazową kominiarkę, którą miał pod spodem, i spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Osiemdziesiąt ośmiu milionów?

Uśmiechnąłem się do niego.

Moja specjalna sieć mieści w sobie dokładnie kwartę wody morskiej, a kwarta wody morskiej, przy

zageśczeniu potrzebnym do udowodnie-nia istnienia Stopy Albatrosa, powinna zawierać osiemdziesiąt osiem milionów tych maleństw, czy jak im tam. Kiedy – jeśli w ogóle – je znajdziemy, zobaczysz, jakie to naprawdę malutkie ślicznotki. Pod mi-kroskopem. Są ośmiokątne, ze wspaniałym sześciogwiazdkowym środ-kiem. Ten środek jest cały żłobkowany i uziarniony, jakby go produkowano mechanicznie ze srebrnego drutu.

– Pośpiesz się lepiej i wyciągnij tę sieć – powiedział.

Sięgnął, ujął sztywny kołnierz mojej krótkiej kurtki z kapturem, zapi-nanej na guziki, i potarł go o jej sukno.

13

– Słuchaj! – powiedział. – Posłuchaj. Gdyby był suchy, skrzypiało-by. To by znaczyło, że sztorm nadciąga z Szetlandów Południowych.

Ale nie chrzęści. Jest wilgotny. Czyli przyjdzie z Cieśniny Drake'a.

Mogłem to wyczytać z jego twarzy. Chciał tego sztormu, sztormu, którego oznaki nie mogłem dostrzec. Pragnął jego nadejścia, by zmierzyć się tą wielorybniczą łodzią z burzą na południowym oceanie. Spojrzał najpierw na prawo, potem na lewo, ku południowemu wschodowi.

Następnie odwrócił się i przyglądał Tristanowi zwieńczonemu starym wulkanem pokrytym czapą śniegu i częściowo przesłoniętym przez chmurę. Był jakby miniaturową wersją słynnej Góry Stołowej w Kapsztadzie.

– Top masztu – szepnął tak cicho, że musiałem natężyć słuch. – Tristan da Cunha, top masztu świata!

Przyjrzałem się jego szczupłej postaci. Wiedziałem, że jest w moim wieku, ale pod wpływem wiatru, morza i lodu twarz mu wyblakła i wy-głądał na kogoś między czterdziestką a sześćdziesiątką.

– A top masztu musi mieć punkt obserwacyjny – zażartowałem. –

Oto dlaczego zabrałem cię ze sobą podczas wojny. Cóż wówczas wiedziałem o morzach południowych? Potrzebowałem kogoś, kto morską wiedzę miał w małym palcu. Bałem się jak cholera, że stracę moje okrę-

ty, zanim uda mi się choćby dostrzec jakiegoś pirata. No i znalazłem takiego człowieka – ciebie.

– O mało cię nie zawiodłem za pierwszym razem, kiedy wchodzili-

śmy do przystani Wyspy Szachrajskiej – powiedział cicho. – Pamiętasz Miechy Neptuna?

– Jeszcze dziś dostaję gęziej skórki, kiedy o tym myślę – uśmiechną-

łem się. – Dzięki Bogu, miałem cię wtedy na mostku.

– Miechy Neptuna właśnie niemal dokładnie na drodze, którą nadciąga wichura – stwierdził Sailhardy.

– Jak uderzyło w dziób starego *Scotta* – dodałem. – Wielkie nieba!

Jakże go poniosło prosto na skały!

Wciąż pamiętałem, w jaki sposób Sailhardy opanował sytuację, kiedy okręt flagowy kołysał się o krok od zniszczenia w wąskiej szczelinie przesmyku prowadzącego na głębsze kotwiczowisko w zatopionym kraterze wulkanu.

– To właśnie tego popołudnia – rzekłem powoli – opowiedziałeś mi o Stopie Albatrosa.

Przystań Wyspy Szachrajskiej pełna była pływających kawałów lodu.

14

Przedostały się one przez Miechy Neptuna i zaczynały łączyć, zamarzając na wewnętrznym kotwiczowisku. Zdałem sobie sprawę, że moja mała flota jest o krok od zamarznięcia w tej przystani. Już widziałem, jak pozostaje tam zakorkowana na pół roku, całkowicie unieruchomiona, podczas gdy U-booty i inni piraci przedostają się chyłkiem przez Cieśninę Drake'a. Niszczyciele i fregaty nie są tak mocne jak łodzie wielorybnicze; lód mógłby ciężko je uszkodzić. Nie mieliśmy żadnych urządzeń ani stoczni, by je naprawić. Kiedy przystań zaczęła zamarzać, wspiałem się na urwisko skalne u jej wejścia i przeraziłem gigantyczną masą litego lodu, sunącą przez cieśninę pomiędzy wyspą a lądem stałym. Część tego lodu oddzielała się od głównego strumienia, skręcając do przystani Wyspy Szachrajskiej. Pogarszało to sytuację, grożąc zagładą całej mojej siły operacyjnej.

Sailhardy stał wraz ze mną, przyglądając się fantastycznemu widokowi.

– Stopa Albatrosa! – oznajmił wtedy cicho. – Kiedy onegdaj odpływaliśmy z Tristana, przechodził tamtędy ciepły prąd. Dotrze tu za dzień lub dwa. Przetnie ten lód jak gorący nóż masło.

Tak się stało. Przyglądałem się w zdumieniu jak materializuje się niezwykła opowieść Sailhardy'ego o ciepłym, życiodajnym prądzie. Wielkie ruchome armie lodu, a nawet zestalony lód przybrzeżny, nie oparły się atakowi Stopy Albatrosa. Niosła ze sobą ciepło – jedyne w tym świecie, gdzie wszystko było zamarznięte. Błogosławiłem dzień, w którym zabra-

łem ze sobą tego wyspiarza. Moja eskadra była uratowana. W ciągu następnych dwóch lat Sailhardy powiedział mi wiele o niezwykłym prądzie z Tristana – absolutnie fascynującym dla kogoś zajmującego się oceanografią. Ale trwała wojna. Mieliśmy zadanie – bezlitosne zadanie – do wykonania i nie było czasu ani sposobności, by podjąć choćby wstępne przygotowania do badań, jakie chciałbym przeprowadzić nad Stopą Albatrosa. Kiedy eskadra ocalała, Sailhardy cieszył się uprzywilejowaną pozycją na mostku HMS *Scott*.

– Nie sądzę, by Jimmy Numer Jeden zaaprobował kiedykolwiek moją obecność na mostku – uśmiechnął się Sailhardy, jakby czytając w moich myślach.

– Zawodowa Królewska Marynarka Wojenna – powiedziałem. –

Regulamin, chłopie. Wszystko zgodnie z tradycją. Nawet admirał w Kapsztadzie nie mógł strawić tego, że mnie, jedynie ochotnikowi, powierzono dowództwo strategiczne. Należałem do tej samej kategorii, 15

co ty. Nie w stu procentach. Weekendowy marynarz. Profan. Wyspiarz i naukowiec z Cambridge – to było już za wiele do przełknięcia dla niektórych oficerów zawodowych starej szkoły.

– Pewnie! – zawołał namiętnie Sailhardy. – Te ich cholerne uprzedzenia! Jimmy Numer Jeden zapytał mnie kiedyś, co wie mój kapitan –

oni cię zawsze nazywali „moim” kapitanem – o regulaminowym dowodzeniu okrętem.

Nie wiedziałem o tym.

– I co mu odpowiedziałeś? – spytałem.

– Powiedziałem mu – odparł Sailhardy porywczo – że Wetherby'owie od stulecia czy dawniej eksplorowali te morza i pływali po nich.

Że jesteś przede wszystkim sobą i żeglarzem, a dopiero w dalszej kolejności uczonym z Cambridge. I dodałem jeszcze, iż to cholerne statki rodu Wetherby pierwsze dotarły do Antarktydy i stawały na kotwicy w tej samej przystani Wyspy Szachrajskiej już za życia Napoleona.

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu.

– A co na to Jimmy Numer Jeden?

Sailhardy zaśmiał się głucho.

– Powiedział: „Jeśli jeszcze raz użyjesz w mojej obecności na mostku wyrażenia «cholerny», zostaniesz ukarany”.

Sailhardy siedział na chropawej poprzecznej ławce wioślarskiej. Wydawało się, że już zapomniał o obawach przed sztormem. Łódź kołysała się łagodnie na lekkiej fali.

– Admirał pewnie był wściekły, kiedy wręczał DSO ochotnikowi rezerwiście za zatopienie niemieckiego pirata.

Słowa Sailhardy'ego wytrąciły mnie z wakacyjnego nastroju. Przypomniały mi mordercze salwy stu pięćdziesięciomilimetrowych dział

*Meteora*, które pokryły mój mały okręt, kiedy posyłałem mu torpedy.

Nasze działa były bezużyteczne przeciwko niemu. Nie miały dostatecznego zasięgu ani kalibru.



– Sailhardy – powiedziałem zdecydowanie. – Jak wiesz, wróciłem wtedy na Tristana tylko na parę dni. Rzadko się widywaliśmy, bo musia-

łem składać wizyty prawie we wszystkich domach na wyspie i miałem sprawy zawodowe w stacji meteorologicznej.

Spojrzałem na niego twardo.

– Uważam, że jest jeszcze jedna Stopa Albatrosa.

– Co uważasz? – spytał z niedowierzaniem.

– Posłuchaj – powiedziałem. – Podczas wojny analizowaliśmy 16

każdy strzęp dowodu, każde zjawisko towarzyszące od wielorybów po pogodę, dotyczące Stopy Albatrosa. Tej tristańskiej.

– Co masz na myśli, mówiąc tristańska? – spytał. – Stopa Albatrosa należy do Tristana. Jest tristańska.

– Zatopiliśmy pirata w pobliżu Wyspy Bouveta – odparłem. – To około dwóch tysięcy mil od Tristaną.

Bouvet! Jeśli to, co powiedział Sailhardy podczas wojny pierwszemu oficerowi było prawdziwe – odnosiło się przede wszystkim do Wyspy Bouveta. Leży ona dwa tysiące sześćset kilometrów na południe od Kapsztadu, nieco na wschód od południka przechodzącego przez Greenwich. Ma około ośmiu kilometrów długości i nieco ponad sześć szerokości. Stanowi jedyny punkt lądowy pomiędzy Przylądkiem Dobrej Nadziei a kontynentem lodowym. Nie ma tam innych lądów ani wysp. Tak jak Testan pretenduje do miana najsamotniejszej zamieszkałej wyspy świata, tak Bouvet pretenduje do miana najsamotniejszej wyspy bezludnej. Ludziom udało się tam wylądować nie więcej niż pół tuzina razy.

Leży bowiem głębiej w obszarze Ryczących Czterdziestek, tam gdzie nie zapuszczają się zwykłe statki; na szerokości tak mocno smagane sztormami, usiane lodem rzadko odważali się zapędzać nawet śmiali kapitanowie dawnych kliprów. Pewien eksplorator dotarł tam, zanim Napoleon zmarł na św. Helenie. Widziałem raz Wyspę Bouveta z pokładu flagowego okrętu podczas akcji bojowej; na jej wodach zyskałem sławę, zatapiając *Meteora*, jedną z najgroźniejszych pirackich jednostek.

– Bouvet – powiedziałem powoli do Sailhardy'ego. – Wyłączyli-

śmy na akcję bojową. Byłem oczywiście na mostku. Nie mogłeś widzieć tego, co ja. Meteor szybko wchodził w nasz zasięg. Dobry był, ten pirat.

Artylerzysta obsługujący działa był klasą dla siebie. Z mostka widać było Wyspę Bouveta dokładnie za okrętem nieprzyjacielskim. Wszyscy wpatrzni byli w pirata. Rozejrzałem się po raz ostatni przed otwarciem ognia, upłynęliśmy, kierując się na południe, wielkie pole lodowe.

Wszyscy usłyszeliśmy, jak działa Meteora rozpoczęły ogień. Ale to nie były działa, Sailhardy. W tym czasie byliśmy poza ich zasięgiem rażenia.

Sailhardy wytrzeszczył oczy.

– O czym ty mówisz, Bruce?

– To był grzmot pękającego lodu – odparłem. – Nie działa. Wszyscy na pokładzie *Scotta* byli tak pochłonięci piratem, że nie zwrócili na to uwagi. Ja zauważyłem. I również zobaczyłem.

– Co, zobaczyłeś Bruce?

17

– Zobaczyłem wielką eksplozję kawałów lodu, który zaczął pękać tak, jak owego dnia w przystani Wyspy Szachrajskiej. Tego dnia, kiedy powiedziałeś mi o Stopie Albatrosa.

– Więc dlaczego...

Wzruszyłem ramionami.

– Któż uwierzyłby w taką opowieść? Powiedziano by, że to efekt napięcia przed akcją. Że ujawniło się moje hobby. Nie mógłbym tego udowodnić, tak jak nie mogę dowieść istnienia Stopy Albatrosa przy Tristanie. Nie mógłbym nawet wysunąć hipotezy naukowej. Aż do ze-szłego roku.

– Co masz na myśli? – zapytał.

– Znasz moją historię – odrzekłem krótko. – Kiedy wojna dobiegła końca, przyprowadziłem HMS *Scott* z powrotem na Tristana, by odwieźć do domu ludzi z obsługi radiostacji. Zostałem zdemobilizowany. Robi-

łem wszystko, by wrócić na Tristana. Pierwszy frachtowiec popłynął tam w dwa lata później, w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku.

Zabrałem się na nim. Przecież wiesz. Spędziłem tamten rok z tobą, po-szukując Stopy Albatrosa. Wydałem wszystkie pieniądze, jakie miałem.

Znasz rezultat – był żaden. Wróciłem do Instytutu Badań Polarnych imienia Scotta w Cambridge. Trzy lata temu wysłano mnie do Afryki Południowej, jako oficera łącznikowego ekspedycji zdążających na po-

łudnie. Zajęcie na lądzie, ale przynajmniej tylko morze oddzielało mnie od Antarktyki.

Sailhardy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie licząc Wyspy Bouveta.

– Nie licząc jej. Bez końca przysłuchiwałem się rozmowom radiowym z wielorybnikami operującymi daleko na południu. Wreszcie, rok temu, jakaś norweska łódź wielorybnicza przekazała swemu statkowi przetwórci wiadomość, na którą czekałem.

– Co powiedzieli? – zapytał.

– Ta jednostka nazywała się *Kos 47* – wyjaśniłem. – Znajdowała się jakieś dwieście mil na południe od Wyspy Bouveta. Nadała: „Nigdy niczego takiego nie widziałem. Lód pęka tak daleko, jak tylko mogę sięgnąć wzrokiem. Po prostu eksploduje na naszych oczach”. Czekałem na coś takiego przez wszystkie te lata od zatopienia *Meteora*, Sailhardy.

– Czy statek przetwórci zdał sobie sprawę ze znaczenia tej wiadomości? – spytał w podnieceniu Sailhardy.

– Pomyślałem, że warto przemilczeć odpowiedź, jaką dostał szyper *Kosa 47*, kiedy po powrocie do Londynu próbowałem namówić Royal 18

Society, by dano mi szansę na badania Stopy Albatrosa – odpowiedzia-

łem z kwaśną miną.

– Co mu powiedzieli?

– Statek przetwórci oznajmił: „Finsen, jeśli nie przestaniesz tak cholernie gazować przed śniadaniem, przeniosę cię na ląd i będziesz patroszył wieloryby”.

Uśmiechnął się.

– Royal Society nie przejęłoby się tym.

– Już i tak było trudno ich przekonać, że jest jakiś sens w opowieści o Stopie Albatrosa. Zabrało to cholernie dużo czasu. Dostałem stypendium na rok, wcale nie duże – tylko tysiąc funtów. Straciłem już dwa i pół miesiąca, żeby dostać się na Tristana. Miałem właściwie szczęście, że Południowoafrykanie wysłali statek, żeby naprawić radiostację.

– Ale Bouvet... – nalegał Sailhardy.

Wzruszyłem ramionami.

– Bouvet! – powtórzyłem. – W ogóle o nim nie słyszeli. Nie pływają tam żadne statki. Ani Royal Society, ani ja nie możemy wytrzasnąć skądś dziesięciu tysięcy funtów na takie przedsięwzięcie. Nie, Sailhardy.

Jeśli nawet udowodnię istnienie tristańskiego odgałęzienia Stopy Albatrosa, nie mam żadnej nadziei na to, by dowieść istnienia takiego prądu w pobliżu Wyspy Bouveta.

– Mógłbyś próbować, zbierając raporty wielorybników z dalekiego Południa... – zaczął, raczej bez

przekonania.

– Wyobrazasz sobie, jak zareagowaliby prymitywni szyprowie statków wielorybicznych? – sprzeciwiłem się. – To niepraktyczne. Moja teoria jest prosta: dwa potężne ciepłe prądy – jeden z Atlantyku, a drugi z afrykańskiego wybrzeża Oceanu Indyjskiego – spotykają się w sąsiedztwie Wyspy Bouveta. Ten atlantycki przepływa koło Tristana. Ale to tylko hipoteza. Następnie razem torują sobie drogę przez lód nagromadzony zimą pomiędzy Wyspą Bouveta a stałym lądem Antarktydy. Nie tylko go łamią, ale oczyszczają z niego morze na szerokości czterystu pięćdziesięciu mil. Stanowi to, w istocie, mechanizm regulujący lody Antarktyki. Jest ważny dla Ameryki Południowej, Południowej Afryki i Australii, podobnie jak Golfstrom dla Stanów Zjednoczonych. To najbardziej dramatyczne i ekscytujące zjawisko zachodzące w światowych oceanach. Całkowicie nieznane – pociągnąłem za linkę sieci. – Cholernie dużo zależy od tej małej sieci. Jeśli ona zawiedzie, to prawdopodobnie pozostanie dalej kompletnie nieznane.

19

Zacząłem wyciągać sieć głębinową. Ukazała się na powierzchni. Coś w niej słabo trzepotało. Musiała to być ryba... Miała osobliwą płaską głowę ze sterczącym dziobem. Sponiewierany ogon wyglądał, jakby został przepuszczony przez magiel. Była zasadniczo koloru minii, ale tuż pod powierzchnią skóra fosforyzowała jaskraworóżowo. Jej oczy...!

Mój wywód przekonał Sailhardy'ego. Oczy ryby skierowane były tylko w jednym kierunku – ku górze. To było okropne. Jakby patrzyła błagalnie. Miała blisko pół metra długości. Trzymałem ją na długość wyciągniętej ręki i widziałem, że oczy stale patrzyły w górę.

Sailhardy powstrzymał mnie od wyrzucenia jej za burtę. Wziął ją i trzymał z przejęciem. Wywrócone, martwe oczy drgały w blasku słońca.

– To jest to, Bruce – powiedział spokojnie.

Wiła mu się w rękę.

– To ryba głębinowa – ciągnął. – Pochodzi z głębin. Patrzy do góry, by dojrzeć pokarm nad sobą. Żywi się wyłącznie planktonem.

– Planktonem? – krzyknąłem. – Przecież nie ma śladu planktonu!

Był tak napięty jak wydęty wiatrem kliwer. Wpatrywał się w coś w pobliżu bariery wodorostów okalającej Tristana.

– Długa płetwa! – stwierdził z zadowoleniem. – Długa płetwa! I błękitna płetwa!

Niczego nie było w zasięgu wzroku poza wyspą, która wydawała się zamglona. Wokół wygasłego wulkanu zaczynały gromadzić się chmury.

– Co tam widzisz, człowieku?! – krzyknąłem.

– Tuńczyka – odpowiedział. – Tuńczyka!

Na powierzchni morza w pobliżu bariery wodorostów coś na moment błysnęło.

– To przednia płetwa tuńczyka – objaśnił szorstko. – Tylną płetwę grzbietową ma sztywną, ale przednią może poruszać do woli. Robi to, kiedy chce szybko zawrócić. Stawia ją na sztorc na moment i obraca się na niej mocno. Tuńczyk nie robiłby tego, chyba że żeruje i to potężnie.

To znaczy...

– Stopa Albatrosa! – powiedziałem. – Mój Boże, Sailhardy!

– Zbliża się tutaj – rzekł z przejęciem. – Patrz, Bruce. Spójrz na fo-ki! Polują na tuńczyki!

To było bardziej dramatyczne, niż kiedykolwiek sobie wyobrażałem. Kiedy ciepły prąd dotarł do południowego przylądka wyspy, morze zakłębi-

ło się od fok atakujących ryby. Sailhardy popatrzył z zadumą na staccato błysków.

20

– Gdybyśmy mieli trochę japońskiej linki, moglibyśmy zaczerpnąć planktonu z głębokości siedemdziesięciu łokci – powiedział.

– Ciągle jeszcze potrzebuję osiemdziesięciu ośmiu milionów żyjątek w sieci – uśmiechnąłem się.

– Nie będziesz musiał długo czekać – odparł. – Może z pół godziny.

Nie ma pośpiechu. To będzie trwało tygodniami.

– Tygodniami?

– Kiedy miałem dwanaście lat – powiedział – byliśmy wszyscy na Tristanie bliscy śmierci głodowej. Wiesz, jak to jest. Bez ryb nie potrafiemy żyć. Wywiązała się jakaś epidemia z wodorostów i znikły langusty.

Wyspiarze żywili się głównie langusta chwytaną na brzegu i błękitną rybą łowioną w głębinie. Wraz z jajami ptaków morskich i pisklętami albatrosa była to ich podstawowa dieta. Mogłem wyobrazić sobie, jak z tygodnia na tydzień okrajano ich głodowe racje.

– Wytrzymałoby tak przez rok – ciągnął Sailhardy. – I wtedy nadeszła Stopa Albatrosa. Byłem tak osłabiony, że zaledwie mogłem wiosłować. Złowiliśmy owego dnia parę największych błękitnych ryb, jakie kiedykolwiek widziałem; niektóre ważyły do dwustu pięćdziesięciu funtów.

Staliśmy obrócenii plecami na zachód, obserwując prąd i niesione ku nam stworzenia.

Wtedy nas dopadł. Nie pomogła nam czujność Sailhardy'ego. Wody mórz południowych czyhały na

ludzką słabość. Przegapiliśmy nieustają-

cą groźbę. Dzięki Bogu, Sailhardy odwiązał fał grota od wręg łodzi. Siła wiatru wydawała się podrywać lekki stateczek i miotać nim po nieustę-

pliwym morzu. Krzychałem, żeby go ostrzec, a on w ogóle mnie nie słyszał. Odwróciłem się, by stawić temu czoło – paląca, zapierająca dech masa pyłu wodnego, soli i piany zadławiła mnie. Poczułem uderzenie czegoś obrzydliwego. Mógł to być martwy ptak albo ryba. Wyplułem jego słoną wilgotność i chłód. Tristan zniknął. Straciłem z oczu Sailhardy'ego. Wiatr wdarł mi się pod wiatrówkę. Walczyłem, żeby mnie nie zdmuchnął za rufę. Staralem się położyć, ale wiatr trzymał mnie wyprostowanego; czułem się jak astronauta w stanie nieważkości. Zahaczyłem nogą o rumpel. Łódź zdawała się unosić wraz ze mną. Na chwilę mnie od niej oderwało. Kiedy przelatywałem przez burtę, jakaś pętla liny do naciągania żagla ześlizgnęła się mi na klatkę piersiową. Coś mnie ciągnęło po płóciennej burcie łodzi.

21

Ciągle nie widziałem Sailhardy'ego. Przykucnął pod parapetem, chroniąc się przed wiatrem. Uczepliłem się okężnicy. Nagle poczułem, że przytrzymuje mnie jego dłoń. Szarpnięcie, i Bullna opasała mnie stalowym uściskiem. Leżałem, ciężko dysząc, na kratownicy.

Sailhardy ukląkł przy mnie. Na dnie łodzi chlupotała woda; zebrało się jej na jakieś dwa centymetry. Próżno byłoby mówić, nawet krzyczeć.

Niewiele czasu potrzebował, by wciągnąć mnie na pokład – miał silny, wyrobiony na oceanie instynkt przetrwania. Tak samo tytanicznie musieli się kiedyś zmagać ze sztormem ludzie z Nowej Anglii, kiedy półtora wieku temu wdarli się na lodowy kontynent, by polować na foki w swych niezdarnych cuchnących łodziach z New Bedford. Musieli po drodze odpoczywać na Tristanie... i płodzić takie morskie wygi jak Sailhardy.

Walczyl z jakimś niesamowitym obiektem, w którym rozpoznałem grotżagiel. Widziałem, jak pot wystąpił mu na czoło, kiedy się z nim mocował. Na wpół klęczał, trzymając go. Płótno miotało się, jakby wiatr tchnął w nie życie, usiłując wyrwać się z żelaznego chwytu wyspiarza.

Leżałem i mdliło mnie od słonej wody. Ledwie się trzymało popękane, rozszczerzone poszycie łodzi. Byłem odrętwiały i ogłuszony. Widzia-

łem, co niepokoiło Sailhardy'ego, gdyż zagrażało naszemu życiu: fały grota przechodziły przez dziury wydrążone w maszcie; jeden się splątał i wyspiarz nie mógł sobie z nim poradzić. Przysunąłem się po kratownicy i próbowałem mu pomóc. Lina wymknęła mi się. Ale już za chwilę Sailhardy obezwładnił żagiel i skrępował go liną.

Łódź leżała na lewej burcie. Nabierała wody.

Sailhardy wskazał mi gestem, co się dzieje. Chwyciłem ceramiczną czarę domowej roboty, w której trzymaliśmy jedzenie – cholerne kur-czaki pływały patetycznie w przybierającej wodzie, którą

wylewałem za burtę jak szalony.

I nagle, jakby oszołomiona własnym pokazem siły, burza ucichła.

– Zapędziło już nas poza Wyspę Niedostępną i robi się całkiem pochyło – powiedział Sailhardy. Mówił normalnym głosem, który brzmiał

przeraźliwie głośno w tej ciszy. – Za chwilę chwyci nas znowu! Wyle-waj wodę, na miłość boską!

Choć tam, gdzie się znajdowaliśmy, ciągle jeszcze było widno, o kilometr czaił się już mrok. Rzuciło nami z fali na falę tak bardzo, że zbierało nam się na mdłości.

22

Sailhardy wydawał się przygnębiony.

– Musimy uciekać na Wyspę Słowiczą – powiedział. – Wyspa Niedostępna jest dokładnie na drodze sztormu i wymiotłoby nas za daleko.

Być może w ogóle stracilibyśmy szansę dostania się z powrotem na Tristana.

– A co, jeśli nie trafimy na Słowiczą? – spytałem. Promienie słońca przeświecały przez pianę rozpryskującą się przed dziobem.

– Jeśli będziemy dalej żeglować, burza, zanim ustanie, może nas za-pędzić o tysiąc mil – odparł. – Mamy pięć galonów wody i parę kurcza-ków. Jeśli nie uda nam się dotrzeć na plażę Wyspy Słowiczej, zamierzam wywrócić łódź, żebyśmy się potopili. To lepsze wyjście.

Wyglądał na zgnębionego. Klęcząc i nie przerywając wybierania wo-dy, spojrzałem mu w szczupłą twarz. Wiedziałem, że mówi serio.

– Zrefuj starannie fok – odezwał się szorstko. – Może nam się uda ponownie trafić w ciszę. W taki właśnie sposób nadciągają sztormy z Cieśniny Drake'a.

Skrawek żagla zanurzał się w każdej fali, rozpościerając jak spado-chron na jej grzbiecie. Nie pozostawiliśmy już za sobą śladu na wodzie.

Burza runęła znowu, uderzyła młotem. Nie wiem, jak Sailhardy'emu udawało się sterować w tak rozszalałym żywiole. Łódź w dzikich drgawkach wygięła się dziobem ku niebu. Przywarłem do masztu i usi-

łowałem poradzić sobie z kawałkiem żagla, który sprawił, że łódź stanę-

ła dęba. Przekonałem się wtedy, dlaczego żeglarze mówią z takim sza-cunkiem o łodziach wielorybnych z Tristana. Nasza była wspaniała.

Pomimo strachu odczuwałem na swój sposób część tej radości, jaką sprawiało Sailhardy'emu



zmaganie się ze sztormem. Pod jego dłońmi zalękniony zlepek drewna i płótna wspinał się na grzbiet kolejnego grzywacza, a następnie – w kipieli na szczycie – dawał mu się poskra-miać i, choć strwożony, był mu posłuszny. Słuchał steru. Schodzenie w dół było przerażające.

Sailhardy wskazał mi coś ręką. Niby złowróźbna wieża, której żalob-ny dzwon rozbrzmiewa po otaczających ją ponurych urwiskach skalnych, widniała Wyspa Słowicza. Białe obłoczki odrywały się od jej czarnych granitowych skał – niby ślady wystrzałów armatnich – kiedy woda szturmowała je z budzącą grozę ospałością. Poza barierą wodorostów i trzciny morskiej znajdowała się plaża. Łódź huśtała się dziobem w niebo. Sailhardy gwałtownym ruchem oderwał jedną dłoń od rumpla i zasłonił sobie twarz. Ugodziło go coś ciemnego. Łódź, wyrwawszy się 23

spod kontroli, zaczęła się ześlizgiwać niby tobogan w dół fali. Po chwili odzyskał nad nią panowanie. Pełznałem mu na pomoc, ale nie zdążyłem.

Ptak był lśniącoczarny, o gorejących oczach nabiegłych krwią. Wyglądał

jak czarodziejski twór chorego umysłu dostosowanego do wykoślawio-nej, otaczającej nas natury. Wpatrywałem się w niego z niedowierzaniem. Coś było z nim nie tak jak trzeba. Nie miał skrzydeł.

Sailhardy wrzeszczał i szczyrzył zęby w uśmiechu. Widać było mu w ustach dziurę po wybitym zębie.

– Bezlotek Cooka! – darł się. – Mamy szczęście! To gatunek tak stary jak dront! Wiatr wymiółł go z wyspy! Mamy szczęście! Mamy szczę-  
ście!

Szczęście! Przydałby się nam każdy łut szczęścia – pomyślałem ponuro, rozglądając się wokół. Zbyt duże szpony ptak zacisnął na kratownicy. Nielatający ptak gnieźdzący się w norach ziemnych. Podobny do nowozelandzkiego kiwi. Nie miałem w tym momencie głowy do cieka-wostek ornitologicznych.

Sailhardy rozpoczął szarżę ku plaży. U podnóża urwiska skalnego, wypiętrzonego na trzysta metrów, mogłem dostrzec bielejącą smugę żwiru, który na tych wodach nazywano plażą. Krzyknął, a ja przerzuci-

łem płachtę żagla. Łódź zatoczyła łuk ku przystani. Teraz bardziej dryfowała. Sailhardy walczył, by utrzymać ją dziobem przeciw wichurze.

Woda lała się przez burtę. Wyczerpywałem ją. Czarny jak smoła ptak przestał się trzymać kurczowo i gapił się na mnie wytrzeszczonymi, nieprzytomnymi oczami.

Sailhardy coś krzyknął, wskazując żagiel. Wiatr porwał jego słowa, ale domyśliłem się, o co mu chodzi. Albo bał się o żagiel, albo zauważył

jakieś niebezpieczeństwo, którego nie byłem świadom. Chciał, żebym zajął się żaglem. Pozwoliłem mu swobodnie trzepotać. Łódź zaczęła znowu obrzydliwie się zanurzać.

Nagle nastąpiła cisza.

Wszystko przemawiało za tym, iż burza trwa w najlepsze. Kiedy łódź

schodziła w dół, morze wyglądało przerażająco. Ruchliwa powierzchnia wody pokryła się pianą. Wyspa Słowicza pojawiała się, wznosiła w górę i zniknęła, zasłaniana przez fale.

Było jednak cicho.

Usłyszałem nad głową warkot silnika.

**2.**

# Zwiadowczyńi

Silnik zakrzusił się. Dźwięk był równie niestosowny jak obecność krążącego śmigłowca. Tristan jest zbyt oddalony od świata, by można tu było zobaczyć samolot; ludzie z Południowoafrykańskich Sił Powietrznych, których wzięłem na wyspę podczas wojny, nie byli lotnikami, lecz radiotelegrafistami.

– Helikopter! – krzyknąłem. – Skąd się, u diabła, tu wziął?

Sailhardy trzymał rumpel silnymi dłońmi. Zanim odpowiedział, przeprowadził łódź przez kolejny grzywacz.

– Główna burza jeszcze tu nie nadeszła – rzekł. – Gdyby już była, przedmuchałaby helikopter stąd do Bouveta.

Czarna maszyna, której pękate kształty podkreślał pomarańczowy pas, zbliżała się. Pomalowano ją tak jaskrawo, żeby była dobrze widoczna na tle lodu. Była przeznaczona do działania w takiej scenerii.

– To wywiadowca wielorybiczny – powiedziałem.

Sailhardy zadarł głowę do góry.

– Wydaje się, że tam, na wysokości pięciu tysięcy stóp, ciągle jest całkiem spokojnie. Ale to nie potrwa długo.

– To cholernie odważny pilot – stwierdziłem. – Nie latałbym w taki dzień, jeśli nawet gdzieś dalej jest pogodniej.

Śmigłowiec manewrował. Widocznie nie dostrzegł naszej łodzi.

– Czegoś szuka – powiedziałem zaintrygowany. – Na pewno nie wielorybów. Żaden szyper statku przetwórci nie wysłałby go w taką pogodę.

Sailhardy niepokoił się.

– Lada chwila dopadnie nas sztorm. Wtedy nie dałbym wiele za nasze i jego szanse.

Ruchy maszyny stały się zdecydowane. Zaczęła się zniżać ku łodzi.

– Przecież nas może szukać – zacząłem. – Nie było statków na Tristanie, kiedy odpłynęliśmy z kotwicowiska.

Sailhardy sięgnął i poskrobał w głowę dziwacznego ptaka.

– Czegokolwiek chce ten helikopter, pisklak na pewno przyniósł

nam szczęście – uśmiechnął się.

– Jeszcze nie zostaliśmy uratowani – powiedziałem. – Spójrz na morze. Mieć helikopter nad głową to jedno, a być wyciąganym z takiej kipieli to całkiem inna sprawa.

Kiwnął głową.

– Za każdym razem podnosimy się i opadamy o czterdzieści stóp –  
stwierdził. – Myślę, że tego nie da się zrobić.

Jakby na przekór jego słowom, śmigłowiec pośpiesznie się zniżył do-kładnie nad naszymi głowami. Hałas wirników zagłuszył rozmowę. Z

boku maszyny wyślizgnęła się węzowym ruchem lina. Pilot znakomicie znał się na rzeczy. Koniec liny znalazł się jakiś metr nad łodzią, odrobinę z boku. Zanim zdążyłem go chwycić, zjechaliśmy dziobem w dół w do-linę fali. Śmigłowiec czekał. Następna fala wyniosła nas w górę. Serce wlało mi do gardła. Bałem się, że morze sięgnie westlanda. Zobaczyłem pilota za szybą z pleksiglasu. Próbował szybko dostosować się do sytuacji. Wyszliśmy z zasięgu maszyny.

Pilot czekał na właściwy moment. Podobnie Sailhardy. Łódź poszła w górę. Lina pojawiła się znowu. Było słyhać, jak uderzyła w jedną z ławek wiosłarskich. Staralem się ją chwycić, chybiłem i coś mi mignęło.

Rozpoznałem ptaka. Sailhardy wybuchnął śmiechem. Nasz pasażer wy-trwale wspinał się po linie ratunkowej. Dość szybko dotarł do śmigłowca i zniknął w jego wnętrzu.

Poryw wiatru odgonił od nas westlanda. Przy następnym nawrocie przeszedł obok o jakieś pięćdziesiąt metrów.

Sailhardy coraz uważniej obserwował południowy zachód.

– To beznadziejne! – krzyknął, kiedy usłyszeliśmy maszynę znowu nad głową.

Nie miał racji. Pilot naprawdę znał się na rzeczy. Lina spadła na po-kład. Chwyciłem, ale Sailhardy wyrwał mi ją. Łódź zboczyła gwałtownie.

– Co, do cholery... – zacząłem.

– Przetnie cię na pół, jeśli nawet uda ci się nią owinać – wyjaśnił. –

Szarpnięcie przy wciąganiu będzie za silne. Zanim znajdziesz się na pokładzie, nie będziesz żył.

– To jedyna nasza szansa – oponowałem gorąco. – Nie uda nam się dotrzeć na plażę.

Tym razem maszyna zesłała nisko, nie próbując rzucać liny. Jakiś człowiek krzyknął do nas przez megafon:

– Czy nie chcecie, żeby was wyciągnąć?!

Zostawiłem to Sailhardy'emu. Jego można było dosłyszeć nawet podczas burzy.

– Zbyt ryzykowne! – wrzasnął. – Przetnie człowieka na pół!

Śmigłowiec wzniósł się gwałtownie, jakby obrażony. Kiedy znaleźli-

śmy się ponownie na grzbiecie fali, Sailhardy omiótł wzrokiem południowy zachód. Skierował dziób łodzi na Słowiczą.

– Szybko nadchodzi – powiedział. – Plaża to nasza jedyna szansa.

Postaw żagiel, żywo!

Kiedy ruszyliśmy, helikopter zniżył się tuż nad łódź. Okienko otworzyło się znowu.

– Połóżcie maszt! – krzyknął głos z odrobiną obcego akcentu. –

Współdziałajcie z nami! Weźmiemy na przejażdżkę całą łódź.

Wybiłem drewniany klin podtrzymujący maszt i wepchnąłem go pod ławkę wioślarską. Wszystko wydawało mi się lepsze od przedzierania się na plażę. Sailhardy wzruszył ramionami. Tym razem rzucono nam jeszcze drugą linę, z tylnego okna kabiny. Zrozumiałem, co zamierzano.

Obie liny trzeba było zamocować w ciągu paru sekund, kiedy dwa statki

– powietrzny i morski – zbliżą się, jeśli ich piloci potrafią uzyskać tak precyzyjną synchronizację. Szczupłe, śniade dłonie Sailhardy'ego na rumplu zdawały się wyprzedzać jego oczy szukające dogodniejszej drogi, łagodniejszego grzbietu fali.

Poszliśmy w górę. Śmigłowiec krążył pod kątem do kursu, którym dryfowaliśmy. Na samym szczycie grzywacza Sailhardy pociągnął za wysłużone liny rumpla i położył łódź w przechył. Zawisła tam niepewnie, utrzymywana jego dłonią. Nie zanurkowała w dół następnej fali, co oddzieliłoby nas od tych, którzy spieszyli z ratunkiem. Pilot reagował

równie szybko. Zszedł poniżej pięciu metrów. Jedna lina spadła na rufie, druga przed masztem. Obwiązałem moją wokół metalowego skidu foka.

Nie mogłem dostrzec, jak sobie radzi wyspiarz, ale – gdyby mu się nie udało – łódź zawieszona na jednej tylko przywiązanej przeze mnie linie stanęłaby dęba przy kolejnym podnoszeniu i obaj wypadlibyśmy do wo-dy. Dziób zaczął się unosić. Sailhardy potrafił reagować niewiarygodnie

szybko. W parę sekund dopadł liny i przywiązał ją do wystającej po-przecznice części rumpla, charakterystycznej dla łodzi wielorybnych z Tristana.

27

Fala oddalała się. Tym razem nie doszło do mdlącej zapaści. Łódź uniosła się w powietrzu.

Pilot łagodnie wzbijał się w górę. Ciężar zawieszanej łodzi zdawał się równoważyć lot śmigłowca – wyglądało to, jakby pszczoła przenosiła kamyczek. Pilot operował linami z taką samą elegancką precyzją, jaką wykazał w akcji ratunkowej. Łódź podciągnięto do aluminiowej kabiny.

Kiedy dzieliło nas od niej niewiele ponad metr, zatrzymaliśmy się.

Otworzyło się okno, przez które wdrapaliśmy się do wnętrza.

Czyjaś dłoń dopomogła mi przy wejściu. W środku było brunatno, ciemno od sztormu nadciągającego z południowego zachodu.

– Witamy na pokładzie, *Herr Kapitän* – powiedział jakiś mężczyzna.

Powinienem był pamiętać to zadufanie w sobie i ten z lekka germań-

ski rechot. A także ów pomocny chwyt, nabyty przecież przy przecho-dzeniu przez burtę jednostki pływającej, a nie latającej. Miał trochę za długie blond włosy.

– Dzięki – powiedziałem. – To była znakomita robota.

Wzruszył ramionami i wskazał ruchem głowy na sterownię.

– Nie mnie się należą podziękowania.

Wszedłem tam i stanąłem za fotelem pilota. Pilot się nie odwracał. Na obsadzie kompasu siedział, wczepiony w nią ogromniastymi szponami, bezłotek Cooka. Nad nim, w lusterku wstecznym, zobaczyłem parę oczu.

To były oczy kobiety!

Na południowym oceanie po prostu nie ma kobiet. Spotyka się je nie częściej niż czarne góry lodowe. To prawdą, że zdarzają się w Antarktyce kobiece nazwy – Ziemia Marii Byrd, Ziemia Edyty Ronne, Wybrzeże Sabriny. Ale tych kobiet tam nie było. Pozostały w domu.

Nie wierzyłem własnym oczom. Podeszedłem i w zdumieniu zapomniałem o podziękowaniach. Spojrzałem na jej twarz obramowaną czarnym skórzanym hełmem z przewodami telefonu pokładowego. Miała najbardziej niesamowite i najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałem. Myślałem wtedy, że są koloru morza. Później przekonałem się, że są jak ów południowoafrykański

kwiat, który nie ma własnego koloru, a barwi się turkusowo, rozszczepiając białe światło słoneczne w swym sercu. Odbijały to, na co patrzyły – morze i szalejący sztorm. Miała źrenice podobne do serca tego przedziwnego kwiatu – niemal czarnozielone. Wskutek jakiegoś intrygującego pomieszania materii i światła.

– Proszę zabrać tego ptaka z kompasu – powiedziała. – Będę za chwilę leciała tylko na podstawie przyrządów.

28

Sailhardy opanował sztukę odpowiedniej modulacji głosu. Ją podejrzewałem o to samo. Nie wiem dlaczego.

Chwyciłem metalowy pręt i spędziłem ptaka z kompasu. Wydawało się, że przestała się o mnie troszczyć, zajmując się burzą. Poczulem się całkiem zagubiony.

– Ten ptak podobno przynosi szczęście... – zacząłem.

– Nie ma czegoś takiego – odparła. – Wszystko zależy od właściwej oceny sytuacji.

– Musiało dojść do pani oceny sytuacji, żebyśmy z niej wyszli cało

– powiedziałem.

Patrzyła na morze, a kiedy się odwróciła, wówczas morze – które miała w swoich oczach – spojrzało na mnie. Nie było w tym ciepła.

– Również pański człowiek na łodzi spisał się dobrze – odparła.

– Sailhardy i ja jesteśmy ogromnie zobowiązani.

– Sailhardy! – powtórzyła. – Cóż za nazwisko! Jakby się czuło zapach smoły w osprzęcie.

Do kabiny wszedł kołyszącym się krokiem z żeglarską gracją Sailhardy. Zwróciła się do niego.

– Dobrze znacie te wody?

– Znam, pszepani – odpowiedział.

– Jakie mamy szanse przy tej pogodzie?

Wyspiarz wzruszył ramionami.

– To zależy od pani, pszepani.

– Carl! – zawołała.

Mężczyzna wszedł do sterowni.



– Co tam się dzieje na kotwiczowisku? Co mówi statek baza?

– Zaczyna nim ruszać. Jak zachlaną dziwką.

– Tak właśnie myślałam – powiedziała i zwracając twarz ku mnie, dodała: – Kapitan Wetherby. Carl Pirow, radiotelegrafista. Och, i Sailhardy, żeglarz.

Jej tak dobitnie wyrażona bezceremonialność drażniła mnie.

– Wszyscy już się teraz znamy nawzajem, z jednym wyjątkiem – stwierdziłem.

– Helena Upton – przedstawiła się, jakby to nie miało istotniejszego znaczenia. – Zwiadowca wielorybiczny.

Wyciągnęła szyję.

– Cóż to tam widać – mniej więcej na dwustu siedemdziesięciu stopniach? Wyspę Niedostępną?

29

– Tak, pszepani – powiedział wyspiarz.

– Dziękuję wam, Sailhardy – spojrzała na niego po raz pierwszy. –

Jak wam na imię? W Royal Navy wymaga się oczywiście formalnego przedstawienia.

– Tylko Sailhardy, pszepani – odrzekł. – Nie mam innego imienia.

– Musicie mieć jakieś nazwisko – powiedziała.

– Sailhardy, nic ponadto – odparł wyspiarz.

Wzruszyła ramionami.

– To wystarczy, jak sędzę.

Zakłopotany, odwrócił spojrzenie ku horyzontowi. Wtem zeszywniał.

– Statek! – oznajmił, wyęzając oczy. – Jakiś mały. Może kuter.

– Wasz wzrok nie ustępuje waszym umiejętnościom żeglarskim – powiedziała.

Pomyślałem, że to właśnie pochwała godna Heleny Upton. Była równie bezosobowa, jak otaczające ją przyrządy.

– To musi być jeden z tych płynących na spotkanie – powiedział Pirow.

– Zobacz, czy da się z nim skontaktować, Carl – zadysponowała. –

Spytaj, gdzie są pozostałe.

Dla mnie horyzont był czysty.

– Nie widzę w ogóle niczego – odezwałem się.

Pociągnęła mnie za ramię i pokazała. Jej gruby wełniany sweter nie pachniał gorzko owczym łojem, tak jak męskie, ale czuć go było tą szczególną stęchlizną, jakiej nabiera na Południu wszelka trzymiana w zamknięciu odzież. Zachodzące słońce zabarwiło brzegi nadciągających chmur. W zestawieniu z nimi pogoda na Wyspie Niedostępnej wydawała się jeszcze bardziej fatalna. Jej ciemna płaska sylwetka wyglądała na struchlałą przed tym, co miało nadejść. Urwiska skalne Wyspy Słowiczej jakby dla kontrastu były upstrzone wielkimi plamami wczesnych letnich pelargonii, niestosownie jaskrawymi w ostatnich promieniach światła.

Nie widziałem statku. Wtem dostrzegłem coś, co mogło być błyskiem płetwy grzbietowej delfina albo łodzią rybacką.

– Być może... – powiedziałem, pełen wątpliwości.

– Niech pan da spokój, kapitanie Wetherby – powiedziała tonem, którego mogłaby równie dobrze użyć, gdyby zawiódł któryś z wirników.

– Czy jest pan tak samo sceptyczny w stosunku do własnych odkryć oceanicznych?

30

Kapitanie Wetherby! *Herr Kapitän!* Odkrycia oceaniczne!

Wiedziała, kim jestem i musiała mieć pojęcie o tym, co porabiam na Tristanie. Pod wpływem mojej złośliwej uwagi przestała być tak bezosobowa, ale pozostała kłopotliwa niepewność, jak wiele o mnie wie.

– Jestem specjalistą od pcheł wodnych – oświadczyłem.

– Czy to oceanografia, czy limnologia? – spytała.

Brusie Wetherby, były oficerze Królewskiej Marynarki Wojennej, wędrowni stypendysto Royal Society w zakresie oceanografii i limnologii! Cóż jakiś zwiadowca wielorybniczy może mieć za interes, by uganiać się przy tak psiej pogodzie za kimś o tak niezrozumiałych zainteresowaniach jak moje?

– Limnologia – odparłem zaskoczony. – Obecność pcheł wodnych oznacza, że woda się starzeje. Nigdy ich nie ma w młodej wodzie. Bywają i w oceanach. To świadczy o starości mórz.

Usiłowała zbyć to wzruszeniem ramion. Kiedy uniosła lewy bark, poruszając się nieco w fotelu, po jej twarzy przemknął grymas bólu. Głos stał się bezbarwny.

– A zatem traci pan czas na południowym oceanie. Jest już stary.

Amerykanie twierdzą, że ma sto milionów lat.

Deszcz zabębnił o szybę, jak obcasy hiszpańskiego tancerza. Jej dłoń na sterach wydawała się poruszać równie ekonomicznie, jak dłoń Sailhardy'ego na rumplu.

– Carl – powiedziała szybko. – Idź i umocuj bezpiecznie tę łódź

wielorybniczą. Pan też, kapitanie Wetherby. Podciągnijcie ją tak wysoko, jak tylko się da. Jak głęboka jest wasza łódź? – zwróciła się energicznie do Sailhardy'ego. – Nie chcę, by wystawała pod podwoziem, kiedy będę podchodzić do lądowania.

– Cztery stopy z czymś, może pięć – odpowiedział.

– Chyba się zmieści – powiedziała, jakby to było bez znaczenia. –

Jeśli dojdzie do najgorszego, pozbędę się jej.

– Nie, pszepani! – wyrwało się Sailhardy'emu. – Nie mojej łodzi!

Zapaliła światła w przyrządach i przebiegła je oczyma dokładnie.

Rzuciła mu ostre spojrzenie – dosłyszała protest w jego głosie.

– Zatem dobrze, spróbuję wylądować z tą cholerną, zawadzającą mi wielką rzeczą. Będzie kołyszący się pokład, bo, jak słyszeliście, mocno rzuca statkiem bazą. To nie będzie zabawa.

Wahałem się, zanim poszedłem do urządzeń wyciągowych. Łódź nie wydawała się tego warta, nawet jeśli stanowiła cały majątek Sailhardy'ego.

31

– Powinien o tym zdecydować dowódca – zwróciłem się do niej. –

Jeśli ma od tego zależeć życie czworga ludzi, trzeba się jej pozbyć.

Jej oczy były równie odpychające jak zimne morze.

– Ja tu dowodzę – rzekła szorstko. – Moja decyzja zostanie wyko-nana. Wyląduję z łodzią Sailhardy'ego przywiązaną do maszyny.

Chciałem jej odpowiedzieć, ale zlekceważyła to.

– Carl, idź i przymocuj łódź. To nie mostek kapitański okrętu wo-jennego, kapitanie Wetherby, więc

nie mogę zmusić pana do pomocy.

Ale jeśli pan to uczyni, ryzyko będzie mniejsze.

– Dziękuję pani – powiedział cicho Sailhardy. Mogła liczyć na jego przyjaźń do końca życia.

– Panno Upton – odezwałem się. – Po tym jak nas pani wyratowała, mam zupełne zaufanie do pani umiejętności.

– Więc idź pan i zrób o co proszę! – warknęła. I odwróciła się, jak-bym był nadzorcą ładunku.

– Kiedy już to zrobicie, Carl, powiedz memu ojcu, że mam Wetherby'ego. Całego. Nie uszkodzonego. Zapytaj go, czy mam poszukać pozostałych kutrów i dostarczyć je na spotkanie.

– Nie wiem, kim jest pani ojciec i czego ode mnie chce – powiedziałam

gniewnie. „Powiedz mu, że mam Wetherby'ego...!” – też coś.

Położyła śmigłowiec w gwałtowny skręt, przerywając mi.

– Niech go pan sam spyta – powiedziała. – Wysłał mnie, żebym pa-na znalazła i zrobiłam to. Wypełnię swe zadanie, kiedy dostarczę mu pana na pokład *Antarktyki*.

– Sir Frederick Upton to największa postać w biznesie wielorybniczym. Musiał pan o nim słyszeć – powiedział Pirow takim tonem, jakby nie wypadało o tym nie wiedzieć.

– Nie słyszałem – odparłem. – I nie mogę sobie wyobrazić, jak mógł

wysłać własną córkę w taki piekielny sztorm, żeby sprowadziła mu ko-goś, kto zajmuje się jedynie planktonem.

Niemal nie zauważyłem, jak wtrąciła:

– Pchłami wodnymi.

– Pszepani – odezwał się Sailhardy – Ten sztorm potrwa parę dni.

Musi pani jak najszybciej wracać do bazy. Za wszelką cenę.

Wydawała się skłonna go usłuchać.

– Gdybym nawet zlokalizowała wszystkie pięć kutrów, niewiele mogłabym zrobić, żeby je sprowadzić na kotwiczowisko – zastanawiała się. –

Powiedz ojcu, Carl, że wracam prosto na statek przetwórnicy. Poproś go, 32

żeby kazał kapitanowi Bjerko ustabilizować go, jak tylko się da, na kotwiczowisku.

Poszedłem z Pirowem. Łódź huśtała się na linach, uderzając w kadłub śmigłowca. Podciągnęliśmy ją do góry, jak tylko to było możliwe. Nie leżała pod brzuchem maszyny, gdyż urządzenia wyciągowe były wyżej niż podwozie. Pomyślałem o kołyszącym się pokładzie statku przetwórci zakotwiczonego na redzie Tristana i wzdrygnąłem się. Wylądowanie wymagało doskonałych umiejętności. Według mnie powinna podejść od strony prawej burty, bokiem, na którym nie było łodzi, żeby nie roztrzaskać jej kila o pokład. Należało przy tym trzymać ogon śmigłowca dostatecznie wysoko. Oplotłem liną jedną z topornych ławek wioślarskich i podciągnąłem łódź do boku maszyny. Pirow robił to samo.

Odtąd łódź, śmigłowiec i my wszyscy mieliśmy wspólne przeznaczenie.

Pirow zajął się radiem. Wolałem już zostać z nim, niż wracać do nie-przyjaznej sterowni. Czegokolwiek chciał Sir Frederick Upton, na pewno nie ją powinien wysyłać, by zjednywać sobie ludzi. Stałem, nie wiedząc co począć, w obitej na brunatno kabinie. Coś dręczyło moją pod-

świadomość. Pirow rozmawiał z kutrami. Słuchałem jednym uchem, przywykłem do tego w Kapsztadzie przez nużące lata nie kończącego się szczebiotu ze statkami na dalekim Południu. O cóż więc chodziło?

– Powtórz – powiedział jeden z rybaków rozmawiających z Pirowem. – Powtórz. – I za chwilę ponownie: – Powtórz. – A on nadawał

znakomicie. Gdybym nie myślał o tej dziewczynie i o ryzyku, jakie podjęła, może bym to zauważył. Moja podświadomość mówiła mi, że coś jest nie w porządku. Czemu ten kuter uporczywie prosił go, żeby powtó-

rzył?

Przeszedłem do sterowni. Helena Upton rozmawiała z Sailhardym, jednocześnie regulując działanie dyszy. Nieokreślony niepokój, jaki wzbudzała we mnie łączność radiowa nawiązana przez Pirowa, zaostrzył

też ciekawość w stosunku do dziewczyny. Jak doszło do tego, że została tak wysokiej klasy zwiadowcą wielorybniczym. Nawet rosyjskie statki na Południu nigdy nie posługują się kobietami pilotami. To najcięższa praca, wymagająca doskonałych umiejętności i spostrzegawczości, polegająca na długich godzinach skrupulatnych poszukiwań. Ryzykowała życie, najwidoczniej na polecenie swego ojca, żeby znaleźć Sailhardy'ego i mnie. Dlaczego? Przypuszczałem, że dzienny koszt utrzymania w ruchu statku przetwórci musi wynosić z pięć tysięcy funtów, a przybycie nim na Tristana – położonego z dala od terenów wielorybnych –

33

oznaczało, że Sir Frederick musiał słono wyBullć najwyraźniej po to, żeby mnie znaleźć. Czemu? Nieczuli potentaci z tej branży nie interesują się planktonem.

– Niech pani uważa, kołując rumb przed redą – instruował ją Sailhardy. – Nagły poryw wiatru może nas rzucić na skały.

Zmieniła odrobinę kurs i poszła ostro na wiatr. Bezlotek Cooka wró-

cił na swą grzędę, ale już nie zasłaniał kompasu. Pierwsze podmuchy sztormu dotarły do wulkanicznego szczytu na Tristanie. Wyspa korzysta z wody, która gromadzi się w starym kraterze i – o dziwo – nigdy nie zamarza, nawet w największe mrozy. Pod brzuchem śmigłowca mogłem dojrzeć w gasnącym świetle wielkie pola wodorostów w morzu, rozpo-

ścierające macki jak upiorna ośmiornica. Ku wschodowi morze i niebo zlały się w turkusowym blasku; od zachodu nadciągały spiesznie wielkie armie chmur.

Wyszliśmy na wolną przestrzeń nad cyplem przy kotwiczowisku Tristana. Z urwistego zbocza skalnego spływała kaskadą woda stalowego koloru.

– Czterdzieści na prawą burtę? – zapytała Sailhardy'ego Helena Upton.

– Sześćdziesiąt – odpowiedział. – Całe sześćdziesiąt. Klif kompletnie zasłoni słońce w ciągu minuty. Sześćdziesiąt!

Uśmiechnęła się kwaśno – po raz pierwszy dostrzegłem ożywienie na jej twarzy. Nietrudno było się zorientować, że latanie jest dla niej wszystkim w życiu.

– Łądujemy na ślepo?

– Tak – odparł Sailhardy. – Tak, pszepani.

Straciliśmy z oczu słońce, kiedy, okrążając przylądek Herolds, wchodziliśmy do zatoki Falmouth, na kotwiczowisko. Helena Upton, mrugając światłami pozycyjnymi, zatoczyła szerokie koło wokół górskiej grani.

Jakby w odpowiedzi zapaliły się reflektory na pokładzie statku przetwórci. Był duży, miał co najmniej dwadzieścia pięć tysięcy ton. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak mieliśmy wylądować pośród stalowych drutów podtrzymujących podwójny komin na rufie i ciężkie maszty ustawione równolegle obok siebie. Pokład wyglądał jak zbiorowisko rozrzuconych urządzeń, prawie bez wolnej przestrzeni. Przed mostkiem krzyżowały się na nim rury grubości męskiego uda. Między nimi stały wielkie stalowe skrzynie, zwieńczone dopasowanymi śrubami o motylkowych nakrętkach. Nie mogłem się domyślić do czego służą.

34

– Carl – rzuciła gwałtownie do telefonu pokładowego. – Powiedz kapitanowi Bjerko, że nic nie widzę przez te wszystkie reflektory, oślepiają mnie. Powiedz, że podchodzę od rufy. Kiedy będę o pięćdziesiąt metrów, niech wyłączy światła. Sama trafię na miejsce.

Sailhardy zacisnął mocno palce na rurce usztywniającej konstrukcję kabiny.

– Niech pani podejdzie do statku od nawietrznej! – nalegał.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie i kiwnęła głową. Zaczęła zataczać szerokie koło wokół dziobu statku. Antarktyka stała pod parą. Dwa wielkie kominy buchnęły dymem, wysoko, ponad nawiewniki. Wchodząc na nawietrzną statku, traciliśmy wysokość. Nagle dookoła zrobiło się czarno – kominy postawiły zasłonę dymną, nie gorszą niż zrobiłby to niszczyciel.

– Ostrzej na wiatr, psze pani – nalegał Sailhardy.

Helena zaśmiała się – jej śmiech brzmiał tak, jakby zapomniała już, jak się to robi.

– Żeglarzu! – zawołała. – Nie mam tu żagla na śmigłowcu.

Ale jej dłonie operowały sterami. Zeszliśmy z wiatrem i wydostali-

śmy się z dymu. Zaczęła znów podchodzić do statku. Zbliżyła się do rufy. W jasnym świetle reflektorów widać było kratę pochylni, którą wciągano wieloryby. Wyglądała jak złowieszcza Brama Zdrajców w londyńskiej Tower. Kiedyśmy schodzili coraz niżej, czułem jak dech zamiera mi w piersiach.

Światła zgasły. Zamigotały wyraźnie światła pozycyjne śmigłowca.

Wydawało się, że nigdy nie przedostaniemy się przez osprzęt na spłacheć wolnego miejsca na pokładzie.

– Pani obróci go troszeczkę – instruował ją Sailhardy, spoglądając na drogę, jaką przylecieliśmy na kotwiczowisko. – Za chwilę potężnie dmuchnie.

Odpowiedzią był ruch dłoni na sterach. Tych dwoje – tak po mistrzowsku radzących sobie w dwóch żywiołach, na morzu i w powietrzu

– doskonale się rozumiało.

Pociągnęła mocno drążek sterowy do siebie i otworzyła szeroko przepustnicę. Prawie otarliśmy się o jeden z wysokich nawiewników, podejmując na nowo krążenie.

– Jezu! – wyszeptał Pirow.

– Carl! – głos dziewczyny brzmiał spokojnie. – Powiedz kapitanowi Bjerko, żeby oświetlił tylko pomost, na którym odciąga się wielorybi tłuszcz. Teraz tam spróbuję usiąść.

35

Radiowy klucz Pirowa terkotał, kiedy ponownie zataczaliśmy półko-le. Znowu doszło do szarpiącego nerwy podchodzenia od rufy. Wiatr był

coraz silniejszy. Musiał już mieć z pięćdziesiąt węzłów, a może więcej.

Wyłoniła się nam na spotkanie Brama Zdrajców. Helena Upton przechyliła śmigłowiec, podnosząc



wysoko lewą stronę – tę, do której przywią-

zana była łódź. Ogon również był uniesiony. Słyszałem, jak Sailhardy nabiera powietrza w płuca. Sunęliśmy rakiem wokół środka pomostu, niby ranna ważka. Smugi deszczu zamazały szybę z pleksiglasu. Tym razem było już za późno, by odlecieć. Nie mieliśmy odwrotu. Prawe koło dotknęło pokładu. Druga strona i ogon wciąż były w górze. Helena dodała gazu w wirniku ogonowym. Śmigłowiec kołysał się powoli. Posadziła go delikatnie, prawie nie poczułem uderzenia w jedną z wielkich stalowych skrzyń. Ściągnęła drugą stronę maszyny, tę z łodzią, delikatnie na pokład, musnąwszy przepustnicę. Stanęliśmy pewnie na zmywanym przez deszcz pokładzie.

Delikatnie westchnęła, nie zdejmując przez chwilę dłoni z nieczynnych przyrządów. Ludzie już przywiązywali śmigłowiec do potężnych pachołków.

Obliziałem wargi.

– Pani może się pomylić tylko raz – powiedziałem.

Siedziała tam bez ruchu, nic nie mówiąc.

– Myślę, że helikopter obracał się po dwadzieścia stopni w każdą stronę – zastanawiał się Sailhardy.  
– Była pani wspaniała, pszepani.

Niesamowite oczy zdawały się napełnione nocnym blaskiem reflektorów.

– Carl – odezwała się – zaprowadź kapitana Wetherby'ego do ojca.

Czeka na niego niecierpliwie. I Sailhardy'ego.

Wygramoliliśmy się na rozkołysany pokład. Dziewczyna nawet się nie poruszyła.

– Ostrożnie – napomniął nas Pirow. – Na statku przetwórci łatwiej skrócić kark niż na jakimkolwiek innym.

Potężne światła uwydatniały wszelkie kształty. Wielki kawał gwin-towanego żelaza nad moją głową wydawał się większy, niż był naprawdę. Przytwierdzono go do wysięgników i dodatkowo przywiązano do bramy suwnicy linami grubymi jak ręka mężczyzny.

Kiedy doszliśmy do zejścia pod pokład przy mostku, przypomniałem sobie o rzeczach, które miałem w łodzi.

– Mam w łodzi trochę instrumentów i map – powiedziałem do Pirowa. – Wrócę po nie. Niech pan powie Sir Frederickowi, że już idę.

Wdrapałem się do sterowni. Zatrzymałem się na chwilę. Helena Upton, na wpół siedząc w fotelu, podtrzymywała się kurczowo, jej twarz była tak biała jak światło reflektorów. Próbowala

podciągnąć się, żeby wstać. Bezlotek Cooka gapił się na nią.

Podszedłem do niej.

– Niech się pani nie przejmuje! – powiedziałem, pochylając się nad jej fotelem. – Nic dziwnego, po takim lądowaniu...

Miała oczy pełne bólu.

– Dlaczego musiał pan tu wrócić i mnie zobaczyć? – prawie łkała. –

Czemu musiał pan mnie zobaczyć?

– To lądowanie... – zacząłem.

Uciszyła mnie ruchem ręki.

– Nie chodzi o lądowanie – wyrzuciła z siebie, zagryzając wargi. –

Chodzi o mnie. Niech pan nie będzie uprzejmy. Widział mnie pan.

– Nie rozumiem – powiedziałem.

Mówiła tak cicho, że z trudem mogłem ją dosłyszeć.

– Urządzenie wyciągowe. Zapomniałam. Zwykle używam go, żeby wstać po długim lataniu. Chodzi o moje biodro, rozumie pan. Mam w nim kulę. Po prostu zwyczajnie trochę utykam. Po ciężkim locie to mnie dopada. Jak już stanę na nogach, to mi przechodzi. Nikomu się wtedy nie pokazuję.

– Ojciec nie powinien pani pozwalać.

– On o tym nie wie i nie powinien się dowiedzieć, chyba że pan mu powie – odpowiedziała. – Nie powinien o tym wiedzieć. W żadnym wypadku. Proszę mi pomóc wstać.

Zdjęła hełm lotniczy. W zestawieniu z mocnym światłem i nocą, jeszcze ciemniejszą od burzy, włosy jej nie robiły wrażenia. Były jasne, krótko obcięte, kędzierzawe. Wokół czoła widać było na nich ślady heł-

mu. Otoczyłem ją ramieniem. Oparła się na mnie ciężko, stawiając pierwsze kroki po pokładzie. Potem szła powoli, lekko kulejąc. Minęli-

śmy mostek i weszliśmy do dużej kabiny nawigacyjnej, będącej zarazem biurem. Za biurkiem siedział jakiś człowiek. Światło padało na jego le-wy bark, uwydatniając rysy twarzy.

Była to twarz jak z metalu.

# 3.

## Tajemnica płetwa błękitnego

Niedowierzenie, pomieszane ze skutkami przeżytych napięć, sprawi-

ło, że stanąłem jak wryty na widok tego oblicza barwy metalu. Efekt był

jeszcze bardziej wstrząsający, kiedy mężczyzna wstał i na metalu pojawił się grymas uśmiechu. Widziałem wyraźnie zmarszczki, które powstały w kącikach ust. Wydawało się, że nie ma różnicy między czołem o tak niesamowitej barwie a krótkimi, kędzierzawymi siwymi włosami.

Był niski, krępy, miał oczy marynarza. Ciepło powitalnego uśmiechu kontrastowało z wyglądem jego twarzy – poczułem się nieswojo.

Helena pocałowała go w policzek.

– A więc, tato, znalazłam ci, kogo chciałeś.

Ujął moją dłoń i potrząsnął nią serdecznie.

– Kosztował mnie pan mnóstwo czasu i pieniędzy, Bruce. Miło mi, że jest pan bezpieczny na moim pokładzie.

Prawie każdy poczułby się urażony tak bezceremonialnym zwróceniem się po imieniu – ja jednak nie zareagowałem w ten sposób.

– Pańska córka przeprowadziła wspaniałą akcję ratowniczą – powiedziałem. – Nie spodziewałem się, że znajdę się dziś wieczorem w przytulnej kabinie.

Spojrzał na mnie bystro.

– Wiem, że nie przeraża pana zbytnio perspektywa spędzenia nocy w otwartej łodzi na morzu. Heleno, moja droga. Wiedziałem, że go znajdziesz.

Nie wydawała się go słyszeć. Jej oczy, tak pełne udręki wcześniej w sterowni, były już spokojne. Stały się nawet ciepłe, nabierając barwy boazerii kabiny. Rozumiało się bez słów, że wszystkim dla niej było mistrzowskie uprawianie zawodu wymagającego właściwego postępowania w ułamkach sekundy. Było jasne, że Upton tego w zasadzie od niej oczekiwał.

38

Chciałem coś powiedzieć, ale nie wiedziałem co. Ta niesamowita twarz zbiła mnie z tropu.

Roześmiał się.

– Wstrząsnęło panem, kiedy mnie pan zobaczył, prawda? Ja się tym już nie przejmuję. Nie jestem urodziwy, ale powinien pan poznać faceta z gębą ze srebra! Mój Boże, jakże on błyszczał! Świecił jak balon meteorologiczny!

– Obawiam się, że nie rozumiem... – jąkałem się. Spojrzałem na Helenę, oczekując od niej pomocy. Czyściła sobie grzbiet lewej dłoni, splamiony smarem. Wydawała się tak odległa od naszej rozmowy, jakby w ogóle jej nie było.

– Oczywiście nie wie pan, o co chodzi – powiedział Upton we wła-

ściwy sobie, gwałtowny sposób. – Jeśli pan sobie życzy... jest na to termin medyczny, srebrzyca. Nabawiłem się tego, zajmując się rzadkimi metalami w Szwecji. Zdarza się, że dostają się do ludzkiego organizmu.

Ten bubek doktor ze srebrną twarzą zażywał azotanu srebra. Do tego stopnia był pewny siebie. Przebywaliśmy w tym samym sanatorium w Sztokholmie.

Moje oczy przywykły do światła. Kabina okazała się równie niezwykła jak rozmówca. Całą ścianę zajmowała mapa Antarktyki, innych, zwyczajnych nie widziałem. Była wielka i plastyczna. Zarysy lądów zaznaczono na niej wymyślnie, inkrustując kawałkami fiszbinu. Długa ostroga Ziemi Grahama, wystająca z lodowego kontynentu w kierunku przylądka Horn, była oddana wyśmienicie.

Podobnie jak mapa, przyciągały oczy modele statków, które przetarły szlak na Południe. Odtworzono je po mistrzowsku. Były tam dokładne kopie osiemnastowiecznych brytyjskich okrętów wojennych, topornych brytyjskich statków łowców fok – oryginały konstruowano z dębowych desek dostatecznie grubych, by wytrzymały nacisk lodu i trafienie kulą armatnią – pięknych w kształcie statków wielorybicznych z New Bedford, wczesnych parowców dodatkowo wyposażonych w żagle, pancernych dzisiejszych lodołamaczy. Rozmieszczono je głównie na obszarach, na których działałem od czasu wojny, gdyż Ziemia Grahama była częścią kontynentu, która musiała zostać odkryta jako pierwsza. Niedaleko mojej bazy na Wyspie Szachrajskiej znajdował się stary bryg, któ-

rego nazwę – Williams – mogłem odczytać. To na nim kapitan William 39

Smith odkrył w tysiąc osiemset dziewiętnastym roku Szetlandy Południowe. Smith płynął do Chile na spotkanie z kapitanem Shireffem z brytyjskiej marynarki wojennej, który zdał sobie sprawę, iż Cieśnina Drake'a stanowi klucz do panowania na morzu między Atlantykiem a Pacyfikiem. Potwierdziło się to w czasach, w których żyłem. Strzegłem tego przejścia przez dwa lata.

W pobliżu mojej dawnej bazy znajdował się malutki bryg amerykań-

ski o nazwie *Hersilia*. James P. Sheffield przyżegłował nim z Connecti-cut, by szukać marzenia – legendarnych bajecznych wysp, zwanych Au-rorami. Nie udało mu się ich znaleźć. Ale jego drugi oficer pokładowy, Nat Palmer, wszedł do historii jako pierwszy człowiek, który postawił

stopę na głównym lądzie Antarktydy. A kilka dni wcześniej Brytyjczyk, kapitan Bransfield, miał zaszczyt jako pierwszy zobaczyć i nanieść na mapę wybrzeże owego lądu.

Rozmieszczone wokół długiego półwyspu były też inne jednostki pływające o obco brzmiących nazwach: rosyjskie *Wostok* i *Mirny* – nale-

żące do pierwszych, jakie się pojawiły na tych wodach, nieśmiertelna HMS *Resolution* kapitana Cooka, która zbliżyła się bardziej do wybrze-

ży zachodniej Antarktydy niż jakikolwiek okręt przed nią, francuskie *Astrolabe* i *Zelee*, brytyjskie: HMS *Erebus* i *Terror*, żaloszny strzaskany przez łód wrak *Endurance* Shackletona.

Na Morzu Weddella, głęboko wgrzającym się w Antarktydę przylegającą do Ziemi Grahama, przedstawiono epokową penetrację sprzed stu czterdziestu lat – dzieło brytyjskiego kapitana Jamesa Weddella na statku *Jane*. Nikt tak dokumentnie jak on nie przeżegłował tego morza po tej samej długości geograficznej. Weddell był zdumiony, że w ogóle nie napotkał lodu w morzu, z którego już było widać lodowy kontynent.

Nieustraszony kapitan zawrócił na czyste wody; wszelkie następne pró-

by przedostania się przez tysiące kilometrów kwadratowych stałego lodu spełzły na niczym. Mapa pokazywała historyczną podróż Weddella po otwartych morzach, na których powinien być lód – dla mnie powód był

jasny: Stopa Albatrosa!

Miotany sztormem statek przetwórnia utrzymywał się na kotwicach.

Cieśnina Drake'a! Złotą Łanię, okręt flagowy Sir Francis Drake'a, ukazano na mapie w trakcie torowania sobie drogi wokół przylądka Horn.

Zachodziło niemal fizyczne podobieństwo między moim rozmówcą i sławnym przedstawicielem Anglii epoki elżbietańskiej. Zastanawiałem 40

się, jak duch Drake'a kontentował się malutką kajutą na *Golden Hind*.

Dla Uptona byłaby za mała.

– Proszę siadać – rzekł, ciągle sprawiając wrażenie, iż zależy mu na pośpiesznym wypowiedaniu słów. – Nigdzie nie ma drugiej takiej mapy.

Czy pan przemókł? Daj mu drinka, Heleno. Czy wyciągnęła pana z łodzi?

Pomyślałem, że da się dojść do porozumienia z Uptonem. Nie wiedziałem, czego ode mnie chce, ale wyglądał na jednego z owych twar-dych ludzi, których ukształtowała Antarktyka.

Helena podeszła do baru.

– Kapitan Wetherby uważa, że dopisało mu szczęście. Miał ze sobą dziwnego ptaka bez skrzydeł. Twierdzi, że można go spotkać jedynie na Wyspie Słowiczej. Wyratowanie polegało na szczęściu.

Zastanawiająca samonegacja. Przerwałem jej.

– Nie na szczęście, ale na właściwej kompetentnej ocenie. Uratowa-

ła całą łódź. Co więcej, po mistrzowsku wylądowała z przywiązaną do śmigłowca łodzią na pomoście do odciągania wielorybiego tłuszczu.

Miałem szczęście, bo wszystkie moje przyrządy i mapy znajdują się w łodzi.

Spojrzał na mnie przenikliwie.

– Czy są tam bezpieczne?

– Tak – odparłem. – Poszedłem tam po wylądowaniu, aby się upewnić.

Helena stała ze szklanką w ręku. Wpatrywała się we mnie. Najwyraźniej były pomiędzy nimi jakieś rozdzźwięki. Przecież błagała mnie, żebym nie powiedział, co się wydarzyło.

– To osobliwy ptak – powiedziała spokojnie. – Na pierwszy rzut oka budzi sympatię. Nie fruwa. – Nie przestając na mnie patrzeć, dołała alkoholu do szklanki. – Nie przypuszczam, żeby śpiewał. Może jest jakiś cel jego niedostatków i izolacji.

Nie potrafiłem jej zrozumieć.

– Trzeba spytać Sailhardy'ego – powiedziałem. – Pójdę i przyniosę moje rzeczy z łodzi.

Upton potrząsnął głową. Przycisnął guzik na biurku. Wszedł marynarz. Otrzymał szybkie polecenie po norwesku.

– Należy dbać o własność osobistą – odezwał się Upton.

Z tą samą gwałtownością zgasił lampę na biurku i włączył ogólne oświetlenie kabiny. Ukazał nam się cały południowy ocean i luksusowe wnętrze. Na mapie, którą studiował, leżał przycisk z kawałką fiszbinu.

41

Główny kandelabr wykonany był z czterech foczych czaszek kunsztow-nie dopasowanych i połączonych. Jego fotel z ciemnego drewna był

obity foczą skórą.

Wszedł Pirow z Sailhardym. Upton niedbale skinął głową wyspiarzowi.

– Kiedy zjawią się chłopcy dowodzący harpunnikami? – spytał Pirowa.

Ten wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Wszyscy zdążą na drinka. Można się założyć. Są równie twardzi jak ferajna, którą spotyka się na miesięcznych regatach dookoła Georgii Południowej.

Helena stała, nalewając mi drinka. Upton podszedł do baru. Potężny poryw wiatru wstrząsał statkiem. Zrobiło mi się niedobrze. A ona wła-

śnie przygotowywała mi drinka.

– Jestem zadowolony, że dotarliśmy tu, zanim to się zaczęło – powiedziałem.

– Miałam dobrego nawigatora – zwróciła się do Sailhardy'ego.

– Sailhardy? – zapytał Upton, biorąc szklankę. Wydawało się, że wyspiarz go nie słyszy. Był równie daleki jak Helena. Myślę, że trochę żałował, iż nie zмага się ze sztormem.

Upton ponowił zaproszenie. Wyspiarz potrząsnął głową.

– Lubię się napić, ale na Tristanie bardziej cenimy sobie jedzenie.

Alkohol tylko zwiększa łaknienie.

Upton wzruszył ramionami. Wziął mojego drinka od Heleny.

– Wody do pańskiej brandy? Przybywam prosto z Kapsztadu. Mam pełną piwnicę waszego narodowego trunku.

– Nawiasem mówiąc, nie pochodzę z Południowej Afryki – powiedziałem. – Mieszkałem tam przez ostatnie trzy lata, ale urodziłem się nad kanałem La Manche. Jako ostatni z długiego rodu Wetherby – żeglarzy, badaczy, niefortunnych biznesmenów.

Helena wskazała na mapie grupę wysp w pobliżu Ziemi Grahama oraz model statku.

– Ród Wetherby zrobił więcej niż jakakolwiek prywatna firma w dziejach eksploracji Kontynentu Południowego – szturchnęła palcem model, wymawiając rozwlekłe jego nazwę: – *Sprightly!* Pierwszy z ulu-bionych statków Wetherbych.

Jakoś tak niepostrzeżenie, niewinnie do tego doszło, pomyślałem.

– Był jeszcze jeden, a ich nazwy zawsze są kojarzone – wtrąciłem. –

*Lively* i *Sprightly*.

42

– Tak – przyznała. – *Lively* i *Sprightly!* Może pan je znaleźć gdzieś pomiędzy Cieśniną Drake'a i...

– Wyspą Bouveta – dokończyłem.

Czuje spojrzenie Uptona oznaczało coś więcej niż zainteresowanie tym, jak mi smakuje czysta brandy, którą mi podał. Przygotował po-dwójne wytrawne martini dla Heleny. Wziął z barku piękną, pękatą butelkę. We wszystkim, co czynił, wykazywał kunszt aktorski. W butelce nie było płynu. Wytrząsnął z niej trochę długich, precelkowatych pa-tyczków. Wyjął z szuflady łyżeczkę do kawy, starannie nabrał nią ich do pełna, wrzucił zawartość do szklanki i dodał wody z lodem. Następnie postawił obok metalową karafkę, do której nalał solidną porcję brandy.

Zapalił ją, zdmuchnął niebieski płomień, podniósł karafkę i łyknął szybko najpierw lodowatej wody, a potem gorącej brandy.

– Bywałem tu i ówdzie – powiedziałem – ale nigdy jeszcze nie widziałem takiego drinka.

Upton roześmiał się.

– Muszę to zrobić gdzieś w Antarktyce, gdzie znajdą dla niego na-zwę. Składniki raczej nie są zwyczajne.

– Erebus i Terror – wtrąciłem. – Wie pan, te dwa wulkaniczne szczyty na Morzu Rossa, buchające ogniem i dymem spod lodu.

Ryknął śmiechem.

– Boże, Bruce, cóż za nazwa dla guarany i brandy po piracku. Niechże będzie Erebus i Terror.

Pirow sączył swoje sznapsy w zamyśleniu. Sailhardy był wciąż myślnymi na zewnątrz, w sztormie.

Łagodny, spokojny sposób, z jakim Helena to powiedziała, skłonił

mnie do zastanowienia się nad tym, czy była jedynie trybem w terkoczą-

cej personalnej maszynie, jaką stanowił Upton, zepchnięta przez niego w cień, zintegrowana z jego zajęciami, bez względu na to, czy jej się to podoba, czy nie.

– Nie sądzę, żeby tatuś kiedykolwiek przestał się bawić w piratów –

powiedziała. – Płonącą brandy nazywano piracką na Morzu Karaibskim.

Morgan ją pijał.

Pomyślałem, że Helena utrafiła w sedno. Choć nie była to pełna odpowiedź. Żadna córka nie torturuje się kulą uwięzłą w biodrze ani nie doprowadza do takiej perfekcji lotniczego kunsztu tylko dlatego, że tak chce tatuś. Albo jej wiedza dotycząca jego mapy wód południowych –

nie nabywa się takich wiadomości, jak te o rodzie Wetherby, w lokalnej bibliotece.



– Czy guarana również pochodzi z Morza Karaibskiego? – nie potrafiłem ukryć ironii.

Niezupełnie, ale prawie – odparła. – W Boliwii nazywają drink gu-aranowy białą wodą.

Trzymał coś, co wyglądało na pasek suszonego mięsa – biltong, jak to nazywają w Południowej Afryce.

– To jest suszone ciasto zrobione z pewnego pnącza, które rośnie w rejonie Amazonki. Jest mniej więcej trzykrotnie mocniejsze od najmocniejszej kawy. Znakomity środek pobudzający.

Pozostawia jasny umysł. Żadnej zgagi. Żadnych oślepiających skutków alkoholu. Wszystko staje się jaśniejsze, lepsze, większe.

Jaśniejsze, lepsze, większe. Tak może podsumować mężczyzna –

pomyślałem.

– Walter będzie chciał wprowadzić tych z kutrów do środka – odezwał się Pirow.

Zastanawiałem się, kim w ogóle był Walter. Wspaniale, mogli sobie urządzać cały ten ekstrawertyczny popis na moją cześć, ale czego Upton chciał ode mnie? Jak pasowali do tego obrazu szyprowie kutrów? Tristan leży daleko od łowisk wielorybicznych. Nagle nabrałem nieufności do całej tej sprawy.

Sailhardy odwrócił wzrok od luku. Był najeżony podejrzliwością.

– Nigdy nie słyszałem, żeby wielorybnicy spotykali się na Tristanie

– powiedział.

Upton był w defensywie.

– Spotykam się gdziekolwiek na południowym oceanie, gdzie tylko mi się, do cholery, spodoba.

– Najtwardsi szyprowie z Georgii Południowej nie pokonywaliby takiego szmatu drogi za frajer – odparował wyspiarz.

– Pirow – rzucił ostro Upton. – Idź i skontaktuj się z Walterem.

Chcę wiedzieć, kiedy dokładnie przybędą. No, już.

Jego napięcie nerwowe wyczuwało się w całym pokoju. O co chodzi-

ło? Skąd ta niecierpliwość przy wietrze tak szalonym, że mógłby zdmuchnąć wiatromierz?

– Plankton – powiedział krótko Upton. – Opowiedz mi o planktonie, Bruce.

Sledził mnie – pomyślałem. Nie podobało mi się to, tak samo jak wiedza o dokonaniach rodu Wetherby, wykazana przez Helenę. Nie mia-

łem ochoty, by poddawano mnie presji.

– Wszystkie żyjątka zamieszkujące wody południowe wdzięczą się do Bruce'a Wetherby'ego – zareagowałem.

44

Upton nie zarumienił się, nie pozwalał na to stan jego twarzy. A jednak jej cynowa barwa nabrała z lekka różowego odcienia, co nadało jej groźny wyraz. Oczy błyszczały mu nienaturalnie. Zanim wszakże zdążył

zareagować, wszedł norweski marynarz wysłany po moje rzeczy i rzucił

na podłogę ceratowy worek.

Ten moment pozwolił Uptonowi opanować się i powiedział spokojnym głosem:

– Plankton jest jak tłum ludzi. Kłębią się jak cholera w ramach okre-

ślonych granic. Ale ogólny kierunek pozostaje ten sam. Plankton może się do pana wdzięczyc, ale czyż jednocześnie nie wskazuje czegoś?

Konkluzja była znakomita. Miałem się potem przekonać, że guarana ułatwia skojarzenia. Upton na pewno nie zdążył się jeszcze dowiedzieć od wyspiarzy o Stopie Albatrosa, nie mógł też uzyskać informacji z Royal Society.

– Niech pan posłucha – powiedziałem. – Dostałem stypendium, by zbadać coś, co moim zdaniem jest nieznanym potężnym prądem oceanicznym o pewnych osobliwych cechach charakterystycznych. Nie ma znaczenia gospodarczego ani wojskowego.

I opowiedziałem mu o Stopie Albatrosa. Był skoncentrowany jak bokser wychodzący na ring ze swego narożnika.

– Stopa Albatrosa! Cóż za nazwa? Czy znalazł pan ten prąd?

– Tak – odpowiedział Sailhardy. – Kapitan Wetherby dokonał tego w całej rozciągłości.

– Określiłbym stadium badań jako początkowe – powiedziałem. –

Właśnie przystępowałem do przeprowadzenia zamierzonego dowodu, kiedy nadciągnął sztorm. Niemniej jednak jestem przekonany, że znalazłem jedną z odnóg.

– Jedną z odnóg? – powtórzył Upton. – Co pan ma na myśli, mó-

wiąc o odnogach?

Przedstawiłem mu swoją hipotezę o dwóch odnogach ciepłego prądu, spotykających się w pobliżu Wyspy Bouveta. Helena nie brała udziału w rozmowie. Była zajęta mapą.

Uderzył prawą pięścią w lewą dłoń.

– Plankton! Prąd! Połączmy te fakty razem i – mój Boże – zobacz-my, co z tego wyniknie!

Sailhardy wrócił do swego punktu obserwacyjnego przy luku. Tego rodzaju rozmowa była poza zasięgiem jego możliwości. Nie byłem pewny, czy nie wykraczała także poza moje.

– To zjawisko nie ma znaczenia... – zacząłem.

x45

– Chciałby pan rzucić okiem na tę drugą odnogę Stopy Albatrosa? –

Celebrował swoje słowa, ogromnie podniecony. – Może pan! Za darmo!

Zabiorę pana tym statkiem na Bouveta! – nie czekał na moją odpowiedź.

– Jesteśmy w domu! To przecież kryl! Mój Boże, to kryl!

– Kryl? – słabłem pod naporem jego słów. – To przecież pokarm wielorybów.

– Podstawa jadłospisu waleni! – ciągnął dalej. – Powiedział pan: pojawia się prąd. Pojawia się plankton. Miliardy miliardów żyjątek. Pokarm dla małych krewetkopodobnych stworzonek, które nazywamy kry-lem. Pokarm dla wszystkiego, co żyje w wodach południowych.

Widywałem kryla, w postaci milionów żyjątek, przypominających li-

ście chińskiej herbaty, wydostawał się z rozciętych wnętrzości wieloryba – próbowałem wpaść w jego tok myślenia. – Ale co on ma wspólnego ze Stopą Albatrosa, nie umiałbym powiedzieć, poza ogólnikami.

– Kryl żeruje na planktonie, prawda? – rozpędził się. – Rozmnaża się. Młode muszą mieć pokarm. Życiodajne prądy spotykają się w pobli-

żu Bouveta...

Dzieje rodu Wetherby rozgrywały się wokół Wyspy Bouveta. Odkrył

ją pewien Francuz, potem stracono ją z oczu i przez blisko stulecie nie było pewności co do jej położenia na tych burzliwych morzach. Amerykański łowca fok, kapitan Benjamin Morrell, jako pierwszy dotarł do jej dzikich brzegów. Następnie w tysiąc osiemset dwudziestym piątym roku John Wetherby wysłał kapitana Norrisa, żeby zlokalizował Wyspę Bouveta. To, co Norris odkrył w jej

pobliżu, stało się jedną z wielkich tajemnic morza. Mówiono, że czasami widywano starego Johna Wetherby'ego, jak spacerował podczas burzy wzdłuż Tamizy po Nabrzeżu Ryczących Czterdziestek, wzywając głośno kapitana Norrisa, by wrócił

z morskiej toni, która go pochłonęła i opowiedział światu, co widział w pobliżu Wyspy Bouveta...

Helena przyglądała mi się w zamyśleniu.

– Wygląda pan, jakby zobaczył upiora.

– Ludzi prześladowają upiory, a także wyspy – odparłem. – Również i Wetherbych.

Mnie, ostatniego z rodu, też przygnało nieubłagane na wody Bouveta. Opodal wyspy zatopiłem głośnego pirata, *Meteora*. Upton spodobał

mi się, ale wszystko działo się zbyt szybko.

46

– Nie nadążam za tym, co mówi pan o krylu i wielorybach, Sir Fredericku – powiedziałem. – Propozycja udania się na Bouveta to wszystko, o czym mogłem marzyć. Czemu zjawił się pan na Tristanie? Dlaczego szuka pan właśnie mnie? Przecież nie przebył pan takiego szmatu drogi tylko po to, by zaspokajać moje oceanograficzne zachcianki. Dla pana czas to pieniądz. Czego pan ode mnie chce?

Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

– Nawet nowocześni piraci biznesu mają momenty donkiszoterii.

– To nie jest odpowiedź, i pan zdaje sobie z tego sprawę – odparłem.

– Cytuję Admiralicję i Royal Society – kontynuował. – Kapitan Wetherby jest jednym z najbystrzejszych i najbardziej doświadczonych żeglarzy, jacy pojawili się w Antarktyce, od czasu gdy Lars Christensen otworzył drogę na kontynent lodowy trzydzieści lat temu. – I dodał bez ogródek: – Potrzebuję pańskiej znajomości południowego oceanu. Pań-

skiej wiedzy o jego prądach. Potrzebuję pańskich umiejętności żeglarskich oraz praktycznej wiedzy Sailhardy'ego.

– Gdyby chodziło panu o sztukę żeglarską, mógłby pan ją znaleźć wśród wielorybników z Georgii Południowej – odpowiedziałem. – Sam pan wykazał, że to nie powód. Przecież są już w drodze tutaj szyprowie wielorybniczy.

– Zamknij drzwi, Heleno – powiedział. – I przekręć klucz.

Poruszał się gwałtownie.

– Co pan wie o płetwalu błękitnym?

– To najbardziej opłacalny gatunek połowu. Przypuszczam, że pojedyncza sztuka musi ważyć ze sto pięćdziesiąt ton i mieć co najmniej sto stóp długości.

– Zabijano płetwale błękitne setkami tysięcy. Można by oczekiwać, że najbardziej podstawowy fakt – to, gdzie się rozmnażają – został już ustalony. Norwegowie, począwszy od Larsa Christensena, szukają tego miejsca od pół wieku. Nigdy go nie znaleziono.

– A cóż to ma ze mną wspólnego? – zapytałem. – Nie interesuję się płetwalami błękitnymi ani żadnymi innymi.

Ciągnął dalej, jakby nie słyszał tego, co powiedziałem.

– Dla każdego przedsiębiorstwa wielorybniczego znajomość terenów lęgowych płetwala błękitnego byłaby największym przełomem od czasu zastosowania działa harpunniczego.

47/

Stanął ze mną twarzą w twarz.

– Powiedział mi pan to dzisiaj.

Wytrzeszczyłem na niego oczy.

– W ogóle nie wspominałem o płetwalu błękitnym, nie mówiąc już o terenach lęgowych.

Jego słowa padały dobitnie, a napięcie rosło jak ciśnienie rozbudowującego się lodowca.

– To jest właśnie tam, gdzie spotykają się dwie odnogi Stopy Albatrosa, na południe od Wyspy Bouveta. Wsadził mi pan do kieszeni miliony funtów!

– W dalszym ciągu nie rozumiem... – powiedziałem dość bezradnie.

– Stopa Albatrosa! – przypomniał. – Naprawdę pan nie rozumie?

Plankton to pokarm kryła, a krył to pożywienie waleni. Rozległa koncentracja kryła, dziesiątki mil kwadratowych, to pokarm dla młodych płetwali błękitnych!

– Musi pan sobie uświadomić, że nadmiernie pan upraszcza sprawę, Sir Fredericku – stwierdziłem. – Międzynarodowe Stowarzyszenie Wielorybnicze ograniczyło odławianie płetwali błękitnych do około osiemnastu tysięcy sztuk na sezon. Nie może pan polować na niedorośle płetwale, nawet jeśli by pan wiedział, gdzie ich szukać.

Upton ruszył gniewnie ku mapie, ale zawrócił i wyciągnął szufladę.

Rzucił na biurko stertę papierów.

– Gdzieś tu – rzucił ochryple – jest kopia praw Olerona.

Paskudny różowy odcień na twarzy koloru cyny wyglądał wyjątkowo złowieszczo i groźnie.

– Nigdy nie słyszałem o prawach Olerona – powiedziałem.

Sailhardy wydawał się skonfundowany.

– Gwiżdżę na to, że pan nie słyszał – ciągnął dalej Upton. – Cytuję:

„Z inspiracji owych starożytnych praw i dzięki braterstwu żeglarzy całego świata ludzie mogą bezpiecznie korzystać z należnych im sposobno-

ści”. To zostało powiedziane osiemset lat temu. Nigdzie nie umiera tak dużo ludzi, jak na morzu i nigdzie poza morzem ich śmierć nie wiąże się z tak gwałtownym końcem. Braterstwo – ba!

– Nie wiem po prostu, o czym pan mówi – stwierdziłem.

– Niech pan posłucha! – rzekł, podnosząc głowę. – Na zewnątrz taki sztorm, a ci cholerni durnie... – uderzył dłonią w papiery – próbują nało-

żyć mu wędzidło.

48

Mgnienie uśmiechu pojawiło się na twarzy Heleny. Ale nie było jego śladu w jej spokojnej wypowiedzi.

– Ojciec ma tam tekst nowego traktatu antarktycznego, kapitanie Wetherby. Próbuje panu powiedzieć, że mu się nie podoba.

– Pozostał już tylko jeden nie wyeksplorowany kontynent – ciągnął

Upton. – Antarktyda. Odkrywali ją indywidualiści. Jest tak duża jak Stany Zjednoczone i Europa razem wzięte. Jedyne kontynent pozostawiony swobodnym duchom, żeby przetarły szlaki. I cóż się dzieje? –

znowu uderzył w papiery. – Dziesięć tysięcy mil stąd zbierają się komitety rządowe i decydują o jego przyszłości.

– Nie jest aż tak źle – wtrąciłem się.

– Niech pan posłucha! – powiedział. – Antarktyka ma około czterystu mieszkańców – wszystko to fagasy z rządowych komisji, nie mające w sobie ani kropli prawdziwej ludzkiej krwi. Mieszkają w prefabrykowanych, wyściełanych, przegrzanych chatach i pichcą godne maminsynków, ustalone z

góry teksty, z których są tak cholernie dumni!

– Ale co to ma wspólnego z terenami lęgowymi.

Zignorował moje pytanie.

– Dwanaście państw, nie mających choćby kawałka glonu lodowego, zebrało się razem i podpisało ten haniebny dokument zwany trakta-tem antarktycznym, zakazujący wszelkiej działalności poza badaniami naukowymi w celach pokojowych oraz, Boże odpuść, po to, by umożli-wić turystykę na biegun południowy! – wypił do dna swój drink guara-nowy. – To negacja ducha ludzkiego, Bruce! Każdy z owych czterystu facetów rozproszonych po Antarktyce to błazen. Należy do jakiejś komisji, służb meteorologicznych czy... Niech pan posłucha! Tutaj piszą, jak oni spędzają czas – wziął na chybił trafił jakąś kartkę i czytał: – „Czu-

łość kierunkowa monitorów neutronowych, krótkotrwałe spadki w natę-

żeniu promieniowania kosmicznego obniżonej asymetrii wschód-zachód na południowych szerokościach geograficznych, charakterystyka gla-cjalna i geomorfologiczna”...

Zdegustowany, rzucił papier na podłogę. Podniosłem go. Było tam coś o symposium naukowym na temat Antarktyki, zorganizowanym w Buenos Aires.

Upton uspokoił się. Wziął długą linijkę i podszedł do mapy. Naraz się uśmiechnął. Mimo wszystko czułem sympatię do tego człowieka.

– To zabawna rzecz być zakochanym w kontynencie. Wszystko, 49

co się kocha, musi być odmienne, szczególne. Tak jest i w moim wypadku. Jakiś bystry facet z Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych opracował wzór umożliwiający przewidywanie liczby gór lodowych, jakie pojawią się latem na północnym Atlantyku. Nie ma takich wzorów dla Antarktyki. Można założyć wędzidło i uzdę na Arktkę, ale, chwała Bogu, nie na Antarktykę!

Również podszedłem do mapy. Odszukałem Wyspę Bouveta. Mój marynarski wzrok pozwolił mi rozpoznać bez wątpliwości dwa modele kliwrów zasłużonych w jej odkryciu, *Lively* i *Sprightly*.

– Niech się pan dobrze przyjrzy – powiedział cierpko Upton. –

Norwegowie wprowadzili do tego traktatu klauzulę zabraniającą polowania na walenie w promieniu dwustu mil od Wyspy Bouveta – postawił

na mapie ramię cyrkla i zakreślił koło. – Widzi pan? Wybrzeże głównego lądu naprzeciw Bouveta jest również norweskie. Znajduje się około czterystu pięćdziesięciu mil od wyspy. A więc przy dwustumilowych strefach z obu stron pozostaje tylko pięćdziesiąt mil, na których można legalnie polować na walenie. Mówiąc po prostu, Norwegowie zamknęli czwartą część oceanu pomiędzy Antarktydą a Afryką Południową dla wielorybników. Czemu? Lars Christensen przypuszczał, a ja obecnie wiem, że gdzieś na tej burzliwej wodnej przestrzeni znajdują się tereny lęgowe płetwala błękitnego.

– Czy stosuje się zwyczajowo dwustumilową strefę terytorialnych w tego rodzaju sprawach? – spytałem.

– Prawie doszło do wojny, kiedy Islandia narzuciła zaledwie dwunastomilową strefę terytorialną zakazaną dla zwykłego rybołówstwa – odpowiedział.

Upton sprawił, że wszystko wydawało się do przyjęcia. Uganiał się za płetwalem błękitnym, bo wskazałem drogę do celu, o którym wielorybnicy śnili od stuleci. A ja chciałem się uganiać za drugą odnogą Stopy Albatrosa.

Powiedziałem powoli:

– Jeśli Stopa Albatrosa znajduje się w obrębie dwunastu mil od Bouveta, nie chcę mieć do czynienia z pańską operacją. Jeśli jest poza tą strefą, w której zasięgu roszczenia terytorialne uważam za usprawiedliwione, wówczas połączymy nasze wysiłki. Czy to w porządku?

Uścisnął mi dłoń.

– To w duchu *Sprightly!* – oświadczył.

Helena zwróciła się do Sailhardy'ego.

50

– A wy się przyłączycie, żeglarzu?

Nie spojrział na nią.

– Pójdę z kapitanem Wetherbym.

Oczy jej rozbłysły na moment.

– To bardzo precyzyjne rozróżnienie.

Rozległo się pukanie do drzwi, Helena je otworzyła i wszedł Pirow.

– Walter sygnalizuje, że już podchodzi do kotwiczowiska – oznajmił.

– Lada minuta przyprowdzi tu *Aurorę*.



# 4.

## Człowiek o Niezawodnej Dłoni

Straszna noc na zewnątrz – powiedział potężny mężczyzna w ocieka-jącym wodą, nieprzemakalnym stroju. Upton zdawał się nie zwracać uwagi, kiedy strząsał wodę ze swej zładwestki na wspaniały dywan w kabinie.

– Fale dochodzą dziś wieczorem do czterdziestu stóp wysokości.

– To nic nowego dla ciebie, Walterze – odpowiedział żartobliwie Upton. – Zresztą także dla kapitana Wetherby'ego, którego tu mamy.

Przedstawił nas sobie.

– Kapitan Walter – najlepszy harpunnik na wodach południowych.

Nie spodobał mi się. Wydawał się żeglarzem odpowiednim na taką noc jak ta; kiedy ujął moją prawicę swoją wielką dłonią, poczułem, że jest złuszczona od kopnięć harpunniczego działa i harmonizuje z jego masywną budową. Śmierdział wielorybem i sznapsami pod nieprzemakalną narzutką. Był na wpół ogolony – od tej pory nigdy nie widywałem go w innym stanie.

– A więc znalazł pan swego człowieka, Sir Fredericku? – powiedział.

Coś mi się wówczas nasunęło na myśl. Upton opowiedział mi o płetwalu błękitnym. Walter miał oczywiście realizować to przedsięwzięcie.

Ale, jeśli o pewnych sprawach nie wiedzieli, zanim mnie nie znaleźli –

czemu wszystkie elementy tak dokładnie... zbyt dokładnie pasowały do siebie.

– Gdzie są pozostali? – spytał Upton.

– Starłem się, by trzymali się w pobliżu *Aurory* przez całą drogę z Georgii Południowej – odparł Walter. – To znaczy w zasięgu walkie-talkie. Wie pan, jacy są ci szyprowie wielorybniczy. Jak spostrzegą wieloryba, ruszają jego śladem i zanim się człowiek zorientuje, sam go tropi. Wszyscy jednak tu będą w ciągu pół godziny.

52

– Dobrze – powiedział Upton. – Chcę zrobić z nimi odprawę, jak tylko przybędą.

– Gdzie jest Pirow? – zapytał Walter.

Czy tylko mi się wydało, czy też coś się kryło w sposobie, w jaki to ten prymitywny szyper powiedział? Chociaż samo pytanie i odpowiedź

były w zasadzie całkiem niewinne.

– A gdzie miałby być? – odparł Upton. – Jak zwykle, przy radiu.

– Ach, ten Pirow – powiedział Walter z zadumą. – Powinien się ożenić z radiostacją.

Zwrócił swe potężne szczęki ku Sailhardy'emu.

– A to kto, hę?

– Sailhardy – odpowiedziałem. – Wyspiarz z Tristana.

– O cholera! – zaklął potężny Norweg. – Wyspiarz z Tristana! Roz-bitkowie i czarne kobiety.

Sailhardy podszedł do niego. Jediną zewnętrzną oznaką jego gniewu było szczególne drganie małego palca lewej dłoni. Wiedziałem, jaki jest silny.

– Walter nie miał na myśli pana – zainterweniował Upton.

– Skurwysyn! – rzucił Sailhardy.

– Dajcie spokój, chłopcy! – ciągnął Upton. – Obu wam przyda się drink.

– Mówiłem do ciebie, nie do siebie – groźnie patrzył Sailhardy.

– Dla mnie „przyłądkowy” – wyszczerzył zęby w uśmiechu Walter.

– Podwójny „przyłądkowy”!

Upton nalał pół szklanki wódki i dodał z pół kwarty mocnego porte-ru.

Jeszcze dwóch ludzi w nieprzemakalnych ubraniach weszło do kabiny.

– Reidar Bull, kuter *Crozet* – przedstawił się jeden.

– Klarius Hanssen, kuter *Kerguelen* – powiedział drugi.

Oszczędność słów, z jaką identyfikowali się ze swymi jednostkami, była charakterystyczna: dla tych ludzi statek i szyper to synonimy. Za-wistnie spoglądali na luksusową kabinę. Wiedziałem, jak wyglądały ich własne: metalowe pudełka z twardą koją, w której nieustannie kapie z przeciekającej grodzi. Lepiej było przebywać na mostku. Właśnie mówi-li, czego się napiją, kiedy wszedł następny.

– Lars Brunvoll, kuter *Chimay* – przedstawił się.

– Pękałem ze śmiechu, kiedy Walter powiedział mi, jak się nazywa pański statek – zwrócił się do niego Upton. – Góra lodowa! Czy jeszcze za mało panu lodu, Brunvoll?

Szyper nie zapomniał języka w gębie.

– Ciągle jakoś z nim się rozmijam – odpowiedział bez chwili wahania.

– Brunvoll, gdzie jest Mikklesen? – spytał Walter.

– Cumował, kiedy przybijałem – padła odpowiedź.

Otworzyły się drzwi i wszedł Mikklesen. Wyglądał inaczej od pozostałych, jakby skrępowany stalowym drutem. Był średniego wzrostu, miał wąski spiczasty nos i bardzo jasne niebieskie oczy.

– Jestem Mikklesen z *Falklanda* – powiedział. – Czy pan to Sir Frederick Upton?

Był odmienny, podobnie jak wyspy, od których wziął nazwę jego kuter, należące bardziej do Ameryki Południowej niż do Antarktyki.

Na znak dany przez ojca, Helena wyszła. Szyprowie niezgrabnie zaję-

li miejsca na pięknych meblach. Ustępstwem z ich strony na rzecz dobrych manier było to, że rozpięli nieprzemakalne kurtki, nie zdejmując ich. Byli szorstcy jak kieł narwala. Upton wykonał swój trik z płonąca brandy i wzniosł ku nim wielki cynowy kufel, z którego wydobywał się niebieski ogień.

– *Skoll!* W ręce najlepszych wielorybników południowego oceanu!

Tylko Walter odwzajemnił gest. Pozostali zakłopotani gapili się we własne szklanki. Przez następne minuty podziwiałem Uptona, jak mani-puluje szyprami. Byli w otoczeniu, w którym czuli się nieswojo. Upton ich do czegoś potrzebował. Oni o tym wiedzieli, a on zdawał sobie sprawę, że wiedzą. Aby ich pozyskać, nie mógł zrobić fałszywego kroku.

Zdmuchnął płomień i wypił do dna gorący trunek. Patrzyli z podziwem. Uśmiechnął się do nich i nalał ponownie dużą brandy.

– Myślę, że nie muszę uczyć wielorybników, jak się pije? – oświadczył.

Posłusznie opróżnili do dna swoje szklanki. Upton podniósł kufel.

– Niech nam się darzy *Blaahval!*

A więc tędy droga, pomyślałem, usłyszawszy toast za płetwala błękitnego.

54

– *Blaahval!* – zawtórowali Norwegowie.

– Kapitanowie! – zaczął Upton. – Peter Walter zaprosił was w moim imieniu na Tristana, żebyśmy

porozmawiali o interesach.

Przyglądali mu się w milczeniu. Dostrzegłem, że jego słowa nie zrobiły na nich wrażenia. Nie każe się ludziom robić trzech tysięcy kilometrów w częściowej ciszy radiowej dlatego, że chce się pogadać o interesach. W każdym razie nie o zwyczajnych interesach. Wreszcie odezwał

się Mikklesen:

– Sir Fredericku, zanim przystąpimy do rzeczy. Kto płaci za paliwo, które zużyliśmy, by tu przyplłynąć?

– Ja – odpowiedział Upton. – Dostaniecie z tego statku całe zaopatrzenie: paliwo, żywność, a jeśli zechcecie, również alkohol. Wszystko, czego tylko sobie życzycie.

Zamruczeli z aprobatą. Wówczas Upton zagrał mocno, żeby zrobić wrażenie na tych nieokrzesanych ludziach. Wskazał na mnie.

– Profesor dokonał odkrycia. Wie, gdzie rozmnaża się płetwal błękitny.

Wszyscy zwrócili na mnie długie taksujące spojrzenia, jakby czegoś wypatrywali na zamglonym horyzoncie. Było ono pomieszane z naboż-

nym zdumieniem. Chciałem coś powiedzieć, ale Upton mnie uprzedził:

– Kapitanowie! Razem zapolujemy na płetwala błękitnego właśnie tam, na jego terenach lęgowych.

– A gdzie to jest, Sir Fredericku? – zapytał ochryplym głosem Hanssen.

Upton roześmiał się i poklepał go po plecach.

– Hanssen, ty skurwielu!

A potem zwrócił się do pozostałych.

– Miał mi powiedzieć, gdzie to jest? Coś takiego! Miał wyjawić największą tajemnicę, jaka kiedykolwiek pasjonowała wielorybników?

Trafił im do przekonania. Norwegowie ryknęli śmiechem.

– Bruce! – szepnął mi Sailhardy. – Urywajmy się stąd. To wszystko mi się nie podoba.

Ale Upton nie omieszkał i nam przekazać wskazówki.

– Tylko profesor wie – wyjaśnił im. – Widzicie, on był kapitanem Royal Navy. Wiecie, jacy oni są. Nigdy nie mówią.

Oczy Mikkleseña była tak jasne, że wydawały się pozbawione wyrazu.

55

– Kapitan Wetherby, dowódca HMS *Scott*? – zapytał.

– Tak.

– Ten, który zatopił okręt *Meteor*!

– Tak.

– Ludzie wciąż jeszcze o tym gadają, kiedy się zejdą – powiedział.

Podszedł i uściśnął mi dłoń. – Byłem wtedy blisko, na wschód od Bouveta, na moim *Falklandzie*. Słyszałem sygnały. Nie były szyfrowane. Bystry był ten *Meteor*. Manewrował i lawirował! A hałasował podczas walki jak ujadający kundel. A pańskiego okrętu w ogóle nie było słychać. Potem nastąpiła cisza. Wiedziałem, że pan go załatwił.

Cała uwaga odwróciła się od Uptona i skupiła na mnie – stałem się naganiaczem w jego przedsięwzięciach.

– Kapitan Wetherby, odznaczony DSC – oświadczył. – W czasie pokoju profesor zajmujący się morzem, a podczas wojny człowiek, który zadaje śmierć.

Było to tak napuszone, że chciało mi się roześmiać mu w twarz. Kapitanowie byli wszakże innego zdania. Kolejno uroczyście uściśnęli mi dłoń. A Upton ciągnął dalej:

– Kapitan Wetherby zna to miejsce i obiecał, że je nam pokaże.

– Co to jest warte, Sir Fredericku? – zapytał Hanssen.

– Ten statek zabiera około dwustu dwudziestu tysięcy baryłek tranu

– padła odpowiedź. – To jest warte jakieś trzy miliony funtów.

– Dla pana, Sir Fredericku – zaproponował Mikkleseñ – ale nie dla ludzi, którzy odwalą tę robotę.

– Oznacza to po sto tysięcy funtów netto dla każdego, kto wejdzie do tego interesu – ciągnął Upton. – Netto. Ja pokryję wszystkie wydatki i, jak już powiedziałem, dostarczę paliwo i zaopatrzenie.

Nie dał im ochłonać.

– Bull?

Bull szybko kiwnął głową.

– Hanssen?

– Zgoda.

– Brunvoll?

– Mikklesen?

Szyper *Falklanda* przez chwilę się wahał. Myślałem, że może odmó-

wi. Nie patrzył na Uptona, ale na jakiś punkt na mapie w pobliżu Bouveta, jakby stamtąd oczekiwał pomocy w podjęciu decyzji.

56

– Nigdy nie miałem takich ogromnych pieniędzy – powiedział

wreszcie powoli.

– To nie jest odpowiedź – zażartował Upton. – A więc, zgoda?

Nie czekając, zaczął napełniać szklanki, gwałtownie mówiąc.

– Trzeba to uczcić. Wypływamy rano. Trzymajcie się blisko statku przetwórci. Pirow przekaże wam moje dyspozycje przez walkie-talkie.

Mikklesen poczekał, aż jego szklanka zostanie napełniona.

– To wszystko nie jest takie proste, Sir Fredericku – powiedział.

Pozostali szyprowie spojrzeli na niego zdziwieni.

– Jeśli zgadzam się z panem popłynąć, to gdzie? To może być wszędzie, po Australię albo jeszcze dalej.

Upton zmarszczył brwi.

– To nie jest aż tak daleko. Parę tysięcy mil. Macie na to moje za-pewnienie.

Mikklesen potrząsnął głową.

– Harowałem przez dwadzieścia lat, żeby kupić sobie własny statek.

Muszę mieć jakieś gwarancje.

– Gwarancje wynoszą sto tysięcy funtów w gotówce! – warknął

Upton.

– Czy to jest legalna czy nielegalna ekspedycja? – naciskał człowiek o oczach wikinga. – Czy mogę

stracić statek? Dlaczego spotkaliśmy się na Tristianie? Nigdy nie słyszałem, żeby kiedykolwiek zbierali się tu wielorybnicy. – I dodał zaczepnie: – Czemu nie wziął pan swego wspianego wielkiego statku i nie spotkał się z nami tam, gdzie mieszkamy, na Georgii Południowej?

– Musiałem spotkać się tutaj z kapitanem Wetherbym... – zaczął

Upton.

– Posłuchajcie – przerwałem. – Zapomnijcie o, kapitanie Wetherbym. Wojna skończyła się już dawno.

Mikklesen uśmiechnął się.

– Nie, kapitanie. Morza i wojny nie zapominają swych kapitanów. –

Następnie zwrócił się do Uptona: – Czy ma pan zezwolenie od Między-narodowego Stowarzyszenia Wielorybniczego?

Upton przeszedł do defensywy.

– Wyjaśnię wam dokładniej...

Mikklesen naciskał.

– Czy będziemy łowić tam, gdzie nie wolno? Na wodach jakiego 57

kraju, he? Czy tak jak Onassis i jego *Olympic Challenger*! Czy możemy zostać zbombardowani i zaarrestowani?

– Istnieją dwustumilowe strefy terytorialne, których wprowadzenie było kompletnie nieracjonalne i żadne państwo nie stosuje się do nich, jeśli... – tłumaczył się Upton.

Mikklesen bez wątpienia był przy piłce.

– A więc mamy łowić na wodach terytorialnych mojej ojczyzny? –

spytał z uśmiechem. – Mamy wyruszyć na miejsce, o którym marzy każdy norweski wielorybnik, od kiedy usłyszał po raz pierwszy uderzenie harpuna, czy wypatroszył swego pierwszego wieloryba? Na tereny lęgowe pletwała błękitnego?

Upton spróbował znowu:

– Formalnie biorąc, będziemy w obrębie wód terytorialnych. Ale nie zamierzam stanąć przed sądem morskim. Wedle tego, co wiem, nic nam nie grozi.

– To chodzi o Bouveta, prawda, Sir Fredericku? Czyż nie tak, kapitanie Wetherby? W obrębie norweskich wód terytorialnych Wyspy Bouveta?

– Tak, chodzi o Bouveta, niech cię diabli wezmą! – ryknął Upton. –

Ale na Boga, Mikklesen! Bez Wetherby'ego mógłbyś szukać terenów lęgowych płetwala, aż stałbyś się równie błękitny jak on i nie znalazłbyś ich.

Odpowiedź Mikklesena była szybka.

– Wiem o tym. Co sezon od trzydziestu lat przepływam koło Bouveta. Za każdym razem próbuję je znaleźć. Bez skutku.

– Jesteśmy rybakami – wtrącił się Walter. – Dwustumilowa strefa wód terytorialnych to kompletna głupota. Może dwunastomilowa.

Inni kapitanowie, z wyjątkiem Mikklesena, wydali pomruki aprobaty.

– Jesteśmy myśliwymi – ciągnął Walter. – Polujemy tam, gdzie jest zwierzyna. Nie można nakreślić linii na oceanie i powiedzieć, żeby ich nie przekraczać. Co by się z nami stało, gdyby Brytyjczycy zrobili to, co Norwegowie, i musielibyśmy trzymać się daleko od Georgii Południowej i Szetlandów Południowych?

– My, Norwegowie, pierwsi pomyśleliśmy o tych terenach lęgowych – odparował Mikklesen ze złością. – One należą do Norwegii, jeśli nawet dwustumilowa strefa to głupota, z czym zgadzam się jako wielorybnik.

Upton dostrzegł wyjście z sytuacji.

58

– Kapitanie Mikklesen, czy czuje się pan bardziej łowcą, czy patrio-tą? Czy Norwegia oferuje panu, tak jak ja, sto dwadzieścia tysięcy funtów?

– Sto dwadzieścia tysięcy? – powtórzył Mikklesen. – Przed chwilą to było sto tysięcy funtów.

Upton nie wyczuł błędu, jaki popełnił, podnosząc stawkę. Ja to spostrzegłem, a niechętna zgoda Mikklesena powinna być dla Uptona ostrzeżeniem.

– A więc mamy nową cenę – roześmiał się. – Chyba wszyscy są zadowoleni.

– Ten sekret należy do Norwegii, nie do żadnej osoby czy ekspedycji – upierał się Mikklesen.

– Wyżej oceniałem pańskiego ducha przedsiębiorczości – powiedział Upton. – Czy znaczy to, że pan nie przyłączy się do nas?

– Przyłączę – odparł Mikklesen markotnie. – Dla stu dwudziestu ty-sięcy funtów. Teraz muszę wracać na swój statek.

Rzucił mi długie spojrzenie, jakby napawając się widokiem człowieka, który zlokalizował sekret tak



cenny dla Norwegii, i wyszedł.

– Niektórzy z tych chłopców lubią być uparci – zaśmiał się Upton. –

Zmieni zdanie, kiedy zobaczy morze czerwone od zabitych waleni. Nie umięją się temu oprzeć, wie pan.

Odejście Mikkesena poprawiło atmosferę wśród zebranych. Słysza-

łem, ile mogą wypić wielorybnicy z Georgii Południowej, mimo to by-

łem zdziwiony widząc, jak pochłaniają swoje cape hornery. Przyczyniły się do tego marzenia o stu dwudziestu tysiącach funtów. Upton dzielnie im sekundował, a moc trunku i koleżeńska atmosfera rozwiązały języki.

– ...Fanning Ridge – dudnił Walter. – To najlepszy punkt orientacyjny w Georgii Południowej, kiedy podchodzi się od południowego zachodu. Niech mnie diabli, jeśli nie dostrzegłem go z odległości jakichś pięćdziesięciu mil pewnego pięknego dnia.

– Nonsens – powiedział Lars Brunvoll. – Ale po co w ogóle podchodzić z południowego zachodu?

Walter się zaklinał.

– W ogóle bym nie podchodził, gdybym nie musiał się dostać do tych schronisk, jakie Amerykanie postawili na Wyspie Stoningtona.

– Wyspa Stoningtona? – powtórzył Hanssen. – To cholernie w dole półwyspu Ziemi Grahama, na drodze do Zatoki Małgorzaty!

59

– Też prawda – odpowiedział Walter. – Złapał mnie wtedy jeden z tych gwałtownych porywistych wiatrów schodzących z lodowca przy Wyspie Neny.

– Innymi słowy – uśmiechnął się Upton – dziękowałeś Bogu i Norwegom, którzy pierwsi zaczęli stawiać schroniska zwane *roverhulletami* na Antarktydzie i jej wyspach.

– Zapoczątkowali to Szkoci na Wyspie Laurie na Orkadach Południowych, sześćdziesiąt lat temu... – zaczął Reidar Bull.

Stałem na uboczu, kiedy argumentowano coraz goręcej, jak tylko to potrafią wielorybnicy. Zmartwiło mnie, że Mikkesen tak bystro rozszyfrował nielegalność proponowanej wyprawy. Nie mogło być wątpliwo-

ści, że w świetle traktatu podpisanego przez dwanaście państw mających posiadłości i interesy w Antarktyce – wliczając w to Wielką Brytanię, Stany Zjednoczone i Norwegię – naruszylibyśmy norweskie wody terytorialne. Gdyby nas złapano, Upton mógłby wybrnąć z kłopotu dzięki swym

pieniądom czy stosunkom, ale dla mnie najprawdopodobniej skończyłoby się to gorzej. Badacz Royal Society byłby na całe życie skompromitowany, wiążąc się z ekspedycją mającą na celu jedynie zysk

– zysk Uptona. Prawdę mówiąc, całe to przedsięwzięcie mogło doprowadzić do strzelaniny, gdyby Norwegia okazała się nieustępliwa. Tak właśnie się stało, kiedy Onassis zlekceważył dwustumilową strefę zakazu połowów wielorybicznych ogłoszoną przez Peru, Ekwador i Chile w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym roku. Jego ekspedycja – jak przypomnieliśmy – została zbombardowana przez lotnictwo peruwiańskie i zatrzymana przez peruwiańską marynarkę wojenną. Wywoła-

ło to poważny incydent dyplomatyczny i statki zwolniono po zapłaceniu przez Lloyda tylko miliona dolarów odszkodowania.

Tereny łęgowe płetwala błękitnego były o wiele ważniejsze dla Norwegii niż tamto naruszenie zakazu przez Onassisa. To przekreślało analogię pomiędzy jego wyprawą a naszą. Czy Olympic Challenger miał na pokładzie jakiegoś oceanografa obserwującego występowanie prądu o nazwie El Nino – ciepłego strumienia mniej słonej wody, niszczącego wszystko, co żyje w Prądzie Peruwiańskim, zabijającego milionami ryby, walenie i ptaki morskie przy wybrzeżach Ameryki Południowej –

którego znajomość mogła być wielokrotnie więcej warta niż owo milio-nowe odszkodowanie?

Stopa Albatrosa stanowiła potężne wyzwanie. Cóż by było, zapytywałem sam siebie, w miarę jak szyprowie kutrów zachowywali się 60

coraz głośniejsze, gdyby podobne wyzwanie odrzucił człowiek, który, jeszcze przed pierwszą wojną światową, zrewolucjonizował wszelkie poglą-

dy na temat Golfstromu? Choć wyśmiewano go niemiłosiernie, udowodnił swą teorię. Jeszcze dziesięć lat wcześniej nie zdawano sobie sprawy, że drugi taki Golfstrom – Prąd Cromwella – dociera do wybrzeży Stanów Zjednoczonych od strony Pacyfiku. To również zawdzięczamy upór i odwagę jednego człowieka, który umiał się przeciwstawić lekceważeniu przez współczesnych i dowiódł istnienia owej szerokiej na czterysta kilometrów strugi wody, kilka tysięcy razy przewyższającej połączone nurty Nilu, Amazonki, Missisipi, Rzeki Św. Wawrzyńca, Żółtej Rzeki i Konga.

W zasięgu ręki miałem możliwość podobnego, jeśli nie większego odkrycia. Poznanie mojego prądu miało wpływ na cały światowy przemysł wielorybiczny. Udowadniałem sam sobie, że mogłoby to przynieść zachowanie w skali globalnej znikających stąd wielorybów. Zabicie przez Uptona paruset zwierząt wydawało się konieczne do zdobycia przez mnie tej wiedzy.

Był także istotny militarny aspekt Stopy Albatrosa. Podczas wojny zatopiłem daleko na południowym oceanie niemiecką łódź podwodną.

Musiała się wynurzyć przed zatonięciem, a ja odnalazłem jej dziennik pokładowy. Znajomość temperatury i zasolenia wody jest bardzo ważna dla okrętów podwodnych. Zaskoczyły mnie

informacje w tym dzienniku: był tam zapis prądu i przeciwprądu oraz gwałtownych zmian temperatury w warstwie pomiędzy powierzchnią a zasadniczą masą wody, którą oceanografowie nazywają termokliną. Obecnie wiedziałem, że na tym obszarze musi występować Stopa Albatrosa. Zbadanie wód wokół

Bouveta mogłoby dostarczyć nowych, bezcennych z operacyjnego punktu widzenia, informacji podwodnym okrętom wojennym strzegącym tego niezwykle ważnego szlaku wokół Przylądka Dobrej Nadziei.

Jak inaczej, jeśli nie z Uptonem, mógłbym się w ogóle dostać w pobliże Bouveta. Byłoby dość trudno przekonać uczonych z Royal Society, żeby pozwolili mi zbadać odnogę Stopy Albatrosa; żaden rząd ani organizacja naukowa nie byłaby przygotowana na wydanie kilkudziesięciu tysięcy funtów na ekspedycję w rejony burzliwych wód Bouveta tylko w celu sprawdzenia hipotezy. Odpowiedź brzmiała: wyprawa Uptona nie może zostać namierzona. Dla mnie oznaczało to tylko jedną rzecz – muszę objąć dowództwo. Wraz z Sailhardym znaleźliśmy pułapki południowego oceanu. Ciężko zapracowaliśmy, żeby się tego nauczyć.

61

Uśmiechnąłem się nieco kwaśno sam do siebie, kiedy już podjąłem decyzję. Musiałem rozmyślnie wyszukiwać najbardziej burzliwe wody na świecie i pośród ich mgieł ukryć statek przetwórnicy i kutry przed okrę-

tami, jakie mogłaby tam mieć Norwegia, a jednocześnie szukać w obrę-

bie „elipsy prawdopodobieństwa” (jak określają cel ludzie wysyłający rakiety z przylądka Canaveral) upragnionej odnogi Stopy Albatrosa.

Kiedy Upton ponownie próbował wcisnąć mi drinka, Sailhardy porzucił luk i podszedł do mnie, bardzo niezadowolony.

– Bruce – powiedział – możemy dostać się na Tristana, nawet przy tej wichurze. Pryskajmy już stąd jak najszybciej.

Ukryłem przed nim własne złe przecucia.

– Dlaczego? To dla mnie życiowa szansa dotarcia na Bouveta, przecież wiesz.

– Posłuchaj – odparł wyspiarz. – Zostaliśmy siłą sprowadzeni na pokład. Grzecznie, ale przemocą. Upton przyплыł na Tristana aż z Kapsztadu, żeby ci powiedzieć, iż twoje odkrycia dotyczące planktonu pomogą mu znaleźć tereny lęgowe płetwala błękitnego. I prawdę mów-

wiąc, pewnie pomogą.

– Czemu zatem masz coś przeciwko temu? – spytałem.

– Z powodu jego metod, koordynacji, wszystkiego – odparł. – Mógł

napisać do ciebie w tej sprawie, prosząc, byś się zobaczył z nim w Anglii, lub sprowadzić cię tu samolotem z Kapsztadu. Prawda, że list mógł

iść do ciebie pół roku, ale cóż to znaczy, jeśli czegoś szukało się od pół

wieku. Przyplnięcie tym statkiem na Tristana musiało kosztować pięć tysięcy funtów dziennie. Kiedy już przybył, wysłał swoją córkę w piekielny sztorm, żeby cię odszukać. To wszystko wskazuje na jedno: musisz być dla niego cenny, niesłuchanie cenny.

– Powiedział nam, że może zarobić na czysto trzy miliony funtów.

– To wielka wyprawa, prawda?

– Tak.

– Jeśli znajdzie te tereny lęgowe, należy oczekiwać, że okręt przetwórnia będzie miał dużo zajęcia, prawda?

– Tak.

– Przechodziliśmy z Pirowem przez pomieszczenie załogi po wyłą-

dowaniu, żeby zanieść jego sprzęt do kabiny – powiedział powoli. – Jest tu tylko tylu ludzi, ilu potrzeba, by uporać się z umiarkowanym połowem. Od razu poczułem pismo nosem, więc zapytałem szefa od 62

ćwiartowania wielorybów o biomycę. To najnowszy amerykański środek konserwowania wielorybiego mięsa – bez niego, jak wiesz, nie nadaje się ono do użytku już w osiemnaście godzin po zabiciu. Biomy-cyna przedłuża ten okres do czterdziestu godzin. Można by oczekiwać, że – jeśli Upton znajdzie tereny lęgowe – będzie się tu ćwiartować wieloryby taśmowo. Tymczasem nie ma biomy-cyny na pokładzie, a załoga do ich patroszenia jest nieliczna, omalże kadrowa.

– Może Upton jest odrobinę staromodny, jeśli chodzi o metody... –

zacząłem.

– Co tam masz? – zapytał nalegająco Sailhardy, wskazując na ceratowy worek przyniesiony przez marynarza z łodzi.

– Mapy, wyniki pomiarów temperatury morza – tego rodzaju rzeczy.

– Jakie mapy?

– Urzędowe mapy Tristana, Gough i Szetlandów Południowych –

można je kupić wszędzie. Och, także starą mapę i dziennik pokładowy, które trafiły do mnie po likwidacji firmy Wetherbych. Jest to z tysiąc osiemset dwudziestego piątego roku. Prawdopodobnie

pierwsza mapa wód wokół Bouveta.

– Bouveta! – prawie krzyknął Sailhardy.

Drzwi kabiny otworzyły się wahadłowo. Pojawił się w nich Pirow z depeszą radiową w ręku. Ten człowiek zachowywał się w sposób zdyscyplinowany, z respektem wobec swego zwierzchnika. Jego postawa i wyraziste rysy sprawiły, że nagle go rozpoznałem.

Człowiek o Niezawodnej Dłoni!

Patrzyłem w milczącym zdumieniu w gwarnym pokoju na człowieka, który podczas drugiej wojny światowej zwabił w pułapkę i doprowadził

do zagłady tyle brytyjskich i sprzymierzonych okrętów. Carl Pirow, radiotelegrafista z niemieckiego pirata, *Meteora*, bardzo się obecnie różnił

od zlanego smarem nieszczęśnika, którego wyciągnięto na pokład *Scotta* po rozwaleniu torpedami jego okrętu, od którego przedtem nielicho obe-rwaliśmy. Uważałem Pirowa za najniebezpieczniejszego pojedynczego człowieka, który walczył na morzu przeciw Royal Navy. Nazywaliśmy go Człowiekiem o Niezawodnej Dłoni, z powodu jego niesamowitej umiejętności imitowania wszelkiego rodzaju transmisji radiowych. Przejęła od nas to przyzwisko marynarka handlowa. Kiedy podjąłem długie tropienie *Meteora*, odkryłem, że wszelkie jednostki, zarówno handlowe, 63

jak i wojenne, miały własne sposoby nadawania przez radio. Każdy radiooperator ma swoją metodę. Spojrzałem na jego dłonie – tak, ciągle były wypiełgnowane, jak głosiła legenda z czasów wojny. Mówiono, że przydomek wymyślił Kohler, kapitan *Meteora*; niemiecka marynarka wojenna wymieniła go w swoim radiu propagandowym, a Royal Navy unieśmiertelniła, kiedy polowaliśmy na *Meteora* miesiącami na południowym oceanie, a on ciągle zadawał ciosy.

Przeszedł mnie dreszcz – nawet w tej ciepłej, pijackiej atmosferze kabiny – na myśl o rutynowych rozpaczliwych sygnałach, które tyle razy słyszałem, często niewyraźne i niepełne. Dochodziły z jednostek powie-rzonych mej pieczy na pustkowiach wód południowych, gdy pociski pirata siały spustoszenie.

Najpierw przeraźliwe QQQ – „Zostałem zaatakowany”... a następnie RRR – „zostałem trafiony pociskiem przez okręt wojenny”...

Powróciłem gwałtownie do terażniejszości i przeszedłem przez pokój ku Pirowowi. Przyjrzałem mu się uważnie.

– Czy ta wiadomość jest tak pilna, bo przyszła z *Seekriegsleitung*?

Użycie przeze mnie terminu z języka operacyjnego dowództwa niemieckiej marynarki wojennej na moment odebrało mu pewność siebie.

Potem roześmiał się.

– Zastanawiałem się, jak długo potrwa, zanim mnie pan rozpozna, *Herr Kapitän*.

Dostrzegłem gniew za jeszcze bardziej złowróbnym spokojem bla-doniebieskich oczu mistrzowskiego telegrafisty mistyfikatora.

– Dopadł nas pan wtedy jedynie w wyniku głupiej pomyłki pańskiego telegrafisty. Ostatnie słowa, jakie wyrzekł wówczas do mnie *Kapitän zur See Kohler*, brzmiały: „Ciekaw jestem, czy brytyjskie torpedy trafią w cel?” Nasze zawsze wyrządzały szkody.

– Bruce! – powiedział stanowczo Upton, odciągając mnie na bok. –

Chodź tutaj!

Wcisnął mi do ręki depeszę. Nie był pijany. Kofeina zawarta w jego dziwacznym trunku likwidowała skutki alkoholu. Widać było wszakże różowawy odcień gniewu. Przeczytałem depeszę pisaną starannym pi-smem Pirowa.

„PILNE. POWTARZAM: PILNE. MIKKLESEN, SZYPER KUTRA WIELORYBNICZEGO 724/004 *FALKLAND* DO NORWESKIEGO NISZCZYCIELA *THORSHAMMER* VIA STACJA METEOROLOGICZNA NA TRISTAN DA CUNHA. BRYTYJCZYK SIR FREDERICK UPTON ZNALAZŁ TERENY LE-

GOWE PŁETWAŁA BŁĘKITNEGO. W OBRĘBIE NORWESKICH WÓD

64

TERYTORYALNYCH W SĄSIEDZTWIE WYSPIY BOUVETA. UPTON NIE MA ZEZWOLENIA. EKSPEDYCJA ZŁOŻONA ZE STATKU PRZETWÓRNI I CZTERECH KUTRÓW NORWESKICH WYRUSZA Z TRISTANA JUTRO O

ŚWICIE. PROPONUJĘ ODPOWIEDNIE DZIAŁANIA”.

Poniżej była odpowiedź:

„*THORSHAMMER* DO MIKKLESENA. POTWIERDZAM ODBIÓR DEPESZY.

IDĘ PEŁNĄ MOŻLIWĄ SZYBKOŚCIĄ NA TRISTANA. CZEKAĆ TAM NA POLECENIA”.

Upton zwrócił głowę ku grupie kapitanów.

– Walter!

Walter przeczytał powoli tekst.

– Skurwysyn – zaczął. – Wszawy, dwulicowy sukinsyn...

– Zamknij się! – powiedział szeptem Upton. – Zajmij się chłopcami, niech piją. Carl, chodźmy do

radiostacji. Mamy mnóstwo czasu, a południowy ocean jest wielki.

Pirow uśmiechnął się na wpół ironicznie.

– Gdyby nie to, że *Thorshammer* jest zaledwie dwadzieścia mil stąd, dokładnie po drugiej stronie Wyspy Słowiczej.

– Skąd wiesz? – gorączkował się Upton.

– Namierzyłem go radiem – powiedział Człowiek o Niezawodnej Dłoni. – Będzie tu za godzinę.

Depesza z *Thorshammera* mocno pogłębiła moje wątpliwości. Mogłem teraz albo płynąć z Uptonem, albo opuścić statek bez nadziei na ujście kiedykolwiek Wyspy Bouveta. Obecność Człowieka o Niezawodnej Dłoni wstrząsnęła mną. Co tak znakomity radiooperator miał do roboty przy tego rodzaju ekspedycji? Radio nie jest potrzebne do polowania na wieloryby, a łączność radiowa w Antarktyce – o czym dowiedziałem się podczas długich nasłuchów prowadzonych w Kapsztadzie –

ograniczała się głównie do śmiertelnie nudnych raportów o pogodzie i meldunków z kutrów rybackich. Wiedziałem, że Pirow musiał tu być w jakimś występny celu. Czy Upton potrzebował jego talentu do mistrzowskiego wprowadzania w błąd, czy też czegoś, o czym dowiedział

się w czasach, kiedy należał do załogi *Meteora*! W każdym wypadku sprawa płetwala błękitnego była jedynie przykrywką. Przykrywką czego? Na pozór wersja Uptona wyglądała wiarygodnie poza tym, że była trochę zbyt gładka. Nawet brak biomycyny na pokładzie nie przesądzał

sprawy – wielorybnicy są z natury konserwatystami i powoli przyswajają 65

sobie nowe pomysły. Czemu jednak Upton tak pilnie potrzebował mnie?

O czym takim mogliśmy wiedzieć, choćby fragmentarycznie, wspólnie z Pirowem, zakładając, iż historia z płetwalem błękitnym była zasłoną dymną? Wiedziałem, co muszę uczynić pomimo ryzyka: objąć komendę i uczestniczyć w wyprawie. Poznanie tego, co naprawdę knują Upton, Pirow i Walter, mogło mnie usprawiedliwić w oczach Norwegów, jeśli-by nas złapali. Zwróciłem się do Uptona.

– Nie możemy tutaj rozmawiać. Chodźmy do kabiny radiooperatora.

Upton zaczął oponować, kiedy podszedł do nas Sailhardy, ale wyperswadowałem mu. Obeszliśmy mostek, żeby dostać się do radiostacji.

Byłem zaskoczony jej wyposażeniem. Znajdował się tam potężny nadajnik o tarczach strojeniowych dwukrotnie większych, niż kiedykolwiek widziałem. Stłoczyliśmy się we czwórkę w ciasnej kabynie.

– Sir Fredericku – powiedziałem. – Jeśli mam płynąć na Bouveta, stawiam warunek. Statek musi być pod moją wyłączną i całkowitą komendą, a kutry mają się stosować do moich rozkazów.

Upton wymienił krótkie spojrzenie z Pirowem.

– Niech mnie diabli! Czemu nagle chce pan wziąć na siebie odpowiedzialność?

– Musi pan się zdecydować i to szybko – nalegałem. – *Thorshammer* nie może być tu za godzinę przy takim morzu. Nie jest w stanie zrobić więcej niż piętnaście węzłów. Znam się na tym. To jeden z nowych niszczycieli brytyjskiej klasy Whitby, sprzedany Norwegii. Wy-twór zachodniej techniki. Jest duży, ma co najmniej dwa tysiące ton.

Mimo to nie zazdroszczę tym, co są na nim dzisiejszej nocy. Fale z prawej burty będą sięgały mostka. Ale złapie was, zanim w ogóle dotrzecie do Bouveta.

– Chyba że pan obejmie dowództwo – dokończył Upton i, nie tracąc czasu, podniósł słuchawkę telefonu.

– Halo, mostek! – powiedział. – Kapitanie Bjerko! Od tej chwili dowództwo nad statkiem przejmuje kapitan Wetherby. Będzie pan słuchał jego rozkazów i w całej pełni z nim współpracował.

Zwrócił się do mnie:

– Zadowolony pan?

Skinąłem głową.

– Zabieraj się do tego, Carl! Zrób coś z tym!

Pirow spojrzał na mnie na wpół uśmiechnięty.

66

– Mam pańskie zezwolenie, *Herr Kapitän!*

Kiwnąłem głową, a on zasiadł przy nadajniku.

Zrobił w zadumie pauzę z dłonią wysoko uniesioną nad kluczem, niczym prawdziwy Rubinstein. Nie był to gest na pokaz, ale preludium artysty zbierającego myśli. Wgłębił się we własne wnętrze. Opuścił lewą dłoń z rozstawionym wzdłuż klucza kciukiem i palcem wskazującym.

Palce średni i serdeczny pozostały lekko zgięte. Prawa dłoń delikatnie dotknęła klucza, który ożył, włączając nadawanie. Przerwał i spojrzał na mnie.

– Depeszę Mikklesena nadał Afrykaner – oznajmił. – Nadał „tereny lengowe” zamiast „lęgowie”, to typowe dla Afrykanera.

Trzeba więc nadawać tak, jakby to robił Afrykaner – powolnie, do-kładnie, po purytańsku, tak, żeby to było widać.

Nacisnął klucz. Rozumiałem, co nadawał alfabetem Morse'a. Już nie było Carla Pirowa. Stał się Człowiekiem o Niezawodnej Dłoni, a była to dłoń wspaniałego, skorumpowanego artysty.



„MIKKLESEN DO THORSHAMMERA VIA STACJA METEOROLOGICZNA NA TRISTANIE. UPTON I KUTRY PODNOSZĄ KOTWICE”.

Odwieczny dreszcz łowów zaczął we mnie narastać pomimo złych przeczuć.

– Kurs, *Herr Kapitän*! Proszę podać kurs! Nie mogę przerywać, bo się domyślą!

Kurs wprowadzający w błąd. Wyobraziłem sobie położenie wyspy Tristan da Cunha i kotwicowiska. *Thorshammer* zbliżał się z południowego zachodu. Musiałem oszukać jego radar przesłonięty urwiskami skalnymi wypiętrzonymi wzdłuż linii Wąwozu Hottentotów na tyłach osady.

Okpić go, by zapewnić mojej flocie szansę błyskawicznego startu, a następnie zmiany kursu z podwójną szybkością. Musiałem utrzymać statek przetwórnicy i kutry w obrębie linii wodorostów otaczających Przylądek Żydowski i Czarną Plażę – tak by wyspa ze swym szczytem górskim znajdowała się pomiędzy nami a norweskim okrętem – aż do chwili, kiedy skieruję moją flotę prosto na niego pośród szalejącej burzy.

Powiniennem wydstać się spoza południowego krańca wyspy dokładnie wtedy, kiedy on zacznie podchodzić wokół Przylądka Kotwicowania po przeciwnej jej stronie ku redzie, nie myśląc nawet, by skierować radar na południe, w przeświadczeniu, iż ma szukać uciekinierów na północy czy wschodzie. Przy takiej pogodzie, mógłbym niepostrzeżenie prześlizgnąć się koło niego w odległości niecałego kilometra.

67

– Trzysta stopni – powiedziałem.

Pirow wystukał cyfry.

– Tworzylibyśmy razem wspaniały zespół, *Herr Kapitän*.

– Zakończ tak, jak mógłby to zrobić Mikklesen – dodałem.

„OCZEKUJĘ DALSZYCH POLECEŃ. JESTEM ZAKOTWICZONY DZIEWIĘĆ

SAŻNI OD RAFY JULIA. PRZYŁĄDEK JULIA NAMIAR STO SIEDEMDZIESIĄT CZTERY STOPNIE”.

Upton był w sposób widoczny podekscytowany.

– Walter musi wiedzieć, ale inni nie powinni – powiedział.

– Ryzykują wszystko, tak samo jak Walter... – zacząłem.

– Nie odważą się, jeśli się dowiedzą, że w odległości zaledwie dwudziestu mil znajduje się okręt wojenny. Potrzebuję tych szyprów. A oni po prostu ulotnią się, kiedy usłyszą o *Thorshammerze*.

Wszystkie moje wątpliwości pojawiły się na nowo. Chęć zatajenia niebezpieczeństwa dobitnie świadczyła o tym, jak wielkie znaczenie miało dla Uptona zadanie, jakie sobie postawił.

– Doskonale – powiedziałem powoli. – Ale czy nie przejmą się zbytnio, kiedy każe im się podnieść kotwicę przy takiej wichurze.

– Przejmą czy nie przejmą, zrobią wszystko, co im powiem. Czy zorganizować im jakąś specjalną odprawę, Bruce?

– Pozostawiam panu wyjaśnienie im sytuacji w stopniu, jaki uzna pan za właściwy – odrzekłem. – Chcę, żeby trzymali się po mojej zawietrznej, o jakieś ćwierć mili od lewej burty *Antarktyki*. Przemkniemy obok *Thorshammera* niedaleko miejsca, gdzie Helena wyratowała mnie i Sailhardy'ego. Jeśli cokolwiek wiem o antenie radarowej niszczycieli tej klasy, dowódca *Thorshammera* nie zechce jej obracać przy takim wietrze bardziej, niż uzna to za konieczne. Nie może dojść do żadnego na-głęgo zwiększenia obrotów silnika któregoś z kutrów, bo towarzyszyłby temu nagły wyblysk płomienia w ciemności. Konwój będzie zwiększał

prędkość stopniowo – od dziewięciu węzłów początkowo i jedenastu po dwudziestu minutach do maksymalnej prędkości, jaką uda nam się uzyskać w takiej wichurze.

Odbiornik Pirowa zaczął terkotać.

„*THORSHAMMER DO MIKKLESENA. INFORMUJ MNIE NA BIEŻĄCO. FATALNI POGODA UTRUDNIA PRZECHWYCENIE. UŻYJĘ REFLEKTORÓW I FLAR. TRZYMAJ SIĘ Z DALEKA OD FLOTY UPTONA*”.

68

– Będzie, do diabła – mruknąłem. Być może ocean południowy wyzwał we mnie kwintesencję męczyzny, odwiecznego łowcy – bo opadła ze mnie wszelka nuda i frustracja minionych długich lat studiów i badań. Miałem pod stopami pokład. Byłem na morzu w noc tak burzliwą jak w momencie Stworzenia. Upton musiał poradzić sobie z szyprami, bo ujrzałem z mostka na wpół pijanych, agresywnych mężczyzn rozwo-

zonych małą szalupą na kutry. Zanim jeszcze upłynęła połowa czasu potrzebnego *Thorshammerowi*, by nas przechwycić, moja mała flotylla była już na morzu.

Kiedy tylko wynurzyliśmy się z przylądka Skalistego Wzgórza na najdalszym południowym skraju wyspy, wichura uderzyła w nas z po-wstrzymywaną dotąd gwałtownością. Zabrakło już nam osłony Tristana i wzięliśmy na siebie całą siłę sztormu. Wirująca przednia szyba urządzenia telegraficznego na mostku wydawała się wyczekiwać w swym pędzie na jakiś moment. Poleciałem pełne zaciemnienie, nie wyjaśniając szyprom powodu. Jarzył się jedynie świetlny wskaźnik obrotów głównego silnika – nie do dostrzeżenia dla jakichkolwiek obserwatorów z pokładu *Thorshammera*. Nie byłem przyzwyczajony do luksusów na mostku i za każdym razem, kiedy ozdobny zegar uruchamiał melodyjny dzwon okrę-

towy, podskakiwałem. Kolejno odsłaniało się na ciemność nocy jedno z dziewięciu wielkich okien. Podszedłem do telegrafu na lewym skrzydle mostka i zadzwoniłem, by zwiększono obroty. Wskaźnik świetlny firmy Ray przyśpieszył tempo.

Płynęliśmy ku Thorshammerowi. Połączyłem się z punktem obserwacyjnym na górze przez telefon przy prawym wejściu.

– Obserwator, czy coś widać?

– Nic, panie kapitanie. Ni czorta. W ogóle nic – odpowiedział pro-stacki głos.

Wszystko na mostku sprawdziłem dwa razy, by być pewnym, że jest w porządku.

– Jestem zadowolony, że nie spędzam dzisiejszej nocy na mostku niszczyciela – powiedziałem do Uptona. – Tam wszystko jest metalowe, więc zimno jak cholera.

– A co będzie, jeśli *Thorshammer* nas zobaczy? – zapytał.

– Nie zobaczy – odpowiedziałem.

– Nie zobaczy – potwierdził Pirow, którego przylizane włosy połyskiwały w świetle indykatora. – Nie ma szans, kiedy dowodzi kapitan Wetherby.

69

Na mostku zadzwonił telefon.

– Obserwator, sir. *Aurora* podchodzi zbyt blisko.

– Powiedz jej, żeby się odsunęła – poleciłem Pirowowi. – I upewnij się, że lampa sygnalizacyjna nie jest skierowana w stronę *Thorshammera*.

Z lekka się uśmiechnął – komuś takiemu jak on nie trzeba było o tym przypominać. *Antarktyka* schodziła z kursu i dygotała pod gwałtownym naporem nawałnicy. Sailhardy, którego odkomenderowałem do steru, prowadził ją znakomicie. Utrzymawał na kursie. Log mechaniczny chichotał sam do siebie. Czekaliśmy milcząc, w napięciu.

Mówią, że oczy widzą najlepiej w odchyleniu dziesięciostopniowym.

Mnie udało się dojrzeć zdradliwe migotanie światła za prawą burtą. To nie był okręt. Sailhardy obrócił koło sterowe. Wydawało się, że upłynęły wieki, zanim *Antarktyka* zareagowała.

– Przynieś mi, ale duchem, z mojej kabiny lornetkę do obserwacji nocą! – powiedziałem do norweskiego podoficera zawiadującego sterownią. Jego miejsce zajął Sailhardy. Upton wręczył mi lornetkę, która była na mostku. Rzuciłem okiem na firmę.

– Zwykła lornetka brytyjska jest do niczego w nocy – wyjaśniłem. –

Ciekaw jestem, ile statków zatonoło podczas wojny tylko dlatego, że nie dostrzegły pirata z powodu kiepskich szkieł.

Podoficer wrócił i podał mi moją własną lornetkę. Pirow uśmiechnął się do Uptona.

– Pirackie lornetki! Zeissa. Siedmiokrotnie powiększające. Jednemu z naszych kapitanów zabrało całe miesiące idealne dostrojenie takiej lornetki. *Herr Kapitän* Wetherby znalazł całą odpowiedź.

Noc przez lornetkę nie wydawała się taka mroczna, ale nie mogłem wysledzić chwilowego błysku, który mnie zaalarmował. Otworzyłem jedno z okien mostka.

– Jesteśmy na pirackich wodach – poinformowałem. – *Meteor* zwykł spotykać się z *Neptunem* nie opodal Tristana. U-booty też. Jednego prawie udało mi się zaskoczyć. Były jeszcze po nim plamy oliwy na wodzie.

Deszcz pędzony wicherą zalewał nas przez otwarte okno.

– Lód! – zawołał Sailhardy. – Lód! Czuję go, Bruce. Bardzo blisko.

– Ja też go czuję – odezwała się Helena. Nie słyszałem, kiedy we-szła na mostek.

70

Burza niosła ze sobą nieokreślony zapach. Nigdzie nie spotyka się niczego podobnego, nawet na lodach Arktyki. Na wodach południowych zapach ten przenika w ubrania ludzi. Obserwator w kołyszącym się na maszcie kutra bocianim gnieździe zna ów mdły, wilgotny, nie dający się opisać zapach lodu – śmiertelnego wroga – towarzyszący mu podczas pracy.

Nie musieliśmy czekać. Noc rozdarł blask białego światła. Nie była to błyskawica. *Thorshammer* musiał również zobaczyć to, co mi mignę-

ło. Tak jak obiecał, użył flary.

Wielka góra lodowa ciągnęła się na wszystkie strony. Musiała mieć ze trzy do pięciu kilometrów długości i ze trzysta metrów wysokości. Z

mostka *Antarktyki* wyglądała niesamowicie i pięknie w powoli opadają-

cym świetle flary. Na jej lewym krańcu wypiętrzało się z zasadniczej płytowej bryły coś na kształt kowadła niemal na całą wysokość góry; wydawało się prawie oddzielone od reszty. Różniło się też kolorem: zakotwiczone na blisko kilometr w solidnej platformie, przez którą prze-lewało się morze, było mocno zielone; tam gdzie ostrze kowadła rozszerzało się, było żółte, u szczytu niemal bursztynowe. Lodowa wyspa została zapędzona pod klif po prawej stronie – mogłem dojrzeć w krótkotrwałym świetle małe jezioro niebieskiej wody, a nad nim wypiętrzone, poźłobione skały po drugiej stronie. Powierzchnię tej potwornej góry lodowej wyszlifowały czynniki atmosferyczne –

zaścielały ją odłamane sople lodowe, postręcane przez wicher.

– Mój Boże! – wykrzyknął Upton i przypomniał sobie o *Thorshammerze*. – Zobaczą nas! Zawracajmy! Zawracajmy!

– Nie – zaproponowałem. – Są po drugiej stronie góry lodowej. Ona wszystko zasłania.

– Nie mogą nas nie złapać radarem – powiedział Upton.

– W tej górze jest dosyć diablików radarowych, by zmylić każdego

– przeciwstawił mu się Pirow.

– Diablików? – spytał Upton.

– Łód, zwłaszcza połamany, daje niezliczone echa wszelkiego rodzaju – wyjaśnił Pirow. – Nazywamy je diablikami.

Flara opadła do morza. Powróciła ciemność. Helena ciągle była przy mnie.

– To jedna z tych rzeczy, które zapamiętuje się na całe życie. Nie wiedziałam, że góry lodowe zapędzają się tak daleko na północ.

– Ta jest pewnie dziesięć razy większa od przyłodka Horn – powiedziałem.

71

Z prawego skrzydła mostka wpatrywałem się w ciemność za rufą. Nie było żadnego znaku obecności *Thorshammera*, nawet poświaty komina, która pozwoliłaby go umiejscowić. Wróciłem i zamknąłem okno.

– Zasygnalizuj świetlnie kutrom – zwróciłem się do Pirowa. – Ster...

– zastanawiałem się – ster sto stopni. Osiem węzłów.

Helena dygotała z zimna. Sailhardy zakręcił kołem. Moja komenda powiedziała mu wszystko.

– Dobrze się spisuje?

– Tajest, sir.

*Antarktyka* ruszyła na południe.

– Sto stopni – powiedziała Helena. – Gdzie płyniemy?

Spojrzałem jej głęboko w oczy.

– Na Wyspę Bouveta.

# 5.

## Wyspa, której nigdy nie było

Przez trzy dni *Antarktyka* i cztery kutry przebijały się na południe przez sztorm. Teraz, czwartego poranka, wiatr osłabł, ale z południowego zachodu szła ogromna martwa fala.

Oko cyklonu przesunęło się na północny wschód, niosąc opady śniegu nad odległy płaskowyż południowoafrykański. Stałem na mostku, a Sailhardy był przy sterze. Przed dziobem z prawej burty pojawiła się pływająca bryła lodu. Cztery kutry tworzyły nieregularną straż tylną statku przetwórci. Najbliżej była *Aurora* Waltera. Wyglądało, że spisuje się lepiej od innych. Agresywnie zadarty tępy dziób, niby nos boksera, skierowała przeciw martwej fali. Śmiercionośną wymowę znajdującego się na nim działka harpunniczego maskował impregnowany brezent.

Nurzała się w pobliżu naszej lewej burty, jakby przyklękając przy zalewanym wodą statku przetwórci – opryskując go zielonymi bryzgami aż po urządzenia wyciągowe usytuowane pod mostkiem. Mogłem tylko dojrzeć top jej masztu ponad falami.

Obserwowałem ten wysoki, giętki maszt, który olinowanie harpuna upodabniało do gigantycznej wędki. Kiedy *Aurora* wynurzała się, woda omywała jej pokład, spływając strumieniami wytworzonymi przez trój-kąt zakotwień lin harpunnicznych.

Morze zmieniło barwę. Nie było już jasnoniebieskie jak w pobliżu Tristana. Stało się groźne, brudnoszare. Nasza flotylla znajdowała się teraz dobrze na południe od szlaków okrętowych – zapuściła się na teren Ryczących Czterdziestek. Ciężka, utrudniająca żeglugę masywność statku przetwórci – jego zwaliste urządzenia suwnicowe, relingi, ciężkie stalowe liny wantowe były skąpane w rozpryskach. Nad rufą, niby biały bumerang, zawisł, pozornie bez wysiłku pokonując siłę wiatru, wędrowny albatros, którego rozpiętość skrzydeł oceniłem na cztery metry. Swoją obecnością poświadczał, że byliśmy na Południu. Z pozostałych kutrów *Chimay* leżał na prawej burcie, a tylko od czasu do czasu mogłem prze-lotnie dojrzeć grube druty wciągarek i bloki takielunku *Crozeta* i *Kerguelena*, znajdujących się jeszcze dalej, zanurzających się w morzu prawie 73

po bocianie gniazda, kiedy szły sprawnie naprzód pełną parą.

– Ktoś dobrze zbudował ten statek – zauważył Sailhardy.

– Smith's Dock Company z Middlesbrough – powiedziałem z roz-targnieniem. – Robią to najlepiej.

Miałem umysł zaprzątnięty czym innym niż zdolność żeglugowa *Aurory*, chociaż ze względów zawodowych podziwiałem sposób, w jaki zaokrąglone dzioby kutrów wynurzały się i zmagaly z morzem. W pewnej chwili rufa *Aurory* pogrążyła się tak bardzo, że zastanawiałem się, czy się w ogóle pojawi na powierzchni, ale nagle wystrzeliła cała w rozprysku piany, wyswobadzając się z pięciometrowej głębi. Niegodziwe uchwyty działka harpunniczego wyglądały spod ochronnego brezentu, jak śmierć w kajdanach.

Martwiłem się. Po odpłynięciu z Tristana i udanym uniknięciu spotkania z *Thorshammerem*, Upton odebrał mi dowództwo wbrew zapewnieniom, jakie składał przed podniesieniem kotwicy, a Bjerko mu w tym sekundował. Natychmiast zmienił kurs, co napawało mnie najgłębszą troską. Pytał też o mapy, o których wspomniałem, kiedy się spotkaliśmy.

Zrazu badał grunt ostrożnie, teraz prowadził śledztwo bardziej otwarcie i uporczywie.

Zadowolenie z wymknięcia się *Thorshammerowi* ustąpiło miejsca dręczącym obawom związanym ze współdziałaniem w planach Uptona.

Nie zmniejszyło tych wątpliwości gładkie wprowadzanie w błąd norweskiego okrętu przez radio Pirowa. Nie zmniejszyła ich także decyzja Uptona o nieinformowaniu innych szyprów, poza Walterem, o tym, że *Thorshammer* jest na naszym tropie. Kierowaliśmy się teraz na peryferie burzliwych mórz, gdzie miałem szukać drugiej odnogi Stopy Albatrosa i widok pełnego morza obmywającego kontynent lodowy przytłumił mój pierwszy przyływ entuzjazmu po pomyślnej ucieczce z Tristana. Wydawało się niemal niemożliwe znalezienie czegokolwiek na tak wzburzonym oceanie.

Nie rozpraszał mych obaw Sailhardy. W dwa dni po odpłynięciu z Tristana powiedział mi, że załoga spędza czas grając w karty na międzypokładziu i że w ogóle nic się nie robi, by doprowadzić statek przetwór-nię do gotowości na spodziewany rekordowy połów. Utrzymywał, że zainteresowanie Uptona moją osobą wiąże się ze starą mapą, którą mia-

łem w nieprzemakalnej ceratowej torbie. Przyniosłem ją więc z kabiny i studiowałem przez długie nocne godziny. Moje własne podejrzenia krą-

żyły wokół jakiejś wiedzy, którą dzieliłem z Pirowem z czasów działań wojennych. Sądziłem, że Upton zamierza dopasować powiązane ze sobą 74

jej fragmenty, kiedy dotrzemy na Bouveta. Helena również pozostawała dla mnie tajemnicą. Kiedy z rzadka zjawiała się na mostku, bywała jeszcze bardziej pełna rezerwy i zamknięta w sobie niż przedtem. Czulem, że zadaje mi rozmyślnie profesjonalne pytania dotyczące pogody, ale zauważyłem w niej zdecydowany niepokój, kiedy zbliżaliśmy się do zimniejszych wód.

Tego ranka, gdy stałem na mostku wkrótce po wschodzie słońca, moje wątpliwości skrytylizowały się. Zszedłszy w nocy do kabiny, nie zauważyłem wprawdzie niczego szczególnego, ale czulem, że została przeszukana. Starą mapę miałem ze sobą na mostku. Ceratowa torba, w której trzymałem mapy, leżała prawie tak, jak ją zostawiłem, ale nie całkiem. Było to jedno z tych nieokreślonych odczuć polegających bardziej na instynkcie niż na świadomej obserwacji.

Wyciągnąłem złożony prostokąt pergaminu z wewnętrznej kieszeni grubej dwurzędowej kurtki, by raz jeszcze przestudiować mapę i spró-

bować zrozumieć cel Uptona. Pergamin głośno szeleścił, kiedy go rozkładałem.

– Na miłość boską, Bruce! – wykrzyknął Sailhardy. – Schowaj tę cholerną mapę! Co będzie, jeśli

przyjdzie tu Upton albo Pirow?

– To mrzonki, Sailhardy – odparłem. – Ta stara mapa po prostu nie może mieć znaczenia, które jej przypisujesz. A ani Upton, ani Pirow nie przyjdą tak wcześnie na mostek.

– Weź na chwilę ster – powiedział. Kiedy to zrobiłem, zamknął na klucz drzwi prowadzące do kabiny Uptona i radiostacji.

– Ślęczeliśmy nad nią ze dwadzieścia razy w ciągu ostatnich trzech dni – stwierdziłem. – Niech mnie cholera, jeśli jestem w stanie pojąć, co ta stara i niedokładna mapa Wyspy Bouveta z tysiąc osiemset dwudziestego piątego roku może mieć wspólnego z tak zwaną wyprawą wielorybniczą w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym.

Stary pergamin był podzielony na pola falistymi liniami. Pole środkowe miało kształt przypominający liść chińskiego klonu. Oba marginesy po-znaczono malutkimi krzyżykami. Z prawego górnego rogu ku liściopodobnemu polu na środku biegła nieregularna kręta linia. Pod nią, naprzeciw nietypowego krzyżyka na marginesie, oznaczającego pięćdziesiąt cztery stopnie szerokości południowej, były trzy kropki, a nieco niżej jeszcze jedna kropka z podpisem „skała”. Od dawna przestałem zwracać na nią uwagę. Mapa dostała mi się zaraz po wojnie, kiedy ostatecznie zlikwidowano firmę Wetherbych.

75

Była to mapa nawigacyjna trasy statku Sprightly, do polowania na foki, który w tysiąc osiemset dwudziestym piątym roku odkrył ponownie Wyspę Bouveta. Jego kapitan, George Norris, nie tylko naniósł wyspę na mapę, ale również ją naszkicował.

– To nie wszystko, i ty o tym wiesz – zaoponował Sailhardy. – My-

ślę, że Upton również się tego domyśla.

– Masz na myśli Wyspę Thompsona? – spytałem ironicznie.

– Tak – odparł. – Myślę właśnie o niej, o Wyspie Thompsona.

Wróciłem pamięcią do pewnego dnia bez znaczenia, dnia, w którym wydeptywałem klatkę schodową w siedzibie Królewskiego Towarzystwa Geograficznego nie opodal Albert Hall w Londynie. Czas upływał mi wówczas na wyczekiwaniu przed którymś z biur Admiralicji, by mnie spławiono i odesłano do innego urzędu. Stęchły zapach grenlandzkiego kajaka na klatce schodowej Towarzystwa Geograficznego skojarzył mi się z nie kończącym się wypytywaniem i własną nieustanną frustracją w obliczu nie dających mi wiary ekspertów. Nie chcieli wierzyć ani trochę bardziej niż tamci z Admiralicji w to, co widziałem.

Nie dziwiłbym się, gdyby najgłębszym powodem zaaprobowania przeze mnie propozycji Uptona było nie tyle pragnienie zlokalizowania Stopy Albatrosa, ile próba usprawiedliwienia się. Zarówno Królewskie Towarzystwo Geograficzne, jak i Admiralicja powiedziały mi, żebym dał sobie z tym spokój.



Kiedy kapitan Norris odkrył ponownie Wyspę Bouveta, po tym jak stracono ją z oczu na blisko stulecie, znalazł też coś więcej poza Bouvetem: jeszcze jedną wyspę oddaloną o piętnaście dawnych mil, czyli czterdzieści pięć mil morskich na północno-północny-wschód od tamtej. Określił jej położenie geograficzne. Jego własny oryginalny dziennik okrętowy leżał teraz przede mną.

Wyspy Thompsona nigdy już więcej nie znaleziono – oficjalnie.

Odkrycie kapitana Norrisa stało się na przeszło sto lat przyczyną naj-zagorzalszej kontrowersji. Nie szczędzono milionów na statki specjalnie wyposażone, by znaleźć Wyspę Thompsona. Prym wiedli w tym Norwegowie. Pod koniec lat dwudziestych XX wieku szczególnie oni eksplorowali wody wokół Bouveta pod przewodnictwem Larsa Christensena.

Poszukiwania prowadzone przez brytyjską RRS *Discovery* również nie dały wyniku. Podobnie jak wcześniejsze wyprawy – niemiecka, amerykańska i francuska.

Sailhardy oderwał oczy od kompasu. Minęła pełna minuta, zanim się odezwał.

76

– Jesteś jedynym żyjącym człowiekiem, który widział Wyspę Thompsona.

– Tak – odparłem. – Ale nie ma powodu, by tak dramatyzować.

Wiem, że kiedy wchodziliśmy do akcji przeciw *Meteorowi*, widziałem jakąś wyspę. To było w pobliżu Bouveta. Powiedz mi to samo, co mówili o Norrisie, kiedy nie można było ponownie znaleźć Thompsona: że albo wziąłem za ład wielką górę lodową, albo to było po prostu optyczne złudzenie.

– Żółtawy odblask na wielkim szelfie lodowym – mruzczał Sailhardy. – Ktoś obeznany z Antarktyką, tak jak ty, nie robi tego rodzaju błę-

du.

– Nie robi – przytaknałem. – Gdybym był jednym z naszych szyprów, powiedziałbym dobrze do słuchu tym rozpartym w fotelach face-tom, którzy nie przyjmowali do wiadomości tego, co musiałem im raportować. Ciekawe, że prawie tak samo potraktowali kapitana Norrisa. Admiralicja oświadczyła, że widział wielką górę lodową, a opisywane przez niego bruzdy na skałach uznano po prostu za skorupiaki.

Sailhardy spojrzał na mnie z wyrzutem.

– Znasz dokładnie historię Wyspy Thompsona, wiesz, że nie udało się jej znaleźć wielkim żeglarzom od Sir Jamesa Clarka Rossa po Larsa Christensena, a celowo bagatelizujesz ją w relacji dla Uptona. To jedna z największych tajemnic mórz, porównywalna z wyspą nie opodal przylądka Horn, gdzie Sir Francis Drake schronił się ze swą *Złotą Łanią*, wyspą, której nigdy już potem nie widziano.

– Decydujące jest to, że była to relacja dla Uptona – odparłem. – On nie jest ani żeglarzem, ani

badaczem.

– Nie – obstawał Sailhardy. – Za to pozuje na nowoczesnego pirata.

– To nie wszystko – powiedziałem. – W głębi serca naprawdę jest bezlitosny!

– Jemu chodzi o Wyspę Thompsona – upierał się Sailhardy.

Potrząsnąłem głową.

–

Gdyby pragnął odkryć Wyspę Thompsona, nie musiałby się do tego zabierać tak potajemnie – stwierdziłem. – Człowiek z jego pozycją mógł zatelefonować do którejś z londyńskich gazet i powiedzieć, że organizuje specjalną wyprawę, by wyjaśnić wielką tajemnicę oceanu: odszukać Wyspę Thompsona i tak dalej... i tak dalej. Nie zabrakłoby chętnych. Nie musiałby w każdym razie ciągnąć ze sobą całej floty ku-trów, żeby szukać wyspy. Jeden statek by wystarczył.

77

– Nie pokazuj w ogóle tej mapy, tylko o to proszę – powiedział wyspiarz.

– Jaką wartość mogłaby mieć ta wyspa dla Uptona? – ciągnąłem dalej. – Widziałem ją. To po prostu wierzchołek z jakiegoś podmorskiego pasma górskiego, wystający z najbardziej burzliwego morza na świecie, gdzie panują niepodzielnie wichury, śnieg, lód, ogromne fale. Są tam stale, dzień po dniu, rok po roku.

– Jemu zależy na tej mapie – upierał się Sailhardy.

– Przyjrzyj jej się. Zapewniam cię, że niczego tu nie ma.

Spojrzał na mnie dziwnie.

– Jesteś jedynym żyjącym człowiekiem, który widział Wyspę Thompsona. Było jeszcze tylko trzech takich. Jednym z nich był kapitan Norris.

Uśmiechnąłem się, taki był przejęty.

– Jednym z pozostałych był Francis Allen, amerykański łowca fok, protoplasta jednego z rodów na Tristanie. Ty właśnie od niego pocho-dzisz.

W głębi ducha wiedziałem, że Wyspa Thompsona należała do Wetherbych. Odkrył ją dla starego Johna Wetherby'ego jego ulubiony kapitan, a potem stracił dla świata. Była moja, ostatniego z rodu. Kiedy umknęła Norrisowi w lód i mgłę, stała się nieuchwytna jak widmo. Sailhardy też był w to zamieszany – mogłem prawie przytoczyć z pamięci zeznanie złożone w Instytucie Franklina przez człowieka, z którym pły-wał pradziad Sailhardy'ego: „Kapitan Joseph Fuller z Nowego Londynu, obecnie (rok tysiąc dziewięćset czwarty) latarnik w Stotington, podczas wojny secesyjnej służył w

Marynarce Wojennej Stanów Zjednoczonych, a później wielokrotnie polował na fokę i słonie morskie w Antarktyce. W

tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym trzecim roku, dowodząc statkiem *Francis Allen*, widział Wyspę Bouveta i Wyspę Thompsona położoną mniej więcej na północny wschód od niej, ale nie mógł na żadnej z nich wylądować ze względu na lód, wiatr i mgłę”. Fuller nazwał swój statek na cześć przyjaciela. Od tamtego czasu tylko ja widziałem Thompsona.

Sailhardy stał się nagle czujny. Czuły słuch ostrzegł go, że ktoś nadchodzi. Poruszył gwałtownie głową.

– Weź ster – syknął. – I daj mi tę cholerną mapę!

Zanim mogłem zaproponować, złożył pergamin ze *Sprightly* i wsunął za pazuchę. Równie szybko otworzył kluczem drzwi. Zdążył akurat.

78

Wszedł przez nie Upton. Spojrzał na mnie zdziwiony.

– Czy pan jest nie tylko kapitanem, ale i sternikiem, Bruce?

Wzruszyłem ramionami.

– Tam, gdzie się wybieramy, możemy potrzebować dwóch ludzi przy sterze.

Coś go gryzło. Był markotny, czymś zaabsorbowany.

– Co, u diabła, chcesz przez to powiedzieć?

– Ta flota szuka guza, dużego guza – odpowiedziałem.

Sailhardy przejął z powrotem ode mnie koło steru.

– Jeśli się przejmujesz jakimś małym niszczycielem ochrony łowisk...

– Przejmuję się największym niszczycielem – lodem – odrzekłem. –

Muszę wiedzieć, gdzie jest *Thorshammer* i jakim idzie kursem. My płyniemy fatalnym. Chcę odbić na północ.

Twarz Uptona poróżwiała.

– Pozostanie pan na tym kursie i będzie się wystrzegał spotkania z *Thorshammerem*. Wedle ostatniego zamiaru Pirowa płyniemy w od-wrotnych kierunkach. Powinniśmy być poza zasięgiem ich wodnopłatowca.

– Nasłuch był dwa dni temu – powiedziałem. – Mogło się coś od te-go czasu wydarzyć.

Upton sięgnął po telefon na mostku.

– Carl! Tu mostek! Przyjdź natychmiast. Weź ze sobą Bjerko. –

Wrócił do mnie. – A więc wielki kapitan Wetherby tak się przestraszył odrobiny niepogody?

– Tak, obawiam się – odparłem. – Płyniemy prosto w samo serce maszyny atmosferycznej dostarczającej energii sztormom Ryczących Czterdziestek.

– Nonsens! – przerwał mi gniewnie Upton. – Walter zgadza się ze mną. Będzie sztormowo, ale jesteście do tego przyzwyczajeni.

– Niech pan posłucha – powiedziałem. – Kiedy wymknęliśmy się *Thorshammerowi* przy Tristanie, obrałem taki kurs, by dotrzeć do Bouveta od północy. Pirow zrobił nasłuch *Thorshammera*. Chciałem pozostawać tuż za zasięgiem ich radaru. Ale pańskim kursem dotrze się do Bouveta od południowego zachodu. Uważam, że to samobójstwo.

– *Thorshammer* ma samolot – upierał się Upton. – Niech pan o tym nie zapomina.

79

– Chciałbym zobaczyć kogoś, kto by wystartował przy takim sztormie, jaki mieliśmy – odparłem. – *Thorshammer* ma do zwiadu tylko starego He 114, Pirow to wie z nasłuchu. Jego zasięg nie przekracza zbytnio stu pięćdziesięciu mil morskich.

Pojawili się na mostku Pirow i nieokrzesany kapitan Bjerko.

– Carl – spytał Upton – czy robiłeś nasłuch *Thorshammera*?

Tamten potrząsnął przecząco głową.

– W tej części świata można dostać cholery z radiem. Trzydzieści lat temu Lars Christensen stwierdził, że Bouvet to obszar martwy radiowo.

Nie mogę złapać żadnego czystego sygnału z *Thorshammera*.

Upton stał się nerwowy.

– Czy to znaczy, że nie słyszysz ich i nie możesz namierzyć?

Pirow skrzywił się.

– Żebym mógł zrobić nasłuch, muszą nadać co najmniej jednaście liter. Dowiodłem tego niemieckiej

służbie szyfrowej.

– A więc nie wiesz, jakim kursem płynie *Thorshammer*?

– Nie wiem.

Spróbowałem wykorzystać skonfundowanie Uptona.

– Nawet nasz wielki statek nie jest wystarczająco dobry, by sprostać temu, w co się pakujemy.

– Wiele razy bywałem na wodach południowych – powiedział Bjerko. – To dobry statek.

– Nigdy nie płynął pan tym kursem ani nie próbował dotrzeć o Bouveta od południowego zachodu – odparłem. – Bouvet znajduje się w samym środku piekielnej maszyny wyzwalającej w morzu i wietrze wię-

cej dynamicznej energii atmosferycznej niż eksplozja atomowa. Mogę wyjaśnić to wszystko, używając terminologii, która określa to eufemistycznie jako anomalie ciśnieniowe przy wietrze zachodnim, ale rzecz sprowadza się do tego, że Bouvet działa jak wzmacniacz wysokiego napięcia na burzę, która ma już za sobą dwa tysiące mil, zanim uderzy.

To dzikie piekło siekającej wody, mgły, lodu i gór lodowych. Wszystko to pędzi z szybkością stu węzłów, Bóg wie dokąd. Powtarzam, że podchodzenie do Bouveta, tak jak to robimy, jest samobójstwem, zwłaszcza na początku listopada.

– Na początku listopada? – powtórzył Bjerko. – To przecież najlepszy okres w Antarktyce. Początek lata. Lód topnieje... puf i znika.

– Walter mówi to samo – dodał Upton.

–

A ja stwierdzam – ciągnąłem dalej. – Statek uwięźnie w lodzie i zatonie, jeśli będziemy kierowali się na Bouveta obecnym kursem.

80

– Drogi przyjacielu, teraz, kiedy morze zaczyna się ocieplać...? –

zaczął Upton.

Przerwałem mu.

– Na skraju lodu nagromadzonego przy kontynencie temperatura morza zawsze jest w tym czasie odrobinę powyżej punktu zamarzania.

Pozostaje taka aż do Bouveta. Tuż na południe od niego gwałtownie wzrasta.

Upton wzruszył ramionami.

– Nie mam ochoty na wykład o temperaturach morza. Chcę coś wiedzieć o *Thorshammerze*.

Zignorowałem go.

– W takie zamarzające lub prawie zamarzające morze wdziera się, jak sędzę, druga odnoga Stopy Albatrosa. Widziałem jedynie rezultaty, nie przyczynę. Należą one – obok południowej zorzy polarnej – do najbardziej spektakularnych zjawisk na tych wodach. Pod koniec października i na początku listopada, wkrótce po pojawieniu się słońca nad biegunem południowym, dochodzi do gwałtownego ocieplenia atmosfery.

To, łącznie z wdarciem się Stopy Albatrosa, doprowadza do kolosalnego wyładowania energii atmosferycznej. Właśnie dlatego was ostrzegam.

– To są chorobliwe obawy – skwitował Bjerko.

– Tam, gdzie płyniemy, jest gigantyczny lodowiec – powiedziałem.

– Lód nagromadzony przy głównym lądzie Antarktydy rozpada się i zdąża na północ, ku Bouvetowi. Ale koniuszek tego rozległego języka lodu, rozciągającego się na czterysta mil morskich od lądu, pozostaje nienaruszony. Żyje własnym życiem. Czerpie je z owej atmosferycznej maszyny funkcjonującej wokół Bouveta, maszyny, o której mówiłem.

Lodowiec i Stopa Albatrosa współdziałają. Dochodzi do wielkiej bitwy ciepła z zimnem. Bouvet znajduje się w strefie niczyjej. Można by rzec: na nieżeglownym morzu. Na morzu na wpół roztopionych kawałków gór lodowych, które nagle mogą zamarznąć, chwytając wszystko, co pływa, jak w imadło. Bouvet wytwarza swój własny lód przybrzeżny. W ciągu niewielu godzin, zanim zdąży się uciec, morze jest skute lodem. Ostrzegam was, jeśli dalej będziecie tak kierować tym statkiem, lód go uwięzi i wypruje zeń flaki. Będzie go nadgryzać wzdłuż linii wodnej i skruszy na amen.

– Poczekajcie – powiedział Upton. Wrócił w ciągu minuty. Wręczył

mi dokument, na którego widok poczułem dreszcz obawy. Sam w sobie niewinny – zarówno moja wiedza o pogodzie, jak i Kohlera sprowadzały 81

się prawdopodobnie do tego samego – dowodził jednak ponad wszelką wątpliwość, że nasze obawy co do prawdziwych celów wyprawy Uptona były dobrze uzasadnione. Czytałem głośno, żeby i Sailhardy zrozumiał

jego znaczenie.

– *Kapitän zur See Kohler – Oberkommando der Marine* – oderwa-

łem oczy od nagłówka i przyglądałem się Pirowowi, tłumacząc tekst wyspiarzowi: – Kapitan Kohler do Naczelnego Dowództwa Niemieckiej Marynarki Wojennej. Ścisłe tajne. Raport klimatologiczny okrętu *Meteor* o rejonie Wyspy Bouveta.

Innymi słowy, Upton musiał kopać głęboko, tak głęboko, że dokopał

się do ściśle tajnego dokumentu, by uzyskać informacje o Bouvecie, a może i o Wyspie Thompsona. Gdyby wilk morski Kohler nie zginął pod moim ogniem, może by Upton nie musiał posłużyć się Bruce'em Wetherbym...

Moja twarz musiała mnie zdradzić, ale Upton błędnie to odczytał.

– Każdy ma swoją cenę – powiedział beztrąsko. – Nawet ściśle tajne dokumenty.

Czy ceną Pirowa była znajomość celu Uptona? – zapytywałem sam siebie. Przyglądałem się początkowym zdaniom tekstu, starając się zebrać myśli.

– Stan przy zachodnim wietrze. Słaba widoczność wczesnym latem.

Wzrasta mgła i zachmurzenie...

Nie potrzebowałem informacji Kohlera o pogodzie w rejonie Bouveta, choć były one tajne i istotne dla U-bootów oraz piratów. Zmierzali-

śmy ku pewnej zagładzie, a podanie położenia naszej floty Thorshammerowi, jeśli byłoby możliwe, stanowiłoby nielojalność z mojej strony.

Dlatego właśnie nie analizowałem ukrytych motywów sugestii Pirowa.

Wydawało się wówczas, że uda mi się znaleźć jakieś wyjście z kłopotliwego położenia, czy zdobyć informację, która stanie się podstawą dalszych moich działań.

– Dlaczego *Herr Kapitän* nie weźmie helikoptera i nie zobaczy sam, gdzie się podziewa *Thorshammer*? Namierzenie go z nasłuchu wydaje mi się sprawą beznadziejną.

– Mogę – powiedziałem. Czemu, wiedząc to, co wiem, przynajmniej nie uciec przed śmiertelnościami lodem Bouveta?

– Poleci pan? – zwróciłem się do Pirowa.

Potrząsnął głową.

– Będę dalej próbował nasłuchu, może się uda. Bardziej się przydam tu, na pokładzie.

82

Wydawało się, że gotowość, z jaką zaaprobowalem sugestie Pirowa, przywróci Uptonowi dobry nastrój. Próbowal być pojednawczy, ale to, co powiedzial, jedynie wzmocnilo moje podejrzenia.

– To cię uspokoi co do Bouveta, Bruce – rzekł. – Kiedy się dowiesz o kursie *Thorshammera*, poczujesz się lepiej. Wiesz, co ci powiem, Bruce? Jeśli nas mocno wytrzęsie, wypoczniemy sobie

dzień czy dwa na Bouvecie. Jest tam tylko jedno miejsce do wylądowania, od południowego zachodu. Norris sondował Kotwicowisko Bollevika i w dalszym ciągu jest ono najlepsze.

Norris przeprowadził sondaż Kotwicowiska Bollevika! Jeśli Upton wiedział o Norrisie i Bouvecie, musiał wiedzieć i o Thompsonie. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że pośrednio chce mnie w ten sposób na-klonić do pokazania mu mapy Norrisa. Dostrzegłem jakby cień niezadowolonia ich obu, kiedy powiedziałem:

– Czy może pan poprosić Helenę, żeby wystartowała, najszybciej jak to możliwe? Chciałbym zabrać ze sobą Sailhardy'ego.

W niecały kwadrans śmigłowiec uniósł się z platformy służącej do ćwiartowania mięsa w końcowe fragmenty chmur pędzących na północny wschód, by doszlusować do głównych sił sztormu. Kołysanie się statku daleko w dole świadczyło, że burza – choć przycichła – trwa. Siedzia-

łem w fotelu drugiego pilota. Sailhardy stał. Helena zatoczyła maszyną szerokie koło nad kutrami. Roztaczał się przed nami wspaniały horyzont.

Opalizował tęczowo, odbijając się w jej oczach niby tajlandzki jedwab.

Dziwaczny ptak z Wyspy Słowiczej przywarł do kompasu pokładowego.

– Ten twój fartowny ptak nie chce się ruszyć z mojej sterowni –

powiedziała. – Nazwałam go Suzie Wong.

– To ptaszysko jest jak państwo afrykańskie – uśmiechnąłem się. –

Za szybko dorosło do nowoczesności.

Mój żart sprawił, że Helena zamknęła się w sobie. Nie mogłem na-wiązać z nią kontaktu.

– Ciśnienie wynosi tysiąc dwadzieścia milibarów – powiedziała, patrząc na psychrometr, którego gumowa rura niknęła na zewnątrz w strumieniu zaśmigłowym. – Czy to normalny stan śladowy po przesuwają-

cym się oku antycyklonu, kapitanie Wetherby?

Patrzyłem w jej szczupłą twarz, której wystające, pięknie ukształtowane kości policzkowe uwydatniał skórzany hełm. Spoglądałem na dłonie ze śladami oleju maszynowego w zagłębieniach między knykciami.

Wmawiałem sobie, że są piękne, jakby dla usprawiedliwienia, że aż 83

tak je zaniedbywała. Spoczywały na sterach spokojnie, pewnie. Miała na sobie oblamowaną futrem lotniczą skórzaną kurtkę i wełniane marynar-skie spodnie wpuszczone w soloodporne mokasyny.



– To normalne – odpowiedziałem mechanicznie. – ...Dlaczego nazwała go pani Suzie Wong?

Milczała tak długo, że pomyślałem, iż nie chce odpowiedzieć.

– Jest odrobinę niezwykły – podobnie jak okoliczności – trochę jak... Proszę podać kurs.

Niezdarnie rozłożyłem wielką mapę. Pokazałem ją Sailhardy'emu, robiąc palcem kółko na północno-północnym zachodzie.

– Jak myślisz, czy tam będzie *Thorshammer*?

– Może z pół stopnia dalej na północ – odpowiedział wyspiarz. –

*Thorshammer* jest obeznany z lodem, Bruce. Więcej zyskuje dzięki cieplejszej wodzie, więc trzyma się odrobinę bardziej na północ. Tam ma również lepszą widoczność. Pamiętaj, że chce nas znaleźć.

Zrobiłem nowe kółko.

– Dobrze – powiedział Sailhardy.

– Trzysta stopni – oznajmiłem Helenie.

Kiedy zawracała śmigłowiec i stabilizowała go na kursie, patrzyłem do tyłu.

– Południe – odezwała się, nie spoglądając na mnie. – Pan zawsze patrzy na południe, prawda?

To pytanie zaskoczyło mnie. Po jej ucieczce w żargon pogody by-

łem właściwie zdecydowany traktować ją wyłącznie jako kompetentnego fachowca. Teraz niepostrzeżenie trafiła mnie interesującym ciosem psychologicznym.

– Właśnie dzisiaj Południe znaczy dla mnie więcej niż zazwyczaj –

odparłem. Opowiedziałem jej o pogodzie w rejonie Bouveta, o lodowcu na morzu i o niebezpieczeństwie. Słuchała w milczeniu. Opowiedziałem jej, jak zamarza morze. Zadała tylko jedno pytanie.

– Czy to znaczy, że wszyscy znajdziemy się na lodzie?

– Tak.

Szybkim ruchem zwróciła do mnie twarz. Oczy jej rozświetlił na moment błysk przestachu, czystego przestachu. Następnie pochyliła się do przodu i dotknęła bezlotka Cooka.

– Zatem będę polegać na pańskim ptaku przynoszącym szczęście, kapitanie Wetherby – powiedziała ochryplym, pełnym napięcia głosem.

– Papierosa? – wyciągnąłem z kieszeni paczkę.

– Nie palę – przełknęła z trudem ślinę.

Sailhardy wskazał palcem.

– Wieloryb!

Nie mogła ukryć zmiany głosu, przechodząc do spraw związanych z jej zawodem. Wytrysk wody kolejnej potencjalnej ofiary urozmaicający bezmiar oceanu.

– Płetwal błękitny – skorygowała go.

– Wszystkie wielorybie fontanny wydają mi się jednakowe – wtrąci-  
łem.

– Nie są takie same – powiedziała, opanowując brzmienie głosu. –

Najłatwiej rozpoznać płetwała błękitnego. Pióropusz jego fontanny po-większa się, w miarę jak się wznosi. Fontanna *Fin Back's* jest wysoka i cienka. Wieloryba spermowego zdradza fontanna wyrzucana ukośnie.

Chce mu pan zrobić zdjęcie? – spytała. Nie czekała na odpowiedź, przy-nagłała. Oczy jej ożywiły się i po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że ta znakomita pilotka kryje w sobie osobowość. – Mam aparat fotogra-ficzny, nawet dwa. Wycygauiłam je od Japończyków, których przyniosło w zeszłym sezonie na wyspę Ongul. Jeden to fairchild K17C do zdjęć pionowych, drugi – Williamson F24 do zdjęć pod kątem.

Zaczęła zniżać śmigłowiec ku wielorybowi.

– Niech pani trzyma się kursu, stabilnie – powiedziałem automatycznie, załując tych słów już w trakcie mówienia.

Oczy jej przygasły.

– Kurs trzysta stopni – powtórzyła beznamiętnie.

Lecieliśmy jednostajnie przez następne dwie godziny. Helena milcza-

ła, całkowicie nieobecna. Wymienialiśmy z Sailhardym uwagi techniczne, a kiedy on poszedł sprawdzić, ile dodatkowego paliwa zabraliśmy w pojemnikach, zacząłem manipulować przy radiu. Okazało się jednak, że Pirow miał rację. Udało mi się jedynie złapać trochę jazgotu z amerykańskiej bazy w McMurdo. Po następnych dwudziestu minutach znaleź-

liśmy się na skraju obszaru, gdzie spodziewałem się znaleźć niszczyciel.

Dogoniliśmy część chmur burzowych i zacząłem się niepokoić, spoglą-

dając przez pleksiglasową szybę, co chwila przesłanianą. Sailhardy patrzył to w jedną, to w drugą stronę, rozglądając się za okrętem. Wiedzia-

łem, że go dostrzeże, jeśli tylko będzie to możliwe.

– Sytuacja robi się kłopotliwa – powiedziałem. – Jeśli utrzymamy wysokość, możemy przegapić okręt. Jeśli zejdziemy poniżej pokrywy chmur, stracimy przewagę, jaką nam daje wysokość: możliwość ujrzenia niszczyciela, zanim nas dostrzeże.

85

– Przez te kolory, pomarańczowy i czarny, rzucamy się w oczy jak chory kciuk – wtrącił Sailhardy.

– Obaj zapomnieliście o tym, że mają radar – zauważyła Helena.

– Nie – odrzekłem. – O niczym innym nie myślę, odkąd odpłynęli-

śmy z Tristana. Ale nie martwię się zbytnio: *Thorshammer* nie tropi nas tak, jak robiłbym to ja. Czyni to całkiem jawnie. Mam na myśli to, że nie zachowuje ciszy radiowej, tak jak nasza flota. Nie może wiedzieć, że mamy na pokładzie takiego eksperta jak Pirow. Gdyby nie było tu martwego obszaru dla radia, nie potrzebowalibyśmy odbywać tego lotu. Już wkrótce może się okazać, iż są na tyle blisko nas, że da się zrobić na-słuch radiowy. Co więcej, nie wiedzą, że mamy helikopter. Miklesen nie widział śmigłowca, a *Thorshammer* zbyt się śpieszył, odpływając z Tristana, by prowadzić rozmowy z Miklesenem. Prawdę mówiąc, nie wiemy nawet, czy zakotwiczył przy wyspie.

– Ale muszą używać radaru; byliby głupi, gdyby tego nie robili –

odparła Helena.

– Wkrótce poproszę panią, żebyśmy zesзли tuż nad powierzchnię morza i spróbuję dokonać nasłuchu radiowego – zakomunikowałem. –

Jak pani wie, radar nie może niczego złapać na poziomie zerowym, więc nie wykryją nas. Jesteśmy prawie nad obszarem, gdzie spodziewam się znaleźć niszczyciel. Z pewnością nie przypuszczają, że go szukamy.

– Bruce! – krzyknął Sailhardy – Okręt! Na zielonej trójce!

– Schodzimy! – poleciałem bez namysłu. – Zejdźmy nad morze, szybko!

Niczego nie widziałem i kiedy śmigłowiec szedł w dół z prędkością windy, próbowałem coś dojrzeć w miejscu, które wskazał wyspiarz.

– Nic nie widzę – powiedziała Helena.

Znałem bystrość wzroku Sailhardy'ego.

– Jak jest daleko twoim zdaniem?

– Przy takiej pogodzie jak dziś widzę na czterdzieści mil – odpowiedział. – Dojrzałem błysk.

Morze zbliżało się na spotkanie ze śmigłowcem. Muskaliśmy wierzchołki fal. Na tej minimalnej wysokości mogliśmy ocenić rozmiary bał-

wanów, które jeszcze parę minut temu wydawały się nam płaskie. Oczy Heleny nabrały od nich koloru bladoturkusowego, nakrapianego ciemno-rudym.

Próba namierzenia niszczyciela radiem okazała się zadaniem niewykonalnym. Może Pirow zdołałby coś zrozumieć z drażniącego mi uszy jazgotu, ja jednak nie byłem w stanie choćby zidentyfikować *Thorshammera*.

86

Po pięciu minutach dałem za wygraną i wróciłem na fotel pilota. Sailhardy wyciągał szyję, żeby coś zobaczyć. Oceniłem wszakże, że znajdowaliśmy się na wysokości nie większej niż wysokość przeciętnego bocianiego gniazda. Wprawdzie poniżej porozdzieranej pokrywy chmur było jasno, ale horyzont był zamglony po sztormie, co ograniczało za-sięg nawet bystrego wzroku Sailhardy'ego do jakichś piętnastu kilometrów.

– Myślę, że muszą być jakieś zaburzenia słoneczne, zakłócające działanie radaru w martwej strefie radiowej Bouveta – powiedziałem. –

Można się zatem spodziewać, że radar *Thorshammera* jest raczej bezużyteczny.

– Lecąc tym kursem będziemy nad nim za niecałe pół godziny –

oznajmiła Helena. – Pod warunkiem, że to co widział Sailhardy, to był

*Thorshammer*.

– To był okręt – zapewnił wyspiarz.

– Po prostu muszę znać jego kurs – powiedziałem. – W obecnych warunkach jest tylko jeden sposób, by go zidentyfikować. Obserwacja!

– Lód na prawo przed nami – zameldował Sailhardy.

Helena przytaknęła ruchem głowy.

– Ot, rupieciarnia. Nic naprawdę dużego, jest jednak trochę sporych gór lodowych.

Nawet z niewielkiej wysokości, na której się znajdowaliśmy, widać było długą linię połamanego, rozwleczonego przez sztorm lodu posuwającego się w ordynku kolumnami pchanymi przez wichurę.

– Spójrzcie – powiedziałem. – Oto jak będziemy obserwować *Thorshammera*.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Sailhardy.

Prostota pomysłu rozbawiła mnie.

– Podkradniemy się śmigłowcem na stosunkowo niedużą odległość do *Thorshammera* – odparłem. – Wtedy usiądziemy na jednej z większych gór lodowych po stronie niewidocznej z niszczyciela. Tam może-my poczekać i zaobserwować, jak przepływa.

Helena zagryzła wargi.

– To się nie uda, kapitanie Wetherby. Z tak niewielkiej odległości musieliby nas złapać radarem.

Potrząsnąłem głową.

– Wiem i bez Pirowa, że nawet w sprzyjających warunkach bardzo trudno uzyskać echo radarowe góry lodowej, szczególnie tak wyglądo-nej przez burzę jak te. Nawet góra nie pojawi się na ekranie, nie mówiąc już o nas.

87

Spojrzała na mnie. Byłem zaskoczony, widząc udrękę w jej oczach.

– Ależ nie. Jestem pewna, że *Thorshammer*...

Sailhardy zdumiał się jej reakcją.

– To nic wielkiego, psze pani, posadzić helikopter na lodzie. Po tym, jak nas pani wyratowała...

Poruszyła tak gwałtownie sterami, że przez moment zdawało mi się, iż dosięgnie nas wierzchołek fali. Szybko oddychała.

– Wszędzie mogę wylądować, ale... ale...

Nie mogłem jej rozgryźć. Nie rozumiałem obawy przed posadzeniem śmigłowca na stabilnej w końcu platformie niewielkiej góry lodowej, gdyż nie było to absolutnie kłopotliwe dla pilota o takich umiejętno-

ściach. Odrzuciłem myśl, że te opory mogą być związane z podejrzeniami, jakie żywiłem wobec jej ojca. Jak dalece była wtajemniczona w jego plany, jakiegokolwiek były? Nie powiedziała też niczego, co pozwalałoby przypuszczać, iż zna przeszłość Pirowa.

– Jeśli pani się obawia... – zacząłem.

Niesamowite oczy ożywiało cierpienie wewnętrzne.

– Nie obawiam się lądowania – doszła do siebie, ale widziałem kro-pelki potu wydobywające się spod skórzanego hełmu. Przełknęła z trudem ślinę. – Na której?

Spojrzałem na Sailhardy'ego. Nie przejmował się jej wzburzeniem.

– Chyba jeszcze nie, Bruce?

– Za dziesięć minut? – spytałem, a on skinął głową.

Helena poprawiła się w fotelu. Nie odzywała się i nie patrzyła na nas.

Była blada i wymizerowana. Tak bardzo napięta, że zastanawiałem się, czy nie powinienem zrezygnować z całej operacji. Czy można było pozwolić jej lądować w takim stanie nerwów? Ale chodziło o zbyt wysoką stawkę, by się teraz wycofywać. Lodowa rupieciarnia zgęstniała, kiedy nad nią nadlecieliśmy. Podziwiałem umiejętność, z jaką Helena lawirowała pomiędzy górami lodowymi, utrzymując maszynę tuż nad falami.

Wierzchołki niektórych z większych sterczały z dziesięć metrów nad pułapem naszego przelotu. Zobaczyłem taką, jaka nam była potrzebna –

szeroką i płaską, z małym płaskowyżem o łagodnym stoku od naszej strony, z wypiętrzoną wierzchołkiem. Śmigłowiec mógł usiąść na płaskiej części, wzniesienie zaś nadawało się do śledzenia niszczyciela.

– Tam! – wskazałem palcem.

Helena leciała dalej prosto, jakby mnie nie słyszała. Posuwaliśmy się majestatycznie ku coraz bliższemu lodowi. Płaskowyż był bardziej 88

stromy, niż oczekiwałem. Kropelki potu kapały jej z czoła na skórzaną kurtkę lotniczą. Pociągnęła stery. Leciutko podnieśliśmy się i zatrzymaliśmy. Następnie, niczym mucha do ściany, przywarliśmy do małego płaskowyżu.

– Wspaniale! – powiedziałem. Urwałem na widok jej twarzy.

Było na niej przerażenie. Oczy wlepiła w lód. Ręce jej drżały, niemal nie panowała nad nimi po zamknięciu przepustnic. Silnik ucichł.

– Pszepani! – krzyknął Sailhardy. – Co się stało, pszepani?

Zrozumiałem bardziej, niż wyczułem, nowe niebezpieczeństwo.

Śmigłowiec zaczął ześlizgiwać się do tyłu, ku morzu znajdującemu się kilka metrów pod nami. A Helena siedziała bez ruchu, jak sparaliżowana.

– Włącz silnik! – wrzasnąłem. A ona siedziała, patrząc bez wyrazu.

Odwróciłem się do Sailhardy'ego. – Szybko! Schwyć jedno koło, ja zła-pię za drugie. Razem go zatrzymamy.

Wydostaliśmy się z kabiny i schwyciliśmy za podwozie. Maszyna by-

ła lżejsza, niż sądziłem. Zapierając się obcasami w lód, utrzymaliśmy śmigłowiec na płaskowyżu.

– Panno Upton! – zawołałem. – Na miłość boską!

– Co się jej, u diabła, stało? – zapytał Sailhardy.

– Zesztywniała ze strachu – odparłem. – Czemu, nie mam pojęcia.

Czy dasz radę sam utrzymać helikopter?

Spróbowałem rozluźnić chwyt, ale śmigłowiec zaczął się obracać.

Musieliśmy trzymać go obaj na miejscu.

– Panno Upton! – darłem się, podpierając barkiem podwozie na wpół klęcząc, na wpół kucając, żeby zajrzeć do kabiny przez drzwi huś-

tające się na wietrze.

– Spróbuj ją zawołać po imieniu – dyszał ciężko Sailhardy. – Może to ją ocknie.

– Heleno! – zawołałem. – Heleno!

Zapomniałem w tym momencie, że nie może szybko wydostać się z fotela. Minęły chyba ze trzy minuty, zanim się pojawiła w otwartych drzwiach kabiny. Rozejrzała się dookoła, jak lunatyczka. Wydawało się, że nas nie dostrzega. Jej oczy, pełne udręki, nabierały zielononiebieskie-go odcienia lodu.

– Heleno! – powiedziałem ostro. – Weź się w garść. Nie ma niebezpieczeństwa.

Spojrzała na mnie bez słowa.

89

– Weź się w garść – powtórzyłem. – Możemy go tu bez większego kłopotu utrzymać. Bierz moją lornetkę i wdrap się na wierzchołek. Weź

ze sobą kompas i podaj mi cztery czy pięć namiarów. *Thorshammer* musi być już całkiem blisko.

Weszła do środka jak automat i wróciła z moją lornetką dyndającą na przegubie. Przyglądała się lodowi. Miała trupa twarz.

– Uspokój się! – powiedziałem. – Trochę jest zimno, ale nie ma powodów do zmartwienia.

Potknęła się niezdarnie, zachwiała i padła na kolana. Pochyliła się, przykładając twarz do lodu. Wstrząsnął nią konwulsyjny szloch. Powoli zsuwała się w moim kierunku. Schwyciłem ją przy kole.

– Heleno! – powtórzyłem. – Cóż na ziemi...

Leżała, trzymając głowę na lodzie.

– Cały kłopot z tym, że nie na ziemi – wyrzuciła z siebie urywanym głosem. – Zmusił mnie pan do lądowania na lodzie.

Czy pan słyszy? Na lodzie!

– Cóż za znaczenie ma w tym wypadku lód?

Ciągle nie podnosiła głowy.

– Mówiłam panu, że mam w biodrze kulę, niemiecką kulę.

– Mówiła pani – odparłem. – Ale nie mogę zrozumieć, w jaki sposób kula może powodować, że załamuje się pani, widząc lód.

– Przez trzy dni leżałam ranna w rowie, w lodzie i śniegu – wyznała.

– Ja żyję, ale on umarł. Prosiłam Boga, żebym też umarła!

– Posłuchaj – powiedziałem. – Jesteś kompletnie załamana. Trzeba coś zrobić z lodem i niemiecką kulą. Będziemy o tym pamiętać. Ale tymczasem wdrap się na górę i zrób parę namiarów *Thorshammera*.

Usiadła. Wyglądała upiornie. Spoglądała na przemian na Sailhardy'ego i na mnie.

– Wszystko w waszym świecie jest proste, nieskomplikowane. Choć żaden z was nie rozumie, muszę jednak to powiedzieć. Nawet ojciec nie wie o kuli i się nie dowie. Uważa mnie za doskonałego pilota, na którym można polegać w każdych okolicznościach. Nie wahał się wysłać mnie w sztorm, żebym was znalazła. Wiedział, że was znajdę. I zrobiłam to.

Ja...

– Co to ma wspólnego z lodem? – spytałem łagodnie. Choć udrę-

czona, jej twarz bez makijażu była jakoś piękna w tym ożywieniu. Prawą kość policzkową, którą dotykała lodu, miała zaróżowioną. Musiałem spróbować skłonić ją do wejścia na górę i zaobserwowania *Thorshammera*.



– Kiedy Niemcy napadli Norwegię, byliśmy wraz z bratem w Sztokholmie, gdzie ojciec zajmował się eksperymentowaniem z metalami – właśnie wtedy stało mu się to z twarzą – powiedziała, stopniowo opanowując głos. – Wyjeżdżaliśmy w dwóch grupach. W jednej ja z bratem, a w drugiej ojciec z paroma Norwegami, którzy zabrali nas do Trondheim. Wciąż były tam brytyjskie okręty. Nasza grupa natknęła się na niemiecki patrol narciarski. Robiło się ciemno. Pamiętam, że oboje zbiegaliśmy po nie kończącym się zboczu. Strzelano do nas z pistoletu maszynowego. Mnie trafiono w biodro, jego w pierś. Umierał przez dwa dni. Leżeliśmy zwaleni na kupę w rowie, w lodzie i śniegu, a życie z niego uchodziło. Tylko od czasu do czasu byłam przytomna. W pięć dni później obudziłam się w jakimś norweskim domu. Wdała się gangrena.

Lekarz walczył przez parę tygodni, żeby mnie uratować. Kiedy już wy-dobrzałam, przerzucono mnie do Anglii. Na dzień przed moim tam przybyciem, moja matka zginęła podczas nalotu.

Twarz jej drgała nerwowo. Usiadła wyprostowana i patrzyła na mnie.

– Lód mnie przeraża.

– Zatem co robisz w Antarktyce, przecież nie musisz...

Przerwała mi gwałtownie.

– Muszę koniecznie. Jak pan myśli, dlaczego latam helikopterem w takich warunkach, kiedy mogłabym prowadzić przyjemne, wygodne życie w Londynie? Plany mojego ojca dały mi szansę, której potrzebuję, by zwalczyć w sobie lęk przed lodem. Jest w nim coś, co sprawia, że odczuwam go zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Muszę nad nim zapanować. Jestem jedyną kobietą pilotem w Antarktyce. Latam nad lodem, krążę nad nim stopniowo coraz bliżej i bliżej, za każdym razem przeżywam piekło, ale mam też poczucie zwycięstwa nad sobą. Do dzisiaj udawało mi się. Ale nigdy dotychczas nie odważyłam się wylądować na lodzie. Nie byłam jeszcze gotowa.

Ześlizgnęła się po lodowej pochyłości prosto na mnie. Wolną ręką podniosłem lornetkę i wręczyłem jej.

– Tu masz nową sposobność do sprawdzenia się.

Przez chwilę myślałem, że się cofnie. Usiadła.

– Nie uszedł mej uwagi sposób, w jaki patrzył pan na moje dłonie –

uśmiechnęła się blado. – Widzi pan, że wszystko zaniedbuję, zwalczając to uzależnienie.

Rozejrzała się dookoła, jakby widziała wszystko po raz pierwszy.

– Nic dziwnego, że ojcu łatwo się udało włączyć mnie do swoich planów.

Wskazałem ruchem głowy lornetkę.

– To może być właściwy klucz.

Próbowała wstać, ale nie udało jej się. Wtedy oparła się ciężko na moim ramieniu i stanęła na nogach.

– Czy to jest specjalna lornetka do patrzenia w ciemności, Bruce?

Zaczęła się oddalać, ale Sailhardy zawrócił ją.

– Kompas, pszepani. Lepiej, żeby nie musiała pani się po niego wracać. Wystarczy raz wdrapywać się na górę.

Zatrzymała się i spojrzała na nas, zapartych i trzymających śmigłowiec.

– Dziękuję ci, Bruce, i tobie dziękuję, Sailhardy – powiedziała powoli. – Jest jeszcze wiele rzeczy poza lodem na wodach południowych.

Powoli, z trudem, w fizycznej i psychicznej udręce, której mogliśmy się tylko domyślać, wdrapała się na wierzchołek góry lodowej. Kiedy dobiegł nas jej głos przy podawaniu pierwszego namiaru, był tak bezbarwny jak śpiew gregoriański.

– *Thorshammer*, pozycja osiem-zero stopni, osiem mil.

Co pięć minut podawała nowe namiary. Po półgodzinie zeszła z powrotem do nas. Była blada, ale po raz pierwszy, odkąd ją poznałem, zobaczyłem ożywienie w jej oczach.

– Uruchomię silnik i możecie wracać na pokład – powiedziała i za-

śmiała się cicho. – Ładny mi pilot! Cieszę się, że nie miałam poza wami innych świadków.

Włączyła silnik, wirniki zaczęły się obracać. Śmigłowiec delikatnie dotykał lodu, kiedy wspinaliśmy się do jego wnętrza. Daliśmy *Thorshammerowi* jeszcze cały kwadrans, zanim ruszyliśmy z powrotem ku naszej flocie pomiędzy górami lodowymi na pułapie zerowym. Kiedy już byliśmy pewni, że znajdujemy się poza zasięgiem radaru niszczyciela, zwiększyliśmy wysokość. Chociaż Helena milczała, napięcie ustąpiło.

Kilka razy pochyłała się, by pogłaskać Suzie Wong uczeponą półki kompasu, i powiedziała coś, czego nie zdołałem usłyszeć poprzez ryk wirników.

Pierwszy dostrzegł naszą eskadrę Sailhardy. Kiedy schodziliśmy, zataczając szerokie koło, ku statkowi przetwórci, nagle stał się czujny i oznajmił:

– Bruce! *Aurora*! Spójrz, tuż za mostkiem.

Dwie bliźniacze lufy wycelowane były w niebo.

– Walter pływał z konwojami do Rosji – oświadczył.

Ponuro kiwnąłem głową.

– Nic dziwnego, że przeżył. Chciałbym zobaczyć z bliska, co Pan Krwawy Walter sobie zainstalował. Możesz mi to umożliwić? – spyta-

łem Helenę.

Kiwnęła głową. Przeleciała parę metrów nad lufami działka przeciwlotniczego. Był to najbardziej morderczy sprzęt, jaki kiedykolwiek widziałem. Ciężkie, powolnie strzelające, chłodzone wodą działko Spandau zamontowane było obok szybkostrzelnego, chłodzonego powietrzem działka przeciwlotniczego marki Hotchkiss. Od płyty podstawy na wysokość klatki piersiowej mężczyzny wznosiła się ciężka maszyna obrotowa: przyśrubowane do niej na sześciokątnej płycie z przodu i z tyłu dwa kły narwała tworzyły łuk wznoszący się w najwyższym punkcie na blisko metr. Działka obracały się na poprzecznej belce. Każde miało własną uprząż, przypominającą samochodowe pasy bezpieczeństwa.

Była to zabójcza broń z dwuosobową obsługą. Sternik pokiwał nam przyjaźnie ręką. Nigdzie nie było widać Waltera.

Spojrzeliliśmy po sobie z Sailhardym. Nie trzeba nam było słów. Artyleria przeciwlotnicza potwierdzała nasze najgorsze przypuszczenia. A kluczem musiała być mapa.

Jakby czytając w moich myślach, Sailhardy cofnął się, by nie mogła zobaczyć go Helena. Sięgnął do wiatrówki, gdzie ukrywał mapę i spojrzał na mnie pytająco. Kiwnąłem głową. Upton nie miał prawa znaleźć jej przy którymś z nas, gdyby użył przemocy. Sailhardy rozejrzał się badawczo. Za fotelem Heleny obicie odstawało od wewnętrznej powierzchni kabiny. To było najlepsze, co mogliśmy zrobić. Za kilka minut mieliśmy już być na dole. Sailhardy precyzyjnie przesunął się poza moimi plecami i wsunął złożony kawałek pergaminu za obicie.

Wylądowaliśmy. Poszliśmy z Sailhardym do mojej kabiny. Nie by-

łem zbytnio zaskoczony widząc tam Uptona, Pirowa i Waltera. Pomieszczenie zostało przeszukane. Walter trzymał w ręku parabellum.

6.

# Mapa kapitana Norrisa

Byłem pewny, że pistolet należał do Pirowa, chociaż to Walter wymierzył go w moją pierś. Pirow klęczał przy moim mapniku. Spojrzenie Uptona było twarde i jasne, jakby znajdował się pod działaniem guarany.

Mówiłem szybko, żeby odwrócić uwagę Waltera i umożliwić Sailhardy'emu rzucenie się na niego.

– A więc Norris sondował Kotwicowisko Bollevika? – drwiłem. –

Tereny łęgowe płetwala błękitnego, ba! Płetwa grzbietowa płetwala błękitnego!

Wyczułem, że Sailhardy skoczył. Rzuciłem się z boku na Waltera.

Huk strzału ogłuszył mnie. Zadałem mu wściekły cios w nerki. Ciężko dyszał, ale był silny i zręczny. Uchylił się przede mną i wystrzelił ponownie, kiedy Sailhardy chwycił go za rękę. Pocisk przeraźliwie zaświstał, odbijając się od stalowej ściany. Walter pochylił się, chwycił kawał

ołowiu, którym obciążałem moje sieci na plankton, i grzmotnął nim wyspiarza w serce. Sailhardy upadł. Wtedy potężny Norweg ruszył pochylony na mnie z pistoletem w jednej ręce, a ołowianym obciążnikiem w drugiej. Z całej siły uderzyłem go przedramieniem w prawe ucho. Usłyszałem szczęk broni, ale w tej samej chwili ktoś mnie podciął. Pirow, sukinsyn – pomyślałem. Poczułem, że po lewej stronie twarzy ześlizgnął

mi się cios Waltera, zadany ciężarkiem. Znalazłem się, obolały okrutnie, na podłodze. Pirow chwycił parabellum. Zobaczyłem, że marynarski but Waltera podnosi się, by mnie kopnąć, ale nie miałem siły uchylić się.

Upton go powstrzymał.

– Przestań, Peter – rozkazał. – Jest nam potrzebny.

– Mam w dupie brytyjskiego kapitana, który fauluje jak wielorybnik z Georgii Południowej – odparł ochryple Walter, masując sobie szyję. – I tego jego cholernego wyspiarza. Pozwól mi ich obu wykończyć, na pewno przy którymś z nich znajdziemy mapę.

94

– Ten w każdym razie wydaje się wiedzieć – powiedział Pirow.

Trzymał mnie na muszce.

– Wstawaj, Wetherby – warknął Upton. Pierwszy raz nie nazwał

mnie po imieniu. – Przeszukaj go, Peter. A jeśli jej nie ma, wtedy wyspiarza.

Łapy Waltera grzebały w moim ubraniu, podczas gdy Pirow celował

do mnie z pistoletu. Szyper skończył mnie rewidować i zajął się brutalnie nieprzytomnym Sailhardym.

– Nie mają jej przy sobie – oznajmił. – Jest gdzieś tutaj. Musi być.

Upton chwycił mnie za klapy kurtki. Sytuacja była groźna, ale i jakoś zabawna. Choć nigdy dotychczas o tym nie rozmawialiśmy, każdy wiedział bez słów, o co chodzi.

– Gdzie mapa kapitana Norrisa? Gadaj, człowieku!

Wskazałem ruchem głowy mapnik.

– Tam.

– Tam jej nie ma – wtrącił się Pirow. – Wszystko przejrzałem. On kłamie.

– Pewnie, że łże – warknął Upton. – Ja też bym kłamał, gdybym miał coś tak bezcennego jak oryginalny dziennik pokładowy Norrisa i mapa Wyspy Thompsona.

– Wyspa Thompsona! – zawołałem. – Jest tam, na mapie.

Okropny różowy rumieniec oblał cynową twarz. Byłem osłabiony ciosem Waltera, ale mimo to zaskoczyła mnie demonstracja niemal ma-niackiej siły przez Uptona. Potrząsnął mną jak szczurem.

– A więc, niech diabli wezmą Wetherbych i ich tajemniczego kapitana Norrisa – warknął. – Klnę się na wszystko, że dostanę dziennik okrętowy i mapę trasy *Sprightly!* Oby ten Norris nie wyjrzał z piekła!

Za to, że sfalszował – chyba że zrobił to twój beznadziejny John Wetherby – kopię mapy dla Admiralicji. Jest bezużyteczna, jak powszechnie wiadomo. Potrzebny mi oryginał Norrisa. Ty go masz i, klnę się na Bo-ga, muszę go mieć. Za każdą cenę, rozumiesz? Za każdą cenę!

Odtworzyłem sobie w myślach mapę. Znałem ją we wszystkich, najdrobniejszych szczegółach. Nie było tam dosłownie niczego, co mogło-by przedstawiać jakąkolwiek wartość dla człowieka pokroju Uptona.

Musiał mieć jakieś inne, komplementarne w stosunku do mapy źródło informacji o Wyspie Thompsona. Musiałem się dowiedzieć, co to za źródło.

95

– Rozbiorę ten statek na drobne kawałki, a znajdę mapę – ciągnął z furią Upton. Wierzyłem mu. Napierał na mnie.

– Pokażesz mi drogę na Wyspę Thompsona?

Unikałem jednoznacznej odpowiedzi.

– A skąd miałbym wiedzieć, gdzie ona jest?

– Masz mapę Norrisa, a na niej jest prawdziwe położenie Wyspy Thompsona.

Widziałem błąd w rozumowaniu Uptona. Jedyne ja wiedziałem, że mapa kapitana Norrisa jest bezcenna tylko w pewnym sensie. A także to, że nikt poza mną nie znał sekretu zaginionej wyspy. Musiał go znać także Kohler; Pirow najwidoczniej nie.

– Zaprowadzisz mnie na Wyspę Thompsona według mapy? – pytał

chrapliwie Upton. Nawet Walter lękał się jego gniewu.

– Nie.

– Nie? – powtórzył. – Zobaczymy. Walterze! Weź się za wyspiarza.

Wiesz, co robić.

Szyper kopnął buciskiem Sailhardy'ego w twarz. Pirow stał i szczyrzył zęby w uśmiechu. Walter podniósł nogę, by zadać następny cios.

Mapa Norrisa – bez mojej pomocy – nie była warta narażania życia wyspiarza. Było oczywiste, że Upton traktuje go jako zakładnika.

– Stój! – krzyknąłem. – Zaczekaj!

– Gdzie ona jest? – domagał się odpowiedzi Upton.

– Walter – powiedziałem łagodnie. – Uważaj, żeby nigdy nie spotkać się ze mną bez świadków, zwłaszcza jeśli będę miał przy sobie nóż do ćwiartowania wielorybów. Zapamiętaj to sobie!

Widać było, że zwalisty szyper zaniepokoił się. Natomiast Upton rozwścieczył. Pomyślałem, że ciągle jeszcze mogę się od niego dowiedzieć, co takiego wie o Wyspie Thompsona, czego ja nie wiedziałem.

– Zabiorę cię na miejsce odnotowane na mapie pod warunkiem, że powiesz mi, czego tam szukasz – powiedziałem. – Możemy ubić interes.

Wiedziałem z góry, ile on na tym zyska – parę kilometrów kwadratowych otwartego morza. Tyle samo by zyskał, wierząc mapie, bez mojego udziału. Pomyślałem sobie z ironią, że właściwie jestem niemal w sytuacji, w jakiej był stary John Wetherby, kiedy odkrycie Norrisa stało się światową sensacją – z tą różnicą, że obecnie stawką było życie moje i Sailhardy'ego. John Wetherby sfalszował mapę, bo domagała się jej Admiralicja. Znając oryginał, ciągle wiedział więcej od innych. A teraz ja

i nigdzie to nie zostało zapisane, wyłącznie w mojej głowie. Mogłem więc przystać na to, by oryginalna mapa dostała się w ręce Uptona. Tę fałszywą w Admiralicji widział bez wątpienia.

– Żadnego interesu – warknął Upton. – W mniej ważnych sprawach możemy, ale nie w tej. Decyduj się natychmiast. I pamiętaj o bucie Waltera. Ostatecznie, czy to ma jakieś znaczenie, jeśli będzie mniej o jednego wszawego wyspiarza?

– Albo o jednego Bruce'a Wetherby'ego? – starałem się zyskać na czasie.

Upton parsknął śmiechem.

– W zasadzie tak. W praktyce trudniej pozbyć się faceta z Royal Society niż jakiegoś nieznanego wyspiarza.

Walter wyszczerzył zęby.

– Na statkach przetwórniciach dochodzi do wszelkiego rodzaju wypadków z różnymi urządzeniami mechanicznymi czy nożami. Strach pomyśleć...

Przyjrzał się zmasakrowanej twarzy Sailhardy'ego.

– Któż mógłby poznać, czy tę twarz zgruchotał but, czy spadający blok okrętowy?

– Jeśli to kwestia pozbycia się jednego ciała albo dwóch... – zacząłem.

– Zamknij się! – warknął Upton. – Przestań cyganić. Albo dostanę mapę, albo...

Pokazał gestem nieprzytomną postać na podłodze.

– Jest w kabinie helikoptera – powiedziałem. – Schowana za obicie w pobliżu fotela pilota.

– Niech się Bóg zlituje nad tobą, jeśli łżesz – rzekł Upton. – Walter, idź tam, szybko! Przynieś ją tutaj!

Kiedy Norweg wyszedł, obaj z Pirowem cofnęli się do wejścia. Pirow trzymał wymierzony we mnie pistolet. Czuję się jak samiec wieloryba pokonany w podwodnym pojedynku.

– A więc cała ta sprawa z płetwalem błękitnym to był blef? – zapytałem powoli.

Upton odzyskał już częściowo zimną krew.

– Nie całkiem. Nie całkiem.

– Czemu zatem, u diabła, jeśli chodzi ci o Wyspę Thompsona, cią-

gniesz ze sobą cztery kutry, a nawet chciałeś pięć? Tego nie mogę pojąć.

97

Na czym polega przekleństwo związane z Wyspą Thompsona? John Wetherby zmarł z jej imieniem na ustach; Norris i jego słynna *Sprightly* zaginęli bez wieści na otaczającym wyspę bezmiarze oceanu; Joseph Fuller utonął w pobliżu latarni morskiej; Francis Allen zaginął w lodach wraz ze statkiem noszącym jego imię. Teraz doprowadziła niemal do obłędu i morderstwa wielorybniczego potentata, któremu przecież odkrycie jej na nowo nie mogło przynieść korzyści. Czemu miało to dla niego takie znaczenie, że gotów był zwalczyć wszelkie przeszkody?

– Bajeczka o płetwalu błękitnym stanowiła idealną przykrywkę –

wyjaśnił. – Pamiętasz fregaty Nelsona przed Trafalgarem? Mnie również był potrzebny sznur okrętów. Miały być moimi oczami na wodach wokół

Bouveta, w czasie poszukiwań Wyspy Thompsona. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że masz mapę.

– Gdyby Nelson dysponował helikopterem, nie musiałby posługiwać się sznurem fregat – odparłem.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– *Touche*. Ale ja czytałem rozprawę Kohlera o warunkach atmosferycznych na Bouvecie. Jeśli nie ma diabelnej wichury, jest mgła; a jeśli nie ma mgły, to całkowite zachmurzenie; a jeśli nie ma całkowitego za-chmurzenia, morze nie nadaje się do żeglugi. Parę lat temu przelatywał

w pobliżu Bouveta helikopter wysłany przez kuter amerykańskiej straży przybrzeżnej. Zgubili go, choć był cholernie blisko, a zaledwie pół godziny przebywał w powietrzu. Zresztą, nie muszę ci mówić o pogodzie na Bouvecie.

– Skoro nie wiedziałeś, że mam mapę Norrisa, czemu mnie w to wciągnąłeś?

– Nie mogłem nawet wyłudzić od Admiralicji twojego tajnego raportu o zatopieniu *Meteora* – powiedział. – Ale wiem, że wchodząc do akcji, widziałeś ład. Kiedy dowiedziałem się, że masz mapę, raport naturalnie stał się zbyteczny. Był w istocie tym samym.

Odwróciłem wzrok, żeby się nie zdradzić. Niech myśli dalej, że obie rzeczy są tym samym! W ten sposób nigdy nie znajdzie Wyspy Thompsona. Jeśli w dalszym ciągu będzie traktować nas z Sailhardym jako zakładników, to moja wiedza może uratować nam życie.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Starali się wejść przez nie jednocześnie Walter i Helena. Walter triumfalnie trzymał złożoną mapę. Prawą rękę miał umazaną krwią.

98

Helenie zaparło dech, kiedy zobaczyła Sailhardy'ego na podłodze.



Spojrzała z niedowierzaniem na Pirowa, na pistolet i na mnie. Zarumieniła się z gniewu.

– Co tu się dzieje, tatusiu...? – wskazała na Waltera, mówiąc gwał-

townie. – Jakim prawem ten prostak wdziera się do mojej kabiny i niszczy wyposażenie jak szaleniec? To mój helikopter i ja tam rządę. Podarł

mi obicie... Bruce, Bruce! On zabił Suzie Wong!

– Walter, ty sukinsynu! – powiedziałem.

– Któż to jest, u diabła, Suzie Wong? – dopytywał się Upton.

– Moja maskotka, ptak. Ten bałwan go zabił! – powtórzyła. – Jakim prawem...

Skręciłem temu cholerstwu szyję – oświadczył Walter. – Nie ma o czym mówić. Nafrunęło na mnie, kiedy szukałem mapy.

Upton zdawał się jej nie słyszeć. Stał, zafascynowany pergaminem trzymanym przez Waltera.

– Wynoś się! – powiedział jej szorstko. – Wynoś się! Jakiś nędzny ptak nie ma znaczenia. Ani życie, w zestawieniu z tym!

Wziął mapę z rąk Waltera.

– Wynoś się! – powtórzył. – Jeśli masz zamiar oplakiwać swego ptaka, to zrób parę kółek tym swoim drogocennym helikopterem. To ci pomoże ochłonać.

Helena cofnęła się, oszołomiona jego wybuchem. Ja również byłem wstrząśnięty jego egotyzmem. Zawróciła do drzwi.

– Właśnie dokładnie to zrobię – rzekła ze spokojnym gniewem. –

Nie wiem, do czego zmierzacie, ale pamiętaj, że byłam świadkiem tej małej sceny, choćby nikt inny z załogi jej nie widział.

Trzasnęła drzwiami, ale nie sądzę, by Upton to w ogóle zauważył.

Nie minęła minuta, jak usłyszałem, że śmigłowiec startuje. Upton rozło-

żył mapę. Następnie postukał palcem w małe kółeczko oznaczając miejsce, w którym zaczynała się trasa żeglugi *Sprightly*.

– Wyspa Thompsona! Wyspa Thompsona!

Zwrócił się do mnie. Furia mu minęła, a oczy miał chyba bardziej promienne. Nie potrafił zapanować nad dłońmi. Wskazał na róg pergaminu, gdzie na marginesie znajdowała się notatka.

– Listopad-grudzień tysiąc osiemset dwudziestego piątego roku.

Dziennik pokładowy i trasa *Sprightly!* – wyszeptał. – Wyspa Thompsona!

Pirow obszedł go dookoła, cały czas kierując na mnie lufę pistoletu.

99

– Jest tu i Bouvet. A także wyniki sondaży Kotwiczowiska Bollevika.

Upton z trudem, powoli odcyfrowywał pismo Norrisa.

– Trzynastego grudnia tysiąc osiemset dwudziestego piątego roku:

„O GODZ. 2 PO POŁ. ZOBACZYŁEM MAŁĄ WYSEPKĘ NA KIERUNKU W

W ODLEGŁOŚCI 6 MIL. TRZY SKAŁY W ZGRUPOWANIU NA NW, JESZCZE JEDNA SKAŁA  
NA NW PRAWIE NA POZIOMIE WODY. NAZWALI-

ŚMY JĄ WYSPĄ THOMPSONA. LEŻY NA NNE O 15 MIL OD WYSPY

BOUVETA. TRZY SKAŁY NAZWALIŚMY CHIŃCZYKAMI, NA SE 4 LUB 5

MIL OD WYSPY THOMPSONA, A POZOSTAŁĄ MAŁĄ SKAŁĘ O 3 MILE

NA POŁUDNIE OD NICH”...

Milczał długo.

– A więc to tam jest Wyspa Thompsona! – wykrzyknął na koniec. –

Piętnaście dawnych mil, czyli czterdzieści pięć mil morskich na północno-północny wschód od Bouveta!

Przez następne pół godziny Upton popadał w długie milczące zadu-my, jakby zapominając o obecnych, przerywane od czasu do czasu potokiem słów. Właśnie wtedy naszły mnie po raz pierwszy poważne wątpliwości co do stanu jego umysłu. Nie ośmielaliśmy się mu przeszkadzać. Słysząc było jedynie nieprzytomne pojękiwania Sailhardy'ego.

W pewnym momencie zastanawiał się nad pergaminem.

– Boże! Pomyślcie tylko, ta mała *Sprightly* wychodzi o godzinie drugiej z mgły i natyka się na wyspę! Teraz już moją wyspę!

I znowu popadł w długie milczenie, jakby rozpamiętując odkrycie dokonane przez Norrisa.

Potem zwrócił się do mnie. Oczy mu płonęły. Chwycił mnie za ramię, całkowicie przejęty tym, co się rozgrywało w jego wyobraźni.

– Powiedz mi, chłopie, czy ona rzeczywiście tak wygląda, jak podaje Norris – mała i niska? Czy można by ją w ogóle pomylić z Wyspą Bouveta, która składa się z klifów i szczytów? Jak ci się wydaje? Powiedz mi!

– Nie można – odparłem. – Widziałem Wyspę Thompsona. Jestem jedynym żyjącym człowiekiem, który ją widział.

Popatrzył na mnie w zadumie.

– Jedynym żyjącym – powtórzył.

Pamiętałem lód, brudnoszare niebo, całun mgły. To, co następnie powiedział Upton, spotęgowało moje wątpliwości co do stanu jego umysłu. Wodząc palcem w nabożnym skupieniu po trasie, którą dawny 100

statek poławiaczy fok przepłynął obok Wyspy Thompsona i sąsiadujących z nią skał, wyszeptał:

– Niebiański błękit, niebiański błękit...

Głośnik nad moją koją ożywił się z lekkim trzaskiem.

– Tu mostek! Tu mostek! Sir Fredericku! Przekazujemy panu wiadomość radiową.

Upton był dokładny. Pozostawił na mostku informację, że będzie w mojej kabinie, aby nie tracić kontaktu w czasie rewizji.

Kiedy usłyszałem głos Heleny, świadczący o tym, że nie uczestniczy-

ła w planach swojego ojca związanych z Wyspą Thompsona, poczułem, że coś się w moim wnętrzu rozjaśnia, jakby opadała mgła. Słysząc ją było wyraźnie, a to znaczyło – biorąc pod uwagę miejscowe zakłócenia radiowe – że musi być stosunkowo blisko.

– H jak Helena! Czy mnie słyszycie? H jak Helena! Śmigłowiec NRWH wzywa statek przetwórnię *Antarktyka*.

Upton zwrócił się do Pirowa:

– Leć do radiostacji, prędko – zagłusz ją, wycisz ją, zrób coś, do cholery, żeby jej nie było słychać!

Czułem jakimś zmysłem, że te urzędowe formułki są przeznaczone dla mnie – być może sądziła, że taka jest procedura w Królewskiej Marynarce Wojennej w momencie zagrożenia. Ale przede wszystkim słysząc było jej podekscytowanie.

– H jak Helena! Przybliżona pozycja pięćdziesiąt sześć stopni południowej, jeden stopień zachodniej.

Pirow pobladał strapiiony.

– Nadaje głosem, jawnie! *Thorshammer* nie może tego przegapić'.

– Wielki Boże w niebiesiech! – krzyknął Upton. – Powstrzymaj ją, Carl! Może jest tyle zakłóceń, że jej nie usłyszą...

– Nie – warknął Pirow. – W żadnym wypadku. Są chwilowe zaniki z powodu plam słonecznych, ale nigdy nie było tak źle, żebym nie zlokalizował statku dla mojego *Herr Kapitāna*.

– Martwa strefa radiowa Bouveta... – zaczął Upton.

– Martwa dla sprzętu sprzed trzydziestu lat, ale już nie dziś – odparł

Pirow.

Dotarł do nas głos Heleny.

– Nie widzę ich końca! Są ich tysiące! Wszędzie pełno płetwali błę-

kitnych! Znalazłam tereny lęgowe płetwala błękitnego! Są wielkie i ma-

łe, samice i potomstwo! Nigdy jeszcze nie widziałam czegoś podobnego!

101

– Przeklęta dziewczyna! – ryknął Upton. – Przeklęta! Przeklęta!

Właśnie teraz, w tej najważniejszej chwili! Wszyscy stąd aż do Georgii Południowej musieli usłyszeć, gdzie jesteśmy, nie wyłączając *Thorshammera*.

Pirow stał, jakby niezdecydowany, z pistoletem w dłoni. Bomba radiowa Heleny pozbawiła ich osłony, mnie natomiast mojej szansy naukowej.

– Daj mi broń! – polecił Upton. – Zajmij się radiem! Zrób coś!

Pirow wybiegł, ale Upton i Walter pozostali.

– Wystarczy, jeśli ich tu tymczasem zamkniemy – powiedział

Upton. – Jak długo potrwa, zanim ten wszawy wyspiarz przyjdzie do siebie?

– Z godzinę, może dwie – wzruszył ramionami Walter. – Cóż to ma za znaczenie?

– Pewnie – zgodził się Upton. – To bez znaczenia. Niech tym się martwi Wetherby.

Uśmiechnął się cierpko.

– Wydaje mi się, że całkiem łatwo mi poszło ze słynnym bohaterem czasów wojny, kapitanem Wetherbym. Nie musiałem nawet robić użytku z moich pieniędzy. Jeden kopniak w twarz jego przyjaciela i przedstawienie skończone. Chodźmy, Peter!

Drzwi zostały zatrzaśnięte i usłyszałem, jak klucz obraca się w zamku. Ukląknęłam i próbowałam coś zrobić z twarzą Sailhardy'ego. Była haniebnie pokiereszowana; wyglądało na to, że pozostaną mi blizny do końca życia. Ze sposobu, w jaki mówił Upton, wynikało, że nie zamierzał pozwolić ani mnie, ani Sailhardy'emu dożyć swych dni. Rozejrzałam się po kabinie, ale nie było nadziei na ucieczkę. Mieściła się na końcu korytarza. Masywna stalowa grodz oddzielała ją od obszernych pomieszczeń, w których przetwarzano wieloryby. W kabinie znajdował się luk, ale skakanie do morza nie wchodziło raczej w rachubę.

Zagrażające mi niebezpieczeństwo nie zdominowało mojego nastroju.

Myślałam o Helenie. Nie mogłam darować Uptonowi jego wpływu na ukształtowanie jej osobowości i egzystencji; uczynił z niej instrument służący spełnieniu jego planów. Nie dziwiło mnie to, że nie zawierzył jej swego sekretu. Była od niego uzależniona, moim zdaniem nie bez własnego udziału, na skutek szoku przeżytego podczas ucieczki w Norwegii oraz braku matki. Miała też własne tajemnice, jemu nie znane. To one czyniły z niej najwspanialszy automat, z jakim się kiedykolwiek zetknę-

łam. Nie mogłam zapomnieć przemiany, która w niej zaszła na lodzie, 102

ani żywej, atrakcyjnej osobowości, jaką uzewnętrzniała, stojąc w wejściu śmigłowca.

Sailhardy poruszył się, ale nie odzyskał przytomności. Oddarłam kawałek własnego rękawa i zaimprovizowałam bandaż. Czekałam. Mniej więcej po upływie pół godziny, usłyszałam ryk wirników śmigłowca podchodzącego do lądowania. Po niecałych pięciu minutach ktoś zapukał do drzwi kabiny. Nie odezwałam się.

– Bruce! – zawołała Helena. – Bruce! Czy z tobą wszystko w porządku?

– Tak – odkrzyknęłam. – Heleno! Na miłość boską, daj mi jakąś broń i wydostań mnie stąd.

– Wydaje się, że mój ojciec przestał być sobą – powiedziała cicho. –

Wymknęłam mu się na chwilę.

Usłyszałam, jak pobiegła z powrotem korytarzem. Niemal wyskoczy-

łam ze skóry, kiedy odezwał się głośnik:

– AXM. Międzynarodowy Ośrodek Analizy Pogody Antarktycznej w Canberze. Światowa Organizacja Meteorologiczna, kod Fm czterdzie-

ści pięć przy zero zero średniego czasu Greenwich...

Spojrzałam zaskoczony na zakratowaną powierzchnię nad pryczą.

Upton i Pirow musieli zapomnieć o wyłączeniu transmisji z kabiny radiowej. Nagle usłyszałem głos Uptona.

– Nic poza cholernymi informacjami meteorologicznymi! I to w ogóle ma być wszystko z Antarktyki!

Doszedł mnie głos Pirowa, prawdopodobnie czymś zajętego.

– Mówiłem panu, że mogę znaleźć okręt, jeśli nada jedenaście liter.

*Thorshammer* milczy.

– To mnie nie dziwi – odezwał się Walter. – Chryste! I to po wszystkim, co zrobiliśmy, żeby nie ujawniać swego położenia.

– Próbuj i znajdź niszczyciel, Carl! – trąkotał Upton głosem pełnym niepokoju. – Zmień częstotliwość, zrób coś, do cholery!

– Powinien tu być *Herr Kapitän* Wetherby – powiedział spokojnie Pirow. – Spróbujemy na częstotliwościach pirackich – na osiemnastu i dwudziestu czterech metrach.

Nastąpiła przerwa. Po chwili odezwał się Upton.

– Co to było, Carl? Złapałeś go?

– *Thorshammer* – odpowiedział Pirow. – Wysłał swój wodnopłatowiec.

Usłyszałem trzask podnoszonej słuchawki telefonu.

– Bjerko! – gorączkował się Upton. – Zmień kurs! Zawróć na południowy zachód! Cała naprzód!

103

Uczułem pod stopami drżenie podłogi, kiedy statek zaczął przyspieszać.

– To nic nie pomoże – odezwał się Pirow. – Samolot z pewnością użyje radaru. *Thorshammer* piekielnie ryzykuje, wysyłając go przy takiej pogodzie.

– Świadczy to o tym, jacy jesteśmy dla niego ważni – powiedział

Walter. – Cokolwiek zrobimy, teraz już nas złapią.

– Jeszcze cię nawet nie trafili, a ty już byś rzucał cholerny ręcznik na ring – uciał Upton. – Nie zostałem pokonany, daleko jeszcze do tego.

Na wszystko, co święte!

I dodał powoli:

– Wetherby był bardziej użyteczny, niż sądzi. Utrzymamy poprzedni kurs. Ukryjemy się w samym sercu tej jego maszyny atmosferycznej.

Jeśli jest tam rzeczywiście tak, jak mówi, będzie tyle mgły i lodu, że *Thorshammer* nigdy nas nie znajdzie. A w takich warunkach nie będzie też mógł użyć samolotu.

Serce we mnie zamarło, kiedy usłyszałem, że zamierza wrócić na poprzedni kurs. Statek zaledwie miał czas, by się na nim ustabilizować.

Pędziliśmy teraz ku swej zgubie tak szybko, jak pozwalały śruby. Wi-bracje wskazywały, że silniki pracują na granicy możliwości. Widziałem oczyma duszy, jak złudnie spokojne morze pokrywa się kryształami lodu i gęstnieje do konsystencji kleistej owsianki; jak statek traci szybkość, walcząc z masą zamarzającego oceanu; ławicę mgły nieodmiennie towarzyszącą temu zjawisku; i na koniec gwałtowne krzepnięcie wody w lodowe kły, które ścisną zewsząd i zmiażdżą statek.

– Coś z samolotu? – spytał Upton.

Tak – powiedział Pirow. – Leci prosto na nas. Nie może się pomylić.

Będzie tu za parę godzin.

– Peter! – doszedł mnie głos Uptona. – Jak myślisz, kiedy przy obecnej prędkości znajdziemy się na niebezpiecznym obszarze Wetherby'ego?

Może za dwanaście godzin – padła odpowiedź.

– Możemy uniknąć przechwycenia nas za dnia, a w ciemnościach wymkniemy się *Thorshammerowi* – ciągnął Upton. – Jutro wczesnym rankiem pogoda prawdopodobnie całkiem się pogorszy. Mamy szansę poradzić sobie z niszczycielem bez samolotu.

– Bez samolotu – zawtórował mu Pirow.

Po pewnym czasie Upton powiedział przerywanym, najwyraźniej nie z winy głośnika, głosem:

104

– Twoje działka Spandau-Hotchkiss to znakomita broń, Peter.

– Każesz Walterowi zestrzelić z zimną krwią samolot w czasie pokoju, samolot marynarki wojennej? – głos Pirowa drżał, nie mogłem się zorientować czy ze zdziwienia, czy z obawy.

Ze sposobu, w jaki powiedział to Upton, wiedziałem, że właśnie wpadł na ten pomysł i że mu się spodobał.

– Nie, nie Walterowi. Zestrzeli go kapitan Wetherby.

Podszedłem bliżej głośnika, żeby się upewnić, że to nie sen.

Pomiędzy moją kabiną i radiową był obwód zamknięty – głosy słyszałem z bliska, jakby rozmawiano w sąsiednim pokoju, i dochodziły przez otwarty wentylator. A Upton ciągnął dalej, ujawniając isticie diabo-liczną pomysłowość.

– Mamy już mapę i ci dwaj tylko nam zawadzają – stwierdził. – Sailhardy'ego łatwo się pozbyć. Walter dołoży mu trochę mocniej i znajdą go jutro lub pojutrze na rufie, przygniecionego jednym z tych wielkich dwutonowych bloków. Powiedzą, że miał pecha, że taki ciężar spadł

akurat na niego podczas sztormu.

– Ktoś inny będzie musiał to zrobić – wtrącił się Walter – zwłaszcza w nocy. Nie dam rady ciągle przyplływać tu z *Aurory* po takim morzu tą małą łódeczką ze słabym silnikiem. Dzisiaj już miałem dosyć. A jeśli pogoda stanie się taka, jak mówił Wetherby, będzie to niemożliwe.

– To bez znaczenia – przerwał Upton. – Sam mu przyłożę.

– Raczej bym się obawiał Wetherby'ego – powiedział Pirow, a ja pomyślałem, nie bez satysfakcji, że nawiązuje do zagłady *Meteora*. –

Chciałbym zobaczyć, jak go pan zmusi do zestrzelenia samolotu z *Thorshammera*.

– Ja też – dodał Walter.

Głosy osłabły, więc wskoczyłem na koję i przyłożyłem ucho do gło-

śnika. Ale usłyszałem jedynie parę oderwanych słów: – Parabellum...

zabierz go na *Aurorę*... Pozbądź się ich, oczywiście należą do twojej załogi, Walterze... Przywiąż mu przeguby z obu stron do spustu...

Więcej nie dało się zrozumieć.

Zastanawiałem się jak, u diabła, Upton zamierza to przeprowadzić. Z

urywków rozmowy zorientowałem się, że zostanę przywiązany do dział-

ka przeciwlotniczego i obciążony odpowiedzialnością za zestrzelenie samolotu. Ale jak? Nagle pojąłem: Walter miał się pozbyć obsługi dział-

ka, ona należała do jego załogi. Na takich morzach, jak to, z którym się borykaliśmy, łatwo usunąć z drogi ludzi nie będących bezpośrednio na służbie. Działko ustawiono w części rufowej, toteż sternik nie mógłby zobaczyć, co się tam dzieje, nie opuszczając swego stanowiska. Walter 105

założy jedną uprząż artylerzysty, mnie przytroczą do drugiej. Domyśla-

łem się, że zjawi się, by zabrać mnie na *Aurorę*. Z pistoletem w kieszeni będzie szedł za mną...



Głosy stały się lepiej słyszalne, bo trzech mężczyźni znaleźli się znowu w pobliżu kabiny radiowej. Zdołałem wyłowić słowa Uptona, początkowo słabe, później głośniejsze:

– ...drugą uprząż. Wetherby będzie bez szans. Zestrzel tego sukiny-na i nie nawal, rozumiesz, Walter?

Doszło mnie jakieś grubiańskie mamrotanie, a następnie usłyszałem głos Pirowa:

– To sprytnie pomyślane, Sir Fredericku. A więc, jeśli Thorshammer nas złapie, cała wina spadnie na Wetherby'ego?

Nie dosłyszałem końca odpowiedzi Uptona, ale jej początek zmroził

mnie:

– I tak będzie już miał przestrzeloną głowę... możemy już sobie nie żałować...

Moja wyobraźnia podsuwała mi obraz wypadków: Walter wystrzelił serię z działka, która strąci samolot do morza. Następnie strzeli do mnie z pistoletu i upozeruje próbę akcji ratunkowej. Krzyknie do sternika, by zmienił kurs i podpłynął do zestrzelonego samolotu, wiedząc doskonale, że załoga zginie w zimnej wodzie w ciągu trzech minut. A następnie wyjaśni, że musiał mnie zastrzelić, by powstrzymać mój szaleńczy wy-bryk. Przebiegły plan, poskładany z pasujących do siebie fragmentów.

Głosy tak przycichły, że musiałem nateńczyć słuch.

– A co z pozostałymi szyprami? – spytał Pirow. – Nie spodoba im się to. Mogą się zwrócić przeciwko panu.

– A na czyją przejdą stronę? – butnie odrzekł Upton. – Na *Thorshammera*! Nie wygłupiaj się. Wyobrażasz sobie, że oddają się dobro-wolnie w ręce władz? Nigdy! Tkwią już w tym po uszy, a po zestrzeleniu samolotu będą tkwić jeszcze głębiej. Jeśli chybisz, Peter, osobiście cię zastrzelę – zakończył z radosnym rechotem.

Spojrzałem na nieprzytomnego człowieka na podłodze. Bywaliśmy z Sailhardym w ciężkich opałach, ale tym razem nasze położenie wygląda-

ło jeszcze gorzej. Widziałem tylko jeden sposób uratowania nam życia –

zdradzić Uptonowi prawdziwą tajemnicę Wyspy Thompsona. Byłaby to transakcja zdecydowanie jednostronna, gdyż nie miałem nadziei na to, że Upton ujawni mi, czego szuka naprawdę na tej wyspie. Po prostu cena darowania życia, z której jedynie on będzie miał wszelkie korzyści.

Usłyszałem przez głośnik jak zatrzaśnięto drzwi kabiny radiowej, a potem odgłos ciężkich kroków. Następnie ucichło, choć od czasu do czasu dochodził mnie terkot nadawania morsem. Najwyraźniej

Pirow pozostał sam na posterunku. W ten sposób powoli minęło półtorej godziny. Sailhardy poruszał się i jęczał, ale nie odzyskiwał przytomności.

Kogoś mniej odpornego kopnięcie Waltera pewnie by zabiło. Jedyńm naszym sojusznikiem na zewnątrz wydawała się Helena. Ale, czy będąc tak długo pod władzą ojca, dopomoże mi, gdyby nawet tego chciała?

Natężalem zmysły, oczekując na odgłos jej kroków. Lecz panowała cisza.

Wlokły się kolejne minuty. Nagle ożywił się głośnik. Usłyszałem, jak otworzyły się drzwi kabiny radiowej i w tym samym momencie głos Uptona:

– Tak, słucham cię, Carl?

Trudno mi było nie podziwiać wspaniałego, beznamiętnego profesjo-nalizmu Człowieka o Niezawodnej Dłoni.

– Samolot melduje *Thorshammerowi*, że złapał radarem pięć statków.

– Wytropił nas – westchnął Upton.

– Nie ma kontaktu wzrokowego, tylko radarowy – powiedział wolno i beznamiętnie Pirow. Następnie podał przechwycone sygnały, jakie nadał lecący ku nam samolot z niszczyciela.

– Kontakt radarowy pięć jednostek, dwa-zero-zero stopni. Wiatr na powierzchni czterdzieści cztery węzły.

Nastąpiła przerwa, a potem usłyszałem:

– Przygotowujemy się do krążenia wokół floty, jak tylko ją zobaczymy. Wtedy nadlatujemy nad cel. Proszę o potwierdzenie. – W głosie Pirowa zabrzmiała nutka ironii: – *Thorshammer* potwierdza. Podaj pozycję i kurs floty.

Zmobilizowałem się, usłyszawszy głos Uptona:

– Peter, zabierz Wetherby'ego na *Aurorę*. Wiesz, co masz robić. Jesteś pewien, że dasz sobie radę z łodzią?

– Dam sobie radę – usłyszałem pomruk Waltera. – Niech ktoś uruchomi silnik, kiedy pójde po Wetherby'ego. Jedną rękę będę miał zajętą sterem, drugą pistoletem, co?

– W porządku – odrzekł Upton.

Usłyszałem ciężkie stąpanie marynarskich bucisków Waltera opuszczającego pomieszczenia radarowe, by zejść do mojej kabiny. Najślab-szym punktem planu Uptona wydawał mi się czas, kiedy znajdę się sam 107

na sam z Walterem w łódce zdążającej na *Aurorę*. Będzie on wprawdzie mieć się w pełni na baczności, ale nie wie, że znam ich zamiary. Zdawa-

łem sobie sprawę, że muszę wyjść najszybciej, jak to będzie możliwe, zanim Walter zorientuje się, że głośnik jest włączony. Modliłem się, żeby Upton z Pirowem nie odzywali się, kiedy będzie przebywał w mojej kabinie.

Zachybotwały się otwarte gwałtownie drzwi. Pistolet wyglądał jak zabawka w jego masywnym łapsku.

– Idziemy – powiedział. – Tylko bez żadnych sztuczek, ty sukinsynu z Królewskiej Marynarki Wojennej!

Ruszył ku Sailhardy'emu, ale zawrócił, kiedy szybko skierowałem się ku drzwiom.

– Ty świnió – stwierdziłem. – Myślę, że go zabiłeś.

– W porządku – oznajmił. – Zatem nie ma potrzeby, żeby się nim zajmować.

Zatrzasnął drzwi. Głośnik się nie odezwał. Idąc długim korytarzem, zatrzymałem się nagle i stanąłem oko w oko z Walterem.

– Wychodź na pokład – warknął. – Żadnych kawałów! Mam broń, a nerwowy ze mnie facet. Płyniemy teraz na mój statek.

– Dopiero, kiedy porozmawiam z Sir Frederickiem Uptonem – powiedziałem.

– Nie – sprzeciwił się.

Poczułem przed sobą mur. Znałem ich plany. Tutaj nie mogli się mnie pozbyć.

– Jeśli tak ci się pali, żeby mnie zabrać na swój statek, ogłusz mnie, tak jak Sailhardy'ego – zakpiłem sobie. – No, jazda.

Walter popatrzył zakłopotany.

– Gdyby to ode mnie zależało, zastrzeliłbym cię na miejscu! – wrzasnął. – Czemu musisz się zobaczyć z Sir Frederickiem?

– Choćbyś miał wyskoczyć za burtę – odparłem – albo się zobaczę z Sir Frederickiem, albo nie ruszę się stąd.

– Okay – ustąpił po chwili namysłu. – Idziemy na schody prowadzące do kabin. Tam jest telefon. Żadnego gadania na pokładzie. Bę-

dziesz mógł porozmawiać z Sir Frederickiem.

Przy schodach wiodących na główny pokład zainstalowano na wszelki wypadek telefon.

Zadzwońnięm na mostek i poprosiłem Uptona. Usłyszałem jego dźwięczny, pełen humoru głos. Ostudziłem mu dobry nastrój.

– Słuchaj, Upton – powiedziałem krótko. – Przemyślałem ten interes z Wyspą Thompsona.

108

– Żadnego skamlania, Wetherby – odparł zimno. – Grałeś fatalnie i przegrałeś. Mapa jest moja. I tak zostanie.

– Ta mapa nie jest nawet w przybliżeniu tak cenna, jak przypuszczasz – zacząłem. – Zapewniam cię, że nie odszukasz Wyspy Thompsona według pozycji oznaczonej na mapie. Nie znasz klucza. Tylko ja wiem, gdzie znajduje się ta wyspa. Zaprowadzę cię tam w zamian za bezwarunkowy bezpieczny powrót do Kapsztadu tym statkiem, powrót mój i Sailhardy'ego.

Upton wybuchnął tak głośnym śmiechem, że musiałem odsunąć słuchawkę od ucha.

– To doprawdy nie do wiary – rzekł. – Najpierw moja córka dostaje bzika, ponieważ wielki kapitan Wetherby każe jej lądować na lodzie.

Bóg jeden wie czemu, ale tak było. Nie znam twojej taktyki. Teraz przychodzisz do mnie z bajeczką o żelaznym wilku i twierdzisz, że mapa jest niedobra i jedynie ty wiesz, gdzie leży Wyspa Thompsona. Bzdury!

– Posunę się dalej – powiedziałem. – Popłyniemy tam, gdzie wyspa znajduje się wedle mapy. Jeśli tam będzie, możesz wydać mnie załodze *Thorshammera*, a ja wezmę na siebie winę za wszystko, co się stało.

Jeśli nie, to...

Odpowiedź Uptona była charakterystyczna. Trzasnął słuchawką.

Walter kiwnął na mnie pistoletem.

– Wyłaż na pokład! Szybko! Nie ma czasu. Płyniemy na Aurorę.

Nie miałem wyboru. Poszedłem przed nim. Kiedy wyszliśmy na pokład, przysunął się do mnie bliżej, a broń schował do kieszeni kurtki.

Raz udało mi się rzucić okiem na nie ogoloną twarz Waltera. Uśmiechał

się leciutko z jakąś sadystyczną radością. Zrozumiałem, że gotów jest mordować bez wewnętrznych oporów. Że nie potrzebuje żadnego pre-tekstu, by mnie zabić.

Szalupa z *Aurory* wisiała na żurawikach, silnik pracował. Walter pu-

ścił mnie przodem, mówiąc kpiąco:

– Pan pierwszy, kapitanie Wetherby.

Przy falach stali dwaj flegmatyczni norwescy marynarze. Nie miałem innego wyjścia, jak usłuchać. Wdrapałem się do łodzi, a oni umiejętnie opuścili ją na fale. Walter włączył bieg jedną ręką, drugą trzymając na schowanym w kieszeni pistolecie. Podczas drogi trzymał ster i broń, dokładnie tak jak powiedział Uptonowi. Malutka łódeczka podskakiwała na falach. Gdybym się rzucił na Waltera, przewróciłaby się i obaj byśmy utonęli. *Aurora* nie nadażała za statkiem. Mogłem podziwiać kunszt

żeglarski, z jakim Walter ustawił łódź wzdłuż niskiej burty kutra.

– Skacz, kapitanie! – wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Skacz, jeśli ci życie miłe! Ja za tobą.

Skoczyłem, kiedy znaleźliśmy się na jednym poziomie z pokładem, ciężko nań spadając. Walter uznał to za pieszczonę się. Sam nie czekał

nawet na następną falę. Też skoczył, trzymając w ręku linę, podczas gdy dwóch ludzi z jego załogi zajęło się łodzią. Pomimo swej masy, utrzymał

się na nogach zwinnie jak kot.

Uśmiechnął się ponownie i zdjął kurtkę, chowając pistolet do kieszeni spodni. W grubym czarnym wełnianym swetrze wyglądał jeszcze masywniej niż przedtem. Krzyknął coś po norwesku do dwóch ludzi, którzy natychmiast znikli pod pokładem.

– Jest pan wojownikiem, kapitanie – łypnął chytrze okiem. – Teraz zobaczy pan moje własne specjalne działko przeciwlotnicze w akcji, co pan na to?

Roześmiał się znowu. Nie odpowiedziałem. To go rozwścieczyło.

– W porządku, ty sukinsynu z Królewskiej Marynarki Wojennej!

Właż na górę, przede mną!

Kiedy zacząłem wchodzić na mostek po drabince, Walter warknął coś do mata, który również zszedł pod pokład. Na górze widać było tylko sternika oraz obserwatora w bocianim gnieździe. Walter ryknął i do niego. Spojrzałem do góry i zobaczyłem srebrzysty błysk na niebie, daleko za lewą burtą. Walter również go dostrzegł.

Na wpół wepchnął mnie w górę po kilku najwyższych szczeblach stalowej drabinki prowadzącej z mostka na platformę działka. Tam, poza zasięgiem wzroku sternika, wyciągnął pistolet. Na prymitywnej twarzy widać było napięcie.

– Właż w uprząż hotchkissa, szybko! Nie mamy czasu!

Lewą ręką chwycił mnie za kołnierz kurtki i brutalnie naciągnął mi uprząż przez głowę i barki. Kiedy już znalazłem się w tym ciasnym gorsecie, obszedł mnie dookoła, przerzucając zrecznie pętlę liny

wokół ka-błąka spustowego, z pominięciem mechanizmu obrotowego, na wpeł

przytracząc mi ramiona do spustu; twarz miałem przyciśniętą do ce-lownika.

Walter puścił pistolet luźno zawieszony na pasie i wślizgnął się szybko w uprzęż spandau. Wprawił podwójne działko w ruch obrotowy; razem z nim kręciłem się i ja. Widziałem, jak samolot przeleciał nad 110

*Crozetem*, najbardziej wysuniętym kutrem, oddalonym o osiem kilometrów od statku przetwórnego. Długi metalowy celownik hotchkissa wystawał na całą długość ponad żebra chłodzące pośrodku działka. Walter przyłożył prawe oko do zamocowanego na podkładkach gumowych ce-lownika spandau. Widziałem jego zęby i mocno zamknięte lewe oko.

Nasze twarze dzieliło dwadzieścia centymetrów. Jego oddech cuchnął

nieświeżym sznapssem. Prawą rękę trzymał na spuście poniżej kłów narwala.

Samolot zaczął nurkować w kierunku statku przetwórnego. Znalazł się w moim celowniku. Potężna salwa spandau, wyrzucającego czterysta pocisków na minutę, zaparła mi dech, choć się jej spodziewałem. Wy-ziewy prochu bezdymnego uniosły się w powietrzu. Oba działka były znakomicie zsynchronizowane, toteż kiedy Walter naprowadzał spandau na samolot, znajdował się on również stale w moim celowniku.

Dostrzegłem szansę.

Jeśli i ja spróbowałbym strzelać, ciągnąc za spust hotchkissa lewą ręką,

mój prawy nadgarstek musiałby mocno przywierać do wylotu łusek zużytej amunicji. Hotchkiss wyrzuca tysiąc czterysta pocisków na minutę. Myśl i działanie przyszły jednocześnie. Pociągnąłem spust, przyciskając prawy nadgarstek do wylotu. Podmuchał rozpalonych do białości gazów nadwątloną linę. Wrzasnąłem z bólu, kiedy przypiekł mi nadgarstek.

W tym samym momencie napałem całym ciężarem ciała na uprzęż, żeby ściągnąć w dół lufy podwójnego działka. Podwójny strumień pocisków świetlnych zatoczył łuk po niebie, z dala od samolotu. Przerwałem ogień, pchając lewym kolaniem środek metalowej podpory działka, by przejąć nad nim kontrolę od Waltera. Złocista smuga pocisków pruć niebo daleko od samolotu. Używając całej swej siły, Walter obrócił

działko z powrotem, mimo mego oporu, naprowadzając je na cel. Cięż-

kie pociski spandau rozdarły kruchy kadłub. Maszyna zeszła z kursu i trzepocząc spadała ku *Aurorze*. Przeszła omalże pomiędzy nadbudówkami statku przetwórnego i runęła do morza. Rozbryzg wody wyglądał jak połączone fontanny całej rodziny płetwali błękitnych.

Kiedy Walter starał się niezdarnie wyswobodzić z upręży, schwyci-

łem go za gardło. Jednocześnie podciąłem go. Wciąż byłem w gorsecie upręży hotchkissa. Walter

upadł, potoczył się, podciągnął na jednym łokciu, wyciągając pistolet zza pasa. Podniósł go do strzału.

Obróciłem bliźniaczo sprzężone lufy do najniższego możliwego punktu, mierząc do Waltera. Błady strach pojawił się na jego twarzy.

Dałem ognia. Grad pocisków rozerwał metalowe poszycie pokładu, 111

zamieniając wszystko w oślepiające piekło rozpalonych do czerwoności rykoszetów i hałasu.

Walter był zbyt blisko. Nawet przy maksymalnym obniżeniu luf znajdował się poniżej zasięgu strzelających do niego na wprost działek.

Strumień pocisków przeleciał nad nim, obracając pokład w perzynę, ale nie robiąc mu krzywdy. Walter rzucił się pod tym śmiertcionośnym deszczem do milczącego działa, chwycił łańcuch biegnący od jego chłodnicy wodnej i obrócił obydwie, lufami skierowując je ku niebu. Zawisłem do góry nogami nad platformą do patroszenia, spoglądając ku *Antarktyce*.

Wzlatywał właśnie stamtąd śmigłowiec. Wołałem obłądnie, bezsilnie.

Walter wymierzył broń i strzelił. Na widok tego, co zobaczyłem pode mną, ogarnęło mnie przerażenie.

To było morze. Zmieniło się w miód. Wiedziałem, co to oznacza.

## Nieżęglowne morze

Z trudem chwytałem oddech. Tonąłem w łagodnej galaretowatej ma-sie... Na przemian tracąc i odzyskując przytomność, zaczerpnąłem ogromny haust powietrza. W otępiałym umyśle majaczyło mi się, że miodowa galareta próbowała kiedyś zatopić mój okręt, a teraz chce zatopić mnie. Zaczerpnąłem jeszcze trochę powietrza. Zawarty w nim życiodajny tlen rozjaśnił mi na chwilę umysł.

Widziałem, że blade żółtawe światło tlenku rtęci to nie miodowa galareta. Na wpół przytomnie wyobrażałem sobie, że nie jestem w morzu.

Kolor światła odbijał się od sufitu. A był to sufit mojej kabiny na *Antarktyce*. Znowu walczyłem, by zaczerpnąć powietrza. Uzmysłowiłem sobie, że wisiałem w uprzęży hotchkissa, a pode mną, w morzu, była jakaś substancja unosząca się wszędzie, niby jedwabista galareta. Poni-

żej burty *Aurory* morze było nią pokryte, niektóre pojedyncze kawałki dochodziły do pół metra średnicy. W tym momencie przypomniałem sobie Waltera strzelającego mi prosto w twarz.

Udręka tego wspomnienia i rozpoznanie miodowej galarety uprzytomniły mnie. Miotalem się i podrywałem na mojej koi. Kabina opływa-

ła mnie wokół, a kiedy dotknąłem dłonią głowy – poczułem bandaże.

– Spokojnie, Bruce – powiedziała Helena.

Nie widziałem jej w bladym rozproszonym świetle. Zastanawiałem się, jak długo leżałem nieprzytomny. Jej głos przywołał nową falę wspomnień: Walter strzelił i niemal w tej samej chwili boleśnie poczu-

łem, że trafił mnie w głowę. Przypomniałem sobie, jak wypadłem z uprzęży do morza, do miodowo-galaretowatego morza. A potem ryk wirników śmigłowca nad głową i niewypowiedzianą ulgę, kiedy poczu-

łem, że porywa mnie z lodowego morza „chomąto” koła ratunkowego śmigłowca. Przebywałem w wodzie około minuty. Po raz drugi Helena dowiodła swych nadzwyczajnych umiejętności, ratując mi życie. Niczego więcej nie pamiętałem.

– Heleno! – odezwałem się przytomniejąc. – Jak długo tu jestem?

Która godzina?

– Parę godzin temu wyciągnęłam cię z morza – powiedziała. – Jest wczesne popołudnie.



– Wczesne popołudnie! – powtórzyłem. Dziwne światło wskazywa-

ło, że musiało się już dobrze ściemnić. Wczesnym popołudniem! Wiedziałem teraz, że już prawie nie ma nadziei na uratowanie *Antarktyki*.

Mój wzrok padł na powtarzacz żyrokompasu. Próbowałem podnieść się z pryczy, ale Helena powstrzymała mnie. Głowa pękała mi z bólu, ledwie rozpoznawałem własny głos.

– Heleno! Użyj tuby głosowej! Na miłość boską, powiedz kapitanowi Bjerko, żeby zmienił kurs. Zmierzamy prosto ku zgubie! Mówię ci, to śmierć!

Spojrzała na mnie swymi niesamowitymi oczyma, pełnymi cieni w bladym świetle.

– Jest wiele rzeczy, które chciałabym usłyszeć właśnie od ciebie, Bruce, zanim zacznę się martwić o nasz kurs.

– Ja mogę poczekać, a kurs nie – odparłem. – Mówiłem ci o niebezpieczeństwie ugrzęźnięcia w lodzie. Miodowa galareta to zwiastun zamarzania morza, a ta żółta poświata oznacza, że natykamy się właśnie na drugą linię obrony, na mgłę.

Potrząsnęła głową.

– Jeśli tak, to w ogóle już jest za późno. Jesteś ranny i chciałabym wiedzieć, jak do tego doszło. Widziałam, że trzymano cię na muszce i chcę się dowiedzieć dlaczego. Widziałam, jak wypadłeś z działka przeciwlotniczego do morza. Parę minut wcześniej byłem świadkiem zestrzelenia bezbronnego wodnopłotowca. Po wyłowieniu cię, próbowałam odszukać tę maszynę, czy jej załogę, ale już zatonąła. Czemu cię ranio-no?

Uzmysłowiłem sobie, że pocisk pistoletu musiał nadłupać obudowę spandau. Jej odłamek trafił mnie i pozbawił przytomności. Walter chybił, ale ugodził mnie pośrednio. Bandaż powstrzymał krwawienie, a więc rana nie była głęboka. Przechyliłem się przez krawędź koi i wezwałem mostek przez tubę głosową. Helena starała się mnie powstrzymać, ale tym razem nie siłą – siedziała nieruchomo i przyglądała mi się.

– Halo, Bjerko! – odezwałem się. – Tu Wetherby. Ten kurs to samobójstwo. Możemy jeszcze się wyswobodzić, zmieniając go. Ster –

spojrzałem na powtarzacz żyrokompasu – sześć-zero. Cała naprzód!

Nastąpiła pauza, a potem usłyszałem głos kapitana Bjerko. Była w nim jakby nutka sarkazmu.

114

– Dziękuję panu za radę, kapitanie Wetherby, także w imieniu Sir Fredericka Uptona. Sir Frederick mówi, że musiał pan fatalnie ucierpieć i że potrzebuje pan wypoczynku. Statek jest w dobrych rękach.

– W dobrych rękach... – zacząłem oponować, ale połączenie się urwało. Zwróciłem się więc do

Heleny: – Idziemy kursem osiem-pięć.

Bjerko mówi...

Jej wzruszenie ramion zbiło mnie z tropu.

– Pytałam, jak doszło do tego, że jesteś ranny – powiedziała spokojnie.

Na wpół leżąc na koi, opowiedziałem jej szczegółowo o mapie Norrisa, o przeszukaniu mojej kabiny, o tym, co podsłuchałem przez głośnik i jak urzeczywistniły się moje obawy, kiedy Walter przywiązał mnie do działka, a następnie próbował zabić. Słuchała bez słowa. Tylko raz okazała wzburzenie, gdy wspomniałem o tajemniczym zainteresowaniu jej ojca Wyspą Thompsona i poleceniu pozbycia się mnie, wydanym Walterowi.

– Kiedy wylądowałam helikopterem z tobą nieprzytomnym, ojciec mi powiedział, że Walter kontaktował się z nim przez walkie-talkie i miał mu powiedzieć, iż dostałeś ataku szału na pokładzie *Aurory*, siedząc przy celowniku działka przeciwlotniczego. Ojciec napomknął, że to się zdarza, że ktoś taki jak ty ma uśpiony instynkt zabijania, pozostały z czasów wojny. Kiedy ujrzy taką broń, jak spandau-hotchkiss, odżywają w nim na nowo wszystkie wojenne emocje. W istocie nie postępuje świadomie, niemniej jednak zabija. Walter twierdzi, że zdarzało się to również podczas konwojów do Rosji.

– A jak to Walter wyjaśnia? – spytałem, wskazując palcem skrwa-wiony bandaż.

– Mówi, że trafił cię odłamek łuski pocisku spandau, kiedy z nie-wiadomych powodów skierowałeś broń na pokład. Uważa, że miał

szczęście, uchodząc z życiem.

– A ty co sądzisz? – zapytałem. Patrzyłem na nią. Zaszła w niej ja-kaś zmiana. Zauważyłem po chwili, że nie ma już na sobie stroju lotniczego, a ciepły kostium koloru owocu morwy, o tak głębokim odcieniu, jaki wspólnie oglądaliśmy na morzu. Nagle stało się dla mnie bardzo ważne to, co odpowie. A jeszcze parę godzin temu chodziłoby mi głównie o to, by mieć w niej sojusznika. Teraz...

Mógłbym godzinami obserwować zmiany światła w jej oczach, gdybym nie wiedział, że w miarę jak nastaje zmierzch, *Antarktyka* zbliża się ku zgubie. Bladożółta poświata, podkreślająca piękną linię kości policzkowych Heleny i rozświetlająca te niesamowite oczy, zwiastowała śmierć.

115

– Coś z tych zimnych wód południowych przejął mój ojciec, a także Walter, ty i Sailhardy – powiedziała cicho, jakby wypróbowując opanowanie, jakie w sobie wyrobiła w przeszłości. – Zabij albo ciebie zabiją.

Teraz poznałam twój powód. Jest nim Wyspa Thompsona.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie – rzekłem.

– Nie – przyznała. – Odpowiedzią jest pewnie to, że tu siedzę od iluś tam godzin, czekając, aż wróci do przytomności człowiek uważany przez wszystkich za mordercę bez skrpułów. Mój ojciec przysięga, że nie powinno mi się na to pozwolić. Ale... – uśmiechnęła się słabo – jestem tutaj. Wiem też, że kiedy zobaczyłam, jak spadasz do morza, coś we mnie zamarło.

– Nie przeżyłbym więcej jak trzy minuty w takim zimnie – powiedziałem.

– Wiem – odrzekła. – Wiem też, że osoba, która nie mogła znaleźć w sobie dość odwagi, by wylądować na krze lodowej, umarła, kiedy obserwowała *Thorshammera*. Tamta nie potrafiłaby cię wyłowić żywego z morza.

– A więc wierzysz, że doznałem jakiegoś zamroczenia i zestrzeliłem bezbronny samolot? – naciskałem.

I tym razem odpowiedziała wymijająco.

– Rozmyślnie podałam położenie naszej floty *Thorshammerowi*, kiedy zobaczyłam płetwale błękitne.

– Co?! – zawołałem. – To znaczy w konsekwencji... że z premedytacją wydałaś własnego ojca władzom norweskim?

– Tak – przyznała.

– A więc także zdawałaś sobie sprawę, choć nie wiedziałaś, że za tym wszystkim kryje się Wyspa Thompsona! Guarana, piracka brandy oto symptomy bezlitosnego zabójcy.

Nie doceniłem więzi, jaka ją łączyła z ojcem. Zerwała się na równe nogi. chronić.

– Podałam pozycję floty, by nie popadł w jeszcze większe kłopoty.

Gdybyśmy się znaleźli w obrębie norweskich wód terytorialnych, to cóż? Mój ojciec może sobie pozwolić na zapłacenie grzywny, nawet wysokiej. Nigdy sam nie zabił ani jednego wieloryba. *Thorshammer* może nas aresztować. Ojciec mógł odrobinę się zagalopować w zapale poszukiwań terenów lęgowych płetwala błękitnego...

– Do tego stopnia, że był gotów w tym celu zestrzelić samolot i za-bić dwóch niewinnych facetów?

116

– To Walter albo ty, a może obaj zestrzeliliście wodnopłatawiec, a nie mój ojciec – wtrąciła. – Nic dziwnego, że Pirow nazywa cię *Herr Kapitän!*

– Co wiesz o Pirowie? – zapytałem.

Spojrzała zdziwiona.

– Jest najwyższej klasy radiooperatorem. To wszystko.

Opowiedziałem jej o Człowieku o Niezawodnej Dłoni.

Usiadła. Oczy miała jak spodki.

– Co usiłujesz mi wmówić, Bruce?

– Powiedziałem już – odparłem. – Wyspa Thompsona. Co o niej wiesz? Czemu twój ojciec tak desperacko pragnie ją znaleźć?

W dziwnym świetle na jej twarzy pojawił się grymas.

– Nigdy o niej nie słyszałam, dopiero od ciebie.

– Twój ojciec jest całkowicie zdecydowany zabić Sailhardy'ego i mnie teraz, gdy ma tę mapę – stwierdziłem. – Próbowałem mu wyjaśnić, że sama mapa jest bezużyteczna. Nie wiesz o tym, ale jestem jedynym żyjącym człowiekiem, który widział Wyspę Thompsona. Tylko ja wiem, gdzie się znajduje. A leży gdzie indziej, niż wskazuje mapa.

Porywczo położyła mi dłoń na ustach.

– Przestań, Bruce, na miłość boską! Jakaś nieznana skała drzemiąca w lodowym oceanie nagle zabija i ma dominujący wpływ na nasze losy!

Boję się. Narasta coś występnego, potwornego. Nawet niebo wygląda upiornie. Spójrz, zrobiło się już całkiem ciemno.

– To twój ojciec sieje zło – powiedziałem. – Musimy go powstrzymać.

– Może dlatego podałam naszą pozycję z helikoptera – odparła w zamyśleniu. – Nie znałam spraw, o których mi powiedziałeś, ale intu-icyjnie czułam, że mój ojciec...

Przez moment dojrzałem strach w jej oczach.

– Heleno – zacząłem łagodnie. – Czyż tego nie widzisz? To wszystko oznacza tylko jedno: twego ojca trzeba chronić przed nim samym.

Podeszła do koi i stanęła nade mną. Ujęła moje dłonie. Jej były zimne.

– Mówisz... mówisz... że mój ojciec jest obłąkany?

Przekonywałem ją.

– Kiedy główne zainteresowanie staje się obsesją, tylko jeden krok dzieli od monomanii. Nie wiem zbyt dobrze, czemu doszło do tej wyprawy. Nie wiem, co jest obsesją twojego ojca. Ale z całą pewnością 117

koncentruje się ona wokół Wyspy Thompsona. A przecież nikt nie zadaje sobie tyle trudu tylko po to, by ponownie odkryć jakąś wyspę, która istotnie zalicza się do wielkich tajemnic morza. Próbowałem dowiedzieć się, co się za tym kryje. Nie udało mi się. Widzę jedynie rezultaty, nie znam przyczyny. A jednym z tych rezultatów – uśmiechnąłem się kwa-

śno – o mały włos byłaby moja śmierć.

– Czuję się w tym wszystkim taka samotna – powiedziała. – Mam tylko ciebie. Nie mam się do kogo zwrócić poza tobą.

– Spróbuj sobie przypomnieć – nalegałem – jak doszło do zorganizowania tej ekspedycji? Czy wydarzyło się coś niezwykłego? Czy ojciec czegoś ci nie mówił?

– Miał bzika na punkcie metali rzadkich – odpowiedziała. – Widzia-

łeś, co się stało z jego twarzą. Zaangażował się bez reszty w tamte badania.

– To było przeszło dwadzieścia lat temu – wtrąciłem.

– Czekaj – powiedziała. – Było coś, o czym powinnam ci wspomnieć. Jakies pięć lat temu robiliśmy wycieczki w rejony Antarktyki.

Ale nigdy nie był taki, jak teraz. Podróże sprawiały mu radość, miał

mnóstwo zainteresowań, pytał wszystkich, których spotkaliśmy, o niezwykle miejsca i odkrycia.

– O Wyspę Thompsona? – zasugerowałem.

– Nigdy nie słyszałam, żeby o niej wspominał – odrzekła. – Często mówił o Wyspie Bouveta...

– No i o czym chciałaś mi powiedzieć? – nalegałem.

– To nie było tutaj, w Antarktyce – oznajmiła. – To stało się po powrocie, w Londynie. Jakies półtora roku temu. Pamiętam, że wrócił

pewnego wieczoru do domu bardzo podekscytowany. Powiedział, że kupił starą firmę zajmującą się polowaniem na foki i znalazł trochę interesujących rzeczy wśród jakichś starych rupieci...

Odczułem dreszcz niedowierzania. Dwa lata temu przestała ostatecznie istnieć firma Wetherbych. Wiedziałem wszakże, że nabyło ją niewielkie towarzystwo pod nazwą Stewart's Whaling Company. Nie słyszałem, by Upton miał z tym coś wspólnego.

– A jak nazywała się ta firma? – spytałem.

Potrząsnęła głową.

– Nie wiem. Naprawdę się tym nie interesowałam. Pamiętam jedynie, że ojciec spędzał większość wieczorów na badaniu czegoś, co wyglądem przypominało tarcze strzelnicze.

– Tarcze strzelnicze?

– Wiesz, takie czarne koliste torciki z białymi prążkami.

– A potem?

– Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Uwijał się, załatwiał

statki, wyposażenie, mapy i tak dalej. Praktycznie sam zorganizował całą tę wyprawę. Wydawało mi się, że to tylko jeszcze jedna wycieczka na południe – ciągnęła uśmiechając się. – Widzisz, Bruce. Byłam wtedy jeszcze tamtą inną osobą, odmienną od tej, którą stałam się teraz. Potraktowałam to wówczas jako wyzwanie, któremu muszę sprostać i przygotowywałam się na to fizycznie i psychicznie. Większość czasu spędza-

łam na lataniu w najgorszych warunkach atmosferycznych i na trudnych lądowaniach. Aż do dziś nie zastanawiałam się nad tą wyprawą poza ściśle subiektywnymi problemami, jakie stwarzała dla mnie. Ojciec zapewnił mi wszystko, czego chciałam, i nie szczędził mi wszelkiego rodzaju zachęty.

– Nigdy później nie widziałaś tych „tarcz strzelniczych”?

– Nie.

– Nie mówił ci, co to takiego?

– Nie. Spędzał dużo czasu w Admiralicji, a potem poleciał do Niemiec. Przebywał tam parę tygodni.

– A Pirow?

– Zjawił się na statku na dzień przed odpłynięciem. Nie miałam powodu, by go podejrzewać, dopóki nie powiedziałaś mi, kim był. Uważa-

łam go po prostu za znakomitego radiooperatora.

– Gdzie jest Sailhardy? – spytałam. – Czy jeszcze żyje?

– Skuty kajdankami w jednej z kabin po drugiej stronie korytarza.

Opatrzyłam go, najlepiej jak umiałam.

– Czemu ojciec pozwolił ci wziąć klucze do tych kabin? – spytałam.

– Mógł się przecież obawiać, że nas uwolnisz? Czy choćby dasz nam te klucze.

Potrząsnęła głową.

– Postanowiłam, że będę was pielęgnować. Ojciec wrzeszczał i się wściekał, ale najwidoczniej uznał, że w obecnym stanie nie możecie sprawić żadnego kłopotu. Byłoby inaczej, gdyby wiedział, że celowo 119

podałam naszą pozycję. Nie mógł mnie powstrzymać od pielęgnowania ciebie, nie wyjawiając swoich prawdziwych zamiarów w stosunku do twojej osoby. Uważają, że jestem jedynie pielęgniarką. Rozumiesz... –

uśmiechnęła się leciutko – on sądzi, że w dalszym ciągu jestem taka, jaką byłam kiedyś. Jak doszło do zranienia Sailhardy'ego? Opowiedzia-

łem jej, a ona się wzdrygnęła.

– Dobry Boże! Dostyc już chyba tej przemocy! Cóż powinniśmy zrobić?

– Trzeba powstrzymać twego ojca – powiedziałem. – To znaczy, że muszę objąć komendę nad statkiem. I uczynię to, jeśli mi dopomożesz.

– Co chcesz zrobić? – zapytała, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami. – Chyba nie... nie... zamierzasz wyrządzić krzywdy memu ojcu?

– Nie – odparłem. – Ale nie mogę niczego obiecać, jeśli chodzi o Waltera.

Zwlokłem się z koi. Czuję się już pewniej na nogach.

– Potrzebuję wielorybniczego noża i piłki do metalu. Znajdziesz ich mnóstwo tam – pokazałem ruchem głowy w kierunku grodzi, za którą znajdowały się pomieszczenia przetwórcze. – Czy jesteś pewna, że nie ma żadnej straży przy drzwiach?

– Nie ma, Bruce. O, zwalniamy! Statek się zatrzymuje!

Serce *Antarktyki* biło wolniej.

– Tak – powiedziałem. – Ten statek po raz ostatni figuruje w rejestrze Lloyda. Długo już nie pociągnie.

– O czym ty mówisz, Bruce?

– Żółta zawiesina w morzu – odparłem. – Miodowa galareta południowego oceanu. To znaczy, że lód lada chwila nas capnie.

– Nie rozumiem... Mnie to przypomina pływający pumeks.

– To nie pumeks, Heleno. To miliony milionów małych stworzonek. Wypływają na powierzchnię z głębokości dwóch, może trzech kilometrów.

– Mówisz, że to są żywe stworzonka? – spytała z niedowierzaniem.

– Te kawałki galarety koloru miodu?

– One są martwe – odpowiedziałem. – Właśnie dlatego wypływają na powierzchnię. Dlatego też twierdzę, że nadciąga lód. Posłuchaj, ze-szłego roku statek pasażerski *Corinthic* płynął po takim morzu w pobliżu wyspy Pitcairn na Pacyfiku. Prasa uznała to za największą tajemnicę morską roku.

– Ciągle jeszcze nie chwytam, jakie to ma znaczenie – powiedziała.

120

– Nieważne, czy te cholerne żyjątka są żywe czy martwe – wyjaśni-

łem. – Ważne jest natomiast, i to szczególnie w tej chwili dla naszego statku, że nagle postradały życie. Zabiło je zimno. One się rodzą wtedy, kiedy zima w Antarktyce ma się ku końcowi. Wiosna przynosi ciepło. A teraz zimno wróciło.

– A co oznacza powrót zimna?

– Lód – odpowiedziałem. – Lód zestalony wokół Bouveta.

– Ależ ten lód jest oddalony od nas o osiemset kilometrów – sprzeciwiła się Helena. – Lód Antarktydy nie jest groźny latem, a lato właśnie się zaczyna.

– Mówiłem ci, w co się pakujemy – odparłem. – To jest właśnie to.

Kiedy zobaczyłem miodowe morze, wisząc nad pokładem *Aurory*, zda-

łem sobie sprawę, że *Antarktyka* znajduje się na zewnętrznym krańcu gigantycznego lodowego półksiężyca. Właśnie w ten sposób tworzy się lód wokół Bouveta. Tworzą się dwa wielkie skrzydła oddalone o setki kilometrów. Gwałtowne zimno rozchodzi się z nich i zamraża wodę pomiędzy nimi. Kiedy zobaczyłem, gdzie się kierujemy, napominałem kapitana Bjerko, żeby skręcił o sześćdziesiąt stopni, czyli, mówiąc innymi słowami, dokładnie na wschód, na pełnej szybkości, żebyśmy nie zamarзли pomiędzy skrzydłami. Już po nas.

– Czy jesteś pewien...?

– Jestem tego bardziej pewien, Heleno – odparłem – niż czegokolwiek w tej chwili, z wyjątkiem spraw uczuciowych.

Odwróciła się.

– Spójrz na barometr – dodałem.

Zrobiła to i patrzyła na instrument, nie wierząc własnym oczom.

– Nie miał prawa opaść o dwadzieścia milibarów w ciągu trzech godzin, od których tu leżysz! Taki spadek ciśnienia zapowiada już nie sztorm, a koniec świata!



Uśmiechnąłem się ponuro.

– Widziałem jeszcze lepsze sztuczki barometru. Podczas wojny, trochę na południe od miejsca gdzie jesteśmy, opadł o dwadzieścia siedem milibarów w ciągu sześciu godzin. Taka depresja przestaje już odnosić się do pogody.

Zaczęła chodzić po kabinie, tam i z powrotem.

– Jestem przerażona, Bruce. Boję się burzy, tego, co się z nami stanie i tego, co się stanie z ojcem. I co teraz?

– Meteorologiczna bomba atomowa już zaczyna działać – powiedziałem. – Nic nie można zrobić, tylko czekać na eksplozję. Najprościej 121

można to sobie wyobrazić, że zderzą się w bitwie dwie ekstremalnie różne masy powietrza. Czekamy teraz, aż kataklizm nastąpi.

– Bruce! – zawołała. – Przecież ty, właśnie ty, bardziej niż ktokolwiek inny, nie możesz siedzieć z założonymi rękami i czekać na śmierć.

Przecież w tej chwili nic się nie dzieje, nie ma ani fali, ani nawet wiatru...

– Zapędziliśmy się do wnętrza maszyny, która wytwarza najgorszą pogodę na świecie – powiedziałem. – Kiedyś udało mi się wywinąć niszczycielem HMS *Scott* z podobnej sytuacji na tych właśnie wodach.

Żeby uciec, trzeba było rozwinąć pełną szybkość trzydziestu węzłów.

Teraz dosłownie panuje cisza przed burzą. A sztorm, który nastąpi, bę-

dzie szaleć przez tydzień lub dłużej na czterech tysiącach mil oceanu i zmiecie wszystko, co spotka na swej drodze.

– Nie można po prostu spisywać na straty pięciu naszych statków! –

zawołała.

Na zewnątrz zapadał zmrok. Pięciu statków! Mnie interesował tylko los jednego.

– Na Boga, Heleno! Pięć statków. Wiem. Ustawię kutry gęsiego za rufą *Antarktyki*, która otworzy im drogę, jeśli nawet morze zacznie wo-kół nas zamarzać. Kutry są mniejsze, ruchliwsze, o płytszym zanurzeniu.

Będzie to trudne, ale może da się zrobić!

Wyobraziłem sobie, jak wyprowadzam *Antarktykę*, przejściem wolnym jeszcze od lodu, na czele kutrów patrolujących z największą możliwą do osiągnięcia szybkością, powstrzymując gęstniejące

morze od skrzepnięcia, dopóki statek przetwórnia nie wydostanie się z opresji.

– Będę również potrzebował twojej pomocy. Chodzi helikopter –

powiedziałem. – Czy dasz sobie radę w takim zamgleniu?

Uśmiechnęła się.

– Właśnie do takich sytuacji przygotowywałam się latami.

Spojrzałem na swoje stopy. Uśmiechnąłem się do niej.

– Kto mi zdjął obuwie? Mam na nogach nową parę ciepłych skarpet polarnych.

Dostrzegłem cień radosnego ożywienia na jej twarzy.

– Twoje buty stoją pod koją. Były przemoczone. Wysuszyłam ci sweter. Jest w szufladzie, tam gdzie koszule...

Patrzyłem na nią, wciągając przez głowę ciepły sweter pod szyję.

– Musimy się pośpieszyć. Wezmę buty w garść, nie będą słyszeli moich kroków. Najpierw trzeba uwolnić Sailhardy'ego.

122

– Poczekaj chwilę, zdobędę piłkę i nóż – powiedziała.

Cofnąłem się w głąb kabiny, kiedy ostrożnie otwierała drzwi i lu-strowała korytarz. Znikła i wróciła po trzech minutach z rzeczami, o które ją prosiłem. Piłka wprawdzie była nie do metalu, a do fiszbinu, uznałem jednak, że spełni swą funkcję. Razem przeszliśmy na drugą stronę pustego korytarza. Wszędzie było mglisto, nawet lampy wydawa-

ły się przyćmione. Helena otworzyła drzwi kabiny, w której znajdował

się Sailhardy. Wewnątrz było ciemno, a kiedy usiłowałem zapalić światło, usłyszałem tylko tyknięcie wyłącznika. Ktoś wykręcił żarówkę. Ma-cając po ciemku, znalazłem wyspiarza.

– To Bruce – szepnąłem.

Rozległ się delikatny brzęk kajdanków.

– Jak się czujesz, chłopie? – zapytałem.

Mówił dziwnie nienaturalnie, jakby miał kłopoty z wymową.

– W porządku, Bruce, przyjacielu. Jesteś wolny?

– Tak – odrzekłem i przedstawiłem mu swój plan. – Najpierw – powiedziałem – trzeba obezwładnić Pirowa w pomieszczeniu radiowym, a następnie wdrzeć się niespodziewanie na mostek i pojmać Uptona i Bjerko. – Nie miałem jeszcze pomysłu, w jaki sposób poskromić Waltera, a *Aurora* ze swym cholernym działkiem mogła sprawić nam kłopot.

– A co z Walterem? – wtrąciła się Helena. – On też będzie na mostku.

– To wrócił na pokład? – spytałem.

– Tak, kiedy byłeś nieprzytomny. Ojciec polecił mi sprowadzić go z *Aurory*.

– To bardzo dobrze – powiedział Sailhardy tonem, od którego przeszył mnie dreszcz. – On jest mój, Bruce! Mój!

– Czy masz dość sił, żeby sobie z nim poradzić – zaniepokoiłem się.

– Nie chcę, żeby ci się coś jeszcze przydarzyło.

– Zostaw go mnie, chłopcze – doszedł mnie głos z ciemności. – A teraz zdejmij mi z rąk to świństwo.

Namacałem nadgarstki i zacząłem piłować.

– Czemu się zatrzymaliśmy, Bruce? – spytał.

– Miodowe morze – odparłem.

– Mój Boże! – zawołał, zdradzając trudności z oddychaniem. – Czy już nas zakleszczyło?

– Nie – odrzekłem i nakreśliłem mu plan uratowania statku.

– Czy jest jeszcze jakiś horyzont wodny? – spytał Sailhardy.

– Tak sędzę – rzekłem. – Przez luk za dobrze nie widać.

123

– Horyzont wodny? – spytała Helena. – Co to takiego?

– Wielkie ołowianoszare pasma we mgle – wyjaśniłem. – Wskazują miejsca, gdzie morze nie jest jeszcze zamarznęte. To kwestia odbicia optycznego.

Skończyłem rozcinać kajdanki.

– Tracimy czas – stwierdził Sailhardy. – W dalszym ciągu mamy jeszcze szansę wyjścia z tego cało.

– Pirowa zostaw mnie – oznajmiłem.

W ciemnym korytarzu Sailhardy wyglądał jak demon zemsty. Na twarzy miał zakrzepłą krew,

powyszczerbiane zęby mu lśniły. Na obu nadgarstkach tkwiły pozostałości kajdanek, z których zwisały kawałki przeciętego łańcuszka.

– Heleno! – powiedziałem. – Trzymaj się za nami w bezpiecznej odległości.

– Uważaj na siebie, na miłość boską! – szepnęła.

Szliśmy po stalowej drabince, w milczeniu, gęsiego, ja przodem, za mną Sailhardy, a z tyłu Helena, potem minęliśmy wielką pustą kabinę Uptona. Drzwi do pomieszczenia radiowego były zamknięte. Postawiłem buty na podłodze. Trzymając w prawej dłoni potężny długi nóż, lewą szybko otworzyłem drzwi. Pirow siedział w słuchawkach, tyłem do nas.

Przyłożyłem mu ostrze noża do szyi. Powiedziałem łagodnie po niemiecku:

– Człowieku o Niezawodnej Dłoni!

Sailhardy zaszedł go, jak pantera, od prawej strony. Chyba ze strachu na widok okrwawionego wyspiarza okropnie się rozgadał.

– *Herr Kapitän! Herr Kapitän!* Przysięgam, że nic nie wiem! – za-pewniał. – Niebiański błękit to jedyne, co wiem. To tajemnica Uptona, nie moja! Nie wiem...

– Niebiański błękit, co, Pirow?

Dostrzegłem przelotny błysk zrozumienia w jego oczach. Kiedy po-jął, że nie pchnę go natychmiast nożem, zaczął szukać słów. Niezawodna dłoń ostrożnie zbliżyła się do klucza morsa. Odwróciłem nóż i palnąłem go po palcach rękojeścią. Zbladł z bólu i zerwał się na nogi.

– Chodź – poleciłem. – Wejdiesz pierwszy na mostek. Będę tuż za tobą i to ciebie pierwszego trafi twój przyjaciel Walter, jeśli zacznie strzelać.

Kiedy wracaliśmy, Helena też była blada. Kazałem Pirowowi pierwszemu wejść po krótkiej drabince na mostek. Trzymałem mu ostrze

noża na karku. Sailhardy wchodził prawie razem ze mną. Widząc, jaki jest napalony, gotów byłem omal współczuć Walterowi.

W milczeniu wydostaliśmy się na mostek. Walter stał przy urządzeniach sterowniczych, próbując zobaczyć coś na morzu poprzez mgłę.

Upton znajdował się w pobliżu prawego skrzydła mostka. Obaj byli czymś pochłonięci.

– Walter! – krzyknąłem, trzymając lewą ręką Pirowa przed sobą jak tarczę.

Masywny Norweg obrócił się ku nam. Upton i Bjerko stanęli jak wrośnięci w ziemię. Sailhardy stuknął lewym kciukiem w prawą dłoń.

Miał taki zwyczaj, kiedy szykował się do bójki. Walter rzucił niespokojne spojrzenie na mój nóż. Wyciągnął pistolet, ale babrał się jeszcze z bezpiecznikiem, kiedy Sailhardy wysunął się naprzód i uderzył go w nadgarstek rozpiętymi kajdankami. Zawył z bólu i upuścił broń.

Pochyliłem się i ją podniosłem. Z nożem i pistoletem w dłoniach kontrolowałem całą czwórkę.

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, nastąpił silny wstrząs na dziobie. Jednocześnie, nie wiadomo dlaczego, stało się nagle jasno. Wydostaliśmy się z mgły. Jej ostro zarysowany skraj szybko pozostał za rufą.

Patrzyliśmy w kierunku ruchu statku, stojąc jak wryci. Słońce wisiało niczym krwiste winogrono. Poniżej wszystko było błękitne.

**8.**

# Zimny dreszcz przestachu

Byłbym mniej przerażony, gdyby *Antarktyka*, pędząc przed siebie we mgle, wpadła na masywną skałę lodową, która wyrosła przed nami. Uderzenie dziobem oznaczało, że grozi nam długie konanie w okowach lodu.

Nagle odpłynięcie welonu mgły za rufę zwiększało grozę widoku, który roztaczał się przed naszymi oczami. Fakt, że właśnie przed tym ostrzega-

łem Uptona, nie łagodził mego własnego strachu. Był to ten sam strach, który już kiedyś, gdy stałem na mostku HMS *Scott*, popchnął mnie do rozwinięcia pełnej szybkości. Zmuszał do zrobienia wszystkiego, do wyciśnięcia całej mocy z turbin, byle tylko uciec przed tymi samymi płytkowymi kryształkami lodu – które wielorybnicy nazywają lodem kotwicowym – na wpół wystającymi wszędzie z morza, płytkami lodu, które zjawiają się z niesamowitą szybkością i tworzą morderczy pas lodowy otaczający Bouveta. *Antarktyka* natknęła się chyba na środkową część półkole stałego lodu otaczającego wyspę. Nigdzie lód nie był bia-

ły. Z lewej burty cały widok przesłaniała nam urwista skała lodowa, ale po prawej półkole lodowe było niskie. Jego wysokość nad poziomem morza wynosiła zaledwie siedem metrów. Potężne nagromadzenie błę-

kitnych wzgórek pola lodowego i widocznych w dali – jak okiem się-

gnąć – wypiętrzeń powstałych pod wpływem nacisku. Jakieś sto metrów od skraju lodu wznosiło się masywne kopułowate wzgórze, ukształtowane i wygładzone przez wiatr, a za nim ciągnął się łańcuch mniejszych wzniesień. Lód miał wszelkie odcienie i odmiany niebieskiego. Błękit był tam, gdzie docierała parodia słońca, *royal blue* połyskiwał w żłobkowanych, prążkowanych klifach zwieszających się nad ołowiowo-niebieskim morzem. Za nami leżała ławica strontowo-żółtej mgły. Nóż, który trzymałem, nabrał barwy tojadu. Powietrze nad tym niebieskim polem lodowym było rozrzedzone i ostre jak brzytwa. Drażniło mi gardło, chciało mi się kaszleć.

Antagonizmy ludzkie rozgrywające się przed chwilą zeszły na dalszy plan, przesłonięte tym, co wyczarował przed naszymi zaniepokojonymi 126

oczami południowy ocean. Niebieskie światło nadało szokująco bladej twarzy Pirowa upiorny wygląd. Wydawało się, że prawie nie ma potrzeby pilnować Uptona, Waltera i Pirowa, tak byli przytłoczeni tym, co widzieli.

– Stało się – zwróciłem się do Uptona. – Przestrzegałem pana, ale pan nie chciał mnie słuchać.

Oczy mu błyszczały, a sposób, w jaki się odezwał, upewnił mnie co do stanu jego umysłu. Choć trzymałem pistolet i nóż, zwracał się do mnie z tym samym nieodpartym czarem jak przy pierwszym spotkaniu.

– Bruce, chłopcze – powiedział – nie byłbyś tutaj, gdybym nie uwa-

żał, że jesteś najlepszym żeglarzem na tych wodach. Powiniennem cię usłuchać, ale teraz musisz się tym zająć. Daj sobie spokój z tymi cholernymi zabawkami. W tej chwili liczy się tylko to.

I ruchem głowy wskazał pole lodowe. Uśmiech tej cynowej maski był

groteskowy w niebieskim świetle.

*Antarktyka* łagodnie zderzyła się z klifem lodowym na spokojnym morzu. Wyszła z tego bez szwanku, poza wgnieceniem paru płyt poszycia na dziobie. Prawdziwe niebezpieczeństwo zagrażało jej ze strony milionów małych spiczastych kawałków i cienkich płytek lodu pływają-

cych w morzu objętym pierwszą fazą zamarzania. Niebawem miały się one połączyć i zespolić z klifami, wzniesieniami i wypiętrzzeniami, które widniały przed nami. A proces ten groził zmięgnięciem stalowego poszycia statku. Przybrzeżne masy pływających kawałków lodu, małych gór lodowych, kry i krążków śryżowych świadczyły o tym, jak szybko morze zamarza. Osobliwe, zadarte brzegi tych ostatnich już całowały stale rozprzestrzeniającą się cienką wieloakrową pokrywę lodową i łą-

czyły się z nią. Przez chwilę panowała niesamowita dziwna cisza, przerywana jedynie delikatnym dźwięczeniem skorupy lodowej, rozłupującej się o boki *Antarktyki*. Pamiętałem ów śmiertelny dźwięk z czasu, kiedy oswobadzałem *Scotta*. Przypominał daleki odgłos telegrafu z maszynowni. Dziób *Antarktyki* wciąż mógł pruć zestalający się lód, dopóki, po paru godzinach, nie nabierze on twardości stali. Wiedziałem, że intensywne zimno, które właśnie chwyciło nas w szpony, potrafi zmienić nawet strukturę krystaliczną metalu broni, którą trzymałem. Niebawem, zarówno ona, jak i blachy poszycia statku miały stać się kruche niczym szkło, ułatwiając zadanie lodowemu imadłu.

127

Pomyślałem, że Upton musiał już chyba zapoznać się z adnotacją na odwrocie mapy kapitana Norrisa. Odkrywca był człowiekiem wrażliwym, świadczą o tym jego szkice zaginionej Wyspy Thompsona. To, co napisał, by uzupełnić lakoniczną wersję dziennika pokładowego o doko-nany odkryciu, ujawnia strach przed tym samym zabójczym lodem, który właśnie oglądaliśmy. Norris rozumiał, że oznacza on śmierć, a któż może wiedzieć, jakież to upiorny koniec spotkał ostatecznie jego wraz ze wspaniałą *Sprightly*? Mogłem zacytować z pamięci to, co napisał, a z jego słów wyraźnie wyzierał strach:

„Widziałem Wyspę Thompsona wczesnym popołudniem trzynastego grudnia tysiąc osiemset dwudziestego piątego roku. Była mgła, pływający lód i wichura o sile ośmiu z północnego zachodu. Na pierwszym planie była wyspa, długa i płaska, z wysoką górą w bardziej oddalonej części. Załoga *Sprightly* przypatrywała się, przejeżdżając lękiem, tej nieznannej przystani pośród mór, która wydawała się { rajem dla rozbitków przez kontrast z dzikim tumultem, jaki wywoływał lód okalający jej brzegi. Wielki lodowiec, wieńczący Wyspę Thompsona niby koszmarna czapa, wchodził w morze stalowoniebieskim językiem litego lodu, łączącym się z gigantycznym nieprzerwanym polem lodowym na południowym horyzoncie. Ten pojedynczy, masywny język wyglądał groteskowo, jak złowieszczą zachłanna żmija z nieznanego regionu polarnego, przejmował moich ludzi zimnym dreszczem przestachu, choć nawykli do trudów i niedogodności straszliwego po-

ludniowego oceanu”.

Zimny dreszcz przestrasza!

Norris użył tego zwrotu z całą mocą, a ów dreszcz nagiego strachu, przesywający mnie, kiedy patrzyłem na niebieskie pole lodowe, był

równie pierwotny jak samo tworzenie się śmiertelnej pułapki.

– Tak – teraz najważniejsze jest ratowanie naszej skóry – powiedziałem do Uptona, a następnie zwróciłem się do Sailhardy'ego: – Zamknij w kajdankach tych trzech w kabynie Uptona, a Pirowa w pomieszczeniu radiowym. Przykuj go blisko nadajnika, mogę go później potrzebować.

Sailhardy podszedł do mnie, by wziąć pistolet. W tej samej chwili ogłuszył nas straszliwy grzmot. Pochodził z pola lodowego. Stado mew polarnych wzbilo się kaskadą z podnóża niebieskiego klifu. Odbite echo rozeszło się po żółtej mgle. Helena schowała twarz w mój gruby sweter.

Po płaskiej stronie pola lodowego ujrzałem wypiętrzające się nowe wzgórze, które ukryte siły ciśnienia wyniosły do wysokości katedry 128

św. Pawła. Szedł na nas konkwistador z Bouveta z lodowym mieczem.

Jeśli statek zostanie unieruchomiony, będziemy mogli przenieść się z zapasami na stały lód, ale nie zdołamy przeżyć, jak to się udało Shackletonowi i innym. Oni byli na pewniejszym lodzie.

Wiedziałem, że po pojawieniu się Stopy Albatrosa lód nagromadzony wokół Bouveta roztopi się, a my potoniemy. Zginęlibyśmy albo wystawieni na działanie lodu, albo skazani na potopienie się wtedy, kiedy nadejdzie życiodajne ciepło. Powiedziałem więc sobie, że muszę uratować *Antarktykę*. Wcze-

śniej ta sytuacja byłaby wyzwaniem, a teraz... Spojrzałem na jasne włosy na moim ramieniu. Zorientowałem się, że krzyczę – tak byłem ogłuszony.

– Pirow! Wezwij kutry! Poleć im, by uformowały linię za naszą rufą i popłynęły tam – pokazałem pióropusze mgły, snujące się ponad niebieskim lodem tworzącym się na morzu w miejscu, które przebyła już *Antarktyka*. – Powiedz im, żeby się pośpieszyli i nie dawali zamknąć w przejściu. Każdy kuter ma pójść pełną wstecz, nie oddalając się bardziej niż na trzy kable od *Antarktyki*. Następnie my pójdziemy pełną wstecz i spróbujemy się przebić. Zrozumiano?

– Tak jest, *Herr Kapitän*.

Sailhardy wyprowadził więźniów. Walter kłął pod nosem i trzymał

się za zraniony nadgarstek. Helena oderwała się ode mnie.

– Boże! Wygląda na to, że nie zdołamy się stąd wydostać!

– Mamy jeszcze otwartą drogę – powiedziałem. – Spójrz na te chmury nad polem lodowym. Widzisz



ciemne smugi? To wodny horyzont. Wskazuje, że gdzieś tam, nawet teraz, jest jeszcze ciągle nie zamrznięta woda.

Wzruszyła ramionami. Owa mgła szronowa, którą wielorybnicy zwa-

„grzybkiem”, może jeszcze wskazywać nam drogę wybawienia. Pierwszym moim zadaniem było odsunięcie dziobu statku przetwórci od lodu i doprowadzenie do tego, aby morze za rufą pozostało nie zamrznięte.

Pomyślałem nagle, że jeśli nawet lód nas zamknie, możemy się jeszcze uratować. Trzeba tylko ściągnąć kutry, by otoczyły Antarktykę. Ponieważ mają one niewielkie zanurzenie, mogą umykać szponom lodowym, Antarktyka natomiast musi uwięznąć. Kutry mogą się okazać naszą ostatnią deską ratunku. Wobec przenikliwego zimna należało jak najszybciej usunąć wodę z przewodów pokładowych i puścić przez nie parę, żeby przeczyszczyć kurki spustowe, bo inaczej lód je rozsadzi, pozostawiając nas bez wody. Konieczne było także wzmocnienie steru drutem, 129

żeby nie dopuścić do jego uszkodzenia podczas przebijania się rufą przez lód. Umysł mój pracował gorączkowo: miałem nadzieję, że *Antarktykę* wyposażono w śrubę napędową o wymiennych skrzydłach... Wiedziałem z doświadczenia, że podczas zmagania z lodem, w sytuacjach takich jak nasza, najczęściej ulega uszkodzeniu śruba napędowa.

– Bruce – odezwała się Helena – co zamierzasz zrobić z nimi, a zwłaszcza z moim ojcem? Czy chcesz ich wydać załodze *Thorshammera*?

– Ta sprawa musi poczekać – odparłem. – Zagraża nam lód. Idź i ubierz się tak ciepło, jak tylko możesz. Spakuj trochę drobiazgów. Zostaw kosztowności, jeśli je masz, gdyż para ciepłych rękawic może okazać się bardziej użyteczna.

– Zamierzasz... porzucić statek, nawet nie próbując go ratować? –

zapytała.

– Ratowanie jest w toku – odrzekłem. – Idź już i wracaj tu szybko.

Sailhardy pojawił się na mostku. Uśmiechnął się ponuro, rozglądając dookoła.

– Ten statek jest chory. Chory z zimna.

– Idź na rufę – rozkazałem. – Wzmocnij stalowym drutem głowicę trzonu sterowego z obu stron... O Boże!

Spojrzałem na echosondę. Urządzenie wskazywało głębokość dwudziestu siedmiu metrów na środku Morza Południowoantylskiego!

Oznaczało to, że zimno jest tak intensywne, iż zaczęła zamarzać nawet ciecz w zbiornikach nadajnika i odbiornika. Lód skuwał *Antarktykę* szybciej, niż myślałem.

Sailhardy gwizdnął przeciągle.

– Puścić parę przez główne przewody! – wydałem rozkaz przez telefon z mostka na pokład główny. Ledwie to powiedziałem, doszedł mnie zgrzyt metalu bezpośrednio spod mostka. Urządzenie, przez które musia-

ła przejść para, dawało ćwierć obrotu...

Po chwili odezwały się główne rury, a odgłos był taki, jakby je otwierano przeogromnym kluczem do konserw.

Helena wróciła na mostek w ciepłym palcie ze skóry leoparda morskiego. Zaniepokoił ją zgrzyt metalu. Bez słowa wręczyła mi moje rzeczy: rękawice, kurtkę, czapkę, buty żeglarskie i zapasowy płaszcz.

Wciągając je na siebie, pośpieszyłem na lewe skrzydło mostka i spojrze-

łem na morze. Zamarzało.

– Sailhardy! – zawołałem. – Zostaw wszystko i zejdz na główny pokład. Każ ludziom przynieść z dołu czekany do rąbania lodu, łomy, 130

bosaki i tyczki. Wiesz, co robić: ustaw ludzi z tyczkami na burtach, niech pilnują, by były wolne od lodu. Potem weź łódkę i wysadzaj dynamitem lód za rufą, co dwadzieścia metrów. Musimy zachować drogę odwrotu!

– Tajest, Bruce – odparł zwięźle. W chwilę później był już wśród załogi. Jeśli w ogóle istniała taka możliwość, to właśnie on mógł uratować statek.

Helena patrzyła w kierunku rufy.

– Mgła opada, Bruce, ale nie widzę kutrów.

– To niedobrze, że opada. To znaczy, że zimno się rozprzestrzenia –

odpowiedziałem i rzuciłem do słuchawki telefonu: – Pirow! Co, u diabła, się dzieje z kutrami?

Odpowiedział mi głos zimny, profesjonalny.

– Brak reakcji na moje sygnały, *Herr Kapitän*. Rozmawiają między sobą przez walkie-talkie...

Przerwał mu Sailhardy, łącząc się przez telefon z głównego pokładu.

– Jak duże ładunki, Bruce?

– Dwudziestofuntowe. Zaopatrz się w lonty. Krótkie.

Wróciłem do poprzedniej rozmowy.

– Pirow! Za chwilę pójdziemy całą wstecz. Możemy się nadziać na jakąś cholerną górę lodową. Co się dzieje z radarem?

– Za dużo wtórnych refrakcji – odpowiedział spokojnie. – Wcze-

śniej na coś wpadniemy, niż byłbym w stanie to zlokalizować. Normalny zasięg wykrywania nic nie znaczy w warunkach takich jak te.

Helena towarzyszyła mi na prawe skrzydło mostka. Chciałem się zorientować, na tyle, na ile to było możliwe, co się dzieje między główną masą lodu a statkiem. Przechyliłem się przez poręcz i wtedy zobaczyłem.

Chwyciłem ją za ramię.

– Spójrz – powiedziałem.

Długa podwodna odnoga lodowa rozrastała się ze zbocza klifu ku statkowi. Miała ze trzy metry długości. Cztery następne odnogi, niby zęby koparki parowej, rozchodziły się stamtąd w odstępach, sięgając ku rufie.

– Co to takiego, Bruce?

– Macki lodu – odparłem. – Nie mogę już dłużej zwlekać. Każda z nich może uszkodzić skrzydełko śruby napędowej. W takim zimnie każ-

de ostrze jest dwukrotnie bardziej kruche niż normalnie. Jedno dotknię-

cie i będzie się odłupywać. Wróciłem pośpiesznie i połączyłem się z maszynownią.

131

– Główny mechanik – usłyszałem w słuchawce.

– Szefie – powiedziałem – jest mnóstwo kłopotów. Wszędzie pełno kry lodowej. W ciągu dziesięciu minut lód zatka wlot do pańskiego kondensatora. Zanim to nastąpi, chciałbym wykorzystać pełną moc pańskich maszyn. Rozumiemy się? Puśćcie strumień pary do kondensatorów, żeby krążyła gorąca woda. A dla własnego bezpieczeństwa, sprawdźcie, czy nie dochodzi do kondensacji w głównych przewodach, bo inaczej możecie wylecieć w diabły. Za chwilę będę chciał mieć na przemian całą naprzód i całą wstecz, żeby uwolnić statek. Jeśli lód zatka wloty, nie będę miał czasu, by czekać. Da się to zrobić?

– Tajest – odrzekł głos z akcentem szkockim. – Da się zrobić. W

ciągu pięciu minut, będzie dobrze?

– W sam raz – odparłem. – Zadzwoń.

Połączyłem się z Sailhardym na pokładzie.

– Zostaw dynamit – powiedziałem. – Zrób z oporządzeniem, co się da, a za pięć minut chcę cię mieć na mostku.

Spojrzałem na Helenę, pobladłą, rozglądającą się dookoła. Nie było śladu po kutrach. Jej futrzany płaszcz przypominał mi Ziemię Grahama, gdzie często widywałem upolowane leopardy morskie.

– Czy chcesz, żebym wystartowała helikopterem... – zaczęła mówić, ale przerwał jej nagły kaszel. Czulem również ostrość wiatru. Nadszedł

niepostrzeżenie, ukradkiem, z południa. Czulem jego złowieszcze dotknięcie, od którego lekko zwilgotniała podszewka mego płaszcza. Wiatr stanowił ostatnią fazę gromadzenia się lodu wokół Bouveta – mógł przy-

śpieszyć posuwanie się krawędzi lodu ku naszemu statkowi; zwiastował

też sztorm, o którym wiedziałem, że nadejdzie po zamrożeniu morza.

– Wiatr – powiedziałem szybko. – Teraz już nie mogę dać szefowi nawet tych pięciu minut.

Zadzwoń do Sailhardy'ego i polecił mu wrócić na mostek.

Wyspiarz dołączył do nas. Plecy kurtki miał powalane rdzą i oszronione.

– Wiatr z południa, co, Bruce?

Nie musiał właściwie tego mówić. Sam również wiedział, co to oznacza. Ruchem głowy wskazałem lewe skrzydło mostka. Poszliśmy razem popatrzeć na coraz bardziej niepokojące morze.

W słabnących promieniach słońca wyglądało jak blada, galaretowata, krzepnąca masa.

– A więc obaj sądzicie... – zawołała Helena, spojrzawszy na nasze twarze.

132

– Pszepani – zwrócił się do niej kurtuazyjnie Sailhardy, przeciągając samogłoski. – Jeśli ten statek skazany jest na zagładę, jednego może być pani pewna: pod komendą Bruce'a Wetherby'ego nie przyjdzie mu to łatwo.

I pokazał gestem na ciemnoniebieski klif, którego świeży lodowy na-skórek – niedawno jeszcze kilkucentymetrowy – miał już kilkanaście centymetrów grubości. Helena ścisnęła w dłoniach kłapy mego zapa-sowego płaszcza.

– Kiedy leżałam w zaśnieżonym rowie postrzelona przez Niemców, z początku modliłam się do

Boga. Odmówiłam wszelkie znane mi modlitwy, konwencjonalne i nieoficjalne. Potem mi ich już zabrakło. Po śmierci brata po prostu leżałam, bez nadziei, prawie nie myśląc. Chcia-

łam umrzeć. Teraz... – zadrżała, spojrzawszy na pole lodowe, a jej niesamowite oczy jaśniały – ...Teraz chcę żyć i jeśli mam dziś jakieś modlitwy, to jesteście nimi wy obaj.

Nie mogłem znaleźć słów, patrząc jak jej oczy mienia się światłami –

niebieskim, różowym i rdzawo-stalowym. Odezwał się Sailhardy:

– Tajest, pszepani. Tutaj, na wodach południowych, modlitwą się nie uratujesz. Słowami nie skruszy się lodu. W tej chwili oddałbym wszystkie zdrowaśki za wiatr północno-zachodni i dwa stopnie na termometrze.

Zimny dreszcz przestachu! Przeżywałem ten sam strach, jaki odczuwał Norris, patrząc jak w oddali zaczynają tryskać w górę fontanny pary wodnej, oszłamiające w mglistym różowo-błękitnym świetle. Stałem się kłębkiem nerwów, oczekującym w przerażeniu na śmiertelny cios.

– Bruce... – zaczęła Helena, ale ja rzuciłem się do telefonu.

Zakomenderowałem:

– Cała naprzód! Sailhardy, ster! – krzyknąłem do wyspiarza, który przejął koło od norweskiego sternika. – Dwadzieścia na lewą burtę...

Połączyłem się telefonicznie z Pirowem.

– Co się dzieje z kutrami? Czemu nie przychodzą nam z pomocą?

– Nie odpowiadają na moje sygnały, *Herr Kapitän* – odparł.

– Nadaj: Pogotowie do natychmiastowego udzielenia pomocy. Statek przetwórnia w niebezpieczeństwie.

Słyszałem błyskawiczne stukanie klucza, kiedy wzywał kutry. Za chwilę wrócił do telefonu.

– Brak odpowiedzi, *Herr Kapitän*.

133

– W co oni się, do cholery, bawią? Nie mogą nas w ten sposób zostawić! Czy masz ich na radarze?

Raz jeszcze mogłem podziwiać profesjonalne opanowanie Człowieka o Niezawodnej Dłoni.

– Kontakt z pięcioma obiektami, statkami, kierunek osiem-zero stopni. Oddalają się.

Opuszczają nas? – spytałem z niedowierzaniem.

– Tak jest, *Herr Kapitän*.

– W jakiej są odległości?

– Może pięć mil.

Poruszają się?

– Tak jest, *Herr Kapitän*. Szybko. Dwanaście węzłów, jak sędzę.

Oznaczało to, że są na czystej wodzie, poza zasięgiem zabójczego lodowego półksiężycy.

– Czy powinienem nadać SOS, *Herr Kapitän*! – ciągnął beznamiętnie Pirow. – Takie wezwanie usłyszą również na *Thorshammerze*.

SOS! Ostatnie desperackie wołanie o pomoc!

– Tak – odpowiedziałem i odkładając słuchawkę usłyszałem, jak klucz wystukiwał trzy kropki, trzy kreski, trzy kropki...

*Antarktyka* zaczęła gwałtownie się trząść, ale prawie nie ruszała z miejsca. Przypominało to uruchamianie ferrari za pomocą sprzęgła tar-czowego. Śruby nie zaskakiwały. Sailhardy kręcił kołem. Jego zdesperowane spojrzenie powiedziało mi wszystko. Musiałem spróbować uwolnić statek na siłę. Wezwałem maszynownię.

– Szefie! Przykro mi, ale muszę. Cała wstecz!

Doszło mnie stłumione przekleństwo.

– Słyszałeś kiedykolwiek o naprężeniach skręcających wał napędowy, chłopcze? – zaczął, ale przekazał dalej mój rozkaz. – Pędnia...

Trzasnąłem słuchawką. I nagle wielki statek ruszył szybko wstecz. I natychmiast w naszym kilwaterze pojawiła się niewielka góra lodowa.

Pewnie siła ciągu śruby okrętowej oderwała ją od głównej masy lodowca.

– Prawo na burtę! – ryknąłem. – Mocno, Sailhardy!

Wyspiarz nie mógł tego zrobić. Morze było już w siedemdziesięciu procentach zamrożone. Pozbawiło to statek zdolności manewrowej.

Nastąpiło szkaradne grzotnięcie, które wstrząsnęło całą konstrukcją.

Siłę uderzenia musiała wziąć na siebie głowica trzonu sterowego. Idąca pełną mocą *Antarktyka*, po zderzeniu z pływającym kawałem lodu, fatalnie zoczyła z kursu i po szaleńczym łuku wpadła rufą w klif. W tym 134

momencie zobaczyłem długą smugę odłamków rozpryskującego się wypiętrzenia pola lodowego, które nie wytrzymało nacisku napierającej nań, rozrastającej się masy lodowca. W huku utonęły komendy, które wykrzykiwałem do Sailhardy'ego. Wielki kawał lodu, długości ośmiuset a wysokości czterystu metrów, wypiętrzył się, a następnie – tracąc niechlujnie równowagę, runął, wyrzucając wysoko w powietrze lawinę ty-sięcy odprysków. Obezwładniająca siła lodu nie powstrzymała wielkiej fali, która pędziła ku nam. Zakomenderowałem „cała naprzód”, żeby spróbować uniknąć zderzenia ze ścianą lodu, zbliżającą się do rufy.

Może była jakaś podwodna wystająca część klifu, a może natknęli-

śmy się na kolejną górę lodową, w każdym razie usłyszałem dźwięk głośniejszy od grzmotu lodowca. To skręcał się metal. Stopami wyczu-

łem, że zmieniła się praca maszyn – śruby straciły skrzydełka i trzasnął

główny wał napędowy. Niemal natychmiast potem nastąpiła eksplozja w maszynowni. Pośpieszyliśmy z Heleną na prawe skrzydło mostka. W

stalowym poszyciu statku była dziura, przez którą wybuch wyrzucił

zniekształcone zwłoki kogoś z obsługi. Całą burtę pokrywał wrzący olej.

Helena nie patrzyła na ten obraz zniszczenia, ale spoglądała na pokład główny.

– O Boże! – szepnęła. – Mój Boże! Spójrz!

Wzdłuż pokładu szedł zataczając się oślepiiony wybuchem człowiek.

Ramiona rozpostarł szeroko. Twarz miał zmasakrowaną płonąca ropą, a z tego, co pozostało mu po ustach, zwisał zwęglony język. Dotarł niepo-radnie po omacku do poręczy schodów prowadzących na mostek i wówczas – jakby to leciutkie dotknięcie dobiło go – zachwiał się i wypadł za burtę; plusnęło ścięte lodem morze. Utonął zaledwie jakieś trzy metry pod powierzchnią, z rozrzuconymi kończynami.

Fala uderzyła w skazany na zgubę statek, wlewając się wyrwą w poszyciu do maszynowni. Przez chwilę jeszcze wrzały plamy rozgrzanego do białości oleju. Ich opary zamieniły się w szron.

*Antarktyka* przechyli-

ła się o ponad dziesięć stopni i zaczęła nabierać wody.

– Czy spróbować uruchomić pompy, Bruce? – spytał oszołomiony Sailhardy.

Nie poznałem własnego głosu.

– Nie trzeba. Teraz zamarznie na mur. Nie utonie. Lód już nie puści statku i utrzyma go na powierzchni.

– A co się dzieje z kutrami... – zaczęła Helena.

135

Potrząsnąłem głową. Podniosłem mikrofon i włączyłem system głośnikowy na całym statku.

– Przygotować się do opuszczenia statku – powiedziałem. –

Wszystkie zapasy żywności natychmiast wynieść na pokład. Nie grozi nam natychmiastowe zatonięcie. Wszystko, co może się przydać i da się wynieść, należy złożyć na lodzie.

Wyłączyłem mikrofon i zatelefonowałem do Pirowa. Kiedy podniósł słuchawkę, usłyszałem, że nadaje owo fatalne SOS.

– Brak odpowiedzi z kutrów – zameldował zwięźle. – Ale są w kontakcie z *Thorshammerem*...

– Wyślę Sailhardy'ego, żeby pana tu sprowadził – powiedziałem. –

O czym mówią?

– Niedobrze dla nas, *Herr Kapitän* – odparł. – Bardzo niedobrze dla nas wszystkich.

Nie czekając, aż mi powie, o co chodzi, poleciłem Sailhardy'emu przyprowadzić więźniów na mostek. Jeśli mieli umrzeć, nie mogliśmy z pewnością pozwolić, by umarli przykuci pod pokładem.

Podszedłem do Heleny i objąłem ją ramieniem. Czuliśmy, że statek pogrążył się trochę bardziej. Błado świecące słońce schowało się za niebieski klif, więc było ciemniej. Panowało obezwładniające zimno. Sub-telne palce lodu sięgały po skazany na zagładę statek. Mała góra lodowa, wyglądająca jak imitacja tropikalnego morświna, zupełnie w tej sytuacji nie na miejscu, leżała nieruchomo pod tęnym dziobem statku przetwórnici.

Tak niesamowitych zabarwień burt nie widziałem nigdy na żadnym innym morzu: szeroki skrajnik dziobowy statku przetwórnici stał się zgniło-zielony, w podobnej tonacji były pokrowce łodzi ratunkowych rozrzuconych eksplozją maszynowni.

Staliśmy w milczeniu. Rozległ się głuchy dźwięk. To lodowe kleszcze objęły w posiadanie pierwszą z obluzowanych blach poszycia statku.

Biały gołąb morski przeokołował nad odległym krańcem wolnej od lodu wody ku ścianie mgły. Zdawał się pogłębiać poczucie odosobnienia i zagubienia. Kolejna płyta poddała się naporowi lodu. Niczym echo, za-wtórował jej dziwaczny krzyk samotnego gołębia, odbijając się głucho od pochłaniających dźwięki krawędzi pola lodowego.

Antarktyka miała niebawem podzielić los kapitana Norrisa i Sprightly. Heleną wstrząsał dreszcz.



Robiło się coraz mroczniej i wiatr się wzmagał.

# 9.

## Niebiański metal

Następnego ranka *Antarktyka* przedstawiała żałosny widok. Przez ca-

łą noc załoga pod moją komendą i niestrudzonym kierownictwem Sailhardy'ego wynosiła na pokład wszelkie dostępne zapasy pożywienia, koce i ciepłą odzież. Uruchomiłem awaryjną siłownię, ponieważ eksplozja pozbawiła nas głównego źródła energii elektrycznej. Cały pokład zavalony był tonami zaopatrzenia. Wszystko to pokrywała warstwa lodu i szronu. Wyglądała pięknie, kiedy tuż po brzasku patrzyłem z mostka na główny pokład. Nie ogolony, niewyspany i ochrypły od wydawania rozkazów, czekałem aż się rozjaśni, by znaleźć miejsce odpowiednio wytrzymałe, żeby złożyć nasze zapasy. Przez noc lód spotęgował swój du-szący uścisk. Statek konał. Uchodziło z niego życie, w miarę jak poddawały się kolejne nity i płyty poszycia. Na międzypokładziu odgłosy konania wydawały się czymś więcej niż bezdusznym zgrzytaniem niszczo-nej konstrukcji. Najpierw dochodziło do ścięcia nitów, potem do wybo-czenia, wreszcie z nieludzkim dźwiękiem następowało wyginanie i roz-rywanie dwuipółcentymetrowych blach.

Z pierwszymi promieniami słońca zeszliśmy z Sailhardym na lód w poszukiwaniu miejsca na składowisko. Znaleźliśmy je nie całe sto metrów od statku. Oznaczyliśmy bezpieczny teren długimi tyczkami z czerwono-nymi chorągiewkami, a po obu jego stronach – tam gdzie lód nie był

jeszcze pewny – ustawiliśmy podwójny rząd krótszych tyczek z pomarańczowymi chorągiewkami. Wybrany teren był prostokątem zbliżonym do kwadratu. Słońce, na wpół przesłaniane płynącymi chmurami, barwi-

ło go na czarno i czerwono-brązowo; nawet spłowiła odzież Sailhardy'ego nabrała koloru stonowanego szampana w tym rozproszonym świetle. Nie zdziwiło mnie, że pośrodku naszego pola Sailhardy umieścił

flagę norweską opuszczoną do połowy masztu, oddając honory ginące-mu statkowi.

137

*Antarktyka* na wpół leżała na prawej burcie, a woda, która wtargnęła przez dziurę w poszyciu, przemieniła się w lity lód. Lewe skrzydło mostka sterczało skierowane ku niebu, a pomarańczowy śmigłowiec na platformie ćwiartowniczej jaskrawo kontrastował z mrocznym tłem.

Helena miała odlecieć nim na bezpieczne miejsce na lodzie, jak tylko dostatecznie się rozwidni. Zerwany łańcuch kotwiczny zwisał jak kiel

narwala, niezdatny do użycia. Lewa burta *Antarktyki*, wystawiona na promienie słońca, była brązowożłota; prawa zaś ciemnogrnatowa w cieniu rzucanym przez statek. Ale ani cień, ani lód nie mogły przesłonić zdewastowanych płyt poszycia i zmasakrowanych zwłok.

Wracając na statek wytyczyliśmy – także chorągiewkami – bezpieczne przejście przez pole lodowe między składowiskiem a *Antarktyką*. W

nocy uzgodniliśmy z Sailhardym, że pozostanie na pokładzie jest niemożliwe. Wszystko ulegało zniekształceniu i wykoślawieniu, czyniąc z drzwi i grodzi śmiertelne pułapki, a wokół rozbrzmiewały dźwięki niszczonych stalowych płyt i belek. Bałem się, że wkrótce naciskowi lodu podda się cały statek. Główny pokład już uległ wyrzuceniu.

Całą poprzednią noc Helena spędziła ze mną na mostku. Co pewien czas przynosiła mi kubek wrzącego kakao. Mówiła mało, a jasne gwiazdy odbijały się w jej oczach błękitnymi punkcikami. Po eksplozji sprowadziłem na mostek Uptona, Waltera i Bjerko, ale kiedy po pewnym czasie zorientowałem się, że nic ma bezpośredniego niebezpieczeństwa, kazałem Sailhardy'emu ponownie ich zamknąć. Upton był ponury, ma-

łomówny, całkowicie nieobecny duchem. Choć pilnowanie ich sprawiało kłopot, byłem zadowolony z uwolnienia się od złego humoru Uptona.

Nie odzywali się do siebie z Heleną. Zupełnie odmiennie podziałała katastrofa na nastrój Pirowa. Był niestrudzony i niesłuchanie wydajny, w ciągu dwóch godzin, które przesiedział przy radiu, zaprezentował mi swój zdeprawowany talent. Nie zwracał uwagi na to, że kazałem go przykuć; posługiwanie się ukochaną aparaturą dawało mu podniecie i pochłaniało go całkowicie. Meldował o kutrach, o ich położeniu, które udało się ustalić radarem, oraz o sygnałach *Thorshammera*.

Nocne sygnały nie miały wszakże większego znaczenia, istotny był

tylko jeden, o którym Pirow poinformował mnie tuż po eksplozji. Z

*Thorshammera* wydano polecenie Reidarowi Bullowi, Hanssenowi i Larsowi Brunvollowi. Mieli schwytać mnie, Uptona, Pirowa i Waltera, a następnie przekazać nas na niszczyciel w okolicy Wyspy Bouveta.

138

Nie mieliśmy innego wyjścia, jak tylko czekać, aż się pojawią. Jedyne Helenie i Sailhardy'emu powiedziałem o zamiarach *Thorshammera*.

Zachodziłem wszelako w głowę, czemu niszczyciel nie przybędzie. Dlaczego każe nas aresztować szyprom? Gdzie obecnie przebywa? Co mogło być ważniejsze dla załogi *Thorshammera*! Pirow nie był w stanie odpowiedzieć na moje pytania. Narzekał na wpływ plam słonecznych na odbiór radiowy, a fragmenty nasłuchów, które mi przekazywał, okazały się tak zniekształcone, że nie można było ich zrozumieć.

Staliśmy z Heleną i Sailhardym na mostku, kiedy pierwsi obładowani ludzie zaczęli schodzić naprędce skleconym i zabezpieczonym siecią pomostem, kierując się następnie według chorągiewek na wybrane miejsce. Wiatr nie nasilił się tak bardzo, jak oczekiwałem, ale wystarczyło parę śnieżnych zadymek, by ograniczyć okresowo widoczność do paruset metrów. Nie miałem pojęcia, jak

daleko rozciąga się pole lodowe.

Nie wiedziałem też, gdzie są kutry. Pirow od paru godzin próbował ustalić ich położenie.

Zniecierpliwiony, zatelefonowałem do niego.

– Masz już jakiś kontakt radarowy? Gdzież są te kutry, u diabła, Pirow? Przecież jeśli w ogóle można je znaleźć radiem czy radarem, ty to potrafisz.

Głos jego brzmiał zawsze tak samo, nie wykazywał oznak zmęczenia już prawie piętnastogodzinną służbą na stanowisku.

– Brak kontaktu, *Herr Kapitän* – ledwie wyczuwalna nutka ironii pobrzmiewała w zrównoważonym tonie. – Doceniam pańską uprzejmość.

Po raz któryś zastanawiałem się, w jakim stopniu Kohler zawdzięczał

swe niezrównane sukcesy geniuszowi dezinformacji, geniuszowi, którego głos docierał do mnie ze słuchawki. W latach wojny mieliśmy respekt dla morderczego Kohlera, ale baliśmy się bezlitosnego Człowieka o Niezawodnej Dłoni.

– Próbuj dalej – powiedziałem. – Melduj o najdrobniejszych ich śladach.

– Tajest, *Herr Kapitän*.

Helena ożywiła się.

– Polecę i rozejrzę się za nimi z helikoptera, Bruce! Będziesz wiedział konkretnie, czego się trzymać, kiedy się dowiesz, co robią.

Spojrzałem na śnieżne niebo.

139

– Jedyne odległość, którą masz pokonać tą maszyną, to przelot na składowisko. Najdalej po południu zrobi się pełny sztorm. Jeśli *Thorshammer* chce nas dostać, przyplynie tu albo przyśle po nas chłopców z kutrów. Ty się stąd nie ruszasz!

– Pozwól mi cośkolwiek zrobić! – krzyknęła. – Czy mogę teraz polecieć na pole lodowe? Jest całkiem widno.

– Dobrze – zgodziłem się niechętnie. – Ale, na miłość boską, bądź

ostrożna. Poleciałem ludziom, by mieli w pogotowiu parę beczulek peł-

nych paliwa, żeby je przywiązać do helikoptera. Inaczej mógłby go póź-

niej porwać wiatr.

Uśmiechnęła się.

– Przecież wiesz, że to właśnie trenowałam.

– Ale nie na zimnych wodach południowego oceanu – odparłam.

– Bruce – ciągnęła dalej – jeśli zjawią się szyprowie, co zamierzasz zrobić z moim ojcem? Czy po prostu wydasz im go...?

Wzruszyłam ramionami.

– Na razie przede wszystkim musimy przeżyć. Zapominasz, że jadę na tym samym wózku. *Thorshammer* ściga mnie tak samo, jak twojego ojca i Waltera. Ich obciąża jedynie moje świadectwo, a mnie posądza się o zestrzelenie wodnopłatowca.

– Bruce – wszedł nam w słowo Sailhardy. – Może to brzmi trochę nierealnie, ale da się wykonać. Weźmy we dwóch łódź wielorybniczą.

Możemy ją przenieść przez lód do morza. Jest lekka. Mamy w bród zaopatrzenia. Możemy we dwóch dotrzeć do Bouveta. Ta łódź sprosta każ-

dej burzy.

Zajrzałam głęboko w niesamowite oczy Heleny. Pomijając już to, że ucieczka poświadczalaby moją winę, oboje wiedzieliśmy, iż w tej sytuacji nie wolno opuszczać innych.

Obróciłam to w żart.

– Chciałbyś zostać drugim Shackletonem czy Blighem, Sailhardy.

Żyjemy w bardziej prozaicznych czasach.

– Shackleton zdołał przebyć siedemset pięćdziesiąt mil morskich na zwykłej otwartej łodzi ratunkowej... – zaczął Sailhardy – a do Bouveta nie ma nawet stu...

Zgasiałem go ostrzej, niż zamierzałem.

– Jesteś pod moją komendą, Sailhardy. Zostajemy. To samo dotyczy ciebie, Heleno. A teraz startuj helikopterem. I uważaj na siebie.

Uśmiechnęła się.

– Tajest, *Herr Kapitän* – powiedziała kpiąco.

Tak bardzo zależało mi, by się upewnić, że Helena wystartowała bezpiecznie z nachylonego pokładu, że nie zauważyłem trzech postaci, które wyłoniły się ze śnieżycy i zmierzały ku pomostowi. Dopiero kiedy już huczały nad moją głową wirniki śmigłowca, spostrzegłem, że załoga *Antarktyki* zaczyna cofać się ku statkowi.

Reidar Bull, Hanssen i Lars Brunvoll energicznie przedzierali się wśród ludzi. Groźna zawziętość na ośnieżonych twarzach nie pozostawiała wątpliwości co do ich zamiarów. Podobnie jak pistolet maszynowy w rękach Bulla. Jakiś człowiek schodził po pomoście z workiem na plecach. Reidar Bull zepchnął go brutalnie na bok, klnąc. Bull był roslym mężczyzną, podobnym do Waltera. Dopiero teraz zauważyłem, że brakuje mu trzech palców u lewej dłoni, spoczywającej na lufie schmeissera.

Musiała mu je kiedyś urwać wadliwa lina harpuna. Hanssen, wysoki blondyn, szedł tuż obok niego, a zamykał pochód czarnobrody Lars Brunvoll. Ludzie rozładowujący statek gapili się na nich. Na moment zapomnieli, że każdy galon paliwa i każda puszka konserw, jaką wyniosą na plecach za burtę, mogą im uratować życie.

Trzej szyprowie szybko wspięli się po drabince na mostek, gdzie sta-

łem. Bull odbezpieczył pistolet, kiedy mnie ujrzał. Moja broń została w zapasowym płaszczu. Wziął mnie na muszkę.

– Hanssen! Rozbrój go! A ty, Brunvoll, miej oko na wyspiarza! –

powiedział Reidar Bull, podchodząc bliżej do mnie. – Gdzie są pozostali?

Wzruszyłem ramionami.

– W kajdankach. Próbuję uratować to, co zostało z tego statku. Ocaliłbym go, gdybyście mnie posłuchali, tchórzliwe sukinsyny, i przypro-wadzili swoje kutry, żeby utrzymać wolną drogę odwrotu.

Moje słowa jeszcze bardziej rozjątrzyły ordynarnego Bulla.

– Posłuchaj, kapitanie! Ty i cała ta oszukańcza szajka jesteście aresztowani. Rozumiesz? Zabieram was...

– Wiem – uciałem. – Zabierzecie nas i przekażecie na *Thorshammera* przy Bouvecie. Słyszałem to przez radio.

Lars Brunvoll nie mógł pohamować wściekłości.

– Widziałem łowcę wielorybów, który wyrwał język płetwalowi błękitnemu dla zabawy. Ty nie jesteś wielorybnikiem, ale – mój Boże –

zastanawiam, się kim jesteś, odkąd zobaczyłem, jak zestrześliłeś wodnopłatowiec!

Reidar Bull wymachiwał mi schmeisserem przed nosem, kiedy pró-

bowalem im powiedziec, jak to bylo z dzialkiem przeciwlotniczym.

141

Hanssen rowniez miotal niewybredne pogrózki.

– Tu w Antarktyce umiera sie twardo – powiedzial. – Nawet w naj-gorszej sytuacji nie wzywa sie pomocy, jezli mozna tym narazic innych.

Takie sa zasady. Znasz je, kapitanie. Tak wlasnie umieral wasz kapitan Scott i swiat o tym wciaz pamietä. Ty natomiast rozmyslnie odebrales zycie ludziom.

– Zabiles mlodych ludzi, Norwegow, ktorzy nie byli jak ty zabójca-mi – dodal Reidar Bull. – Widzialem, jak lecieli w gradzie twoich pociskow. Dobrze strzelales, za dobrze. Teraz zaplacisz za to ty i twoi przyjaciele.

Spojrzal na swoja pokiereszowana dlon, jakby smierc załogi samolotu ozywila w nim jakies wspomnienie z przeszlosci.

– Zakulem w kajdanki tych ludzi, ktorych nazywasz moimi przyjaciolmi, gdyz chcieli mnie zabic – odparlem. – Nie tylko mnie, takze Sailhardy'ego. Przyjrzyj sie jego twarzy, jezli mi nie wierzysz.

Opowiedzialem im kroutko o mapie Norrisa, Wyspie Thompsona i rozmowie podsłuchanej przez glosnik. W odpowiedzi Bull wykrzyknal

cos, a pozostali smiali sie nieprzyjemnie.

– Nie dalbym zlamanego grosza za twoje bajeczki, mozesz je opowiadać na *Thorshammerze* – powiedzial Bull. – Mam was dostarczyc na niszczyciel i to zrobie. Przycumowalismy kutry przy krawedzi lodu, jakies piec mil stad. Musimy tam przejsc po lodzie i nie radzilbym pró-

bowac zadnych sztuczek. A teraz zlaż tam – wskazal lufa schmeissera na pole lodowe. – Hanssen! Idz z Larsem i sprowadz pozostalych. I za-bierzcie tych gapiow. Chce chwile porozmawiac ze wszystkimi wiez-

niami, zanim wyruszamy.

Czekalismy z Bullem i Sailhardym pelne dziesiec minut na polu oznakowanym choragiewkami. Kiedyśmy tam dotarli, zesla do nas z kabiny smiglowca Helena. Nic nie mowila. Spotkaly sie nasze oczy. W

futrzanym palcie zdawala sie zlewać z otoczeniem. Gesty snieg chronil

nas przed oczami załogi *Antarktyki*.

Upton szedl pierwszy, a zanim Walter, Bjerko i Pirow; Hanssen i Lars Brunvoll stanowili straz tylna. Kiedy Upton zobaczył Bulla, zdjal

kaptur swej jasnoniebieskiej wodoodpornej kurtki o jaskrawobłękitnych klapach, zawiesił go sobie na piersi pod brodą jak śliniaczek i pośpieszył

ku Norwegowi, uśmiechając się.

– O, Reidar Bull! – zawołał. – Miło cię widzieć! Tak, pilnuj tego człowieka i wyspiarza. Wiem, że przybyłeś mi na ratunek. –

Zdejm

mi te cholerne kajdanki i zastanowimy się, co robić.

142

Bull wydawał się zakłopotany. Jego koledzy najwidoczniej nie powiedzieli Uptonowi o rozkazie z Thorshammera. Twarz zrobiła mu się jeszcze bardziej zła i ponura.

– Wszyscy jesteście aresztowani! Nie, ty Bjerko nie, ale nie wolno ci pomagać tym ludziom, rozumiałeś?

Upton powoli opuścił dłonie w kajdankach. W jego głosie zabrzmiała groźba.

– Z czyjego rozkazu, Reidarze Bullu?

– Dowódcy *Thorshammera* – padła odpowiedź.

Upton zwrócił się do szyprów z wymówkami.

– Żaden z was nie ma za grosz charakteru – powiedział. – Jak tylko zrobiło się odrobinę pochyło, dogadaliście się z tymi z *Thorshammera*.

A mogliście zostać bogaczami, gdybyście się wyprawili na płetwale błękitne!

Brunvoll przerwał mu.

– Do diabła z panem i z pańskimi płetwalami! Wszyscy mamy już pana dosyć, Sir Fredericku. Nie wiemy, co pan jeszcze zamierza, ale to już przestało nas dotyczyć, rozumie pan? Pańska córka zobaczyła wielkie stado płetwali, a my, zamiast się nimi zająć, wpakowaliśmy się z wielką szybkością w najgorszy lód, jaki kiedykolwiek widziałem. Niech diabli wezmą pańskie płetwale błękitne razem z pańskim błękitnym lodem. Pozostając z panem, moglibyśmy się dorobić co najwyżej błękitnych dup.

Hanssen również miał coś do powiedzenia.

– Nikt z nas, doświadczonych wielorybników, nigdy jeszcze nie widział takiego lodu. Pański piękny statek był panu posłuszny jak cholera i już go nie ma.



Upton popatrzył pogardliwie na jasnowłosego wikinga.

– Tak się przestraszyłeś, za chwilę zgubisz swój talizman.

Tamten sięgnął zbaraniały ku klapie, gdzie miał wpiętą ostrogę wę-

drownego albatrosa, oprawną w srebro. Wtedy odezwał się twardo Reidar Bull.

– Wyruszając z Tristana wiedzieliśmy, że podejmujemy ryzyko.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że formalnie znajdziemy się na norweskich wodach terytorialnych. To drobiazg. Można trochę zaryzykować, żeby coś zarobić. To całkiem w porządku. Po tym jak zestrzeliliście samolot, uznaliśmy was za parszywych morderców. To wasza wspólna robota.

Dlatego was opuściliśmy.

143

Upton zakołysał się na nogach. Spróbował po koleżeńsku.

– Sailhardy nie uczestniczył w strzelaniu. Leżał nieprzytomny w kabinie. Puśćcie go!

Głos Sailhardy'ego był ostry jak wiatr.

– To prawda. Byłem nieprzytomny, bo mnie pobili. To, co powiedział kapitan Wetherby, to prawda.

Reidar Bull machnął schmeisserem.

– Jesteś wolny, Sailhardy, ale uważaj. Tylko tyle ci powiem. Spró-

buj dopomóc swemu kapitanowi, to zobaczysz, co się stanie.

– Jeśli go puścicie, odchodzę – sprzeciwił się wyspiarz. – Jeśli zabieracie go na kutry, idę z wami.

– Posłuchajcie – powiedziałem szorstko. – Nie mogę odpowiadać za to, co zrobił Walter. Nie zestrzeliłem wodnopłatownca. Spytajcie sternika z *Aurory*.

– Pytaliśmy – odrzekł Brunvoll. – Widział, jak razem z Walterem szliście na górę do działka. Potem słyszał, jak strzelało.

– Tę broń obsługuje dwóch ludzi, nie jeden człowiek – dorzucił

Hanssen. – Sternik Petersen słyszał strzały zarówno ze spandau, jak i z hotchkissa. Strzelaliście obaj.

– Walter... – zacząłem.

– Ani Hanssen, ani Brunvoll, ani ja nie przyszliśmy tu po to, by wydawać wyrok – rzekł Reidar Bull. – Jesteśmy pod rozkazami okrętu wo-jennego mojego państwa i je wypełnimy.

Walter wymienił szybkie porozumiewawcze spojrzenie z Uptonem.

– To prawda, że wchodziłem razem z kapitanem Wetherbym na pomost artyleryjski – powiedział. – Przybyliśmy razem ze statku przetwórci na *Aurorę*. Ale to był jego pomysł, żeby zestrzelić samolot, jeśli pojawi się nad nami. Wtedy zgodziłem się z nim, ale kiedy zobaczyłem w celowniku tych biednych chłopców, nie potrafiłem tego zrobić. Przecież i ja jestem Norwegiem. Czemu miałbym zabijać moich rodaków tylko dlatego, że tak się spodobało jakiemuś angielskiemu kapitanowi?

Dla pana cholernych płetwali błękitnych? Szarpnąłem na bok uprząż działka – widzieliście, jak niecelna była pierwsza salwa. Ale on dobrze strzela, ten kapitan. I jest silny. Obrócił działo i puścił serię z szybkostrzelnego hotchkissa. Następnie próbował mnie z niego zabić. On ma świra na punkcie zabijania. Musiałem strzelić z pistoletu do tego szaleń-

ca, by go powstrzymać.

– Walter, ty cholerny zakłamany skurwysynu! – warknąłem. – Po-słuchajcie mnie, ludzie! To są przestępcy i mają coś na sumieniu.

144

Przybyłem tu, żeby się rozejrzeć za Stopą Albatrosa. Nic innego mnie nie obchodzi.

– A więc – powiedział Reidar Bull – tak bardzo interesuje się pan tym prądem, że zestrzelił pan wodnopławiec? Jesteśmy ludzie prości, kapitanie Wetherby, ale nie do tego stopnia.

– To właśnie ja przeszkodziłem Walterowi – zaprotestowałem, ale patrzyli na mnie surowo, z niedowierzaniem. – To ja sprawiłem, że pierwsza seria była niecelna.

Reidar Bull machnął ręką na to, co mówiłem.

– Może pan to wszystko opowiedzieć na *Thorshammerze*. My, kapitanie, nie jesteśmy ani zbyt dobrzy, ani przesadnie uczciwi, ale widzieli-

śmy jak bezlitośnie, z zimną krwią zabito dwóch facetów takich jak my.

To wszystko, co wiemy. Właśnie dlatego skontaktowaliśmy się z *Thorshammerem*.

Zwrócił się do Pirowa.

– Właż do helikoptera i połącz się z *Thorshammerem*. Żadnych sztuczek!

Rzucił parabellum Brunvollowi.

– Idź z nim, Lars, i dopilnuj tego. Pirow, przekaż na niszczyciel, że ja, Reidar Bull, zaaresztowałem ludzi, którzy zestrzelili wodnopławiec i spotkam się z nim przy Bouvecie, jak wcześniej uzgodniono.

Kiedy Pirow przyszedł po łodzi na składowisko, wyglądał na całkowicie wyczerpanego. Teraz wydawało się, że zmęczenie opadło z niego jak płaszcz. Rzucił spojrzenie Uptonowi i lekko wzruszył ramionami.

Następnie zwrócił się w moją stronę.

– *Herr Kapitän* rozumie alfabet Morse'a – powiedział z uśmiechem.

– Może podejdzie do drzwi kabiny i upewni was, że wysłałem właściwą wiadomość.

Reidar Bull wydawał się zaskoczony, ale przystał na to. Poszliśmy z Brunvollem i Człowiekiem o Niezawodnej Dłoni do śmigłowca. Helena została z nimi, blada, milcząca. Chwilę potrwało, zanim skrępowany kajdankami Pirow dostał się do radia pokładowego. Potem klucz zaczął

stukać.

„REIDAR BULL, SZYPER KUTRA CROZET, DO THORSHAMMERA. ZAARESZTOWAŁEM LUDZI, KTÓRZY ZESTRZELILI WODNOPLATOWIEC, ZABIJAJĄC JEGO ZAŁOGĘ. SPOTKAM SIĘ Z WAMI PRZY BOUVECIE, JAK

UZGODNIONO”.

Pirow nadawał płynnie, biegle, wyraźnie. Nie próbował wprowadzić w błąd *Thorshammera*. Czemu tak chętnie zgodził się przesłać tę niemiłą 145

dla nas wiadomość? Siedział w tym po uszy, podobnie jak Upton czy ja.

Potem nadeszła odpowiedź z niszczyciela.

„THORSHAMMER DO REIDARA BULLA, KUTER CROZET. SPOTKAMY SIĘ PRZY BOUVECIE, JAK USTALONO. CZĘŚĆ DEPEZY NIEZROZUMIAŁA. WODNOPLATOWCOWI THORSHAMMERA SKOŃCZYŁO SIĘ PALIWO. ZAŁOGA BEZPIECZNA NA TRATWIE RATUNKOWEJ. POZYCJA OKOŁO STU MIL NA ZACHÓD OD BOUVETA. SZUKAM ICH”.

Nie mogłem uwierzyć własnym uszom: samolot, który został zestrzelony, jest bezpieczny na falach, bez paliwa. Tak bardzo się zdumiałem, że zapominając o Reidarze Bullu i jego schmeisserze, wbiegłem po stopniach do przedziału radiowego. Brunvoll stał z pistoletem w dłoni, nie-

świadom, co dotarło do nas z eteru.

– Wodnopłatowiec! – powiedziałem z niedowierzaniem do nich obu. – Jak on mógł przekazać wiadomość?

– O czym pan mówi? – dopytywał się Brunvoll. – O zestrzelonym samolocie?

Pirow wyszczerzył do mnie zęby w uśmiechu. Odłączył przewód, tak że to, co nim teraz wystukiwał, było jedynie do mojej wiadomości. Przekazywał wyraźnie po niemiecku. Taki był właśnie Człowiek o Niezawodnej Dłoni w jednym ze swoich wielu wcieleń. Teraz występował w roli załogi wodnopłatowca, wzywając pomocy z tratwy ratunkowej. Pre-zentowana mi imitacja była fragmentaryczna, nerwowa, taka jaką powinni nadać niedoświadczeni lotnicy zagrożeni śmiercią na burzliwym morzu. Teraz wreszcie zrozumiałem, czemu *Thorhammer* nie przybył

nas aresztować. Pirow musiał wysłać ze statku przetwórnici całą serię sfabrykowanych sygnałów pochodzących rzekomo z tratwy ratunkowej.

Był na tyle bystry, by nie dać *Thorhammerowi* dość czasu na wykonanie zamiaru radiowego – był jedynym człowiekiem, któremu wystarczało

do tego celu tuzin liter. Musiał wykoncypować sobie ten pomysłowy plan, kiedy usłyszał, jak kutry nawiązują łączność z *Thorhammerem*.

Niszczyciel był obecnie w drodze ku wyimaginowanej pozycji, podanej przez Pirowa, by wyłowić z morza nie istniejącą już załogę wodnopłatowca. Dał w ten sposób Uptonowi i sobie chwilę wytchnienia. Dowiedział

też, iż Walter nie popełnił zbrodni, gdyż z radiowych komunikatów *Thorshammera* wynikało, że wodnopłatowiec przesyłał sygnały długo po tym, jak został zestrzelony. Co więcej, odpowiedź z *Thorshammera* świadczyła o tym, że niszczyciel nie odebrał żadnego meldunku o 146

zestrzeleniu samolotu. Załoga była więc przeświadczona, że ten zabłą-

dził i po wyczerpaniu paliwa wodował, a dwuosobowa obsługa skorzystała z tratwy ratunkowej. Człowiek o Niezawodnej Dłoni zaimponował

mi. *Thorhammer* mógł nas zatem zaaresztować za naruszenie norweskich wód terytorialnych i polowanie na płetwale błękitne.

– Chodźcie! – powiedziałem do Brunvolla. – Chcę, żebyście także to usłyszeli. – Podeszedłem do drzwi kabiny. Stojący na łodzi zwrócili się w moją stronę. Twarz Heleny była zmartwiona, niespokojna.

– Reidarze Bullu! – zawołałem. – Właśnie nadeszła odpowiedź z *Thorshammera*. Mówi, że załoga ich samolotu jest bezpieczna na morzu.

Nikt ich nie zestrzelił. Skończyło im się paliwo.

– A to ci dopiero! Co to ma znaczyć? – ryknął Norweg. – Bezpieczna na morzu! Zwariowałem, czy jestem pijany?

Brunvoll ścisnął mi ramię żelazną pięścią.

– Widziałem, wszyscyśmy widzieli, jak wodnopławiec wpadł roz-trzaskany do wody.

– Przez Waltera – dodałem z mocą. Opowiedziałem im, co moim zdaniem zrobił Pirow. Kiedy skończyłem, zobaczyłem wyraz szalonego triumfu i determinacji na metalowej twarzy Uptona, okolonej niebieskim kapturem. Helena pochwyciła moje spojrzenie i przyjrzała się ojcu. Nie mogła się zdecydować, by ruszyć z miejsca, jeszcze raz spojrzała na mnie. Patrzyła i ja patrzyłem. Byłem zadowolony, że Upton ma na rę-

kach kajdanki i dodatkowo jest pilnowany przez kogoś ze schmeisserem.

Hanssen potrząsnął głową, jak bokser przytomniejący po otrzymanym ciosie.

– Widziałem, jak samolot leci wprost na działko. Widziałem, jak działko strzela. Widziałem, jak samolot się roztrzaskuje. A teraz mówi mi się, że tego nie było!

– Wy trzej podjęliście się największej wyprawy w waszej karierze –

zwróciłem się do Norwegów. Powiedziałem im, kim był Pirow.

Twarz Reidara Bulla pociemniała.

– *Thorshammer* nie będzie teraz nasłuchiwał was... po meldunku Pirowa – dodałem. – Bóg jeden wie, jak długo uwięzani będziecie przy Wyspie Bouveta, czekając na *Thorshammera* szukającego załogi swego samolotu.

Głos Uptona był pełen napięcia.

– Powiedz im też, Wetherby, że w Antarktyce nie obowiązuje 147

ekstradycja za morderstwo. Tak zapisano w traktacie antarktycznym, w traktacie, który podpisał twój cholerny rząd, Reidarze Bullu. Nie obowiązuje on do wydawania kogokolwiek.

Reidar Bull przytknął bezpiecznikiem schmeissera, jakby się upewniał, że przynajmniej on jest realny.

– Nie wiem, co to znaczy ekstradycja – stwierdził. – Nie wiem już, co znaczy cokolwiek, kiedy otaczają mnie takie skurwysyny jak wy.

Wiem tylko, że natychmiast odmaszerowujemy! Możecie wziąć ze sobą trochę rzeczy osobistych.

Skinął schmeisserem na Uptona.

– Pan pierwszy. Co pan chce zabrać?

– Zajrzyjcie do szuflady mego biurka – odpowiedział. – Jest tam stara mapa. Przynieście ją. Obok niej leży skórzany woreczek. A także paczka z zastrzykami pierwszej pomocy. Jeszcze weźcie moją guaranę z barku w gabinecie. To wszystko, czego mi potrzeba.

– A pan, kapitanie? – Bull zwrócił się do mnie.

– Mój sekstans – odpowiedziałem. – To mi wystarczy.

Był to przyrząd, którym wyznaczyłem położenie Wyspy Thompsona.

Podszedł do nas Sailhardy, groźnie uderzając kciukiem w otwartą dłoń.

– Idę z wami, ponieważ zabieracie kapitana Wetherby'ego. Jesteście żeglarzami, każdy z was ma swój kuter. Ja też mam swoją łódź. Jest wszystkim, co mam na tym świecie. Dla wyspiarza z Tristana warta jest omalże więcej niż życie. Idę z wami i będę niósł moją łódź.

Po raz pierwszy tego ranka twarz Reidara Bulla trochę się odprężyła.

– Na wszystko, co święte! To ci dopiero wyspiarz! Chciałbym prawie, żeby był moim przyjacielem, a nie kapitana!

Spojrzał na pozostałych szyprów. Byli ludźmi, którzy wiedzieli, co to znaczy mieć pod stopami własny pokład. Właściwie nie było potrzeby, by zyskać ich aprobatę. ,

– Możesz ją załadować na mój kuter – powiedział Reidar Bull szorstko, bojąc się być posądzonym o sentymentalizm. – Poczekaj! Już wiem! Kapitan Wetherby może ci pomóc nieść tę łódź. To go powstrzyma od robienia jakichś głupstw po drodze.

Pozostali wyszczerzyli zęby w uśmiechu.

– Mam przygotowaną małą walizeczkę – powiedziała Helena. –

Spakowałam ją, w nocy, szykując się do opuszczenia statku. Jest na mostku.

148

W jednej chwili twarz Bulla z powrotem stała się ponura.

– Pani tu zostaje, panienko. Kapitan Bjerko będzie doglądał rozładowywania statku. Kiedy dotrzemy na krawędź lodu, damy znać przez walkie-talkie i przyleci pani do nas helikopterem. Może się on jeszcze okazać bardzo dla nas użyteczny. Posadzi go pani na lodzie, koło kutrów. Załadujemy go na mój.

Helena zaczęła protestować, ale jej przerwał.

– Hanssen! Idź i przynieś rzeczy, o które prosili. Pośpiesz się! Chcę wyruszyć, zanim pogoda się pogorszy.

Potem odezwał się do Bjerko.

– Wrócimy tu kutrami po spotkaniu z *Thorhammerem* przy Bouvecie. Otrzymaliśmy polecenie, by

wszystkie trzy tam się stawiły, a z *Aurorą* będą cztery. Wystarczy miejsca na pokładach, by zabrać załogę *Antarktyki*. Wrócimy za parę dni. Łód nie powinien do tego czasu pęknąć. Będziecie raczej bezpieczni.

Bjerko popatrzył z powątpiewaniem na widoczną w dali, pomimo za-dymki śnieżnej, sylwetkę statku przetwórci.

– Nigdy jeszcze nie widziałem takiego lodu. Wracajcie szybko. To mi się nie podoba.

Mnie też się nie podobało. Od masy lodu oderwał się kawał przypominający kształtem gigantyczną głowę Sfinksa, z szerokim czołem i wyraźnie zaznaczonymi wargami. Miał nawet szyję, składało się na nią sporo poźłobionych klifów. Na wysokości prawie pięćdziesięciu metrów od powierzchni stykało się z nią podwójne wspornikowe skrzydło, spoczywające na trzech żłobkowanych kolumnach mających po piętnaście metrów średnicy.

Chciałem podejść do Heleny, ale Reidar Bull powstrzymał mnie ruchem dłoni. Upton zainfekował nas wszystkich nerwowym napięciem.

Zdawało się, że na coś wyczekuje. Brunvoll wydawał się zadowolony, że ma coś do zrobienia, kiedy Bull odesłał go do pilnowania Pirowa. Gdy Hanssen powrócił ze statku, Upton szybko wyszedł mu naprzeciw i odebrał od niego mapę. Była to mapa Norrisa z Wyspą Thompsona.

Upton ukląkł i rozpostarł ją na lodzie.

– Chodź tu, Bull – powiedział rozkazującym tonem. Wszyscy zgromadziliśmy się wokół. Upton mówił pośpiesznie, w kącikach jego ust i oczu pojawił się tik. Palce mu się trzęsły, gdy pokazywał cieniutki jak pajęczyna szlak starej *Sprightly* i naniesioną przez Norrisa pozycję Wyspy Thompsona. Oddziaływała na nas jego silna osobowość.

– Słyszeliście w ogóle o Wyspie Thompsona? – dopytywał się.

149

Reidar Bull rzucił okiem na starą mapę. Wzruszył ramionami.

– Pewnie. Słyszałem też o Wyspach Aurory, gdzieś na Morzu Szkockim. Ludzie szukają ich od stu, może dwustu lat. Te wyspy istnieją

– jak to się mówi – jedynie w wyobraźni.

Twarz Uptona nabrała różowawego odcienia. Widziałem, jak bardzo starał się opanować. Kącik ust drgał mu mocniej. Hanssen nawet nie spojrział na mapę.

– Widywałem na wodach południowych setki obiektów, które moż-

na wziąć za wyspy – skały pokryte guanem, lodowce pokryte mułem.

Nic dziwnego, że wszyscy trochę oddajemy się marzeniom na tych przeklętych wodach. Wielu ludzi je snuło, niewiele odkryto wysp. Wyspa Thompsona to fantazja.

– Zbierać się – zakomenderował Reidar Bull. – Idziemy!

Upton wciąż siedział w kucki. Wyglądało na to, że nie może opanować drżenia rąk. Trzęsły się tak, że słyhać było delikatny brzęk kajdanków.

– Ojczy – powiedziała z niepokojem w głosie Helena. – Chodź, Wyspa Thompsona może poczekać.

Jego oczy błyszczały gorączkowo.

– Przeszło stulecie na mnie czeka – powiedział nieskładnie. – Reidarze Bull! Hanssen! Wyspa Thompsona istnieje! Tutaj jest jej pozycja.

Kapitan Wetherby ją widział! Widział ją, słyszycie? Wyspa Thompsona!

Słuchajcie!

Głos mu spotęźniał. Odwrócił starą mapę i odczytywał zapis Norrisa, przedstawiający obraz błękitnego lodu, zapis, który tak trwale zapadł mi w pamięć:

„Wyspa Thompsona to jedynie pionowe skały, a sprawia wrażenie, jakby cała była z żużlu, z olbrzymimi żyłami lawy, która wygląda jak czarne szkło, ale wiele z nich ma białe żyłkowania”.

Chropawy śmiech Reidara Bulla przypominał odgłos kruszącej się kry.

– Bzdury! Wstawaj!

Upton skulił się na lodzie jak ranne zwierzę w obliczu myśliwych.

Twarz miał wykrzywioną. Helena odeszła, nie chcąc patrzeć, jak się załamie. Upton ciągle trzymał w zanadrzu swoją najmocniejszą kartę –

prawdziwy powód, dla którego chciał znaleźć Wyspę Thompsona. Wbił

ją sobie do głowy w fatalny, osłabiający poczytalność sposób. Przykro było na to patrzeć.

150

Walter oblizwał się z jakimś nabożnym lękiem. Czekałem, co się stanie.

– Potrzebuję Wyspy Thompsona – powiedział Upton tak cicho, że musiałem się nachylić, by go usłyszeć. Zwrócił się do trzech szyprów: –

Podwajam to, co wam wcześniej oferowałem, jeśli zabierzecie mnie na Wyspę Thompsona.

Żaden z nich nie odpowiedział. Wtedy zwrócił się do mnie:



– Bruce! Ty wiesz, gdzie ona jest, a teraz ja również wiem. Zabierz mnie tam!

Patrząc na rozgadana postać na łodzi, pamiętałem, co przydarzyło się w przeszłości tym, którzy też opętani byli Wyspą Thompsona. Postanowiłem sobie, że nikt ze mnie nie wydusi tajemnicy jej położenia.

Upton pogrzebał w swym rozczulającym małym skórzanym woreczku.

– O Boże! – wyrwało się Helenie. – Bruce...

Wysypał jego zawartość na dłoń. Nie podnosząc się, rzucił pięć ma-

łych przedmiotów na mapę, tak że potoczyły się po niej niczym kości do gry. Wyglądały jak „tarcze strzelnicze”...

– Zwą to niebiańskim błękitem – niemal zarecytował śpiewnie. –

Czyli kolorem, jaki miał ten lód. Naprawdę jest srebrzystobiałe, ale ma błękitne prążki w swym widmie.

Reidar Bull powiedział coś cicho po norwesku do pozostałych szyprów.

– Udacie się teraz tam ze mną, prawda? – powiedział Upton, patrząc wyczekująco na Norwegów. – W porównaniu z tym, wszystko inne nie ma znaczenia.

– O czym pan mówi? – dopytywał się gwałtownie Reidar Bull.

– A więc pojedziesz? – ciągnął Upton. – Będiesz najbogatszym człowiekiem w Norwegii.

– Od tego? – zakpił Norweg, wskazując „tarcze strzelnicze”.

Tik pojawił się ponownie na twarzy Uptona, tak trudno mu było, nawet w tych okolicznościach, ujawnić swój sekret.

– Tak – potwierdził. – To jest cez. Najrzadszy metal na świecie.

Wart jest sto tysięcy funtów za kilogram. Cez! Metal epoki kosmicznej!

Od dawna uważałem, że to nie ciekawość odkrywcy kieruje Uptonem w jego usiłowaniach odnalezienia wyspy. Wiele mówiło się o cezcie, kiedy powróciłem po wojnie do Cambridge. Stanowi najistotniejszy składnik paliwa rakiet i statków kosmicznych. Patrząc na te przedmioty 151

przypominające kości do gry, wróciłem pamięcią do pewnego młodego naukowca z Cavendish Laboratory. Stał się on pośmiewiskiem, gdyż przy poobiedniej szklaneczce porto zanudzał wszystkich nie kończącymi się dywagacjami o cudownościach cezu. Upton miał rację mówiąc, że płetwale nie wytrzymały z nim porównania. Jak się dowiedziałem podczas drinków uniwersyteckich, cez występował w minimalnych ilo-

ściach tylko w trzech miejscach: w pewnej niewielkiej miejscowości w północnej Szwecji, w Afryce Południowej i w Kazachstanie, w Związku Sowieckim. Jego nazwa pochodzi od jasnoniebieskich prążków występujących w jego widmie. Upton pewnie miał rację mówiąc, że były koloru nieba. Staralem się teraz przypomnieć sobie coś więcej z tego, co nam opowiadał wówczas ów nudziarz z Cambridge. Wydawało mi się, że cez ma najniższą temperaturę wrzenia spośród metali alkalicznych i że jest bezcenny nie tylko z uwagi na swą rzadkość, ale i ze względu na przydatność w produkcji pewnego naładowanego elektrycznie gazu składają-

cego się na paliwo statków kosmicznych. Stanowił, o ile dobrze pamięta-

łem, spełnienie modlitw uczonych, gdyż poza nim nic praktycznie nie nadawało się do tego celu. Mówiło się też coś o nadzwyczaj wysokim potencjale jonizacyjnym cezu, co umożliwiała bezpośrednie przekształ-

canie jego ciepła atomowego w energię elektryczną, bez stosowania stadiów pośrednich w postaci kotłów parowych czy turbin, w statkach kosmicznych.

Spojrzałem na Uptona. Zanim go zapytałem, znałem odpowiedź.

– Pańska twarz... to od cezu?

Dostrzegłem dziki błysk w jego oczach.

– Zna pan cez, Bruce? Tak – powiedział, dotykając twarzy. – To ce-na, jaką zapłaciłem za wiedzę o nim. Mówiłem panu, skóra wchłonęła cząsteczki metalu. Wiem więcej o cezie niż ktokolwiek inny z żyjących.

Pracowałem nad nim przeszło dwadzieścia lat temu w małej miejscowo-

ści Ronnskar w Szwecji, nad Zatoką Botnicką, niedaleko portu Skelleftea...

Przerwałem mu. Wciąż nie rozumiałem, czemu kojarzy Wyspę Thompsona z tym cudownym metalem.

– Skąd pan wie, że cez występuje na Wyspie Thompsona? Skąd się wzięły te próbki?

– Wie pan z dziennika Norrisa, że wysłał on łódź na wyspę i że musieli w te pędy wracać na statek, bo popsła się pogoda. Trzy z tych kawałków skały pochodzą od Norrisa. Pozostałe dwa są Pirowa. Pirow 152

tam był, ale nie wie, gdzie to jest. Tylko z grubsza, że gdzieś w pobliżu Bouveta. Kohler nigdy nie puścił farby.

Spadał na mnie gwałtowny potok słów.

Helena zapytała łagodnie:

– Ojczy, czemu dążyłeś do tego w taki sposób? Po kryjomu, krwawo i z całą tą resztą?

To tylko wzburzyło Uptona.

– Wyspa Thompsona należy do mnie! – krzyczał. – Nie pozwolę, by jakieś cholerne komisje rządowe dyktowały mi, gdzie i co należy badać.

Ten haniebnny traktat antarktyczny...

Reidar Bull, Hanssen i Lars Brunvoll wydawali się zagubieni. To, co mówiono o cecie, było dla nich za trudne. Zadałem następne pytanie, żeby uspokoić Uptona.

– Skąd pan ma próbki Norrisa?

Roześmiał się dziwnym, urywanym śmiechem.

– Od Wetherbych! Widzisz, Bruce, odkupiłem ich firmę pod przybraną nazwą Stewart and Company. Pan nie miał o tym wiedzieć. Niech pan nie zapomina, że już wówczas podejrzewałem, iż jest pan jedynym człowiekiem, który widział Wyspę Thompsona. Pirow pojawił się póź-

niej, kiedy zacząłem grzebać w niemieckich archiwach morskich. Te skały mają w sobie żyły cezu w postaci soli mineralnej zwanej pollucy-tem. Czy pan rozumie, co dla mnie znaczy dziennik Norrisa i jego opis klifów naszpikowanych cezem?

– Aż tyle, że może pan zamordować paru niewinnych ludzi?

Jego śmiech brzmiał fałszywie.

– Dobry Boże! Człowieku, czy pan nie rozumie, że będzie się toczyć wojny atomowe o cez na Wyspie Thompsona? Mogą zginąć miliony... jakie znaczenie mają ci dwaj. Byli zresztą mało ważni!

Spojrzałem raz jeszcze na starą mapę, potem na pięć skalnych kawał-

ków cezu i na szalone oczy wielorybniczego potentata. Ludzie cierpieli i ginęli w przeszłości, żeby znaleźć Wyspę Thompsona, a obecnie powraca ona z przynętą bardziej zabójczą, jako zagrożenie większe niż wszystko, do czego doszło dotychczas. Kiedy podniosłem oczy, napotka-

łem spojrzenie Heleny. Nie było potrzeby formułować oczywistego dla mnie postanowienia, by nigdy nie ujawnić położenia Wyspy Thompsona.

Zwróciłem się do Reidara Bulla.

– Ten człowiek oszalał – powiedziałem szorstko. – Powinieneś go zamknąć. Tak czy inaczej Wyspa Thompsona nie leży tam, gdzie podaje ta mapa. Niech pan o tym pamięta, Sir Fredericku.

Okropny różowy odcień oblał twarz Uptona, a on rzucił się na mnie, używając do tego kajdanków. Walił mnie i walił, wykrzykując obelgi, dopóki Lars Brunvoll nie zdzielił go kolbą pistoletu. Obaj z

Hanssenem odciągnęli go ode mnie.

– Judasz! – na wpół dyszał, na wpół krzyczał. – Ty, który wiesz, zdradziłeś mnie! Niech diabli wezmą wszystkich Wetherbych, niech będzie przeklęty Bruce Wetherby...

Kiedy tak krzyczał, Helena odsunęła się z przykrością, a Pirow zrobił

się szary. Nawet ordynarny Reidar Bull ucichł.

– Chodźmy już – zwróciłem się do niego. – Przyniesiemy łódź. Jeśli chcesz, możesz z nami posłać Brunvolla, ale nie mamy gdzie uciekać.

Hanssen trzymał Uptona, wciąż miotającego groźby pod moim i szyprów adresem.

Kiedy wróciliśmy, grupa już się uformowała. Nie pozwolono mi po-

zegnać się z Heleną. Stała na śniegu, opatulona futrem, w odległości trzydziestu metrów, przy podwoziu śmigłowca. Bezdźwięcznie porusza-

ła wargami, coś mi przekazując. Odchodziliśmy. Pierwszy szedł Upton, mając za sobą Brunvolla z parabellum, a pochód zamykał Reidar Bull ze schmeisserem gotowym do strzału. Łódź wielorybnicza nie była zbyt obciążeniem, taki ciężar Sailhardy mógłby nieść sam, we dwóch jednak dźwigało się poręczniej z uwagi na jej rozmiary i wiejący wiatr. Łódź był

mocny, ruszyliśmy zwawo. Antarktyka leżała w promieniach zamglonego słońca. Kiedy spojrzałem na nią po raz ostatni, zdawała się przechylona jeszcze bardziej. Wyglądała jak kładziony na łopatki zapaśnik, starający się nie dotknąć plecami maty.

Idąc po śladach Reidara Bulla, doszliśmy do skraju pola lodowego gdzieś w porze lunchu. Cztery kutry – *Crozet*, *Kerguelen*, *Chimay* i *Aurora* – stały przycumowane razem. Łódź już zaczął rysować swój wzór na ich osprzęcie. Na każdej łodzi wypisano nazwę w białym prostokącie umieszczonym na czarnym kominie. Niezbyt wprawne oko mogłoby je uznać za zupełnie jednakowe – wszystkie cztery miały rozszerzające się ku górze dzioby, kryte płótnem mostki, wielkie rury na parę oplatające komin, masywne przednie maszty z bocianim gniazdem, długie płaskie pokłady zbliżone wyglądem do tych, z których wyrzuca się bomby głę-

binowe. W oczach wielorybników wszakże różniły się między sobą tak, jak ludzie w naszej grupie marszowej. Upton nie sprawiał już więcej kłopotów. Naciągnął sobie na głowę niebieski kaptur, z tyłu widzieliśmy więc tylko jego przygarbione plecy.

154

Kiedy zatrzymaliśmy się, żeby wytchnąć chwilę przed ostatnim etapem wiodącym do kutrów, Pirow znalazł się obok mnie. Miał szarą twarz i był wzburzony. Mówił cicho, żeby nie usłyszał go Reidar Bull.

– *Herr Kapitän!* – zagadnął. – Gdzie ma dojść do spotkania z *Thorshammerem*?

Byłem zaskoczony brzmieniem jego głosu.

– Czemu pytasz? Przecież dobrze wiesz, że przy Bouvecie.

– Tak – powiedział szybko. – Ale gdzie? W pobliżu wyspy, czy w jakimś konkretnym miejscu?

– Tam jest tylko jedno kotwicowisko, na południowym zachodzie.

Bollevika. Tam dojdzie do spotkania.

Wziął mnie za ramię, jakby chciał odzyskać równowagę.

– Co ci jest, człowieku? – spytałem, tak wydawał się przejęty.

– *Meteor* zaminował Kotwicowisko Bollevika i dojścia do niego –

wyszeptał.

**10.**

# Wyspa Bouveta

Słowa Pirowa wyzwoliły we mnie falę depresji, narastającą od chwili rozstania z Heleną. Podczas marszu wciąż powracał do mnie obraz jej samotnej figurki okrytej futrem. Stale też widziałem te niesamowite oczy, które – jak sama powiedziała – ożywiały się i czerpały siłę dzięki mnie. Podczas poszukiwania Stopy Albatrosa przydarzyło mi się to, co Saulowi, który zamiast osłów znalazł królestwo. Teraz dopiero odre-agowywałem w pełni owo zdawkowe pożegnanie. Rozważając rysujące się przede mną perspektywy, wiedziałem, że małą mam szansę ponownego jej spotkania. Reidar Bull jasno dał do zrozumienia, że choć Helena nie jest więźniem jak my, nie ma też swobody ruchów. Jeśli go nie posłucha i nie zostanie przy *Antarktyce*, fatalnie osłabi swoją pozycję podczas rozprawy sądowej; jeśli zdołałaby zlokalizować *Thorshammera*, polecieć tam i opowiedzieć swoją wersję wydarzeń, pewnie nie uwierzą-no by jej. To, że była córką Uptona, czyniło z niej osobę podejrzaną.

Moja własna przyszłość wydawała mi się beznadziejna, szczególnie sprawy związane z Royal Society. Już samo podejrzenie o popełnienie przestępstwa wystarczyło, by ta szacowna instytucja przestała się interesować mną i Stopą Albatrosa. W świetle tego, co się wydarzyło, opowieść o Stopie Albatrosa zostanie potraktowana jako przykrywka jakiejś podejrzonej działalności na wodach południowych, wspólnie z Uptonem i jego bandą. Co przedsięwzięcie dowódca *Thorshammera*, kiedy zostaniemy mu przekazani przez Reidara Bulla, który najwyraźniej zamierzał

to zrobić? Zdawałem sobie sprawę, iż podstęp Pirowa udającego załogę wodnopłatowca stanowi jedynie czasową dywersję. Bez przyznania się Waltera, nie widziałem wyjścia z sytuacji.

Jeśli sprawy będą dalej się toczyć tak jak dotychczas, Upton, Walter i Pirow zostaną oskarżeni o naruszenie norweskich wód terytorialnych, ja zaś o zbrodnię. Myśl o Helenie czekającej aż oprzytomnieję po wpadnię-

ciu do morza, o jej spojrzeniu utkwionym we mnie, gdy opowiadałem jej, co się naprawdę stało – wszystko to czyniło moje perspektywy 156

jeszcze bardziej niepokojącymi. Wprawdzie uwierzyła mi, podobnie jak Sailhardy, ale wydarzenia, na skutek których zostałem wpłątany w zestrzelenie samolotu, były równie skomplikowane, jak te, które zaniósł mnie na Bouveta drogą wiodącą do Wyspy Thompsona.

Odruchowo dotknąłem futerału sekstansu, który miałem przytroczony do pasa. W nim spoczywał sekret położenia Wyspy Thompsona. Było nim nacięcie na podziałce do odczytywania wysokości słońca i gwiazd.

Dla kogoś innego nie miałoby znaczenia. Ja zaś postanowiłem, że Wyspa Thompsona pozostanie nieznana.

Szron chrząścił na moich rękawicach, kiedy uderzałem jedną o drugą.

Cztery kutry czekały przy krawędzi lodu, z ich kominów unosiła się para... Gdybym tylko wiedział, że

Kohler zaminował dojsca do Bouveta, mógłbym go dopaść parę miesięcy wcześniej. Wysłałem uszkodzony okręt, żeby tymczasowo zakotwiczył się przy Bouvecie i otrzymałem z niego tylko jeden rozpaczliwy, zdławiony meldunek: „Podwodna eksplozja”... i już nic więcej. W dzień później jakiś inny statek handlowy został zatopiony o tysiąc mil morskich od Bouveta i wyruszyłem na da-remne polowanie na pirata. Wywnioskowałem z tych dwóch oddalonych od siebie zatopień, że Kohler operuje na moich wodach razem z jakimś U-bootem. Teraz dowiedziałem się, że to była mina. Można było mówić o Bolleviku, że jest kotwicowiskiem, ale tak naprawdę niewiele tam było miejsc dogodnych do rzucenia kotwicy. Statek Larsa Christensena w najbardziej sprzyjających warunkach musiał przez cały miesiąc pływać pod parą powoli naprzód i wstecz, czekając na powrót oddziału wysłanego na brzeg, ponieważ nie był w stanie zakotwiczyć, gdyż wiatry i fale zmiatały wszystko od południowo-zachodniej strony.

Pirow musiał wywnioskować z mojego długiego milczenia, że mu nie dowierzam, bo dodał szybko:

– *Herr Kapitän* Kohler zaminował wybrzeże Afryki Południowej aż do linii dwustu metrów. *Meteor* był wyposażony w dziewięćdziesiąt pięć min. Osiemdziesiąt postawiliśmy przy Południowej Afryce. Następnie przybyliśmy na Wyspę Bouveta. Tam wykorzystaliśmy pozostałe piętnaście.

– Musimy koniecznie powiedzieć o tym szyprom – stwierdziłem. –

Boże! Piętnaście min morskich na Kotwicowisku Bollevika!

– Tak jest, *Herr Kapitän* – odrzekł ponuro. – A pan wie dobrze, jakie są te dojsca.

157

– Nigdy nie zbliżyłem się do Bouveta bardziej niż na dwadzieścia mil, ale mogę się domyślić – powiedziałem. Kiedy widziałem Bollevika, wyspę otaczał wianuszek gór lodowych, pomiędzy którymi dałoby się tu i ówdzie przepłynąć zygzakiem. Niech Bóg ma w opiece załogę okrętu, który w takich warunkach nadzieje się na minę – pomyślałem. Jakie byłyby konsekwencje, gdyby to się przydarzyło *Thorshammerowi*?

– Reidarze Bull! – zawołałem. – Chodź tu!

Zwalisty Norweg, czujny i trzymający w pogotowiu schmeissera, zbliżył się do nas. Streściłem mu, co opowiedział mi Pirow. Jego reakcja zaskoczyła mnie.

– Chryste! – zawołał ze złością. – Musicie mnie teraz straszyć jaki-miś cholernymi historyjkami o minach, które obaj wymyśliliście? Hanssen! Brunvoll! Posłuchajcie! Nie wolno nam się spotykać przy Bouvecie, ponieważ – jak nam powiedział nasz niemiecki kolega – jego okręt zaminował podczas wojny dojsca do Bollevika! Myślę, że to bujda!

– To prawda – sprzeciwił się rozdrażniony Pirow. – Postawiliśmy tam piętnaście głębinowych min kontaktowych.

Nastroju Larsa Brunvolla nie poprawiła długa przechadzka po lodzie.

– A więc pierwszą osobą, której poleciałeś to powiedzieć, jest angielski kapitan, he? Czy on wami kieruje? Czemu właśnie jego poinformowałeś pierwszego, he?

– Ponieważ wymyślili to razem, żeby nas przestraszyć – wtrącił Reidar Bull. – Nie wierzę ani jednemu ich słowu.

Hanssen uśmiechnął się.

– Nie musimy się tym martwić. Możemy to całkiem łatwo sprawdzić.

– Co masz na myśli? – spytał Bull.

– Wyślijmy *Aurorę* przed naszymi kutrami – powiedział Hanssen. –

Jeśli Pirow to zmyślił, jak mi się wydaje, wówczas nic złego się nie wydarzy. Jeśli nie... – wzruszył ramionami – to bardzo niedobrze. Myślę, że to niezły sposób.

Pirow zbladł tak bardzo, jak wówczas kiedy z mostka statku przetwórnicy ujrzał błękitny lodowiec.

– Byłem tam, wiem, że to miejsce zostało zaminowane! – krzyknął.

– Nie bądźcie takimi cholernymi durniami!

– Ci ludzie są równie nieobliczalni jak Wielka Bariera Lodowa –

przerwał mu Brunvoll. – Może i jesteśmy cholernymi durniami, ale nie przestępcami maniakami. Tak, wyślijmy *Aurorę* przodem, z nimi na 158

pokładzie, i zobaczymy, co się stanie. Jeśli wyleci w powietrze, uchronimy nasze kutry.

– Dobra – przytaknął Reidar Bull. – Ale nie chciałbym narażać za-

łogi *Aurory*. Oni nie mają z tym nic wspólnego.

– Spokojnie – powiedział Hanssen. – Jeśli wypłyniemy wieczorem, możemy dotrzeć do Bouveta jutro rano. Przy dojeździe zabierzemy tych z *Aurory* na inne kutry. Nie musi mieć pełnej załogi, żeby wejść na kotwicowisko. Walter może zająć się maszynami przez parę mil. Kapitan Wetherby nie będzie miał problemów z prowadzeniem kutra.

– Nie podoba mi się pomysł powierzenia statku Wetherby'emu –

mruknął Brunvoll. – Coś się może wydarzyć. Szkwał czy lokalna mgła?

Zanim się obejrzymy, *Aurora* się ulotni. Jeśli kogoś trzeba pilnować, to właśnie tego angielskiego kapitana.



– W porządku, zatem będziemy go pilnować – odparł z uśmiechem Hanssen. – Zdemontujemy to piekielne działo z *Aurory*, mogę je zainstalować na moim pomoście harpunnicznym. To zajmie tylko parę godzin.

*Kerguelen* może płynąć jakieś pół mili za rufą *Aurory*, kiedy będziemy podchodzić do Bollevika. Jeśli spróbują jakichś sztuczek, dostaną po-dwójną porcję ołowiu, tak jak ją dostał wodnopłatowiec.

Nie było sensu przekonywać ludzi o takiej mentalności. Zwróciłem się do Pirowa:

– Czy możesz sobie przypomnieć, choćby z grubsza, jak kapitan Kohler zaminował Bollevika? Czy trzymał się jakiegoś określonego systemu, dowiazywał do jakichś punktów orientacyjnych na brzegu? Czy rozmieszczał miny regularnie? Czy masz pojęcie w jakich odstępach czasu *Meteor* je stawiał?

Pirow wzruszył ramionami.

– Nie, ale pamiętam, jak *Herr Kapitän* Kohler śmiał się, kiedy za-kończyliśmy minowanie Agulhas Bank na wybrzeżu Afryki Południowej. Podeszliśmy wtedy blisko do brzegu, ku dużej latarni morskiej, którą ci głupcy pozostawili funkcjonującą – w czasie wojny! Zaczęliśmy minować od miejsca oznakowania głębokości stu sążni i stawialiśmy je, idąc zygzakiem ku brzegowi. Jeśliby ktoś kiedyś wykrył, wedle jakiego planu je rozmieściliśmy, przeszłoby to moje wyobrażenie, powiedział

wtedy Kohler. To samo było przy Bouvecie. Do tego stawiano je tak, by pływały na rozmaitych głębokościach.

Nie byłem aż takim pesymistą jak Pirow. Wiedziałem, że Kohler musiał używać niemieckich min typu „Y”, wyposażonych w mechanizm 159

samoniszczący, uruchamiający się w razie zerwania się miny z uwięzi.

Żeby postawić je głęboko – co z pewnością zrobił koło Bouveta i przy wybrzeżu Afryki Południowej – musiał użyć bardzo cienkiego drutu cumowniczego. Były więc szanse, że burzliwe wody Bouveta pozrywały do tej pory owe cumy i że miny uległy samozniszczeniu. Umysł mój szybko pracował. Jeśliby powierzono mi *Aurorę*... ale wolałbym Sailhardy'ego i jego łódź wielorybniczą. Spojrzałem na wyspiarza.

– Słyszałeś, co mówił Pirow, Sailhardy. W tej sytuacji nie mogę cię prosić o pomoc. Chciałbym jednak wziąć twoją łódź.

Sailhardy leciutko się uśmiechnął.

– Czy to były miny typu „Y”, Bruce?

– Tak – odpowiedziałem.

Szyprowie przyglądali się nam podejrzliwie. Miny i minowanie to były sprawy dla nich za trudne.

– Pomogę ci, jeśli nawet oni nie zechcą – powiedział.

Reidar Bull potrząsnął głową.

– Nie podoba mi się facet, który coś robi tylko dla swego kapitana.

– Nie trzeba martwić się o mnie, jeśli *Aurora* trafi na minę – odrzekł

Sailhardy. – Człowiek, którego będziesz miał teraz na sumieniu to kapitan Wetherby. On nie zestrzelił samolotu.

Na Brunvollu nie zrobiło to wrażenia.

– Będę wpływał na kotwiczowisko za twoim kutrem, Hanssen. Musimy pilnować namiarów i naśladować kurs *Aurory*. Nie możemy wylecieć w powietrze na minie przez nieostrożność.

– Możemy wysłać wcześniej helikopter na zwiad... – zaczął Reidar Bull.

– Nie mieszajcie do tego panny Upton – powiedziałem ostro. – Wygląda na to, sukinsyny, że bardzo lubicie narażać życie innych, sami siedząc bezpiecznie na dupie. Na Bouvecie może być mgła, wichura, potężne fale, paskudna widoczność. Nie pakujcie w to jej, mówię! Tak czy inaczej, nie da się dostrzec z helikoptera miny głębinowej, szczególnie na tych wodach.

– To dziwne, kiedy mężczyzna, który zabija z zimną krwią, jak ty, zaczyna się o kogoś tak troszczyć – kpił Reidar Bull. – Nie powinieneś okazywać łagodności wyłącznie kobietom.

Musiałem zobaczyć się z Heleną. Uwaga Reidara Bulla uświadomiła mi, jak zadziwiająco ta kobieta spłotła się w moim umyśle z południowym oceanem. Przed dwudziestu laty, nocą tak straszliwą jak noc 160

Stworzenia, przeprowadzałem eskadrę okrętów wojennych koło przylądka Horn w okoloną górami Cieśninę Drake'a. Kiedy o tym myślałem, zawsze przypominałem sobie głos Terneta śpiewającego pieśń *La Mer*.

Teraz coś szlochało w mym wnętrzu na wspomnienie rozstania z Heleną.

W takiej chwili miny *Meteora* wydawały mi się mało ważne wobec pragnienia, by ją ujrzeć.

W wyobraźni widziałem twarz Heleny.

– Nie mogę zaaprobować waszego planu ratowania własnej skóry i traktowania nas jak króliki doświadczalne – powiedziałem szorstko. –

Wprowadzę Aurorę na kotwiczowisko. Ale tylko pod warunkiem, że zobaczę się z panną Upton, zanim odpłyniemy.

Zwróciłem się następnie do Pirowa.

– Zbierz się do kupy, chłopie. Jeśli trafimy na minę, to i tak nic ci nie pomoże.

Uśmiechnął się blade.

– Wolałbym móc wykrywać je radiem.

Reidar Bull opuścił odrobinę lufę schmeissera.

– Jest pan odważnym człowiekiem, kapitanie Wetherby. Mikkliesen jest również tego zdania. Ale podczas pokoju nie ma miejsca na wojnę.

Wolałbym właściwie, żeby się okazało, że to Walter zestrzelił samolot.

– Czy zobaczę się z panną Upton? – nalegałem.

Bull spojrzał pytająco na pozostałych szyprów.

– Dobrze, kapitanie. Nie mamy nic do stracenia, a pan może mieć dzięki temu coś do zyskania. Jutro przy dojeździe do kotwicowiska, jeśli się uda?

Pamiętałem to kotwicowisko ciemnym zimowym popołudniem, w niesamowitej poświacie słabych, drgających promieni słonecznych, ty-powej dla południowego oceanu od przylądka Horn po Wielką Barierę Rossa. Pamiętałem lodowe klify i wznoszące się góry, w rozproszonym niebieskim magnetycznym blasku sięgającym od ich wierzchołków po wzburzone morze.

– Przy Bollevika, o ile się uda? – powtórzyłem. – Czy wezwiesz teraz pannę Upton ze statku przetwórci?

Kiwnął głową.

– Marsz do kutrów!

Gromadka ruszyła niemrawo na skraj pola lodowego. Reidar Bull za-krzyknął, polecając demontaż działka, sam zaś udał się na pokład 161

*Crozeta*, żeby skontaktować się z Heleną. Zostawił przy nas na straży Brunvolla ze schmeisserem. Upton nie dał się wciągnąć do rozmowy, jedynie pomrukiwał, kiedy Brunvoll czy Hanssen zagadywali do niego.

Obaj z Walterem pozostali skuci. Byłem z tego zadowolony, gdyż obawiałem się kolejnego napadu jego wściekłości. Walter próbował się przypodobać szyprom, Pirow zaś w dalszym ciągu zachowywał się tak, jakby był pewien, że *Aurora* wyleci w powietrze na minie. W pewnej chwili przysunął się do mnie.

– *Herr Kapitän* – powiedział cicho. – Wyspa Thompsona ma bezpieczne kotwicowisko, są tam też ciepłe źródła. Pan wie, gdzie znajduje się ta wyspa...

– Zamknij się! – warknął Brunvoll. – Żadnych szeptów, zwłaszcza pomiędzy wami dwoma!

Czekałem. Prawie nie zwracałem uwagi na to, co się wokół mnie działo. Nie przyglądałem się instalowaniu świateł na pokładach *Aurory* i *Kerguelena* oraz urządzeń wielokrążkowych do przeniesienia działka z jednego kutra na drugi. Byliśmy zbyt oddaleni, by słyszeć, o czym rozmawiają załogi, ale od czasu do czasu zauważałem, że przyglądano się nam. Było jasne, że ludzie z kutrów podzielają odrazę swych szyprów do przypisywanego mi czynu. Nastawiałem uszu, by usłyszeć przyłot Heleny. Kiedy wreszcie zabrzmiał w górze nad nami znajomy huk wirników, czułem, jak oddala się ode mnie nastrój zagubienia i osamotnienia. Nie pamiętałem już, jak maleńcy wobec tej wielkiej ekspansji lodu są ludzie i ich kutry. Wydawało mi się, że nawet szykujący się do szturm wiatr przyhamował swą gwałtowność. Oceniałem, że temperatura musi być około trzydziestu stopni poniżej zera. Tupaliśmy nogami i wymachiwali-

śmy rękoma, żeby się rozgrzać. Kajdanki Uptona i Waltera, założone na rękawice, by nie dokuczał im lodowato zimny metal, pobrzękiwały po-sępnie.

Śmigłowiec usiadł obok nas. Helena wyłączyła silnik.

– Macie pół godziny – powiedział Brunvoll. – Potem wszyscy wchodzi na pokład. Jak skończymy instalować działko, ludzie będą musieli jeszcze załadować helikopter na *Crozeta*. Nie próbujcie tylko nim się ulotnić – dodał, potrząsając schmeisserem – choć nie mam pojęcia dokąd, u diabła, moglibyście uciec.

Wspiąłem się do kabiny śmigłowca. Wewnątrz było ciepło. Światła reflektorów załadowczych wyostrzyły rysy Heleny. Miała na sobie futrzane palto. Patrzyliśmy na siebie bez słowa, oddzieleni od świata 162

zewnątrznego. Nie było nawet słyszeć ludzi zajmujących się działem. To ona przerwała długie milczenie.

– To się nie może tak skończyć, prawda, Bruce?

Potrząsałem głową. Patrzyła przejęta, a oczy jej nigdy nie były mi droższe.

– Nie – odpowiedziałem. – Ale jutro wszystko może się skończyć w inny sposób.

Opowiedziałem jej o polu minowym pozostawionym przez *Meteora*.

Przez chwilę nic nie mówiła, potem uściśnęła moją dłoń w rękawicy w sposób zdradzający jej uczucia.

– Jeśli ci się nie uda, Bruce, myślę, że znenawidzę od tej chwili po-

łudniowy ocean i wszystko, co się z nim wiąże. On nigdy nie spocznie, nigdy się nie podda, prawda? Ale jest częścią ciebie, chyba mam rację?

Z tego powodu nie potrafię go nienawidzić.

Pochyliłem się i złożyłem na jej wargach delikatny pocałunek. Widziałem w jej oczach odbicie

błysków zachodzącego słońca.

– Nie! – wybuchła. – Oni nie mogą tego zrobić, mówię ci! – Sięgnęła, by uruchomić przepustnicę. – Nie zrobią, jeśli zabiorę cię stąd.

Powstrzymałem jej dłoń i pokazałem Brunvolla z wycelowanym w nas, gotowym do strzału schmeisserem.

– Zanim wystartujemy, Heleno, osiągnie nas seria z tej broni – powiedziałem. – Nie myśl, że szybrowie nie brali tego pod uwagę. Zrobili to.

– Jesteśmy skrępowani splotem tylu okoliczności! – zawołała z pasją. – Tym oceanem równie wielkim jak bezludnym, bardziej niż inne oceany świata, a dodatkowo przez ludzi, którzy chcą mi ciebie zabrać.

– To, co nas od siebie oddala, to dzieło twojego ojca – powiedziałem.

– Wiem, wiem – odparła. – Ale zdajemy sobie oboje sprawę, że mój ojciec nie jest jedyną przyczyną.

– Wyspa Thompsona – powiedziałem.

– Wyspa Thompsona! – głos jej się rwał. – Boże! Jakże nienawidzę brzmienia tej nazwy!

– Ta chwila to czas nam darowany – powiedziałem łagodnie. –

Szybko mija.

– Będę jutro patrolowała z góry *Aurore* – rzekła. – Jeśli trafi na mnie, wyciągnę cię jak poprzednio.

– Nie, Heleno. Wiesz, że nie można wystartować z pokładu małego 163

kutra kołyszącego się na wzburzonym morzu, przez które będziemy podchodzić do Bouveta. Ukryła twarz w dłoniach.

– Jak myślisz, co będę czuła, obserwując *Aurore* płynącą ku Bollevika? Ty... Mój ojciec... Bruce, jego można by jeszcze wyleczyć odpowiednią kuracją!

Brun voli dawał nam z dołu znaki. Na twarzy Heleny była udręka.

Pocałowałem ją, a ona przywarła do mnie na chwilę. Potem wzięła moją dłoń i położyła ją na półce kompasu.

– Jeśli Suzie Wong była duchem, niech się zjawi i czuwa nad Bruce'em Wetherbym – powiedziała.

Raz jeszcze spojrziałem jej głęboko w oczy, zrobiłem zwrot i zeskoczyłem na lód. Wchodząc na pokład *Aurory*, odwróciłem się i dostrzegłem cień jej opatulonej futrem sylwetki za pleksiglasową szybą.

Zamknięto nas wszystkich pięciu w jednej małej kajucie. Wkrótce po zapadnięciu nocy kutry ruszyły ku Bouvetowi i Kotwiczowisku Bollevika.

Myślałem, że kiedy zostaniemy sami, Upton znów mnie zaatakuję.

Nic takiego nie nastąpiło. A jednak spędziłem niespokojną noc, obawiając się nawrotu jego manii, niemal zadowolony ze straży pod naszymi drzwiami. Upton zajął jedyną w kajucie koję i nakrył sobie głowę niebieskim kapturem. My z Sailhardym położyliśmy się na podłodze razem, żeby było cieplej. Pirow i Walter zamienili parę słów. Walter próbował

ze mną rozmawiać, ale spławiłem go. W trakcie drogi *Aurora* mocno się kołysała, tak że zastanawiałem się, jak dojdzie do przesiadki jej załogi.

Pirow ponownie mówił z niepokojem o minach, a potem zapadł w mę-

czący sen. Mieliśmy świadomie wejść w zasadzkę. Minę uważam za mordercę, zbója. Torpeda to myśliwy – musi pokonać dystans, opór wo-*dy*, wybrać odpowiedni kierunek, głębokość oraz zaradzić nagłym zmia-*nom* kursu tropionej zwierzyny.

Na krótko przed południem maszyny *Aurory* zaczęły zwalniać. Nie mogliśmy wyrzeć na zewnątrz, bo luk był zamarznięty. Parokrotnie ostro zmienialiśmy kurs podczas drogi, za każdym razem fala silnie uderzała o burtę kutra. Zorientowałem się, co robią obeznani z lodem szyprowie. Cumowali *Aurorę* i jakiś inny kuter przy niewielkiej górze lodowej, żeby ludzie mogli się przesiąść.

Otworzyły się drzwi kajuty. Wszedł Brunvoll ze schmeisserem.

Odzież miał oblodzoną. Przyszedł z nim jeszcze jeden krzepki Norweg.

Brunvoll uśmiechnął się z przymusem.

164

– Jesteśmy o dziesięć mil od Bouveta. Będzie miał pan teraz, kapitanie, przyjemność sprawdzenia, czy opowieść waszego kolegi o minach jest prawdziwa.

– Po raz ostatni posłuchaj, Brunvoll! – denerwował się Pirow. – To miejsce jest nafaszerowane minami!

– Już to mówiłeś – odparł szyper. Wręczył klucz swemu towarzy-*szowi* i coś powiedział. Tamten podszedł i zdjął kajdanki Walterowi i Uptonowi. Ten ostatni spojrział twardo.

– Zapamiętaj sobie, Brunvoll! Najpierw załatwię porachunki z Wetherbym. Drugi będziesz ty!

Tamten wzruszył ramionami.

– Wychodzić na pokład, wszyscy. I pamiętaj, kapitanie, że zaledwie ćwierć mili za rufą jest *Kerguelen* z działem. Jak wyjdiesz na pokład, zobaczysz, że nie ma bezpiecznego obszaru do żeglugi. Jest tylko otwarte dojście wodne do Bollevika, zygzakowate i na wpół zamarzniete.

Wszędzie kotłują się pływające góry lodowe.

Nie było sensu przekonywać go.

– Brunvoll – spytałem – czy są w pogotowiu łodzie, w razie gdy wpadniemy na minę?

– Tak – odparł szorstko. – Sprawdziłem je w nocy. Fały mogą swobodnie się przesuwać. Poza tym do windy przy przednim maszcie przywiązana jest łódź wielorybnicza. Wiesz, że niedaleko byś nią zapłynął –

zwrócił się do Sailhardy'ego.

– Wiem i kapitan Wetherby też wie – odparł wyspiarz.

– Zatem na mostek! – zakomenderował Brunvoll.

Szyprowie zrobili, jak myślałem. Aurora była przycumowana do ma-

łej góry lodowej paroma kotwicami lodowymi, mając bezpośrednio za rufą *Kerguelena*. Dwóch ludzi stało przy działku wycelowanym w *Aurorę*. Burta w burtę z *Kerguelenem* stał kuter Brunvolla, *Chimay*, a o pół

mili za rufą kołysał się gwałtownie na otwartym morzu *Crozet*. Na wpół

przymknąłem oczy pod nagłym uderzeniem zamarznietego pyłu wodnego, niesionego przez wiatr. Uwagę skupiłem na *Crozecie*. Na jego przednim pomoście stał uwiązany śmigłowiec. Pomarańczowy kolor dobrze było widać w burzliwym poranku. Pomyślałem, że tam pewnie znajduje się Helena.

Rozejrzałem się dookoła z obawą. Przed nami, ledwie widoczne, wznosiło się wzgórze wyglądające jak gigantyczna góra lodowa. Była to Wyspa Bouveta. Znajdowaliśmy się jeszcze za daleko, by dobrze rozróż-

nić szczegóły, poza górującymi ponad wyspą bliźniaczymi szczytami 165

pokrytymi czapą lodu. Morze było gęste od kry i gór lodowych. Pas wolnej wody, szeroki na jakieś ćwierć mili, wił się zakrętami ku ponurej wyspie pomiędzy obszarami lodu.

Brunvoll wyznaczał nam funkcje.

– Ty, Walter, zejdź do maszynowni – powiedział. – Reszta zostaje tutaj.

Około tuzina ludzi – załoga *Aurory* – przenosiło się na pokład *Kerguelena*. Dwóch czekało, by zwolnić kotwice lodowe.

– Teraz pan tu dowodzi, kapitanie – rzekł Brunvoll. – Musi pan płynąć powoli, z uwagi na lód. Kiedy dotrze pan na Bollevika, zakotwicz pan ćwierć mili od brzegu. Wtedy wrócę na pokład.

Wskazał gestem działko na dziobie *Kerguelena*. Bliźniacze lufy były wymierzone prosto w nas. Jeden z artylerzystów podniósł rękę w odpowiedzi. Brunvoll i towarzyszący mu Norweg wycofali się tyłem z mostka, jakby pomimo takiej obstawy obawiali się czegoś z naszej strony.

Ująłem sprawy w swoje ręce.

– Zwolnić! – krzyknąłem do ludzi przy kotwicach lodowych.

Wydałem komendę „mała naprzód”. *Aurora* zaczęła powoli odpływać ku Bouvetowi.

Nasz kurs był wyznaczony pasem wolnej wody pośród lodu. Nie da-

łoby się manewrować, gdyby nawet zaszła taka potrzeba. Kuter kołysał

się bardziej, niż oczekiwałem. Oznaczało to, że lód jeszcze na dobre nie chwycił, a samo morze nie zaczęło zamarzać. *Kerguelen* ruszył za nami, a potem *Chimay* i *Crozet*.

Kiedy przeszliśmy około pięciu mil, nadszedł szkwał. Przejaśniło się i zobaczyłem wyspę z bliska. Urwiste skały były tak wściekle czarne, jakby stanowiły sumienie południowego oceanu. Białe światło słoneczne rozlewało się powoli po przejmującym łukiem niebie; pomarańczowe lizsaje barwiły posępne klify na skraju morza. Wielkie bliźniacze kratery wulkaniczne – Christensena i Posadowskiego – wznosiły swe wierzchoł-

ki na tysiąc metrów na lewo i na prawo od nas; natomiast klify po lewej zamiast ponurego bazaltu miały niesamowity kolor siarki. Z podwójnych lodowych stożków schodziła w dół fantastyczna ściana litego lodowca.

Tam, gdzie skały stawały się pionowe – jak mi się wydawało na wysokości około pięciuset metrów – lodowce spływające z góry łączyły się z lodem wznoszącym się pionowo z morza. Lód był zabarwiony na czarno od urwistych skał, na których pasożytował. Gdzieś tam sterczały z niego podobne do palców fragmenty skalne, jakby chciały przebłągać przemoc wiatrów zachodnich; w innych miejscach morze i lód 166

formowały łuki powykręcane w tajemnej męce. Może południowy ocean dobrał barwy owej ponurej wyspy w taki sam sposób, jak niektórzy dawni malarze zwykli dobierać farby, kiedy malowali scenę śmierci.

Wyspa Bouveta wznosiła się zwrócona plecami do potężnych wichrów, bez najmniejszej szczeliny w swej czarnej zbroi, prawie bez światła poza bladopomarańczowym skrajem trzepoczącej, niby flaga, chmury u po-dwójnego wierzchołka. Na jednej z raf okalających Bollevika tłoczyło się z pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt gór lodowych, prawie całkowicie zasłaniających widok linii brzegowej. Bouvet



roztaczał się przed nami –

dziki, zły, toczący nieustającą wojnę z miotanymi na klify falami i wia-trami, których siła niekiedy przerastała skalę wiatromierza.

Sailhardy stał przy sterze. Patrzyłem na echosondę. Czterdzieści sześć metrów. Rzuciłem szybkie spojrzenie na przylądek na lewo od dziobu. Tam właśnie oddział Christensena musiał wznieść prowizorycz-ne schronisko, piracką chatę – jak je zwali – z zaopatrzeniem i paliwem.

Zastanawiałem się, czy taka chata, nawet solidnie zbudowana, mogła przetrwać przeszło trzydziestoletnie wichury. Kotwicowisko Bollevika mieliśmy nieco z prawej burty. Pomyślałem, że może będę musiał zrobić to samo, co przydarzyło się statkowi Christensena, który przez miesiąc pływał wolno do przodu i wstecz, ponieważ wichury z południowego zachodu i pędzone nimi góry lodowe uniemożliwiały mu stanięcie na kotwicy.

Właśnie otwierałem usta, by wydać komendę Sailhardy'emu, kiedy wybuchła mina, rozdzierając lewą burtę *Aurory*. Oszołomiony i ogłuszony, nie mogłem przez chwilę uwierzyć, że to się naprawdę stało. Umysł

mój nie chciał przyjąć do wiadomości, że elementy, które jeszcze przed sekundą składały się na konstrukcję *Aurory*, rozprysnęły się na wszystkie strony. Poszarpany kawałek metalu zadźwięczał, uderzając w stalową ścianę za mostkiem niby strzała Apacza. Przeleciał między mną a Sailhardym. Niewiele brakowało, by urwał któremuś z nas głowę.

Kuter poczęło znosić ku morzu pokrytemu lodem. Woda spływała po przechylonym pokładzie, niosąc ze sobą klekoczące kawały lodu.

To Sailhardy nas ocalił. Widziałem, że coś krzyczy, ale moje oszoło-mione zmysły nie rejestrowały jego głosu.

– Szybko! Łódź wielorybnicza! Toniemy tak gwałtownie, że może-my nie zdążyć!

Chwycił mnie za ramię i ściągnął z mostka po drabince. Dotarłem do 167

łodzi i na wpół otumaniony zacząłem ją odwiązywać. Bloki z przechylo-nego masztu huštały się nad moją głową. Z luku maszynowni nadbiegł

Walter, wyglądał jak pijany. Pomimo oszołomienia dostrzegłem, że niesie ciężki klucz francuski i nóż do patroszenia wielorybów. Przeciął liny mocujące łódź wielorybniczą. Sailhardy pojawił się znowu, ciągnąc Uptona i Pirowa.

Oswobodziłem ostatnią linę windy, obcierając sobie boleśnie dłoń o kostropatą dulkę, niewiele jednak do mnie docierało. Szeroki dziób *Aurory*, działko harpunnicze i urządzenie do kontaktowania się z maszynownią eksplozja zepchnęła do linii wentylatorów. Ciężka tuleja jednej z wyciągarek z prawej burty kołysała się koło nas, jakby szykując się do ostatecznego nurkowania. Razem z Sailhardym i Walterem przyciągnęli-

śmy łódź wielorybniczą do burty. Pirow był tak oszołomiony, że Sailhardy musiał go wrzucić do łodzi, jakże niestosownie połyskującej we-śołymi barwami – żółtą, niebieską i białą – w ponurym otoczeniu.

Wskoczyliśmy, a za nami Upton i Walter.

– Odbijaj, Bruce! – zawołał Sailhardy. – *Aurora* nas przygniecie.

Odepchnąłem łódź od burty kutra jednym z długich wiosł. Sailhardy zrobił to samo. Odbiliśmy od pochylającego się w naszą stronę statku.

Walter również chwycił za wiosło. Paroma silnymi uderzeniami zdołali-

śmy oddalić łódź z niebezpiecznej strefy tonącego kutra. A potem Sailhardy ujął rumpel, którego nie miał dotąd czasu właściwie zamontować.

*Aurora* przewróciła się i zniknęła pod wodą. Usłyszeliśmy stłumioną eksplozję jej kotłów, ale byliśmy już w bezpiecznej odległości. Zatonęła w ciągu jakichś czterech minut.

Walter stał, patrząc na szybko znikającą plamę na wodzie, znaczącą grób jego kutra.

– To była znakomita łódź, dobra jak żadna inna – powiedział.

Inne kutry musiały się zatrzymać. Widzieliśmy z łodzi kołyszący się dziób *Kerguelena*. Sailhardy spojrzał w ich stronę i zawołał do mnie:

– Wracamy na kutry, Bruce. Dobijemy przy tym wietrze do *Kerguelena*. Mamy dosyć miejsca, żeby halsować.

Słowa wyspiarza pobudziły do działania Uptona. Porzucił swój woreczek opatrunkowy, zerwał się, wyrwał nóż Walterowi i błyskawicznie znalazł się przy sterze. Oparł długie ostrze o gardło Sailhardy'ego.

– Do diabła z kutrami! – zawołał stłumionym głosem. – Steruj na kotwiczowisko. Będziemy lądować.

168

Spojrzałem z niedowierzaniem na urwiste skały. Tylko raz wylądowano na Bouvecie – zrobił to oddział Larsa Christensena, w czasie wyjątkowo sprzyjającej pogody.

– Lądować! – wykrzyknąłem. – Upton! Pan naprawdę zwariował!

Nie da się wylądować na Bouvecie!

U stóp klifów sięgających lodowca Christensena była skalista parodia plaży bez piasku. Biły w nią fale rozległego morza, bez krzty lądu aż do Georgii Południowej.

Upton patrzył twardym, nieobecnym wzrokiem...

– Walter! Przestań się roztkliwiać nad swoim cholernym kutrem!

Weź klucz francuski i zrób z niego użytek, jeśli by spróbowali jakichś sztuczek.

Zbliżył ostrze do gardła Sailhardy'ego.

– Na plażę!

Przez dłuższą chwilę wyspiarz nie odzywał się. Widziałem, jak szaleństwo narasta w błyszczących nienaturalnie oczach Uptona. Musiałem przerwać milczenie.

Możesz podejść tam łodzią, Sailhardy?

– Nie ma problemu z podejściem, kłopot z tym, by uchronić ją przed skałami, kiedy się tam znajdziemy.

– Steruj tam, słyszałeś? – wzburzył się Upton. – Żegluj tam szybko, zanim ruszą się kutry!

– Nie może pan... – zacząłem.

– A właśnie, że mogę – przerwał mi. – Pan myśli, że to pan jest eks-pertem od Wyspy Thompsona, prawda Wetherby? A więc powiem coś panu. Płyniemy na Wyspę Thompsona.

– Czym? – zapytałem.

– Tą łodzią – odpowiedział rzeczowo, a potem wykrzykiwał, klepiąc się po wiatrówce: – Mam ze sobą mapę Norrisa. Thompson leży zaledwie czterdzieści pięć mil na północno-północny wschód od Bouveta.

Ludzie Christensena postawili na Bouvecie schronisko. Weźmiemy zaopatrzenie. Wymkniemy się, zanim przyplynie *Thorshammer*.

Zdałem sobie sprawę, że zamierza zrobić to naprawdę. Ryzyko zwią-

zane z dziką naturą, w której obliczu się znajdowaliśmy, było dla niego niczym w zestawieniu z jego marzeniem. Mógł mnie zmusić do rejsu na odległość czterdziestu pięciu mil morskich na północno-północny-wschód od Bouveta, ale nie znaleźlibyśmy tam Wyspy Thompsona, ja 169

zaś byłem zdecydowany zachować jej tajemnicę dla siebie. A więc Upton wiedział również o chacie na Bouvecie, należącej do pozakłada-nych w Antarktyce schronisk, o których rozmawiali po pijanemu norwescy szyprowie pierwszego wieczora na pokładzie statku przetwórci. Patrząc na pokrytą lodem wyspę, miałem nadzieję ze względu na naszą piątkę, że ta chata wciąż tam stoi.

– Postaw fok! – warknął Walter.

Pociągnąłem za fał i mała jaskrawooczerwona płachetka rozpostarła się, chwytając zachodni wiatr. Sailhardy wstał i postawił stopę na rumplu, by kierować łodzią i jednocześnie wypatrywać drogi wśród lodu. Ruszyli-

śmy. Z Kerguelena buchnęła długa salwa. Łódź wielorybnicza była wszakże zbyt niskim celem nawet dla doświadczonego artylerzysty.

Upton wskoczył na ławę wiosłarską i wykrzykiwał obelgi w kierunku kutra. Niebieski kaptur wiatrówki spadł mu z głowy. Wywijał nożem.

– Chodźcie tu, tchórzliwe sukinsyny! – wrzeszczał. – Przyplyniecie i sami się wychromolcie na minie! No, chodźcie!

Pirow zdawał się odzyskiwać morale.

– *Herr Kapitän* Kohler zrobił nam przysługę, trzeba przyznać. Kutry nie odważą się teraz podejść do kotwicowiska.

Nasza łódź gwałtownie zwiększała prędkość. Nie sposób było rozeznac, gdzie padły pociski z działka. Sailhardy płynął zygzakami, zakołami, omijał lód i przedzierał się przezeń, nie tracąc ani na chwilę z oczu głównego celu – małej plaży pod urwiskiem. W miarę jak zbliżaliśmy się do wyspy, morze ciemniało. Z dołu, z łódki, klify wydawały się bardziej masywne – były poślubione i porysowane, poszczerbione i obdrapano przez lód i wiatr. Zbliżyliśmy się na odległość dwustu metrów do brzegu. Długa fala przewaliła się z hukiem. Sailhardy przyhamował

łódź, podchodząc próbnie szerokim łukiem. Zobaczyłem płaską skałę, kiedy fala odpływała od urwiska. Zanim zdążyłem powiedzieć o niej Sailhardy'emu, też ją spostrzegł.

– Podchodzimy – teraz! – zawołał. Dzięki szczególnej modulacji głosu było go słychać pomimo grzmotu fal rozbijających się o skały.

Rzucił przez ramię szybkie spojrzenie, wybierając falę. Opuścił się do pozycji siedzącej przy rumplu. Posadził łódź rufą na bałwana przystrojonego białym lodem i rozsiewającego pył wodny. W połowie drogi do płaskiej skały zwinąłem żagiel. Omalże stanęliśmy w miejscu, tak wiele znaczył wiatr wydymający go. Sailhardy pomachał mi ręką, właśnie kładł łódź na lewą burtę. W jednej chwili znaleźliśmy się na głębini koło następnego klifu. Skała sterczała nad wodą.

170

– Skaczcie! – krzyknął Sailhardy. – Skaczcie! No już, z łodzi! Nie czekajcie, aż zawadzi burtą o skały, na miłość boską!

Skoczyłem pierwszy z dziobu. Niemal w tym samym momencie Sailhardy skoczył z rufy. Nasze ciężkie buty skrzywiały triumfalnie na skale, kiedy przytrzymywaliśmy łódź. Pozostała trójka wysiadła bezpiecznie.

Bez zwłoki wyciągnęliśmy z Sailhardym łódź z wody i przenieśliśmy nad poszarpanymi skałami, pod

sam klif, poza zasięg fal.

Plaża, na której się znaleźliśmy, niewiele była większa od kortu teni-sowego. Zorientowaliśmy się że udało nam się przybić do jedyne go nadającego się do wylądowania miejsca, naturalnego zakątka osłoniętego skałami przed bezpośrednim oddziaływaniem morza i wiatru. Ujrze liśmy tam drzewce wbite pod kątem w ścianę skalnego urwiska – od dawna już bez flagi i linki, z blokiem zupełnie szerniałym. Poniżej dostrze gliśmy mocno zatarty napis po norwesku i angielsku:

„Kapitan Harald Horntvedt, dowódca *Norvegii*, formalnie wziął w posiadanie w imieniu Norwegii Wyspę Bouveta pierwszego grudnia 1927 roku i zatknął w tym miejscu flagę norweską na znak suweren-nych praw swego kraju”.

Upton przeczytał to i wybuchnął śmiechem. Zachowywał się teraz prawie zupełnie tak samo, jak wtedy, kiedy go poznałem.

– Sukinsyny! – zawołał bez zawziętości. – Byli tu pierwsi, to prawda, a w rok później wysunął roszczenia do Wyspy Bouveta rząd brytyjski. Ale – dodał twardo – nikt niczego dotychczas nie oświadczył na temat Wyspy Thompsona.

Myślałem wtedy jedynie o tym, żeby znaleźć schronisko. Ze śladów widocznych wysoko nad naszymi głowami wynikało, że podczas burzy woda zalewa plażę. Sailhardy pierwszy dostrzegł kawałek deski, przy-twierdzony żelaznymi ćwiekami do ściany skalnej na lewym, czyli pół-

nocnym, krańcu plaży, koło wysuniętego w morze przyładka. Wryto na niej po prostu: „Schronisko”. Ledwie widoczna strzałka wskazywała coś, co mogło kiedyś być ścieżką wydeptaną przez ludzi, biegnącą zygzakiem w górę oblodzonego zbocza nadbrzeżnej skały. Niknęła w pobliżu ogromnego występu, prawdziwej lodowej fortecy wielkiej jak londyńska Tower, wznoszącego się wysoko ponad naszymi głowami.

– Musimy jakoś wspiąć się na to zbocze – powiedziałem. – Schronisko powinno być na szczycie, jeśli go nie zdmuchnęły wiatry. Całkiem możliwe, że od czasów, kiedy byli tu ci Norwegowie, obrywy skalne 171

mogły częściowo zniszczyć tę ścieżkę. Pójdziemy z Sailhardym na zwiady.

– Do diabła z wami! – wykrzyknął Upton. – Wystarczyłoby stoczyć nam na łeb parę kamieni albo zablokować ścieżkę. Nie przeżylibyśmy trzech dni bez schroniska i wy o tym wiecie.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odpowiedziałem. – A także z naszego rozpaczliwego położenia, jeśli nawet znajdziemy chatę. Gdybyście w ogóle mieli rozum, wracalibyśmy na kutry tak szybko, jak tylko pozwoliłaby na to wielorybnicza łódź.

– Wystarczy nam liny, by połączyć nią całą naszą piątkę – zdecydował Upton. – Pan, Wetherby, będzie szedł przodem, potem Pirow, między panem i Sailhardym. Jeśli się poślizgnie, we dwóch utrzymacie go. Następnie pójdę ja, a Walter na końcu.

Sailhardy popatrzył z niepokojem na niebo.

– Jeśli nadejdzie prawdziwy sztorm, morze zaleje plażę. Stracimy łódź.

Upton uśmiechnął się zimno.

– Ta łódź jest teraz równie cenna dla mnie, jak dla was, Sailhardy.

Zaciągniecie ją do załomu przy drzewcu i nałożycie do niej kamieni.

Jeśli ścieżka nie jest zbyt trudna, możecie później z Wetherbym wnieść łódź na górę. W końcu Norwegowie musieli tam przetransportować całą chatę i zapasy.

Spojrzałem na ponure urwiste skały i wzruszyłem ramionami. Norwegowie wchodzili na nie późniejszą wiosną, kiedy było mniej lodu. A my nie mamy nawet czekana, by wyrąbać stopnie w lodowcu, gdyby to okazało się niezbędne.

Przyszła mi do głowy pewna myśl.

– Weź dulki – powiedziałem do Sailhardy'ego, który zaczął już, z wielką ostrożnością, obciążać łódź dużymi otoczkami, których było pełno dookoła. – Mogą nam się przydać wyżej, jako haki. A klucz francuski Waltera posłuży do ich wbijania.

Perspektywa wspinaczki wydawała się budzić obawy zwalistego Norwega. Może też ciągle jeszcze był w szoku po wybuchu miny. Po-sępnie przyglądał się niewyraźnej ścieżce.

– Jeden się poślizgnie, a reszta polecą za nim – powiedział. – Lepiej niech każdy wspina się na własną rękę.

– Nie! – sprzeciwił się Upton. – Obwiąż nas tą liną, Sailhardy.

172

Zabrałem sześć nie ociosanych dulek, zbliżonych kształtem do pod-kowy. Były tak zimne, że bez rękawic poparzyłyby mi dłonie. Lina mia-

ła z dziesięć metrów długości. Sailhardy starannie wiązał i wypróbowywał każdy węzeł.

Mieliśmy już wyruszyć, kiedy Pirow uklonił się oficjalnie i uścisnął

moją dłoń. Było jasne, że sądzi, iż wybiła nasza ostatnia godzina.

– Życzę pomyślności w torowaniu drogi, *Herr Kapitän*. Sobie też jej życzę.

Wzruszyłem ramionami i ruszyliśmy w górę tą nieokreśloną ścieżką.

Po pierwszych kilku metrach stała się szersza i – choć stroma – nie była niebezpieczna. Wędrowaliśmy coraz wyżej i wyżej... Idący za mną Pirow zaczął ciężko dyszeć. Podniosłem rękę i

zarządziłem przerwę, po raz pierwszy odrywając wzrok od ścieżki. Spojrzawszy w dół, doznałem zawrotu głowy. Co najmniej sto pięćdziesiąt metrów pod nami, nad przylądkiem zasłaniającym plażę, było sporo sadzawek skalnych. Każde poślizgnięcie się buta na wąskim szlaku mogło zakończyć się dla nas fatalnie. Dalej, na morzu, poza linią gór lodowych, widziałem trzy kutry.

Serce mi podskoczyło na widok pomarańczowej plamy na jednym z nich

– był to śmigłowiec na pokładzie Crozeta. Kutry blokowały pas otwartej wody nadającej się do żeglugi. Jak Upton zamierzał ominąć je łodzią wielorybniczą, nie potrafiłem sobie wyobrazić.

Odpoczywaliśmy przez pięć minut w milczeniu. Potem ruszyliśmy w górę. Podejście stało się bardziej strome i śliskie. Na odsłoniętym zboczu byliśmy wystawieni na wiatr szarpiący odzież. Wypogodziło się, co było złym znakiem, gdyż zapowiadało, że wiatr utwardza lód. Po następnych paruset metrach stwierdziłem, że z trudem oddycham rozrzedzonym powietrzem, które drażniło mi gardło. Pozostali naciągnęli na twarze kaptury tak szczelnie, jak tylko się dało. W brodzie Waltera widać było sople lodu...

Szliśmy z mozołem. Ścieżka zakręciła i najwyraźniej skończyła się pod ścianą wielkiej skalnej fortecy, którą widziałem z dołu. Nad ścieżką i nad klifem wznosił się gigantyczny nawis skalny. Tak jak wszystko na tej wysokości, pokryty był lodową glazurą. Podeszedłem bliżej. Wtedy, pod kilkunastocentymetrową warstwą lodu, dojrzałem stalową drabinę przytwierdzoną do skały, prowadzącą pod nawis, na jakieś sześć metrów w górę.

– Walter! – zawołałem. – Podaj klucz francuski. Jest tu drabina pod lodem. Spróbuję go odłupać.

173

Stanąłem pewnie na nogach, a klucz wędrował ostrożnie przekazywany z rąk do rąk. Wszyscy bali się poślizgnąć i spaść. Z tej wysokości góry lodowe wydawały się gładkie. Uderzyłem ciężkim kluczem w lód.

Odskoczył... Uderzyłem ponownie. Masywna stalowa głowica rozłupała się na kawałki. Zimno uczyniło ją kruchą jak szkło. Odwróciłem się niepewnie do Uptona.

– Chce pan kontynuować tę wariacką wspinaczkę? Naraża pan życie nas wszystkich.

Zimno i wyczerpanie nadało jego twarzy ten osobliwy różowy odcień, jaki miewał przy wzburzeniu.

– Albo włączysz, albo... wracasz i się nadziewasz na to! – odparł wymachując nożem. – Wbij w lód dulki i wspinaj się po nich. No, zasuważ!

– Bruce! – wtrącił się Sailhardy. – Pozwól mi...

Ale zacząłem już odwiązywać linę, którą byłem opasany. Pirow zmienił się na twarzy.

– Na miłość boską, jeśli pan będzie spadać, to nie na mnie, *Herr Kapitän!* – skamlał.

W odpowiedzi wbiłem starannie pierwszą dulkę trzonkiem klucza francuskiego. Podciągnąłem się i wsunąłem stopę w jej szeroki otwór.

Nic poza nią nie chroniło mnie przed upadkiem do morza z wysokości kilkuset metrów. Ostrożnie, nie za silnie – by nie rozłupać trzonka ani dulki – wbiłem następną. W ten sposób wspiąłem się cztery metry, do miejsca gdzie zaczynał się nawis. Przez lód, przejrzysty jak szyba, widziałem szczelby, które przytwierdzili do skały ludzie Christensena.

Wnoszenie czegoś na szczyt, nawet po drabinie, musiało być przeżyciem, od którego włosy stawały dęba.

Zawieszony na dulce pod nawisem, rozglądałem się za odpowiednim miejscem na wbicie następnej. Balansowałem na jednej nodze. Dlaczegoś szczelby drabiny wydawały mi się wyraźniejsze. To lód odstawał od nawisu, jak skórka pomarańczy. Jego pokrywa na drabinie była tu znacznie cieńsza.

Moje rękawice chwyciły tylko powietrze. Zacząłem spadać. Trzonek i dulka zadźwięczały, uderzając o lód i pomknęły ku skałom i morzu.

Stopa ześlizgnęła mi się z dulki. Zsuwając się, próbowałem w szalonej panice czegoś się złapać. Prawą dłońią udało mi się chwycić jeden z dopiero co odsłoniętych szczelbi. W tym samym momencie szukające po omacku palce lewej dłoni natrafiły na coś i zacisnęły się na tym. Moje nogi kołysały się z dala od skalnej ściany, nad morzem. Rzuciłem szybkie, rozpaczliwe spojrzenie w dół. Czterej ludzie wpatrywali się we mnie 174

przerażeni jeszcze bardziej niż ja. Mogłem zrobić tylko jedno: rozhušta-

łem się mocno i z rozpaczliwym wysiłkiem próbowałem pochwycić wyższy szczelbel drabiny. Udało mi się. Wisiałem przez pół minuty, zanim powtórzyłem ten manewr. Zaczęły mi doskwierać mięśnie ramion.

Wiedziałem, że wytrzymają tylko parę minut. Posunąłem się o jeszcze jeden szczelbel wyżej i wówczas podciągnąłem się do ściany skalnej, opierając palce stóp na wąziutkiej lodowej półce, tam gdzie lodowiec był

nadłupany. Powoli, z bólem, podciągałem się, dopóki nie oparłem na szczelblach żelaznej drabiny nie tylko dłoni, ale i stóp. Pot ściekający mi po twarzy zamarzał. Ciężko dyszałem. Gdybym spojrzał w dół, spadł-

bym. Drabina biegła dalej pod łagodniejszym kątem wokół wypukłości nawisu i zaprowadziła mnie na płytki płaskowyż, z którego ścieżka wiodła na szczyt, stamtąd już dobrze widoczny o jakieś sto pięćdziesiąt metrów wyżej. Nawis uniemożliwiał mi zobaczenie pozostałych osób. Słyszałem, że Sailhardy coś krzyczy, ale wiatr rozwiewał jego słowa. Sam próbowałem wołać do nich, lecz na próżno. Przez jakiś kwadrans odpoczywałem i uspokajałem się, a następnie poczłapałem po łagodniejszym stoku na szczyt.

Dowlókłem się na sam wierzchołek. Pięćdziesiąt metrów od urwiska stała drewniana chata, mocno



posadowiona i skonstruowana, by mogła oprzeć się wichrom. Ludzie Christensena wzniesli ją solidnie.

Schronisko mogło pomieścić tuzin ludzi. Zauważyłem też dobudówkę – domyślałem się, że stanowiła magazyn zapasów. Każdy narożnik budowli, a także dach, były połączone odcciągami ze stalowymi słupami wbitymi w szczeliny skalne. Przed nią stał żelazny maszt flagowy, po-dwójnie zgięty – niby młode drzewko – przez wichry. Zbliżając się powoli do schroniska pomyślałem, że dobrze by było mieć ze sobą rewolwer. Brak okien pogłębiał atmosferę całkowitego odosobnienia. Na tle lodowca spływającego z masywu Christensena chata wydawała się malutka. Drzwi frontowe były zamknięte na cztery wielkie rygle sworzniowe, mocno naoliwione. Odsunąłem je i otworzyłem drzwi. Niesamowicie było wchodzić do na wpół mrocznego wnętrza – przez chwilę obawiałem się, że natknę się w nim na jakieś upiorne zwłoki, jak to przydarzyło się słynnemu badaczowi Sir Jamesowi Clarkowi Rossowi na Wyspach Kerguelena w latach czterdziestych ubiegłego wieku. Znalazł tam trupa mężczyzny z butelką w dłoni i przerażeniem w oczach, a obok prowadzące ku niemu ślady olbrzymich stóp...

Przestałem myśleć o tego rodzaju sprawach i wszedłem do środka.

Niewiele było widać i unosił się ten szczególny zapach zmarzliny, jaki 175

spotyka się jedynie w Antarktyce. Ściany były pokryte gładkim lodem.

Pośrodku pierwszego pokoju stał wielki piec. Był też tam napis po norwesku i angielsku:

„Ta chata przeznaczona jest dla żeglarzy będących w potrzebie. W

magazynie obok znajdują się zapasy, prowiant i inne niezbędne rzeczy. Prosi się o pozostawienie tego, czego się nie wykorzysta”.

Przeszedłem przez kolejne dwa pokoje i musiałem się schylić, żeby wejść do magazynu. Kiedy ujrzałem sterty śpiworów, koców, skrzynki z lampami naftowymi i mnóstwo przyborów codziennego użytku, tak niezbędnych do przetrwania w warunkach antarktycznych, przypomniałem sobie, że początkowo Christensen planował urządzenie na Bouvecie stacji meteorologicznej, ale porzucił tę myśl po przekonaniu się, jak dzikie jest to miejsce.

Na półce leżały pokryte smarem czekany, haki, narty i staromodne harpuny, każdy z uwiązaną liną. Zauważyłem zwoje grubych lin, które wszakże trzeba by było odmrozić przed użyciem. Stwierdziłem z zadowoleniem, że wszystkie skrzynki – podobnie jak elementy konstrukcyjne samej chaty – były łączone na jaskółczy ogon i sworznie. Nigdzie nie dostrzegłem ani jednego gwoździa. Budowniczo wie tego schroniska znali swój fach, wiedzieli, że w Antarktyce drewno zmienia swą naturę, że mróz wysusza je do tego stopnia, iż gwoździe przestają je trzymać.

Wziąłem cztery czekany i harpun, którego stalowy trzon musiał mieć ze dwa metry długości, oraz trochę haków. Najpilniejszym zadaniem było doprowadzenie całej naszej grupy do schroniska. Mogliśmy później przywrócić ścieżkę i drabinę do stanu używalności, ale na razie trzeba było wyrąbać w lodzie stopnie, aż do miejsca gdzie wystawały z niego szczeble, na których zawisłem.

Zanim ruszyłem na dół, ze szczytu klifu popatrzyłem na kutry w oddali. Crozet, z pomarańczowym śmigłowcem na pokładzie, stał osobne.

Byłem zaskoczony, ponieważ wydało mi się, że się porusza. Nie miałem jednak pewności, z tej odległości wymagało to wzroku Sailhardy'ego.

Udało mi się jedynie dostrzec, że był znacznie bliżej lodu od pozostałych, w dalszym ciągu ustawionych pośrodku wodnego kanału.

Wtedy je zobaczyłem. Zobaczyłem inne przejścia wodne pośród lodu, rozchodzące się z wyspy, niczym szprychy z piasty koła, na północny wschód. Wszystkie wychodziły spod północnych klifów górujących nad Bouvetem. Nie nadawały się dla statków, o tym nie mogło być mowy.

Ale dla łodzi wielorybniczej...

176

Wchyliłem się znad krawędzi klifu i spojrzałem w dół, trzymając się harpuna, którego ostrze wbiłem mocno w szparę skalnej ściany. Z tej wysokości oglądałem wszystko, jak na lotniczej fotografii. Wokół linii brzegowej wyspy widać było sporo pęknięć w otaczającym ją pasie lodu.

Innymi słowy, były też wąskie kanały wodne biegnące wokół Bouveta, kanały, którymi łatwo mogła się przedostać łódź wielorybnicza do któ-

regoś z szerszych, wiodących ku północy. Dałoby się więc ominąć kutry, znajdujące się od południowego zachodu. Upton z pewnością tego nie przegapi...

Powoli, ostrożnie, wróciłem do skalnej fortecy i wmarzniętej w lód drabiny. Wspiąłem się na nawis i krzyknąłem. Usłyszałem głos Sailhardy'ego, w którym brzmiała ulga. Przysiadłszy na ostatnim odsłoniętym szczeblu, podałem w dół czekany i czułem jak je przejmują ode mnie niewidzialne dłonie. Wspiąłem się z powrotem na wierzch nawisu, któ-

rego pochyłość przyprawiała o zawrót głowy. Mniej więcej przez piętna-

ście minut słyszałem, jak wyrąbywano stopnie w lodzie, a potem uśmiechając się przywłókł się do mnie Sailhardy.

– Bruce, chłopie! – zawołał. – Myślałem już, że tym razem po tobie!

Jest chata?

Opowiedziałem mu o schronisku i zapasach.

– Jest tego tyle, że możemy siedzieć tu rok, a może dłużej.

O to samo zapytał Upton, kiedy tylko pojawił się jako następny.

Opowieść o chacie wyraźnie poprawiła mu humor. Nie bacząc na wysokość, huśtał się na stopach, nie mogąc się doczekać, by tam pójść. Pirow wyglądał jak upiór, a Walter był ponury. Wszyscy zsinieli z zimna.

Twarz Pirowa nabrała odrobinę kolorów dopiero wtedy, kiedy zbliżaliśmy się do szczytu.

Upton, Walter i Pirow ruszyli prosto do chaty, ja trzymałem się z tyłu i dotknąłem ramienia Sailhardy'ego.

– Chcę, żebyś rzucił okiem na kutry – powiedziałem. – Zostawiłem lornetkę na statku przetwórci. *Crozeta* łatwo odróżnić ze względu na helikopter. Wydaje się, że dotyka lodu.

Sailhardy przyglądał się przez jakiś czas.

– Nie ma w tym nic dziwnego – rzekł spokojnie. – Robi dokładnie to samo, co zrobiła *Aurora*, by mieć stabilną platformę. Przycumował do góry lodowej.

– A więc, sądzisz...

– Po cóż *Crozetowi* stabilna platforma? – zapytał. – Chce wysłać w powietrze helikopter.

**11.**

# Schronisko

Już od utraty *Antarktyki* obawiałem się, że Helena może pokusić się o coś niemożliwego. Teraz to się wykryształizowało pod wpływem słów Sailhardy'ego. Horyzont na południowym zachodzie był złowroźnie, nienaturalnie czysty. Jediną przeszkodą na drodze sztormu na przestrzeni tysięcy mil były posępne skały Bouveta. Trudno mi było wręcz wyobrazić sobie, co się tu rozpęta, kiedy burza weń uderzy.

– Musimy dać jej znać, żeby trzymała się stąd z daleka! – powiedziałam. – Z pewnością w magazynie schroniska są jakieś rakiety sygna-lizacyjne.

– Spójrz! – odpowiedział.

Dostrzegłem również błysk światła ponad pomarańczową plamą: wirniki poszły w ruch.

– Szybko! – ciągnąłem poprzednią myśl. – Nie powinna się zbliżać.

To byłoby samobójstwo.

I pokazałem na oblodzony stok za chatą.

Pobiegliśmy z Sailhardym do magazynu. Upton i Walter z zadowoleniem oglądali zapasy, a Pirow klęczał w zewnętrznym pokoju, próbując rozpałić w piecu.

– Czy widzieliście tu jakieś race?

Na to pytanie zachowanie Uptona zmieniło się. Jego oczy zrobiły się złe.

– *Thorshammer?*

– Nie – powiedziałem. – Helena wystartowała helikopterem. Zabije się. Chcę ją ostrzec.

Choć w magazynie było ciemnawo, dostrzegłem, że Uptonowi rozbłyły oczy. Podszedł szybko do półki z harpunami, porwał jeden z nich i uniósł nad głową, mierząc w nas obu.

– Walter! Do mnie! Wiesz, jak tego użyć. Nie ruszaj się z miejsca, Wetherby! Nie będzie żadnych sygnałów, zrozumiałeś?

– Ależ Helena... – zaprotestowałem.

178

– Nie jest sama, z nią lecą szyprowie – odparł. – Chcą nas tak do-paść, bo nie mogą wejść do Bollevika z morza.

– Na miłość boską! Czy życie córki coś dla pana znaczy? Czy chodzi o to, że mogą pana schwytać? –

krzyknąłem.

– Wyśmienity z niej pilot – bronił się. – Umie zadbać o siebie w powietrzu.

– Nie urodził się jeszcze pilot dostatecznie dobry na tutejsze warunki – odgryzłem mu się. –  
Pozwólcie mi znaleźć jakieś rakiety.

Walter również kołysał długim harpunem w masywnej pięści. Słysza-

łem, jak mówiono, że był jednym z najlepszych harpunników na południowych wodach.

– Harpun jest jak żaglowiec – powiedział pieszczotliwie. – Nie ma marynarza ponad tego, który  
pływa na żagłowcu. Ani harpunnika ponad tego, który uczył się miotać ręcznie dawnym harpunem.  
Trzeba mieć wyczucie wyważenia...

Ruszyłem ku stercie skrzynek. Nie widziałem w ogóle, by Walter się poruszył, ale ostrze harpuna  
wbiło się w belkę trzydzieści centymetrów od mojej twarzy. Sailhardy wydawał się nieporuszony,  
natomiast twarz Uptona wyrażała podziw. Sam byłem zaskoczony kunsztem Waltera.

– Szyprowie musieli widzieć przez lornetkę, jak się wspinaliśmy ścieżką – powiedział wyspiarz. –  
Wiedzą, że tu jesteśmy, właśnie w tej chacie.

– I mają schmeissera – dodałem.

Upton zaczął się śmiać. Brzmiało to nieprzyjemnie.

– To schronisko w ogóle nie ma okien, prawda Wetherby? Czyż nie mam racji, Sailhardy? – Nie  
czekał na odpowiedź. – Nikt nie ma prawa wychodzić z chaty, rozumiano? Słuchaj, Walter – znowu  
się zaśmiał. –

A może teraz, dla odmiany, porozmawiamy sobie o harpunnictwie? Zostawimy szeroko otwarte  
drzwi frontowe – ciągnął dalej. – Usłyszemy, kiedy nadleci helikopter. Zejdzie całkiem nisko, ale  
sądzę, że Helena nie zechce lądować, zanim nie rozezna się w terenie. Z pewnością przyleci z nią  
Reidar Bull ze swoim schmeisserem. Nie będzie się spodziewać ciosu harpunem. Sądzi, że jest  
zupełnie bezpieczny, bo nie jesteśmy uzbrojeni.

Walter trzymał harpun na wysokości głowy. Wykonał błyskawiczny ruch pozorujący, że nim miota.

– Na Boga, to mi się podoba! – zawołał.

– Posłuchaj, Upton! – powiedziałem. – Masz już krew na rękach.

179

Pogarszasz tylko sprawy. Prędzej czy później zjawi się *Thorshammer*.

Zatrzyma się w pewnej odległości od wyspy i zetrze tę chatę z powierzchni ziemi, jeśli tylko zechce.

Upton potrząsnął głową.

– Być może – odparł. – Nas jednak już tu nie będzie. Popłyniemy naszą łodzią na Wyspę Thompsona.

– Może popłyniemy nią również do Kapsztadu? – spytałem sarkastycznie. – To zaledwie tysiąc sześćset mil po najpaskudniejszych wodach na świecie.

W zachowaniu Uptona nastąpiła kolejna zmiana. Stał się miły i przyjacielski. Zwrócił się bezpośrednio do Sailhardy'ego.

– Dopłynęlibyście waszą łodzią do Kapsztadu, prawda, Sailhardy?

Moglibyśmy ją nieźle zaprowiantować. Pełno tu...

Zafrapował na moment wyobraźnię wyspiarza. Miał szczególny dar przyciągania innych do swych planów.

– Musielibyśmy wyposażyć ją w półpokład, dla ochrony przed falami – rozmarzył się Sailhardy, jakby jakimś zaklęciem Upton zaraził go swoją manią. – Ale dałaby radę. Shackleton przeżegłował siedemset pięćdziesiąt mil do Georgii Południowej na zwykłej łodzi ratunkowej.

– Nie gadaj głupstw! – wtrąciłem się ostro. – Upton...

Usłyszeliśmy grzmot wirników.

– Carl! – krzyknął Upton. – Chodź tu! Nie wychodź na zewnątrz!

Chodźże no tu, słyszysz!

Pirow zjawił się w magazynie z nie wypowiedzianym pytaniem na ustach i ujrzał Waltera z harpunem. Chata zatrzęsa się, kiedy śmigłowiec przeleciał nad nią nisko. Musiał przejść co najwyżej na wysokości dziesięciu metrów. Dźwięk przycichł, a następnie znowu spotężniał, gdy maszyna zawróciła od strony morza. Potem zawisł nad nami. Zmienił

tonację, maszyna schodziła. Walter poderwał się i pobiegł ku drzwiom.

Kiwnąłem na Sailhardy'ego. Po odejściu Waltera, Upton, nawet z harpunem w ręku, nie przedstawiał zbytniego zagrożenia, a Pirow nie był

uzbrojony. Wyspiarz rzucił się na Uptona, który nie umiał posłużyć się harpunem. Sailhardy uchylił się przed nieporadnym pchnięciem i wyrwał

mu broń. Porwałem z półki czekan i ruszyłem za Walterem.

Wbiegłszy do zewnętrznego pokoju, zobaczyłem Waltera gotowego do akcji, w rozkroku, w pozycji oszczepnika. Śmigłowiec wisiał jakieś pięć metrów nad ziemią przed schroniskiem, zwrócony przodem ku wej-

ściu. W otwartych drzwiach kabiny stał Reidar Bull ze schmeisserem gotowym do strzału.

180

Walter cisnął harpun. Niemal równocześnie zaterkotał schmeisser, ale Walter padł na ziemię poza linią ostrzału i zaczął przetaczać się na boki raz w jedną, raz w drugą stronę. W ułamku sekundy, zanim harpun doleciał do celu, maszyna zniżyła się o metr. Może dojrzała pocisk Helena, a może spowodowało to zawirowanie wiatru. Harpun, ciągnący za sobą linę, zatoczył łuk i chybił. Wpadł w obracające się śmigła wirników. Dalsze wypadki potoczyły się błyskawicznie.

Ujrzałem pętlę liny wkręconej w wirniki, śmigającą ku górze. Bull stał, strzelając z pistoletu maszynowego, w chwili gdy lina harpuna obe-rwała mu głowę. Nie widziałem, jak spadała. Bezgłowe ciało przez chwilę tkwiło w bezruchu. W rotorach rozległ się pojedynczy zgrzyt rozdzieranego metalu, przypominający wystrzał. Ciało wraz z schmeisserem runęło na ziemię. Uszkodzony wirnik, wciąż pod napędem, uderzył w skalisty grunt i przekoziółkował maszynę prawie trzydzieści me-trów za schronisko, w głązy narzutowe, w miejsce gdzie zaczynał się lodowiec.

Popędziłem do rozbitego śmigłowca. Przez szybę z pleksiglasu dojrzałem Helenę w futrzanym palcie, zwaloną na urządzenie sterowe. Z

szyi zwieszała się jej moja piracka lornetka, którą zostawiłem na statku przetwórnym. Wyrąbałem okno czekaniem. Wskoczyłem do kabiny i wyłą-

czyłem przepustnicę. Grzmiące kłapanie urwało się. W obawie, czy zdo-

łam zabrać Helenę, zanim śmigłowiec się zapali, zapomniałem o jej pasie bezpieczeństwa. Przerąbałem go. Helena miała na czole jakiś znak i była nieprzytomna. Wziąłem ją na ręce i przeniósłem na bezpieczną odległość od maszyny.

Przed schroniskiem stała pozostała czwórka. Walter tulił w potężnych łapskach schmeissera. Za nimi, na okrwawionych skałach, leżało to, co pozostało z Reidara Bulla. Zaniósłem do nich Helenę.

– Napal w piecu – poleciłem Pirowowi. – Nie wiem, co jej się stało.

– Nie wygląda to na nic poważnego – powiedział lekceważąco Upton.

– Ty gruboskórny sukinsynu – zacząłem, ale mnie zignorował.

– Walter – przerwał mi – nie wahaj się użyć broni, gdyby Wetherby czy Sailhardy coś zaczęli.

– Sir Fredericku! – powiedział Pirow. – W helikopterze jest radio.

Pójdę zobaczyć, czy działa.

181

– Poczekaj chwilę – rzekł Upton. – Helikopter może jeszcze się zapalić, choć na to nie wygląda.

Podszedł do zwłok i obrócił je stopą, przyglądając im się z nieprzy-zwoicie nieczułym zadowoleniem.

– Na miłość boską! – zawołałem. – Sailhardy! Rozpalże w piecu! I przynieś z magazynu parę kocy.

Upton wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Zrzuć to z urwiska – polecił Walterowi, wskazując na zwłoki. – I zostaw mi broń.

Walter zawahał się.

– Zwal go z urwiska! – powtórzył Upton, kołysząc się na palcach. –

Na co czekasz?

Walter potrząsnął głową.

– Trzeba odmówić jakąś modlitwę. W końcu był człowiekiem. Może kapitan to robi, a potem go zrzucę.

– Chryste! – wybuchnął Upton. – I ty to mówisz? Szyper kutra!

Walter stał się grubiański.

– Nie życzyłbym sobie, żeby tak ze mną postąpiono, gdybym to ja tu leżał. Wszystko jedno szyper czy jakaś inna cholera.

– No dalej, rób swoje – nalegał Upton. – Póki ja tu jestem, nie będzie żadnych modlitw.

Nie czekałem, aż Walter wypełni to makabryczne zadanie. Wniosłem Helenę do wnętrza, gdzie opatuliliśmy ją kocami, które przyniósł Sailhardy. Oddychała swobodnie, nie udało mi się znaleźć żadnych złama-nych kości. Uznaliśmy obaj, że jedynie jest ogluszona. Sailhardy przyniósł też trochę drewna, porąbał je i rozpalił na jakimś kawałku metalu, który również gdzieś znalazł. Potem zajął się wielkim piecem na środku pokoju. Stopienie lodu pokrywającego ściany musiało potrwać parę godzin. Nie upłynęło dziesięć minut, a Helena poruszyła się.

– Heleno! – krzyknąłem. – Heleno!

– Przyniosłem dla niej śpiwór i jeszcze trochę drewna – powiedział

Sailhardy.

Tymczasem ona usiadła i zarzuciła mi ramiona na szyję.

– Bruce, mój drogi, mój kochany! – szlochała i gwałtownie opadła na plecy, choć ją



podtrzymywałem. – Gdzie lornetka? Zabrałam ją z *Antarktyki*.

– Miałaś ją na szyi – powiedziałem łagodnie. – Mam ją.

– A co z helikopterem, Bruce? Czy spłonął?

– Nie – odrzekłem. – Ale już więcej nie poleci.

182

Opowiedziałem jej krótko o Reidarze Bull u. Zbladła.

– To znaczy, że nie możemy wydostać się z wyspy.

Wszedł Upton.

– Jasne, że się wydostaniemy! – powiedział. – I coś uratujemy z twojego helikoptera.

Wyglądało, że nie przejmuje się nią zbytnio. Za nim wszedł Walter ze schmeisserem w ręku.

– O czym, u diabła, pan mówi? – spytałem.

– Stawiam sprawę jasno, Wetherby – powiedział Upton. – Udaję się na Wyspę Thompsona łodzią wielorybniczą Sailhardy'ego. Ty też, zresztą my wszyscy. Potrzebuję cię jako nawigatora. A Sailhardy musi prowadzić łódź. Poza tym nie jesteście mi potrzebni. Pamiętaj o tym.

Wskazał na schmeissera. Zjawił się znowu Sailhardy.

– Sailhardy! Masz już z czego zrobić półpokład na łodzi. Jest tu bla-cha aluminiowa. Ile czasu to ci zabierze?

Wyspiarz położył drewno i spojrzał na mnie, szukając poparcia.

– Może dzień, może dwa zakładając, że pogoda zbytnio się nie pogorszy. Musimy zanieść tę blachę na dół, na plażę. Będzie z tym sporo roboty.

Helena słuchała z niedowierzaniem.

– Ojczy! – powiedziała cicho. – Już doprowadziłeś do tylu nieszczęść. Porzuć ten pomysł z Wyspą Thompsona. Potrzebujemy teraz przede wszystkim ciepła, schronienia, czegoś ludzkiego.

Wybuchnął na to śmiechem.

– Posłuchaj, Carl! – odezwał się do Pirowa, który wrócił z radiem wymontowanym ze śmigłowca. – Moja córka pragnie ciepła i czegoś ludzkiego! Mamy tu wszystko, czego nam chwilowo trzeba, i Wyspę Thompsona zaledwie o czterdzieści pięć mil. Mam teraz dać za wygraną?

Helena wzdrygnęła się i siedziała milcząc. Mieliśmy zatem odbyć podróż łodzią. W porządku,

pomyślałem sobie. A kiedy nie uda mu się znaleźć Wyspy Thompsona, będę mógł spróbować zlokalizować *Thorshammera* i oddać się w jego ręce. Po kilku dniach sztormu na tych wodach, w otwartej łodzi, nie będziemy się nadawali do niczego innego.

Pirow był uradowany.

– Radio jest całe. Pokażę wam. Przyniosłem baterie i linkę antenową

– spojrzął z ukosa na Upton. – Od dawna już *Thorshammer* nie miał

wiadomości od załogi swego wodnopłatowca. Lepiej ją nadam, zanim 183

straci nadzieję i przyplynie na Bouveta spotkać się z kutrami.

– I z nami – dodał ponuro Walter.

– I z nami! – powtórzył Upton. – Lecz nas wtedy od trzech dni już tu nie będzie! Możesz ich wodzić za nos przez tyle czasu, Carl? Potem mogą wysłać całą flotę na Bouveta, ale nas już nie znajdą.

– Nie sądzisz, że kutry obserwują nas przez lornetkę? – spytałem. –

Widzieli, co się stało. Zobaczą również, jak będziemy odpływali.

– I co z tego? – odparł Upton. – Nie ośmielą się wpłynąć na kotwiczowisko, ze względu na miny. Niech więc nas zobaczą! Pogoda się pogarsza, trudniej będzie nas dostrzec. Ładnie bywa tu tylko wyjątkowo, pan o tym wie, aja czytałem raporty Kohlera.

– Tak – powiedziałem. – Odnosi się to również do Wyspy Thompsona.

– Nie próbuj mnie nabierać i odstraszać – warknął Upton. – Bez względu na mgłę czy sztorm, odpływamy w ciągu trzech dni.

Pirow wrócił i podłączył baterie oraz linkę antenową, którą przywią-

zał na zewnątrz do metalowej liny odciągu. Pojawiły się światełka, przy-dając niesamowitości atmosferze w tym pokoju o oblodzonych ścianach, podczas gdy Pirow zaczął wprawki, by się podszyc pod rozbitków z wodnopłatowca. Stłoczyliśmy się wszyscy wokół pieca, poza Walterem, który stał oddalony w wystarczającym stopniu, by uniemożliwić Sailhardy'emu czy mnie bezpośredni atak. Helena, na wpół leżąc, spowita w koce i śpiwór, wyglądała na zmartwioną i przygnębioną.

Spod długich palców wydobył się słaby, jękający się sygnał. Raz jeszcze musiałem podziwiać niezrównany kunszt Człowieka o Niezawodnej Dłoni. Stukał kluczem telegraficznym, przestawał, nasłuchiwał.

Jego palce igrały wśród aparatury, niemal jakby były odrębnymi istotami myślącymi.

– Czy *Thorshammer* odpowiada? – spytał Upton.

Pirow uciszył go gestem. Żółte światło lamp naftowych, pogłębiające mu oczodoły, podkreślało jego odmienność od pozostałych. Nagle ze-sztwytniał, lewą ręką sięgnął automatycznie do przełącznika, prawą trzymał na kluczu. Następny sygnał nadał jeszcze bardziej niepewnie niż poprzedni. Potem uśmiechnął się i odprężył.

– *Thorshammer* poleca: naciskaj klucz, nie przestawaj nadawać!

Chce ich namierzyć! Bez tego nie może ustalić położenia tratwy!

– Jesteś pewien, że dosyć już nadałeś? – zapytał Upton.

184

Pirow go zignorował. Stukał dalej wyłączonym kluczem, uśmiechając się do mnie.

QQQ... QQQ... Zaatakowano mnie...

– To wystarczy, prawda, *Herr Kapitän*. Tylko trzy litery.

Wstałem i wyszedłem na zewnątrz. Napięcie panujące w schronisku, nienaturalnie błyszczące oczy Uptona, niepokój Heleny, barbarzyński Walter wymachujący pistoletem automatycznym – wszystko to przygnę-

biło mnie. Na małym płaskowyżu przed chatą było piekielnie zimno.

Dogorywające słońce rozświetlało postrzępiony horyzont na zachodzie.

Wziąłem moją potężną lornetkę i przyglądałem się sylwetkom kutrów.

Zapalono na nich światła. Te na *Crozecie* odbijały się w górze lodowej, do której był przycumowany. Ogrom ciszy był przerażający. Świeża bryza chwilami zmieniała się w podmuch, którego prędkość oceniałem na dwadzieścia pięć węzłów, ale ciągle jeszcze nie nadchodził sztorm z południowego zachodu. Przeciągało się to o wiele dłużej, niż przewidywaliśmy z *Sailhardym*. Burza mogła być tym straszniejsza, kiedy wreszcie nadejdzie. Pomyślałem o szansach łodzi wielorybniczej na pełnym morzu i wrzuciłem ramionami. Plan Uptona wydał mi się teraz bardziej obłąkany niż kiedykolwiek.

Następnego ranka Upton zbudził nas wcześniej. Spaliśmy wszyscy wokół pieca, a tamci trzej zmieniali się, kolejno trzymając wartę. Otworzyliśmy skrzynie z prowiantem i *Sailhardy* przyrządził posiłek, który zjedliśmy w świetle lamp przyniesionych z magazynu. Helena wyglądała na zmęczoną i zapadła w przerywany sen. W środku nocy doszedł nas jakiś odgłos. Wydawało mi się, że to lodowiec miażdży schronisko, ale musiała to być skorupa lodowa opadająca z wewnętrznych ścian. Kiedy rano zawołał nas Upton, w pokoju było już ciepło i przytulnie.

– Wymontujemy teraz trochę wielkich blach aluminiowych z helikoptera i zaniemiemy na plażę – zarządził. – To powinno nam zająć najlepszą część dnia. Jutro *Sailhardy* i *Wetherby* zamontują półpokład na łodzi, a reszta będzie transportować zapasy na brzeg. Trzeciego dnia odpływamy.

Kiedy pomyślałem sobie o maleńkiej łódeczce na pełnym morzu, przypomniały mi się odczucia z poprzedniego wieczora.

– Jeśli pogoda pozwoli – dodałem.

– Bez względu na pogodę – sprzeciwił się. – Musi pan się z tym pogodzić.

– I poześlujemy kanałem, prosto w ramiona oczekujących kutrów –

ciągnąłem.

185

Upton zaśmiał się.

– Uspokój się, Wetherby. Nie jesteś taki głupi, jak udajesz.

A więc nie przeoczył innych przejść wodnych w lodzie, na północy i na północnym wschodzie. Wtrąciła się Helena.

– Pomogę Bruce'owi i Sailhardy'emu. Tak czy inaczej to mój helikopter.

Trudno mi było sobie wyobrazić, jak będziemy znosić wielkie arku-sze aluminium urwistym zboczem, zwłaszcza przy wietrze. Zdmuchnę-

łoby nas ze ścieżki, zanim uszlibyśmy sto metrów. Trzeba też było uporać się z drabiną. Zacząłem oponować, ale Upton mnie powstrzymał.

– Najwidoczniej nie zaznajomiłeś się dokładnie z tym, czym dys-ponujemy. Norwegowie sprowadzili tu kołowrót. Musieli nim wciągać elementy chaty. Mamy dość lin, by otakłować żaglowiec. Niektóre już odtajały.

Dwa duże zwoje leżały blisko ognia. Roztopiała się na nich powłoka lodowa.

– Przekonasz się również, że ludzie Christensena wywiercili w skale trochę otworów na sworznie – ciągnął dalej. – Parę blach lekkiego metalu nie sprawi kłopotu.

Miał rację. Kiedy razem z Sailhardym, podważając i obluzowując czekanami nity, oderwaliśmy ze śmigłowca kilka dużych blach na pokrycie dziobu i rufy łodzi, stało się oczywiste, że prościej będzie spuścić je ręcznie po zboczu, bez uciekania się do kołowrotu, którego zmonto-waniem zajmował się Walter. Upton pilnował nas ze schmeisserem. Na początku naszej pracy Helena była roztrzęsiona, ale pozbierała się z upływem dnia. Do popołudnia zerwaliśmy już powłokę z dużej nie uszkodzonej części aż po tylną stronę kabiny i złożyliśmy ją gotową do zniesienia na plażę następnego dnia. Ujrzałem, jak Helena uśmiecha się po raz pierwszy od wylądowania na Bouvecie, kiedy Sailhardy uparł się, by wyciąć z maszyny fotel pilota i ustawić przy ogniu w schronisku.

Podczas naszej pracy Walter i Upton trzymali na zmianę wartę przed chatą, Pirow zaś zajmował się

radiem i przyrządzaniem posiłków. Zapasów było nie tylko dużo. Okazało się, że zadbano także o ich różnorodność, aby ludzi odciętych przez całe miesiące od świata uchronić przed nudą.

Kiedy z Heleną i Sailhardym wróciliśmy do schroniska na południowy positek, Upton wybierał i składał razem skrzynki z prowiantem na po-dróż. Było tam parę lekkich kuchenek typu alpejskiego, nadających się do użycia na łodzi. Moim zdaniem zapasów przygotowanych przez Uptona było żałośnie mało. Zapytał on Sailhardy'ego, ile czasu potrwa 186

żegluga z Bouveta na Wyspę Thompsona. Wyspiarz odparł, że przebycie osiemnastu mil z Tristana na Wyspę Słowiczą zabiera mu zwykle około czterech godzin, zatem w trudnych warunkach powinniśmy przybyć na Thompsona w ciągu doby, a może półtorej. Będziemy mieli wiatr w plecy i sprzyjający ruch fal. Wiedząc, że nie znajdziemy wyspy, nakłaniałem Uptona do zabrania zapasów na dziesięć dni, gdyż uznałem, że powinno to wystarczyć, by wrócić pod wiatr na Bouveta. Zabieraliśmy też radio ze śmigłowca. Miałem nadzieję, że po tygodniu spędzonym w łodzi wielorybniczej, wszyscy będą zadowoleni poddając się *Thorshammerowi*, jeśli tylko uda nam się go zlokalizować lub on zlokalizuje nas.

Im więcej myślałem o tym przedsięwzięciu, tym bardziej wydawało się ryzykowne.

Sailhardy oderwał ostatnią blachę metalowej powłoki śmigłowca.

Uśmiechnął się do Heleny.

– A więc, pszepani, przypuszczam, że półpokład z tego będzie lepszy niż ze skóry słonia morskiego.

– A więc o to chodziło, żeby urzeczywistnić romantyczną wyprawę z Bouveta do Kapsztadu! – zakpiła sobie łagodnie.

Naprawdę myślałem, że Sailhardy przejął się – choć może jedynie teoretycznie – pomysłem podróży do Kapsztadu. Natychmiast spoważ-

niał.

– Nie należy zapominać, pszepani, że na Tristianie najdawniejsze – a pewnie i najlepsze – łodzie wielorybnicze wytwarzano ze skór słoni morskich rozpiętych na drewnianych wręgach. Trzeba było upolować ze trzy albo cztery takie zwierzęta, by wystarczyło skóry na budowę łodzi.

– A gdzież można by znaleźć słonie morskie na Bouvecie? – spyta-

ła.

Pokazał małą wysepkę w kształcie bunkra u południowego wejścia na Kotwicowisko Bollevika.

– Założę się, pszepani, że tam się je spotka.

– Przecież na Bouvecie w ogóle nie ma zwierząt! – wykrzyknęła. –

Ani owadów. Nawet roślin.

– To nieprawda, pszepani – odparł. – Jeśli się pani dobrze przyjrzy, zobaczy pani na tej wysepce pingwiny. Czuję ich zapach, kiedy przy-bijaliśmy. Jestem pewien, że są i foki wokół osłoniętego wybrzeża wyspy.

Pomachał ręką, wskazując za lodowiec.

– Jeśli będziemy mieli szczęście, może się uda nam zobaczyć fokę Rossa. Przypuszcza się, że właśnie na Bouvecie się rozmnażają –

187

powiedziałem. – To najpiękniejsze stworzenie w tym rejonie, o zdumie-wających, tkliwych oczach.

Helena ponownie się roześmiała.

– Jakże wy obaj zakochani jesteście w tym waszym południowym oceanie!

– Gdyby gdzieś tu były pingwiny Adeli, pszepani, nie potrzebował-

bym Bruce'a na nawigatora – mówił z przejęciem Sailhardy. – Taki pingwin to najlepszy pilot w Antarktyce. Na Tristanie wiemy, że kieruje się według gwiazd i słońca. Jeśliśmy mieli płynąć do Kapsztadu, jego właśnie wybrałbym sobie na pilota.

Potrząsnęła głową, ja wszakże poparłem Sailhardy'ego.

– Amerykanie ze stacji badawczej McMurdo myśleli, że opowieści o zdolnościach nawigacyjnych pingwinów Adeli, to tylko bajeczki.

Przeprowadzili test. Oznakowali pięć takich pingwinów i odtransporto-wali je samolotem na odległość trzech tysięcy kilometrów. Po roku wszystkie wróciły piechotą do swych kolonii przy McMurdo. Nie ma się z czego śmiać!

Sailhardy dotknął jej futra z leoparda morskiego.

– A tego stworzenia powinna się pani wystrzegać, pszepani. Jest niesłychanie paskudne. Ma kolor brudnego śniegu, a głowę jak wielki wąż.

– Nie chcę już więcej słuchać – uśmiechnęła się. – Przekonaliście mnie. Robota skończona i nie da się niczego ruszyć aż do jutra rana.

Chcę, żeby Bruce zabrał mnie na spacer po lodowcu.

– Złożę te blachy wszystkie razem, a potem dam wam raki, byście mogli chodzić po lodzie, i czekam – rzekł Sailhardy patrząc na długi lodowy stok, w który tu i ówdzie wmarznięte były otoczaki. – Nie dacie rady wejść za daleko pod górę, pszepani.

– Nie zamierzam chodzić daleko – odparła. – Pragnę jedynie nie czuć się nieustannie pilnowana. Możesz to powiedzieć temu tumanowi z pistoletem?

Sailhardy wyszczerzył zęby w uśmiechu i odszedł. Helena odrzuciła kaptur, odsłaniając włosy. W bladym słońcu wydawały się złote.

– Bruce – powiedziała, kiedy wyspiarz nie mógł już nas słyszeć – to wszystko wydaje się tak straszliwie nieuchronne. I nikt nie próbuje temu zaradzić.

Wskazałem ruchem głowy Waltera.

– Seria z tego automatu przecięłaby każdego na pół. Musimy udawać, że pogodziliśmy się z pomysłem opuszczenia wyspy, pod przymusem.

188

– Na miłość boską! Nie tutaj – mogą cię usłyszeć! – przestraszyła się. – Jeśli idzie o Wyspę Thompsona...

– Posłuchaj – odparłem. – Chcę ci coś powiedzieć o Wyspie Thompsona. Tam wyżej, gdzie nikt nas nie usłyszy.

Sailhardy przyniósł czekan i raki. Zaczął żartować, ale zamilkł, kiedy zobaczył nasze twarze. Bez słowa poszliśmy z Heleną pod górę. Ponad nami wznosił się masywny stożek lodowca Christensena. Mała chmurka przy wierzchołku przypomniła mi o sztormie, który tak niepokojąco się opóźniał. Niżej, w słońcu, leżała ławica chmur. Zacząłem się zastanawiać, czy ów stosunkowo łagodny wiatr z południowego zachodu nie oznacza, że burza nadejdzie nie z tej strony, a z północnego zachodu.

Cyklon północno-zachodni niósł z sobą potężne fale, wzburzone morze –

czynił więc wyprawę na Wyspę Thompsona jeszcze bardziej niebezpieczną; najgorszy ze wszystkiego byłby wszakże niski pułap chmur i związana z nim słaba widoczność.

Po przejściu około ośmiuset metrów napotkaliśmy lodową ścianę wznoszącą się pionowo na jakieś sześćdziesiąt metrów. Oparliśmy się o wielki głaz. Wręczyłem Helenie lornetkę. Widok był wspaniały. Długo przyglądała się kutrom, a potem morzu i lodowi na nim na północnym zachodzie, na północy i na północnym wschodzie, aż do miejsca, w któ-

rym zasłaniał je lodowiec.

– Wypatrujesz Wyspy Thompsona? – zażartowałem.

Opuściła lornetkę na długość paska. Wskazała gestem północny wschód.

– Nie ma jej tam, Bruce, prawda, wbrew mapie?

– Nie ma – odparłem. – Nie ma tam jej w ogóle. Nie mogłabyś jej stąd zobaczyć, nawet przy

najlepszej pogodzie. Miejsce, gdzie znajduje się naprawdę, zasłania lodowiec.

Oczy jej były mieszaniną bladego złota, bieli i zieleni – od słońca, morza i lodu.

– Powiadasz, że Wyspa Thompsona leży na południe, a nie na północ od Bouveta?

– Tak, Heleno. Nie na północy, czy północno-północnym wschodzie, jak podaje mapa. Na południu. A raczej na południu z leciutkim odchyleniem na wschód. Lepszy specje od twego ojca, dysponujący lepszymi statkami niż łódź wielorybnicza, przeszukali wody na północ, na północny wschód i na północny zachód od Bouveta, żeby znaleźć Wyspę Thompsona. Wiesz, z jakim rezultatem.

189

– Ale dlaczego na południu! Jak to być może?

– Siadaj – powiedziałem. – To długa historia. Zanim ci ją opowiem, zapamiętaj sobie jedno słowo: cez. Pamiętaj też o swoim ojcu. I pamiętaj o tym, że nie opowiedziałbym ci tego, gdybyś...

– Gdybym nie była przekonana, że to nie ty zestrześliś samolot –

dokończyła, ściągając na chwilę rękawicę i trzymając lornetkę w gołej dłoni. – Żeby trafić do serca Bruce'a Wetherby'ego, musi się kochać rzeczy nieożywione, niekiedy gwałtowne. Piracką lornetkę, kompas żeglarski. Oto właściwa droga. Nic statycznego, spokojnego, zawsze coś, co wojuje z lodem albo z ciepłem, albo z życiem.

– Możesz do tego zaliczyć i Wyspę Thompsona – dorzuciłem.

– Czemu mi opowiadasz o Wyspie Thompsona? – spytała. – Dlaczego? W końcu jestem jego córką.

– Ponieważ – odpowiedziałem po prostu – jestem przeświadczony, że przed upływem tygodnia podróży otwartą łodzią wielorybniczą nikt z nas nie pozostanie przy życiu.

– Tygodnia! – powtórzyła. – A więc mamy przed sobą wspólny tydzień.

Pochyliłem się ku niej i ucałowałem jej usta.

– A powinno to potrwać całe życie.

– Czy Sailhardy też tak sądzi? – spytała niespokojnie.

– Nie. Żywi potajemnie nadzieję, że któregoś dnia dokona większego wyczynu żeglarskiego niż Shackleton czy nawet Blight na *Bounty*. To go zaślepia. Nie zapominaj, że morze jest jego przyjacielem, nie wrogiem. Czterdzieści pięć mil do Wyspy Thompsona to dla niego fraszka.

Tylko że to nie będzie czterdzieści pięć mil, bo Wyspy Thompsona nie ma tam, gdzie pokazuje mapa



– dokończyła, patrząc mi w oczy. – Bruce, czemu ty to robisz? Dlaczego nie zaprowadzisz go na Wyspę Thompsona? A niechże ją sobie ma, jeśli nawet całkiem od tego... całkiem od tego... zbzikuje... kiedy znajdzie ten swój cez i całą resztę, wszystko, co sobie wymarzył.

– To nie jakieś marzenie – powiedziałem.

– To... nie... marzenie? Sama słyszałam, jak rozmawiałeś z nim o cezie! Na własne uszy!

– Właśnie dlatego ci o tym mówię, ponieważ jestem przekonany, że na Wyspie Thompsona jest cez – powiedziałem powoli. – Nikt nigdy nie ma prawa znaleźć tej wyspy! Wiesz, jakie znaczenie ma dzisiaj cez.

Dojdzie do wojny atomowej o Wyspę Thompsona.

190

– A więc postanowiłeś poświęcić życie własne i pięciu innym osobom?

– Tak – przyznałem. – Chyba że uda mi się namówić twego ojca, kiedy już będziemy gonić resztkami sił, żeby się poddać niszczycielowi, jeśli w ogóle go odszukamy. A więc Wyspa Thompsona leży...

Położyła mi dłoń, znów w rękawicy, na ustach.

– Bruce, mój drogi, czy jesteś pewien, absolutnie pewien?

– To kwestia zaufania – odparłem. – Wyspa Thompsona leży sześćdziesiąt pięć mil na południowo-południowy wschód od Bouveta.

Upłynęło parę minut, zanim się odezwała. Mówiła tak cicho, że z trudem mogłem usłyszeć jej słowa.

– Czy możesz mi teraz powiedzieć, jak to się stało, że tylko ty o tym wiesz?

– Jeśli przyjrzesz się podziałce noniusza na moim sekstansie, zauważysz małe wyraźne nacięcie. Odpowiada ono szerokości geograficznej Wyspy Thompsona. Nikt jej nigdy tam nie szukał.

– Ale dlaczego...?

– Podczas wojny dokonałem odkrycia, które uważam za jedno z ważniejszych dotyczących Antarktyki. W jej zimnym powietrzu promienie świetlne ulegają znacznemu ugięciu. Dochodzi do refrakcji. Nie sposób dokonać dokładnego pomiaru.

– Nie rozumiem, co próbujesz mi wyjaśnić.

– Szczególny sposób, w jaki uginają się promienie światła, bardzo zniekształca obraz odległych obiektów. Innymi słowy, sekstans kłamie.

Podaje niezgodne z rzeczywistością pozycje słońca i gwiazd, wedle któ-

rych prowadzimy nawigację. Odkryłem, że w odczytach występuje stałe odchylenie stu dziesięciu mil w kierunku północno-północnego wschodu. Stąd ta różnica.

Zmarszczyła się zastanawiając w sposób, który obudził we mnie tak długo uszpioną czułość.

– Nie rozumiem, o co konkretnie chodzi, ale wierzę ci, Bruce. Nie pojmuję natomiast, czemu nie znaleziono tej wyspy, skoro wszyscy, poczynając od Norrisa, popełniali ten sam stały błąd?

– To samo sobie pomyślałem – odparłem. – Ale zakładasz, że dawni łowcy fok potrafili dokładnie określać położenie i że pozycja samego Bouveta jest znana.

– Bouveta?

– Wyrysowałem na mapie rozmaite przypisywane Bouvetowi poło-

żenia – wyjaśniłem. – Co najmniej cztery pochodzą z wiarygodnych 191

źródeł, a trzy z mniej pewnych. Kiedy się mówi, że Thompson leży czterdzieści pięć mil na północno-północny wschód od Bouveta, niewiele to znaczy. Przeprowadziłem badania i stwierdziłem, że odkrywca Bouveta – Francuz, kapitan Bouvet de Lozier – prawdopodobnie jako pierwszy widział jakiś ląd w okolicy, gdzieś tam, gdzie leży Wyspa Thompsona.

– Pójdę o zakład – zaśmiała się – że obalisz z hukiem także pozycję Bouveta!

Odwzajemniłem uśmiech.

– Istotnie, zrobiłem to. Wiesz, Bouvet określił położenie wyspy, opierając się na długości geograficznej Wysp Zielonego Przylądka, a nie Greenwich.

– A nie mówiłam! – stwierdziła ubawiona. – Ale co zacząłeś mi mówić o dawnych łowcach fok?

Jej dobry nastrój udzielił mi się.

– Dwie ważne rzeczy. Miesiącami studiowałem ich dzienniki pokładowe i raporty o dokonanych na wodach południowych pomiarach, znajdujące się w starych dokumentach Wetherbych. Krótko mówiąc, łowca fok mógł się łatwo pomylić o dziesięć minut w ustalaniu szeroko-

ści geograficznej, nawet w najbardziej sprzyjających warunkach. A ich pomiary długości geograficznej naprawdę były śmiechu warte. Nie zapominaj, że jeszcze w czasie wojen napoleońskich tylko okręty dowódców konwojów dysponowały chronometrami niezbędnymi do określenia długości geograficznej. A Norris odkrył Wyspę Thompsona zaledwie cztery lata po śmierci Napoleona. Po żmudnych badaniach doszedłem do wniosku, że na pomiarach dawnych łowców fok można mniej więcej polegać z tolerancją około półtora stopnia, czyli, powiedzmy, dziewięć-

dziesięciu mil morskich.

– Nie mogę zrozumieć, czemu tego wszystkiego nie powiedziałaś w Admiralicji, kiedy dowodziłaś, że zaobserwowałaś Wyspę Thompsona.

Wzruszyłem ramionami.

– Praktycznie wyśmiano mnie i wyproszo – odrzekłem. – Uznano mnie za pomyleńca, widziałem to na ich twarzach. Upierali się, żebym to udowodnił. A przecież chciałem właśnie, by dali mi taką sposobność.

Pewien dżentelmen z wydziału hydrografii powiedział mi dobitnie, że w takim wypadku wszystkie dotychczas opracowane mapy Antarktyki i otaczających ją oceanów byłyby do wyrzucenia, a to by oznaczało nie-dopuszczalne marnotrawstwo. Do dziś pamiętam jego słowa: 192

„Empiryzm kontra wiedza absolutna, kapitanie Wetherby. My wolimy wiedzę absolutną”.

– Może to brzmi niemądrze, ale jak doszedłeś do prawdziwej pozycji Wyspy Thompsona, skoro wskazania twego sekstansu, podobnie jak wszystkich innych, były błędne?

– Dokonując nim czterech niezależnych pomiarów gwiazd, nie słoń-

ca, żeby zrównoważyć błąd wynikający z refrakcji – wyjaśniłem. – Norris nie mógł...

– Bruce! – przerwała mi gwałtownie. – Bruce! Spójrz!

Wskazała w górę, w miejsce gdzie – za barierą lodu – stok lodowca znowu piął się pochyło ku wierzchołkowi. Widoczna tam była bez wątpienia wężopodobna głowa morskiego leoparda. Był wszakże na tyle od nas daleko, że nie zagrażało nam bezpośrednio niebezpieczeństwo.

– Musimy wracać do schroniska i ostrzec pozostałych – powiedział-

łem. Masywny łeb i grzbiet kołysały się na różne strony, jakby zwierzę wypatrywało, jak dostać się na dół. Nagle, z wysoka, ze strony szczytu lodowca, oderwał się jakiś biały obiekt. Początkowo myślałem, że to kawał lodu.

– Spójrz, Heleno, coś spada na leoparda morskiego!

Był to ogromny ptak z wyciągniętą szyją. Pędził w dół jak nurkujący bombowiec. Błyskawicznie pomyślałem, że nie może atakować drapież-

nika – musiał wypatrzeć jakiś inny łup na występie skalnym.

– Albatros! – wykrzyknęła Helena.

Nurkujący ptak znalazł się nad leopardem morskim. Wydał skrzydła, by uniknąć zderzenia z wężopodobnym łbem, ale było już za późno.

Widzieliśmy, jak błysnęły szpony. Posypały się białe pióra, kiedy wspaniały rynsztunek albatrosa został rozdarty aż do żywego mięsa. Niemal widziałem, jak ptak napina mięśnie szyi, próbując się wzbić. Może by mu się udało, gdyby nie poszczerbiony występ klifu. Ranny, nie miał siły go ominąć. Runął na lodowiec i stoczył się w dół, aż do niewielkiej sterty kamieni u naszych stóp.

Helena pobiegła w stronę ptaka, który próbował się podnieść. Dźwi-gnął się trochę i – wyciągając piękną szyję – starał wyprostować. Lewe skrzydło miał fatalnie rozdarte pazurami morskiego leoparda.

– Bruce, musimy mu pomóc... – szepnęła, ale urwała, widząc wyraz mojej twarzy i czekan w ręku.

– Nie – powiedziałem łagodnie. – Nie, Heleno. Pięć minut temu był

awanturnikiem, zdolnym przelecieć stąd do bieguna południowego i z 193

powrotem. Teraz jest kupą pierza. Jeśli go zostawimy, umrze powoli.

Jeśli mu w tym pomogę, mniej będzie cierpiał. Tak czy inaczej, umrzeć musi.

I poszedłem, by mu zadać cios łaski. Oczy Heleny były pełne bólu.

Wzniosłem czekan. Albatros wygiął szyję ruchem niemalże wykwint-nym, jaki te wielkie morskie ptaki stosują przy zalotach, z gracją Margot Fonteyn. Opuściłem czekan i spojrzałem na Helenę. Podeszła i obejrzała na wpół rozpostarte skrzydło. Zbliżyłem się. Spodziewałem się, że bę-

dzie dziko na oślep zadawał ciosy mocnym dziobem. Tymczasem stał, kołysząc głową.

– Wrócę tu z Sailhardym – powiedziałem. – Przyniesiemy liny i zabierzemy ptaka do schroniska. Jutro na plaży możemy złapać dla niego parę ryb. Zawsze po odpływie zostaje ich trochę w skalnych sadzawkach. Ale musimy już stąd iść.

Poszliśmy do chaty tak szybko, jak tylko się dało po lodowcowym stoku. Sailhardy był zadowolony z pomysłu uratowania albatrosa; zamiast lin wziął sieć, którą położono na kamieniach przed wejściem, żeby odtajała. Uzbrojony Walter nie powstrzymywał nas.

Znaleźliśmy wielkiego ptaka na wpół skulonego na lodzie. W ciągu paru minut zarzuciliśmy na niego sieć. Znieśliśmy go na dół i puściliśmy wolno przed chatą. Zachodzące słońce zapowiadało drugą noc, którą mieliśmy spędzić na Bouvecie.

Nazajutrz, kiedy tylko się rozwidniło, Upton rozpoczął przygotowania do transportu blach aluminiowych na plażę. Wyruszyliśmy skalną ścieżką w dół z Sailhardym i Heleną; pochód zamykał Walter z pistoletem automatycznym. Nawet przy drabinie, po której zejść pomogłem Helenie, nie było sposobności, by rzucić się na Norwega. Tym razem schodziło się nam łatwo, gdyż przywiązaliśmy liny asekuracyjne do górnych szczebli. Walter poruszał się zwinnie jak kot. Na ostatnim odcinku przywiązałem Helenę między sobą i Sailhardym. Jakieś sto metrów ponad plażą

Sailhardy zatrzymał się i zawołał:

– Spójrzcie! Kutry spuszczaają na wodę łódź!

Helena stanęła mocno plecami przy skalnej ścianie, z daleka od niebezpiecznej krawędzi. Skierowałem lornetkę na statki.

– Skończeni durnie! Co mają zamiar zrobić?

Walter poklepał schmeissera.

– Przyjść po nas. Lars Brunvoll nie będzie siedział z założonymi rękami.

194

Sailhardy wskazał na fale ciężko bijące w skały i plażę.

– Nikomu nie uda się wylądować zwykłą łodzią w takich warunkach.

– Jutro mamy żeglować po takim morzu – wtrąciłem ponuro.

– Mamy łódź wielorybniczą z Tristana – odparł Sailhardy.

– Mój Boże! – zawołała Helena, przyglądając się białym grzywaczom przewalającym się przez kotwicowisko.

Wyspiarz spojrział z mieszaniną satysfakcji i obawy.

– Nie będzie tak źle, kiedy wyjdziemy na otwarte morze. Pewnie będzie nami mocno rzucać, ale łódka jest na tyle mała, że nie sięga dwóch fal jednocześnie. To sporo pomaga.

Skierowałem lornetkę na *Chimaya*, kuter Brunvolla.

– Łódź odbiła!

Coś małego oderwało się z trudem od burty, miało po dwóch wioślarzy z każdej strony. Człowiekiem przy sterze mógł być Brunvoll, ale nie miałem pewności. Łódka odплыnęła od zawietrznej kutra i zniknęła w kłębowisku piany. Zobaczyłem, jak wywraca się dnem do góry. Pięciu ludzi wpadło do wody.

– Już po niej!

– Niech ich lepiej szybko wyciągają! – wykrzyknął Sailhardy. – Nie pociągną długo przy takim zimnie.

Kuter powoli podплыnął do ludzi walczących z falami. Widziałem, jak wciągano ich na pokład.

– Tym lepiej! – powiedział Walter. – Chodźcie, mamy robotę.

Schodzimy na plażę.

Zgramoliliśmy się ostatnim odcinkiem do drogowskazu. Łódź leżała tam, gdzie ją pozostawiliśmy. Odwiązaliśmy się od liny. Rozejrzałem się. Z wierzchołka klifu zaczął się opuszczać przywiązany do końca długiej liny pierwszy kawał aluminiowej blachy.

Ruszyliśmy z Heleną i Sailhardym w stronę łodzi. Kiedy nasze buty zachręściły na kamieniach, wyjrzała zza burty mała główka. Jakieś stworzenie, nie większe od dorosłego jamnika, patrzyło na nas łagodnymi, świecącymi oczyma.

– To foka Rossa – szepnął Sailhardy.

Żadne z nas nigdy jeszcze nie widziało tego najrzadszego i najpiękniejszego zwierzęcia Antarktyki. Helena podeszła bliżej.

– Nie, pszepani... – zaczął wyspiarz, ale ona była już przy stworzonku. A ono bez wahania poszło w jej ramiona. Miało szare futerko jak norka, nieco ciemniejsze na dole. Helena spojrzała na mnie rozradowana.

195

– Bruce! Spójrz tylko! Zobacz, jak mi ufa!

Zaśmiałem się i pogłaskałem rozkoszną główkę foczego szczenięcia.

– To właśnie jest kłopot z foką Rossa. Ufają każdemu. Dawni łowcy wytępilli je, po prostu waląc po głowach. Zupełnie nie obawiają się ludzi.

Helena puściła stworzonko na plażę. Foczka dreptała od niej do mnie, a potem do Sailhardy'ego. Chodząc, nie wyrzucała płetw naprzód, jak to powszechnie robią południowe foki. Byłem zdziwiony, że nie ślizga się na mokrych skałach, gdyż jej płetwy miały mięciutkie podbicie. Nigdy przedtem nie widziałem foczych płetw pokrytych futrem. Malec pozwalał nam się głaskać, ale najwyraźniej jego ulubienicą była Helena. Znowu wzięła go na ręce, a on się w nią wtulał.

– Nigdy nie widziałam czegoś równie uroczego – powiedziała z uśmiechem. – Chcę go zabrać w podróż, a także ryby dla niego.

Tak właśnie w przyszłości miałem przypominać sobie Helenę: z wykwintnym stworzonkiem w ramionach, na wpół opatuloną w futro z morskiego leoparda, na tle bazaltowych klifów i małej plaży.

– Zabierz go, pewnie – odezwał się ponuro Walter. – Będzie z niego smaczny kąsek, jeśli przyjdzie potrzeba.

– Walter! – powiedziałem spokojnie. – Jeśli tkniesz to foczątko, za-duszę cię gołymi rękami.

Podniósł lufę schmeissera, usłyszawszy to.

– Cofnij się! – rzekł grubiańsko. – Zobaczysz, że sam zabijesz to cholerstwo, kiedy twój brzuch będzie się domagał świeżego mięsa.

Arkusze aluminiowej blachy zabrzęczały nad naszymi głowami. Kołysały się na wietrze, uderzając w skalną ścianę. Chwyciliśmy go z Sailhardym. Doszliśmy do wniosku, że prawdopodobnie wystarczą nam tylko cztery blachy, żeby pokryć łódź półpokładem na dziobie i na rufie. Za pomocą liny i narzędzi, które przynieśliśmy ze schroniska, gięliśmy i kształtowaliśmy blachę, a potem przytwierdzaliśmy ją do płótna i do drewnianych wręg. Pracowaliśmy przez cały dzień, przerywając tylko po to, by wyładowywać skrzynki z zaopatrzeniem na podróż. Upton i Pirow spuszczały je na linie. Po południu półpokład był już gotów, ale Sailhardy nie czuł się usatysfakcjonowany. Chciałem wrócić z odsłoniętej plaży do schroniska, zanim pogoda się pogorszy. Światło słoneczne przyćmiły wielkie chmury unoszące się wokół podwójnego wierzchołka. Od czasu do czasu szkwały przesłaniały szczyt klifu. Helena pomogła nam ustawić skrzynie z zaopatrzeniem poza zasięgiem morza, w naturalnym zakątku skalnym, gdzie znajdowało się drzewce flagowe Homtvedta. Foczątko wszędzie za nią chodziło.

196

Chciałem wprawdzie wracać, ale Sailhardy popatrzył na południowy zachód, gdzie narastała burza, i zaczął dłubać przy sterze i linkach sterowniczych. Przez pełną godzinę przewlekał elastyczne linki przez otwory, oliwił je i smarował, sprawdzał i wypróbował po kilkakroć. Potem zajął się niesymetrycznym wybrzuszeniem lewej burty w pobliżu steru, skąd biegła lina przez prawą burzę do obszernej zamkniętej komory pod ławą sternika. Nic go nie mogło ponaglić, kiedy prowadził owe staranne badania.

Kiedy sposobił łódź, Walter przytupywał na wzrastającym mrozie, a Helena i ja łowiliśmy ryby w sadzawkach skalnych w towarzystwie foczego maleństwa, które pomagało nam wyciągać ryby *Notothenia* przypominające wąłusze, traktując to jak zabawę. Zanim Sailhardy skończył, mieliśmy ich około dwudziestu. Poprzedniego wieczora Upton zgodził

się na zabranie do łodzi albatrosa, gdyż Sailhardy utrzymywał, że wielki ptak będzie nieoceniony w poszukiwaniu ładu, kiedy tylko zacznie znowu latać, co – zdaniem wyspiarza – powinno nastąpić w ciągu tygodnia, może więc nam pomóc zlokalizować Wyspę Thompsona. Aby wzmocnić tę argumentację, Sailhardy twierdził, że dokonywanie dokładnych pomiarów w małej łódce przy złej pogodzie jest właściwie niemożliwe.

Podejrzywałem jednak, że Sailhardy'emu zależy głównie na bezpieczeń-

stwie albatrosa. Postanowiliśmy opuszczać ptaka w sieci, w której już raz go transportowaliśmy. Miałem dobre mniemanie o metodach nawigacyjnych Sailhardy'ego – żeglował on wedle kierunku lotu stad petreli, wedle temperatury wody, którą badał dłonią w godzinnych odstępach, wedle koloru morza i mnóstwa innych elementów ezoterycznej wiedzy o morzu. Jedyнным sporządzonym przez ludzi przyrządem, jakim się posługiwał, był rodzaj prymitywnego drewnianego astrolabium, którym namierzał wysokość kątową gwiazd, nigdy słońca. Umiał przybijać do brzegu równie dobrze jak ja.

Podczas wspinaczki do schroniska dawały nam się we znaki coraz mocniejsze podmuchy wiatru na odsłoniętym skalnym zboczu. W miarę jak wichura wzmagala się przez cały wieczór, Upton stawał się coraz bardziej ponury i nieprzyjemny. Prawie nie rozmawialiśmy, a po kolacji, którą zjedliśmy przy piecu, ślęczał nad mapą i co pewien czas otwierał

drzwi i wyglądał na zewnątrz. Udało mi się zauważyć, że światła kutrów podnoszą się i opadają.

Nocą z dołu dochodził nas nieustannie grzmot fal uderzających o ska-

ły, z góry zaś szum wiatru napierającego na lodowiec. Podeszedłem do 197

drzwi z Uptonem i zobaczyłem skulonego przy ścianie albatrosa. Zawo-

łałem Sailhardy'ego i przenieśliśmy ptaka do magazynu. Nawet się nie opierał. Szanse na odpłynięcie z wyspy nazajutrz były tak małe, że nie miała sensu rozmowa na ten temat.

W środku nocy obudziłem się nagle w pełni przytomny, dzięki in-stynktowi żeglarskiemu. Uniosłem się w śpiworze – każdy wybrał jeden z magazynu dla siebie na podróż – i rozejrzałem się wokół. W słabym świetle pieca dostrzegłem nie ogolonego Waltera, z zacienionymi oczodołami, niby uosobienie zła. Skrzyżował nogi, siedząc ze schmeisserem na kolanach. Helena leżała plecami do mnie; w żółtym świetle jej wy-mykające się ze śpiwora włosy nabrały jeszcze łagodniejszego koloru.

Pirow wiercił się niespokojnie, pewnie pod wpływem fałszywych przekazów radiowych, jakie nadał wieczorem na *Thorshammera*. Poruszyła mnie i przestraszyła twarz Uptona – jej cynowy kolor nabrał niebieska-wego odcienia, nie wyłączając powiek, jakby cez usprawiedliwiał błę-

kitne prążki w swym widmie. Może sprawiło to oświetlenie, ale nie wi-dać było w niej śladów wieku, choćby jednej zmarszczki – była napięta i gładka, jak twarz zmarłego, ze zmumifikowanym na niej piętnem jego marzeń.

Sailhardy również coś usłyszał i obudził się. Dźwięk nabrzmiewał

tak, jakby ktoś szarpał podwójną strunę basową. Obaj domyśliliśmy się, co się stało – zerwała się jedna ze stalowych lin mocujących chatę. Wiatr wstrząsał ścianami i bombardował je gradem kamyków. Wygrzebaliśmy się ze śpiworów i podpełzaliśmy do Waltera. Odezwałem się cicho, żeby nie obudzić pozostałych:

– To jedna z lin wantowych, prawda?

Walter był zdenerwowany.

– Tak, to want. Powiem szczerze, kapitanie, choć jesteśmy po prze-ciwnych stronach. Nie podoba mi się ten cholerny wiatr. Do rana zrobi się z niego pełny sztorm. Chryste! Co to będzie na morzu?

– Spróbuj wyperswadować wyprawę swemu szefowi – powiedzia-

łem szorstko, podczas gdy wiatr przyniósł grzmot fal rozbijających się na dole. – Wytrzymamy na



morzu najwyżej parę dni.

– Bruce! Musimy natychmiast zainstalować nową linę! Inaczej mo-

że zdmuchnąć chatę z klifu! – wyszeptał Sailhardy i dodał pojednawczo:

– Wydaje mi się, że lepiej być na morzu niż tutaj.

– Jezu! – jęknął Walter. – W porządku. Zobaczcie, co się da zrobić.

198

Odcięliśmy w magazynie kawał grubej liny, na której spuszczano blachę i zaopatrzenie na plażę. Otworzyliśmy drzwi. Lodowaty wiatr zaparł nam dech w piersiach. Niósł ze sobą mnóstwo lodowych szpikul-ców. Naciągnęliśmy szczelnie na głowy kaptury wiatrówek. Nie mogąc patrzeć, szliśmy po omacku, by zlokalizować zerwaną wantę. Była przy jednym z narożników frontowych. Z biegłością eksperta, pomimo rękawic, Sailhardy przywiązał jeden koniec liny do żelaznego słupa utwierdzonego w skale, a drugi do końca liny zwisającej z dachu.

Kiedy wróciliśmy, Upton czekał na nas przy piecu. Nie spali również Helena i Pirow. Zdjąłem kaptur i rękawice.

– W dalszym ciągu się pan upiera przy swoim szalonym pomysle? –

spytałem Uptona.

– Tak. Choćbym musiał sprowadzać was na plażę pod lufą automatu.

Spojrzałem na Helenę.

– Nas pan może, ale nie da się poprowadzić pod groźbą użycia broni obładowanej łodzi przez szalejące fale – powiedziałem. – Jeśli w ogóle uda nam się spuścić łódź na wodę, powiem panu, co nastąpi: roztrzaska ją o skały następna fala.

– Nie próbuj mnie powstrzymać, Wetherby! – krzyknął. – Popłyniemy jutro bez względu na morze czy sztorm!

– Niech pan posłucha...

– Nie chcę słuchać żadnego Wetherby'ego! – wrzasnął, całkowicie wytrącony z równowagi. Jego wzburzona twarz w niczym nie przypominała gładkiej maski podczas snu. – Mówię panu, że Wyspa Thompsona należy do mnie.

Dalsza dyskusja była bezcelowa. Następnego ranka, po opuszczeniu w sieci albatrosa i koszmarnym zejściu, znaleźliśmy się na małej wyboistej plaży. Wtedy zrozumiał, o co mi chodziło. Załadowaliśmy łódź tam, gdzie leżała, za załomem skały. Zakłębił się przypływ. W sprzyjających warunkach trzeba by sześciu ludzi do podniesienia tak obciążonej łodzi –

Upton i Pirow uparli się, by zabrać radio ze śmigłowca, użyliśmy go więc jako balastu w sieci z albatrosem, a następnie umieściliśmy pod rufowym półpokładem. Focze szczenię, które w schronisku dzieliło śpi-wór z Heleną, zniosła ona na plażę pod paltem. Upton nie zgłaszał sprzeciwu – myślę, że chciał jej okazać uprzejmość.

– To beznadziejne – powiedziałem. – Wyruszenie przy tej pogodzie to nonsens, Upton. Wracajmy do schroniska, póki jeszcze można.

199

– Zamknij się, cholera by cię wzięła! – warknął. – Wyruszam na Wyspę Thompsona dzisiaj! Jasne?

Choć ranek był już zaawansowany, nie rozjaśniło się zbytnio. Słońce przesłaniały grube, przesuwane się chmury. Wyglądało, że są poniżej wierzchołków klifów. Wichura spowodowała pojawienie się nowych gór lodowych, ale były i miejsca wolne od nich. Odgłosy zderzającego się i miażdżącego nawzajem lodu zagłuszały ryk fal rozbijających się o skały.

Myślę, że Sailhardy – choć tego nie powiedział – w skrytości serca też uważał, że przedsięwzięcie nie ma szans powodzenia.

– Jest tylko jeden sposób spuszczenia łodzi na wodę przy takim morzu – powiedział Walter. – Odpowiednie żurawiki na burcie statku.

Upton odwrócił się w jego stronę tak gwałtownie, że niebieski śliniaczek wiatrówki, wyblakły od soli, pacnął go po policzku.

– Żurawiki! Mój Boże! Walter, przecież je mamy!

– Nie widzę żadnych żurawików – odrzekł tępo Walter.

– Spójrz – ciągnął dalej podekscytowany Upton. – Tam, w górę!

Spojrzeliliśmy, na wpół z nadzieją, że coś takiego istotnie się pojawi.

– Skała! Nawis skalny! – wyjaśnił Upton. – Wejdz tam, Walter, i umocuj dwie liny do szczebli drabiny. Spełnią taką samą funkcję, jak fały żurawika. Wszystko, co musimy zrobić, to obwiązać końce lin wo-kół ław wioślarskich, podnieść łódź i odepchnąć ją jak najdalej od klifu.

Wtedy spuścimy ją na wodę ponad falami.

Pomysł wydawał mi się niewykonalny.

– Upton, kiedy tylko dotkniemy wody, rzuci nas na skały.

Upton wyrwał pistolet Walterowi i wycelował we mnie.

– Wybieraj – powiedział groźnie. – Bierzesz w tym udział albo tu zostaniesz, ale naszpikowany

tuzinem kul.

Spojrzałem bezsilnie na Helenę – bladą, milczącą, tulącą foczątko.

Wzruszyłem ramionami. Nic nie mogłem poradzić.

Walter polazł w górę ścieżką i, szybciej niż się spodziewałem, spły-nęły ku nam dwie liny. Wraz z Sailhardym obwiązaliśmy je wokół ław wiosłarskich, a kiedy wrócił Walter, we trójkę, z pomocą Pirowa, podnieśliśmy łódź na ramionach i zamocowaliśmy liny. Łódź zawisła na wysokości głowy przy ścianie klifu. Można było ją rozhuścić na jakieś piętnaście metrów, tak by przesunęła się wokół sąsiedniego klifu, zamy-kającego plażę od północy i znalazła bezpośrednio pod skalnym nawisem. Jeden fałszywy ruch mógł spowodować rozdarcie jej płóciennej burty. Albatrosa umieściliśmy pod półpokładem dziobowym. Pomogłem wsiąść Helenie, podnosząc ją na barkach. Pirow i Upton skorzastali 200

z pomocy Waltera, potem wciągnęli jego, następnie Sailhardy'ego, a na końcu mnie. Odepchnęliśmy się wiosłami od skalnej ściany, powoli po-suważąc się naprzód, dopóki nie zawisliśmy swobodnie ponad falami.

Poluzowaliśmy z Sailhardym liny przy ławach dziobowej i rufowej.

Czekałem na jego znak. Najmniejszy brak synchronizacji naszych czyn-ności przy zwalnianiu lin mógł wysypać nas wszystkich do morza, wzdymającego się teraz pod łodzią.

Sailhardy skupił się, obserwując morze i wiatr.

– Teraz – krzyknął.

Łódź opadła ciężko na wodę. Sailhardy szybko dopadł steru i postawił grotzagiel koloru ochry. Pomknęliśmy ku przejściu przez lody, wiodącemu ku posepnemu, ubarwionemu siarką północno-zachodniemu krańcowi Bouveta, zwanemu Przylądkiem Obrzezania. Sailhardy stanął

następnie na rufowym półpokładzie i kierował łódź przesmykiem wodnym wśród lodów, trzymając prawą stopę na rumplu. Zabezpieczywszy fał grota, odwróciłem się, by powiedzieć coś wyspiarzowi. Ujrzawszy horyzont, tak się przeraziłem, że i on spojrzał poza siebie. Zwał postrzę-

pionych chmur dryfujących na wysokości lodowca sprawiał wrażenie linii burzowej. Uznałem go za czoło sztormu, który przewidywałem.

Nękała nas gwałtowna, lodowata ulewa. Partie chmur kłębiły się w górę i w dół, wykręcając się w spirale szerokie na półtora kilometra. Najwidoczniej miały zejść nad samą powierzchnię morza. Na północnym zachodzie dwie inne rozległe, wyraźnie widoczne linie kominów chmur obracały się wokół osi szerokiej na półtora kilometra i wznosiły własnym ruchem żyroskopowym. Wtem przechyliły się i zwały do morza.

Podniosła się wielka plama piany i lodu. Kołysząc się jak tancerka z wyspy Bali, połączona masa morza i chmur ruszyła na nas. Ominęliśmy właśnie posepny przylądek, kiedy słup wody runął na

klify, paręset metrów za rufą kruchej łódki.

Bouvet znikł nam z oczu w kipieli.

Żeby ukryć wzburzenie, Sailhardy stał się oficjalny.

– Kurs na Wyspę Thompsona?

– Ster północny wschód przez półwschód – zakomenderowałem.

# 12.

## Pod Łukiem Farry'ego

Przez trzy dni Sailhardy prawie nie odchodził od steru. Nasza ocena czasu, w którym powinniśmy dotrzeć na miejsce, gdzie według mapy Norrisa była Wyspa Thompsona, okazała się beznadziejnie błędna. Opierając się na tym, że łódź potrzebowała czterech godzin, by pokonać osiemnaście mil dzielących Wyspę Słowiczą od Tristana, zakładaliśmy, że półtorej doby wystarczy na czterdzieści pięć mil z Bouveta do Thompsona. Sztorm sprawił, że stało się inaczej. Od momentu gdy straciliśmy z oczu Bouveta, morze i wiatr uczyniły z naszego życia wilgot-ne, mroźne piekło. Nie sposób powiedzieć, ile razy ocaleliśmy nocą tylko dzięki kunsztowi Sailhardy'ego. Za dnia zaobserwowałem to co najmniej pół tuzina razy. Kilkakrotnie wyspiarz zmuszony był ustawić łódź

dziobem przeciw czołu burzy, żeby nie została zatopiona, zanim znowu wracał na najlepszy możliwy kurs wiodący ku Wyspie Thompsona.

Na podstawie obliczeń uznałem, że znaleźliśmy się w najbliższym są-

siedztwie pozycji Wyspy Thompsona na mapie. Zgadzało się to niemal dokładnie z pomiarem, jakiego dokonałem w południe, na tyle, na ile wiarygodny był pomiar w chyboczącej się łodzi. Chociaż ciągnęły po niebie potężne sztormowe chmury, zdarzył się okazyjnie błysk słońca.

Na podstawie tego pomiaru miałem nadzieję przekonać Uptona, że nie ma Wyspy Thompsona tam, gdzie umiejscowiono ją na mapie. Upton, Sailhardy, Walter i ja byliśmy w dobrej formie, niepokoiłem się jednak o Helenę. Dzikie kołysanie łodzi wyczerpało ją, była bardzo milcząca.

Pirow słał kolejne fałszywe sygnały na Thorshammera, a pierwszego dnia po opuszczeniu Bouveta oznajmił nam z uśmiechem, iż kutry po-wiadomiły niszczyciel o naszej ucieczce, dodając, że przy takiej pogodzie nie mamy żadnych szans. Z *Thorshammera* miano odpowiedzieć, że koncentrują się głównie na poszukiwaniu tratwy ratunkowej – nie dano wiary parokrotnym zapewnieniom, że sygnały są fałszywe.

202

Przepelźnąłem wzdłuż topornego dna łodzi do zakątka Pirowa, gdzie umieściłem sekstans, by nie zamókł. Podniosłem kciuk, dając znak Sailhardy'emu przy sterze. Wyspiarz miał prawe ramię oblodzone i sople wokół kaptura – podkreślało to rysy jego wyrazistej twarzy. Odwzajemnił mój uśmiech.

Na przedniej ławie wioślarskiej Upton zerwał się do pozycji siedzą-

cej. Rozejrzał się po pustym morzu. Widoczność wynosiła około półtora kilometra.

– Już czas, Wetherby? Będzie pan teraz brał namiar na słońce?

– Za kwadrans – odrzekłem, pokazując mu czas.

Słyszając nasze głosy, wychylił się ze śpiwora Walter i rozejrzał woko-

ło.

– Możemy minąć tę cholerną wyspę i w ogóle jej nie dostrzec.

– Zamknij się! – warknął Upton. – Jesteśmy już blisko i znajdę ją, choćbym miał tu krążyć przez tydzień. Co z tym ptakiem, czy nie ma żadnych oznak, że chciałby pofrunąć?

Albatros uczeplił się półpokładu – wyglądał jak figura dziobowa. Z

każdym dniem nabierał sił. Karmiliśmy go, podobnie jak foczkę, rybami, które uprzednio nałapaliśmy. Zaaprobował to ulegle. Walter kwaśno potrząsnął głową.

– Gdyby ład był blisko, chciałby odfrunąć, a wcale na to nie wyglą-

da.

Upton zdradzał wzburzenie.

– Za bardzo przejmujemy się tym draniem. Za dobrze mu się tu dzieje, żeby chciał odlecieć.

Wyjąłem sekstans z pudełka i przetałem zamglone wzierniki. Ulewa śniegu z deszczem zakryła słońce. Stałem na ławie wioślarskiej, pró-

bując zachować równowagę. Horyzont kołysał się gwałtownie. Odsuną-

łem instrument od oczu.

– To beznadziejne, Upton.

Ten wyrwał Walterowi schmeissera.

– No dalej, rób to!

Spojrzałem na Helenę. Sądziłem, że do tej chwili ciągle jeszcze miała jakieś nadzieje, jeśli idzie o ojca. Teraz ujrzała, że jest szaleńcem próbującym pistoletem zmusić słońce do świecenia. Pochyliła głowę, opierając podbródek na łebku foczki. Wzruszyłem ramionami.

– Czego pan oczekuje ode mnie? Mam stworzyć słońce i horyzont?

– Pan kręci, Wetherby! Zna pan prawdę i, na Boga, wydrę ją panu z gardła!

203

– Bruce! – zawołał Sailhardy. – Zaraz słońce wyjrzy na chwilę.

Szybko.

Bystre oczy wyspiarza wypatrzyły lukę w przepływających chmurach. Podniosłem instrument do oczu, trzymając palec na podziałce noniusza. Na moment – kiedy starałem się ustabilizować nieruchome lustro – pojawiło się bladożółte światło. Obróciłem śrubę mikrometru.

Wtem chmury zasłoniły słońce.

– A niech to diabli! – wybuchnął Upton. – Udało się...?

– Tak – odparłem. – Ustaliłem położenie. Nie najgorzej, jak na te cholerne warunki.

– Gdzie Wyspa Thompsona? Którędy mam płynąć? – nalegał, nie pomyślawszy o zawiłościach kalkulacji nawigacyjnych. Świadczyło to o stanie jego umysłu. Nie odpowiedziałem. Położyłem sekstans na ławie i przystąpiłem do obliczeń.

– Proszę podać mi mapę – powiedziałem do Uptona.

Wyciągnął pergamin z kurtki i wręczył mi. Zrobiłem na nim krzyżyk.

Czułem, że muszę przebrnąć przez tę beznadziejną grę. Nie było sensu próbować wyjaśnić Uptonowi błędów i trudności wynikających z posługiwania się zdezaktualizowaną mapą.

– Tutaj – powiedziałem. – Jesteśmy obecnie o milę na północ od Wyspy Thompsona.

Spojrzałem na Helenę, kiedy jej ojciec omiatał wzrokiem morze z prawej burty. Cichutko szlochała.

– Odwróć łódź! – rozkazał Upton Sailhardy'emu. Wyspiarz wykonał

pomyślnie manewr, grożący wywróceniem łodzi kilem do góry. Płynęli-

śmy teraz w poprzek kierunku wiatru i fal. Można się było tylko domy-

ślać naszej prędkości. Odczekałem pół godziny. Byliśmy tam, gdzie powinna się znajdować, Wyspa Thompsona. Jak tylko można było okiem sięgnąć, rozciągała się kipiela rozsiewająca wodny pył pod okrywą chmur.

– Wedle moich obliczeń, płyniemy w tej chwili po stałym lądzie Wyspy Thompsona – powiedziałem.

Ironia w moim głosie zastanowiła go.

– Jeszcze jedna plugawa sztuczka Wetherby'ego! – wrzasnął. –

Przestań, mówię ci, ty sukinsynu!

I wycelował we mnie schmeissera.

– Ojczy, daj spokój! – zaoponowała Helena, ale szorstko ją odepchnął.

– Co zrobiłeś z Wyspą Thompsona?! – krzyknął. – Gdzie jest Wyspa Thompsona?

Do tego stopnia nie panował nad sobą, że sięgnął po sekstans i – choć się na tym nie znał – próbował skontrolować dokonany przeze mnie odczyt. Zesztywniał. Kiedy się odezwał, minęła histeria. Jej miejsce zajął chłód, bardziej niepokojący.

– Czemu człowiek robi znak na swoim sekstansie, Wetherby? – zapytał. – Zwracam się do ciebie jako nawigatora, Walter, z jakiego powodu ktoś stawia taki mały znaczek?

– Niech rzucę na to okiem – rzekł Walter.

Upton podał mu sekstans, nie odrywając wzroku od mojej twarzy.

– Co to może znaczyć, Walter? Odczytaj to! Czy pozycja tego znaczka znajduje się gdzieś tutaj blisko?

– Nie jestem jakimś cholernym kapitanem i potrzebuję czasu, żeby coś takiego rozgryźć – powiedział flegmatycznie Walter. – To w końcu wymyślny instrument.

Upton był przerażająco spokojny.

– Masz minutę, żeby mi powiedzieć, czy ten znaczek dotyczy Wyspy Thompsona, Wetherby!

Walter wystarczająco długo parął się z sekstansem, z jakim nigdy przedtem się nie zetknął, że zdążyłem raz jeszcze poprzysiąc sobie, iż nikomu nie wyjawię tajemnicy Wyspy Thompsona. Niemal wyczułem szok Heleny i Sailhardy'ego, kiedy udałem, że podporządkowuję się Uptonowi.

– Tak – powiedziałem. – To jest pozycja Wyspy Thompsona. To tutaj, pokażę panu.

Helena patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami. Walter bezmyślnie wręczył mi instrument. Niemal skoczyłem, żeby uprzedzić Uptona, który krzyknął:

– Walter! Nie dawaj...!

Za późno. Cisnąłem sekstans za burtę. Upłynęły co najmniej dwie minuty, zanim Upton odezwał się zdławionym głosem:

– Na miłość boską, co pokazywał ten znaczek na sekstansie, Walter?

Gdzie naprawdę leży Wyspa Thompsona? Gdzie ona jest?

– Nie mam pojęcia. Nie zdążyłem rozgryźć, jak się obchodzi z takim dziwnym sekstansem. Wyspa musi być w każdym razie niedaleko stąd, bo znaczek był blisko dzisiejszego odczytu.

Uptonowi tak trzęsły się ręce, że myślałem, iż mimowolnie wystrzeli ze schmeissera.



– Gdzie leży Wyspa Thompsona, Wetherby? No, człowieku, gdzie?

Zaśmiałem się cierpko.

– Niech się pan rozejrzy, Upton! To nie tu, prawda? Dopóki żyję, nie znajdzie jej pan.

Wymierzył do mnie z pistoletu.

– Zaprowadzi mnie pan tam! Mówię panu, że mnie pan zaprowadzi...

Przerwałem mu.

– Jesteśmy w samym środku najcholerniejszego sztormu, jaki w życiu widziałem. Może być jeszcze gorzej. Jeśli została panu jeszcze odrobina rozsądku, niech pan poleci Pirowowi skontaktować się bezzwłocznie z *Thorshammerem*. Teraz, w tej chwili, słyszy pan? Niech nas stąd zabiorą, póki jeszcze czas.

– Nigdy! – powiedział. – W ciągu paru minut stał się pan najcenniejszą dla mnie osobą na świecie. Jedyne pan wie, gdzie naprawdę znajduje się Wyspa Thompsona.

Pomyślałem, że byłoby po nas, gdyby się dowiedział, że również Helena zna położenie wyspy. Mówił przerywanym głosem.

– Nie wyrzuciłby pan sekstansu, gdyby nie był pan przekonany, że jest tam cez, prawda, Bruce? – niemal mnie błagał. – Ja znam się na ciebie, a pan wie o Wyspie Thompsona. Moglibyśmy wiele razem...

Spojrzał mi w twarz twardo.

– Zatem doskonale. Będziemy szukali. Przeszukamy morze.

Wiedziałem, że to zrobi, bez względu na pogodę. Wiedziałem też, że bezskutecznie przeszukiwało te wody wiele ekspedycji dysponujących specjalnie wyposażonymi statkami. Robienie tego małą łodzią wielorybniczą mogło się zakończyć tylko w jeden sposób – śmiercią w ciągu paru dni. Jeśli ustalę kurs – wobec straty sekstansu trzeba będzie polegać na metodach nawigacyjnych Sailhardy'ego – przechodzący w pobliżu Bouveta, moglibyśmy spróbować dostać się z powrotem do schroniska.

Byłem przekonany, że w stanie kompletnego wyczerpania, w jakim się wówczas znajdziemy, Upton będzie zmuszony ustąpić, a mnie się uda skontaktować z niszczycielem. Byłem zdecydowany nie zdradzać poło-

żenia Wyspy Thompsona. Ale przejmowałem się osłabieniem Heleny 206

oraz zamierzonymi poszukiwaniami, o których z góry wiedziałem, że będą bezowocne i zakończą się tragicznie.

– Nie – powiedziałem. – Nie będziemy szukali wyspy. To byłoby samobójstwo. Sailhardy będzie

nawigował własnymi metodami.

– To znaczy, że pan...? – sapnął Upton.

Odwrociłem się od jego wzburzonej twarzy i rzuciłem wyspiarzowi:

– Steruj na południe, z lekką odchyłką na wschód.

Sailhardy spojrział na mnie bystro i bez słowa zawrócił łódź na nowy kurs. Burza zdawała się wzmaczać swą furię. Postawiłem mały sztormo-wy żagiel wantowy, nie większy od męskiej koszuli. To on nas pchał. Ku Wyspie Thompsona.

Do popołudnia wichura doszła do pięćdziesięciu węzłów, blisko szczytu skali Beauforta. Gdybyśmy musieli, moglibyśmy się zatrzymać, ale nie było nic do roboty poza utrzymywaniem się na powierzchni.

Przez trzy dni łódź wielorybnicza mknęła jak przestraszone zwierzę uciekające przed burzą. Nie było mowy o nawigacji, zwalnianiu czy hamowaniu. Zmienialiśmy się przy sterze z Sailhardym. Siedziało się skulonym na wysokiej rufie, a wiatr bombardował plecy gradem lodu, śniegu i marznącej piany z uporczywością broni maszynowej czy stepo-wania tancerza hiszpańskiego. Czasami zdawałem sobie sprawę, że szło-cham od tego bezlitosnego dudnienia, od długich serii grzmocenia, które wydawało się nie do wytrzymania. Potem litościwie uciszało się, by rozszaleć się jeszcze wścieklej niż przedtem. Byłem na wpół przytomny od kawałów lodu i gór lodowych pędzonych obok nas przy słabej widoczności; za dnia wydawały się bladozielone, nocą kompletnie czarne.

Gdziekolwiek osiadała piana morska – zamarzała. Pokryła nam twarze, maszty, ławy i płócienne buty. Ruch łodzi uniemożliwiał użycie kuchenek, toteż posiłki ograniczały się do wyjadania z puszek palcami. Walter i Upton dzielili wspólnie z albatrosem dziobowe schronienie pod półpokładem, Pirow z radiem ulokował się przy rufie. W jego zakątku było ciemno. O tym, że żyje, świadczyły tylko od czasu do czasu odgłosy fałszywych sygnałów dla niszczyciela. Nierówności wręg i szorstkie dno czyniły spanie udręką, a paskudny chłód przenikał przez nieprzemakalne tkaniny i wełnę do wnętrza śpiworów. Rozpostarłem grotżagiel koloru ochry pomiędzy półpokładem rufowym a ławą wiosłarską i pod nim gnieździł się z Heleną i Sailhardym, ale zawsze któryś z nas stał

był przy sterze. Foczątko dzieliło śpiwór z Heleną, wnosząc odrobinę ciepła w przenikliwy chłód. Kiedy poprzedniej nocy zszedłem z wachty i wpełzłem do śpiwora, z rozpaczą słuchałem, jak Helena mówi bez związku w malignie.

Teraz, rankiem, widząc ją na wpół przytomną, szykowałem się do urzeczywistnienia planu, który przyszedł mi do głowy, kiedy wyrzuci-

łem sekstans za burtę: sterroryzować Krowa i zaweźwać Thorshammera.

Jeśli potrafiłby nas znaleźć – a to wcale nie było takie pewne podczas burzy – mógłbym zachować dla siebie tajemnicę Wyspy Thompsona, nikt bowiem nie potraktuje poważnie bredzeń Uptona. Wiedziałem też, że trzeba działać szybko. Traciłem siły, a przejmując o brzasku wachtę przy sterze

od Sailhardy'ego dostrzegłem, że i jego niespożytą energię nadwątlili południowy ocean; miał zapadnięte oczy po wyczerpujących wachtach minionego tygodnia, mówił powoli, grzbietem rękawic ocierał

sobie z warg i zarostu zamarznąłą ślinę i śluz. Upton i Walter zaprzestali zbrojnego pilnowania nas – nie było to łatwe podczas sztormu – ale cią-

gle mnie obserwowali, gdy tylko oddalałem się od swego śpiwora.

Spojrzałem na zegarek. Dziesiąta trzydzieści. Sailhardy siedział tu przy sterze od ósmej. Słyszałem, że Pirow nadał krótki sygnał, kiedy wyspiarz przejmował wachtę, więc teraz Upton i Walter nie będą niczego podejrzewali, słysząc następny po parogodzinnej przerwie. Musiałem zmobilizować wszystkie siły i całą szybkość, by obezwładnić Pirowa i nadać wiadomość, zanim mi przeszkodzi. Spojrzałem na Helenę. Leżała z zamkniętymi oczami, którym lodowe obwódki nadawały dziwacznie eteryczny wygląd. Zamruczała coś bez związku. Dosłyszałem jedynie moje imię. Uroczą małą foczka zerkała z otworu jej śpiwora. Z dziobu, od Uptona i Waltera nie dochodziły żadne oznaki życia.

Powolutku wysunąłem się ze śpiwora i podczołgałem ku legowisku Pirowa. Było tak ciemno, że dotarcie do Człowieka o Niezawodnej Dłoni zabrało mi całą minutę. Siedział przy swoim radiu. Usłyszałem, że się porusza i przypadłem nieruchomy do dna. Ponownie usłyszałem pstryknięcie przełącznika. Na tyle się rozjaśniło, że dostrzegłem jego sylwetkę.

Nie widziałem twarzy, ale z przygarbienia można było się domyślić, że –

podobnie jak pozostali – goni resztkami. Pomyślałem, że trzeba pozwolić mu zacząć. Rzucę się na niego, kiedy już nawiąże łączność z *Thorshammerem*. Usłyszałem słaby sygnał: – *Thorshammer! Thorshammer!*

208

Teraz właściwie nie trzeba było kunsztu Pirowa, by zwodzić niszczyciel. Sygnał był na tyle słaby i niepewny, że wydawał się autentyczny.

Pirow przełączył się na odbiór. Byłem zdziwiony, słysząc, jak silnie brzmiała odpowiedź *Thorshammera*. Musiał być bardzo blisko, jeśli odbiór był tak wyraźny.

„*THORSHAMMER DO TRATWY RATUNKOWEJ. KAPITAN OLSTAD OSOBIŚCIE DO PORUCZNIKA MOSBY'EGO. NACISKAJ KLUCZ AŻ DO WYCZERPANIA BATERII. JESTEŚMY BLISKO. ZNAJDZIEMY WAS. NACISKAJ*

*KLUCZ*”.

Pirow zaczął coś wykrzykiwać po niemiecku. Podczołgałem się bli-

żej. Chwyciłem go mocno lewą dłonią za tchawicę. Wydał zdławione westchnienie. Prawą ręką przydusiłem klucz transmisyjny. Instynkt podpowiedział mi, że coś jest nie w porządku. Obejrzałem się. Z dziobu na czworakach zbliżał się Walter z wielorybniczym nożem w dłoni. A za nim stał

Upton, mierząc ze schmeissera.

Wyślizgnąłem się z pomieszczenia Pirowa. Leżałem jak długi na dnie łodzi. Walter zerwał się na nogi przy wejściu, kiedy stamtąd się wysuną-

łem. Przez moment się zawahał. Może i on nie zabiłby leżącego... Miota-

łem się na boki i, podkurczywszy nogi, kopnąłem go od dołu. Zwinnie, niby kot, przekoziółkował, padając na grzbiet. Ale uzbrojona prawa dłoń znalazła się pod spodem. Chwyciłem go za gęstą brodę i rzuciłem na łopatki potężne cielsko. Chciałem uniknąć pchnięcia nożem, zanim Sailhardy będzie mógł mi pomóc. Zacisnąwszy dłonie na brodzie Waltera, targałem jego głowę na boki. Prymitywni budowniczości łodzi nie wygładzili wręg, pozostawiając na nich potężne sęki. Jeden posłużył mi teraz jako rodzaj garoty, skutecznie stosowanej do duszenia w Ameryce Południowej. Czułem, że Walter unosi nóż do ciosu. Mocno grzmotną-

łem w sęk miejscem, gdzie głowa łączy się z kręgosłupem. Skrzywił się z bólu i otworzył szeroko usta. Z oczu wyzierał mu strach.

– Rzuć nóż!

Usłyszałem, że upadająca broń uderza o dolny pokład. Byliśmy o metr od Heleny. Widziałem, jak przygląda się szeroko otwartymi oczami, zaniepokojona tym, co się dzieje. Ściskając gęstą brodę, z żądzą mordu w sercu, pomyślałem dziko, iż nadszedł czas, by dowiedziała się, jak doszło do zestrzelenia samolotu z własnych ust Waltera.

– Walter! Powiedz natychmiast, kto zestrzelił wodnopławiec? Kto wydał rozkaz?

209

Rozszerzone strachem oczy Heleny spoczęły na ojcu. Usłyszałem trzy szczęknięcia. Nie puszcżając Waltera, zerknąłem na Uptona. Szarpał

za spust schmeissera wycelowanego w moje plecy. Poczułem strach i jednocześnie zrozumiałem, co się stało. Mechanizm broni został zablokowany przez zamarznęty smar. Z trudem mogłem rozpoznać własny głos.

– Upton! Możesz sobie pstrykać tym cholernym cynglem, ile zechcesz. Przy takiej pogodzie i tak nie wystrzeli – zawołałem, cisnąc coraz mocniej głowę Waltera, któremu coś chrupnęło w kręgosłupie. – No, Walter, powiedz jej! Powiedz, kto to zrobił!

– Ja go zestrzeliłem. Sir Frederick mi kazał.

Wziąłem nóż i niepewnie wstałem na nogi. Straciłem równowagę przy przechyle łodzi, ciężko upadając na ławę wiosłarską. Nóż potoczył

się pod nogi Uptona. Podniósł go. Walter czołgał się ku niemu z siną twarzą, nie mógł się podnieść. Uptonowi płonęły oczy. Wydawał się w lepszej formie niż ktokolwiek z pozostałych.

– Powiniennem podziękować tej zamarznętej broni – powiedział

powoli, podczas gdy ciężko dyszałem – zapomniałem na moment, że jest pan jedyną osobą znającą tajemnicę Wyspy Thompsona. Niech pan przestanie być cholernym głupcem i marnować własne siły. Są mi potrzebne z uwagi na Wyspę Thompsona.

– Wyspa Thompsona! Na miłość boską, Upton! Pańska córka nie wytrzyma...

– Ale pan wytrzyma – odparł. – A tylko pan się dla mnie liczy.

Znajdziemy wyspę wspólnie.

Mimo zmęczenia przeprowadziłem błyskawiczną kalkulację. Zakładając, że żeglowaliśmy dokładnie na południowy wschód, mogliśmy w ciągu ostatnich trzech dni przebyć sto dziesięć mil dzielące fałszywą i prawdziwą pozycję Wyspy Thompsona. Niemal mnie kusiło, by z uwagi na własne złe samopoczucie i dla ratowania Heleny spróbować znaleźć dogodnie i zaciszne kotwiczowisko, o którym mówił Pirow – ile to już dni upłynęło od tego czasu? Nie wiedziałem, jak zlokalizować wyspę nie mając sekstansu, ale mógł tego dokonać Sailhardy, stosując dziwne metody nawigacji naturalnej. Wyspa Bouveta z dobrze zaopatrzonym schroniskiem – jeśli tylko potrafilibyśmy ją znaleźć – wydawała się lepszym rozwiązaniem, niż tamta nieznana przystań, ale w danym momencie powitałbym z radością każde schronienie przed sztormem. Nie chcia-

łem jednak, by Upton wiedział, jak bliski jestem zgody na szukanie Wyspy Thompsona.

210

– Był pan szalony, opuszczając Bouveta – powiedziałem. – Niech pan posłucha! Gdyby nawet wyspa była tam, gdzie umieścił ją na mapie Norris, cóż by panu przyszło z jej znalezienia? Mógłby się tam znajdować cały cez świata, ale nie dałoby się go wywieźć tą małą łódką. Może pan znaleźć Wyspę Thompsona, ale tylko po to, by podać komuś jej pozycję, żeby nas stamtąd zabrał.

Odpowiedź Uptona potwierdziła ostatecznie stan jego umysłu.

– Jest pan w błędzie, Bruce. Na Thompsonie czeka cała flota. Nie potrzebowałibyśmy niczyjej pomocy – zaśmiał się do siebie. – Kiedy tam dotrzemy, będzie pan mógł sobie wybrać, co pan chce: liniowiec, frachtowiec czy tankowiec, wedle życzenia.

Nie było sensu dalej w ten sposób rozmawiać. Wpełzłem więc do śpiwora, by trochę odpocząć przed przejęciem wachty od Sailhardy'ego.

Upton stał, uśmiechając się do mnie, a potem chwiejnie odszedł ku dzio-bowi, poza zasięg wiatru niosącego ze sobą ostre kawałki lodu. Popadłem w nieprzyjemny stan na wpół snu, na wpół utraty przytomności.

Kiedy zbliżało się południe, oparłem głowę Heleny na zgięciu swej ręki.

Nie obudziła się, ale zamruczała coś, czego nie mogłem zrozumieć.

Obawiałem się nocy, która miała nadejść.

Sailhardy również musiał stracić przytomność przy sterze, gdyż dobrze już było po południu, kiedy usłyszałem, jak ześlizguje się z pokładu i potrząsa mną. Mówił stłumionym głosem, a długie samogłoski wydawały się z trudem przechodzić mu przez popękane wargi. Próbował coś powiedzieć, ale zrezygnował i zamiast tego w dziwny, sztywny, nienaturalny sposób pomachał rękoma w stronę morza i wiatru. Był to gest rezygnacji. Obawiałem się wycieńczającego letargu, czułem się osłabiony.

Zastanawiałem się, czy nie pozostawić łodzi swojemu losowi, z unieruchomionym sterem, a samemu ułożyć się w ciepłym śpiworze, zamiast narażać się na męki czuwania na wachcie. Byłem przekonany, że nikt z nas i tak nie doczeka następnego dnia. Rozcierałem dłonie Heleny, tak zimne jak u nieboszczyka; grzała ją tylko malutka foczka. Zobaczyłem, że Sailhardy z zamkniętymi oczyma, na wpół wsunięty do śpiwora, padł

jak długi na dolny pokład. Usiadłem wyprostowany. Z pięć minut zabra-

ło mi wygrzebanie się z mojego legowiska. Na dziobie leżeli jak nieżywi Upton i Walter. Cisza panowała w zakątku Pirowa. Jedyne oznaki życia dawał albatros, poruszający skrzydłem, jakby je wypróbowywał.

Prześlizgnąłem się przez oblodzony metalowy półpokład do steru i odwiązałem sznur, którym zabezpieczył go Sailhardy, zanim opuścił

211

posterunek. Skuliłem się pod uderzeniem drobnych lodowych szpikulców niesionych przez wiatr. Przez godzinę usiłowałem skupić zmęczone, obolałe oczy na falach i tak sterować łodzią, by uchronić ją przed najgorszym. Pamiętam, że zaczęło zmieniać się oświetlenie. Otępiały umysł

mówił mi, że zbliża się noc, ale brak mi było woli i siły, żeby zawołać Sailhardy'ego, czy choćby zdjąć z rumpla dłonie w rękawicach. Łódź

mknęła, ześlizgując się w dół z każdej długiej fali, by pracowicie wspiąć się na następną, a wiatr przez cały czas chłostał mój kaptur i plecy okrucami lodu. Kontrolowałem sytuację, wiedziony wyłącznie żeglarskim instynktem, nie miało to nic wspólnego z wolą. Okazało się potem, że trwało to około sześciu godzin.

Łódź unosiła się w spokojnym morzu przejrzystego białego światła.

Znikła gdzieś furia zachodniego wiatru. Cisza napawała większym lę-

kiem niż sztorm.

Moja dłoń, zaciśnięta na rumplu, przestała się poruszać, by korygować kurs i ustawiać rufę względem fal. Pomyślałem sobie, że wiatr ucichł dlatego, że umarłem na posterunku. Oświetlenie było matowe

nie miało koloru takiego jak w ubiegłym tygodniu, kiedy nie było dni i nocy – ale rozproszone, białawe, z domieszką błękitu. Spojrzałem na zegarek. Minęła północ. I wtedy zrozumiałem, skąd się bierze to światło.

Seria potężnych blasków uświetniła niebo jaskrawą zielenią, błękitem i fioletem. Zorza Południa! Jedna gałąź wyrosła od strony bieguna w poprzek nierzeczywistego nieba, niby szkarłatno-fioletowy, wspaniały dziki, krzywy bułat. Coraz to inne świetliste błyski przekreślały kopułę niebios, pojawiając się w jednej chwili, niby wybuchające wspaniałym płomieniem szprychy gigantycznego koła. Następny odblask cofnął się ku biegunowi, jakby się obraził. Nigdy wszakże błyski nie traciły kolorów, a postrzępione przesuwane się chmury nie przygaszały ich, a raczej dodawały im splendoru. Rozejrzałem się dookoła z niedowierzaniem, ponieważ nie było na wodzie lodu, a biała światłość, którą widzia-

łem, zanim pojawiła się zorza polarna, odbijała się w czymś, czego nie mogłem dojrzeć. Albatros stał na półpokładzie niby figura dziobowa; patrzył przed siebie, zginając i rozginając uszkodzone skrzydło.

Przede wszystkim pomyślałem o Helenie. Łódź leżała spokojnie, mogłem więc uruchomić którąś z alpejskich kuchenek i dać jej coś gorące-go. Zdjąłem zdrętwiałą dłoń z rumpla i rozprostowałem pokurczone członki. Przez dziesięć minut rozcierałem sobie ręce i nogi, zanim mogłem się ruszyć z miejsca.

212

– Heleno! – powiedziałem, potrząsając nią. Leżała bez ruchu. Strach mnie obleciał na widok jej wychudzonej twarzy pokrytej antarktyczną maseczką lodową. Oddychała z trudem.

– Heleno! – próbowałem ją pocałować, ale zadrapałem sobie wargi o oblodzoną twarz. Znalazłem kuchenkę i puszkę z zupą. Zacząłem ją podgrzewać i ten mały krąg ciepła uradował mnie bardziej, niż wspaniałe światła tańczące po niebie.

Sailhardy leżał nieruchomo. Nie umarł, ale był krańcowo wyczerpany. Na dziobie coś się poruszyło, to Upton usiadł w śpiworze. Spojrzył

na mnie, na niebo i na morze, nie wierząc własnym oczom. Podpełznął do mnie.

– Dlaczego nie ma lodu na wodzie, Bruce?

To, że użył mego imienia, świadczyło, iż był w rozterce. Zapadnięte oczy ożywiły mu się.

– Wyspa Thompsona! Przywiozłeś mnie na Wyspę Thompsona!

Próbowałem się roześmiać, ale nie pozwoliły mi zdrętwiałe z zimna szczęki.

– Nie mam zielonego pojęcia, gdzie jesteśmy. Nie dbam w tej chwili o Thompsona, czy jakkolwiek

inną tajemnicę! Chcę tylko zjeść coś gorącego.

Uniosłem trochę głowę Heleny i wlałem jej do ust łyżkę gorącej zupy. Przełknęła ją niepewnie, nie otwierając oczu. Foczka przyglądała się z zaciekawieniem. Napełniłem ponownie łyżkę, sam napiłem się z puszek i podałem ją Uptonowi. Poczułem, jak rozchodzi się w moim wnętrzu ożywcze ciepło. Oddał mi puszkę w trzech czwartych opróżnioną.

– Przynies tu jeszcze parę puszek – powiedziałem.

Wrócił szybko i podgrzewał je, a ja próbowałem karmić Helenę.

– Spróbuj wlać coś do gardła Sailhardy'emu – zwróciłem się do Uptona. – Jest ledwie żywy.

Helena otworzyła oczy. Nie miała już nieprzytomnego, szklanego spojrzenia.

– Co się stało, Bruce? Znalazłeś Wyspę Thompsona?

Powiedziała to w taki sposób, że nazwa zabrzmiała niczym przekleństwo.

– Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy – odpowiedziałem. – Nie widzę lądu. Wiem jedynie, że jest tu spokojnie, a morze jest wolne od lodu.

Światła nie potrafię nawet opisać.

Dałem jej jeszcze gorącej zupy, a potem zająłem się Sailhardym. Musiała upłynąć godzina, zanim w pełni odzyskał przytomność.

213

Wyglądał bardzo mizernie i ospale. Upton obudził Waltera i Pirowa, upiornie wynędzniałego. Uruchomiliśmy drugą kuchenkę i ugotowali-

śmy pierwszy od tygodnia gorący posiłek. Zbliżał się już brzask, kiedy skończyliśmy jeść.

Światło zaczęło się zmieniać niemal niedostrzegalnie. Po ogarnięciu połowy nieba, płomienie zorzy polarnej cofnęły się do swej lodowej kolebki. Cała górna część sklepienia stała się jedną wielką sferą światła, rozciągniętą w potężny łuk skierowany ze wschodu na zachód, prostopadłe do błysków zorzy. Gigantyczna siatka była biała i blada, choć wydawała się tłem dla pojawiających się barw. Było to coś, czego nie spodziewałem się kiedykolwiek zobaczyć. Rzadkie zjawisko. Łuk Farry'ego.

Zdawał się odpowiednim uczczeniem naszego wybawienia, jeśli to w ogóle było wybawienie.

Powiedziałem Helenie, co to jest, a ona usiadła. Białą biel Łuku Farry'ego zaczęły pokrywać błyszczące prążki – czerwone, szkarłatne, zielone, fioletowe i niebieskie; następnie łuk się podwoił



w zapierającym dech pokazie eterycznej pirotechniki i rozpostarł na całe niebo – wydłu-

żył się i stał się elipsą. Wydawało się, że sięga ona od Morza Weddella po Australię.

– Mój Boże! – wykrzyknął Upton z dziobu.

Łuk Farry'ego świecił na tyle jasno, że można było ogarnąć wzrokiem cały nieco surrealistyczny krajobraz. Horyzont od nawietrznej wypełnia-

ła gigantyczna masa gór lodowych, mających od trzystu do pięciuset metrów wysokości. Za nimi widać było jeszcze wyższą ścianę lodu, wyższą nawet od klifów Bariery Rossa. Znaleźliśmy się w zatoce owego pola, a właściwie kontynentu lodowego, szerokiej na jakieś osiemdziesiąt kilometrów. Za naszą rufą, z prawej burty, kanciasta skarpa północno-zachodniego klifu owego pływającego kontynentu nurzała się w po-

łudniowym oceanie. W niepewnym oświetleniu nie sposób było powiedzieć, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy. Po przeciwnej stronie było, zdaje się, trochę mgły.

Zrozumiałem teraz, że jesteśmy świadkami zjawiska, które kiedyś umożliwiło Norrisowi dostrzeżenie Wyspy Thompsona. Siedemdziesiąt lat później dopomogło kapitanowi Fullerowi, a za trzecim razem mnie.

Cyklicznie, co siedemdziesiąt lat, wielki kontynent lodowy tworzył się wokół wybrzeży Antarktydy, potem odłączał się od niej i dryfował na północ – ku Wyspom Thompsona i Bouveta. Każde wielkie pole lodowe polepsza widoczność, trzeba wszakże było aż lodowego kontynentu, by 214

rozpedzić całun mgieł zasłaniający Wyspę Thompsona leżącą w samym sercu maszyny pogodowej południowego oceanu. Uzmysłowiłem sobie, że to właśnie był jeszcze jeden z sekretów tej wyspy. Przypominałem sobie fakt, który potwierdzał moje domysły: kiedy Japończycy obserwowali z powietrza linię brzegową Antarktydy bezpośrednio na południe od Wyspy Bouveta, byli zdziwieni, że ich zdjęcia lotnicze tak bardzo się różnią od tych, które zrobił Lars Christensen trzy dziesięciolecia wcze-

śniej. Przypominałem też sobie jeszcze jedną, uderzającą zbieżność: w tym samym roku, w którym Fuller zaobserwował Wyspę Thompsona, trzy słynne klipry, a wśród nich *Cutty Sark*, raportowały o przepłynięciu przez pole lodowe, ledwie wychodząc cało z opresji. W dzienniku po-kładowym *Cutty Sark* użyto nawet terminu „lodowy kontynent”.

Podniosłem się na kolanach i rozejrzałem po horyzoncie. Ale wspaniały Łuk Farry'ego oświetlający odległą barierę lodu przygasał i niewiele już można było zobaczyć. Wszyscy byliśmy zbyt osłabieni i zbyt przejęci świetlnymi zjawiskami na niebie, by robić cokolwiek poza gapieniem się.

– Spójrz na albatrosa, chłopie! – zaskrzeczał Sailhardy.

Ptaka kołysał się na dziobiaku z rozpostartymi skrzydłami. Na jego bieli odbijały się kolorowe prążki gasnącego Łuku Farry'ego. Przez moment zawisł niepewnie w powietrzu, trzepocąc skrzydłami. Następnie wzbił się, na chwilę zanurkował ku wodzie, potem pomknął w górę, dwukrotnie okrążył

łódź i poleciał ku jakiemuś punktowi leżącemu po lewej burcie.

Coś się poruszyło przy moich stopach, usiłowało wyswobodzić ze śpiwora Heleny. W końcu wylazło z niego. Wskoczyło na ławę wiosłarską i stanęło z podniesioną głową, całe w napięciu.

Usłyszałem łomot na dnie łodzi.

**13.**

# Wyspa Thompsona

Przez chwilę myślałem, że to ktoś upadł na dolny pokład wskutek krańcowego wyczerpania.

– Stuk! Stuk! Stuk! – dochodziło pukanie w dno.

Sailhardy otworzył oczy i przyłożył ucho do kratownicy. Ukląknęłam i poszedłam za jego przykładem.

– To stukacz tristański! – oznajmił słabym głosem wyspiarz.

– Stukacz tristański?

Widziałem, że Sailhardy jest wzburzony, ale był tak osłabiony, że musiał powoli cedzić słowa.

– Dali mu w Georgii Południowej jakąś naukową nazwę, ale na Tristanie nazywamy go stukaczem. To spore ryby, jak wątlusze. Wydają taki odgłos podczas zalotów. Spójrz na fokę!

Zwierzątko przywarło podekscytowane do ławy, wpatrując się w morze. W każdej chwili mogło wyskoczyć za burtę.

Podszedł do nas Upton, wymizerowany, z błędnym wzrokiem.

– Co to jest? Powiedzcie mi, co to takiego?

Sailhardy usiadł.

– To ziemia. Stukacz tristański rozmnaża się na płyciźnie. Blisko musi być jakiś ląd.

Foczątko dało nurka za burtę. Można już było coś zobaczyć w brzasku. Albatros widniał jako biały punkcik na tle ciemnej plamy za lewą burtą, plamy, którą wziąłem za mgłę. Twarz Uptona ożywiła się.

– Ląd! Wyspa Thompsona!

Helena odwróciła twarz.

– Jeśli to baza Meteora, poznam ją – odezwał się Pirow. – Nie sposób nie rozpoznać wejścia do przystani i przylądka.

Walter wyteżył oczy, ale albatros był już poza zasięgiem wzroku.

– Trzeba tam popłynąć, na pewno, ale jak? Nie ma wiatru, a jesteśmy za słabi, żeby wiosłować.

– Bierz się pan do rumpla, Wetherby – powiedział Upton.

– Nie ma jak... – zacząłem.

– Znajdzie się sposób – odparł. – Będę wiosłował!

Nie tracąc czasu, poszedł na dziób i wrócił z workiem, który uratował

ze statku przetwórci. Starannie napełnił strzykawkę. Patrzyliśmy zafa-scynowani. Z pomocą Waltera dźwignął jedno z wielkich wiosła i osadził je w dulce kołkowej. Trzymając je prawą ręką, lewą zaaplikował

sobie w jej mięśnie zastrzyk podskórny. Szybko zmienił ręce i powtórzył

ten dziwaczny zabieg.

– Co, u diabła...? – spytałem.

– Kofeina – odpowiedział krótko. – A teraz bierz się pan do rumpla.

– To nie pora, by zażywać narkotyki.

Nie spuszczał ze mnie wzroku. Siedział przy wiosle, rozprostowując i zaciskając palce. Kiedy jego dłonie przywarły do wiosła, wydawało się, że nie będzie już w stanie ich rozewrzeć. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Zawiozę was na Wyspę Thompsona. Kofeina paraliżuje mięśnie.

Nie mogę oderwać dłoni od wiosła. Potrwa to dopóty, dopóki nie przybi-jemy do wyspy. Steruj!

– Tam gdzie poleciał albatros?

– Tak.

Zająłem niezdarnie miejsce przy rumplu. Łódź poruszana jednym wiosłem szła koślawo, ale naprowadzałem jej dziób na ciemną plamę.

Wzeszło słońce i uczyniło z tego rozległego lodowego amfiteatru tchną-

cą życiem panoramę. Morze było niebieskozielone i spokojne. Bariera lodowa tak biała, że prawie nie można było na nią patrzeć. Odchodzili-

śmy od najbliższych klifów, które dopiero teraz ukazały się nam w całej okazałości, ku pasmu mgły, całkowicie przesłaniającemu wschodnie i północne brzegi lodowej zapory. Foczka hasała wokół łodzi ze stukaczem tristańskim w pyszczku.

Pirow i Walter ugotowali następny posiłek. Później Walter usiadł do drugiego wiosła, ale wkrótce

dał za wygraną. Helena przyniosła mi trochę gorącego jedzenia, sama też jadła. Była okropnie blada. Uderzenia wiosła stawały się coraz słabsze. Wtem poczułem, że coś silnie popchnę-

ło łódź. Zanim zdałem sobie sprawę, że unosi nas jakiś silny prąd, znaleźliśmy się we mgle. Dało się odczuć najpierw ciepło, a potem wilgoć mgły. Nie widać było Uptona poruszającego wiosłem, do którego był jak przykuty. Mgła stawała się tak gęsta, że dostrzegalem jedynie ciemny

zarys Heleny siedzącej zaledwie metr ode mnie. Prąd unosił łódź coraz dalej. W pewnej chwili Helena spytała mnie, dokąd płyniemy, dziwnym, załknionym głosem. Ciepło było równie nieoczekiwane, jak ciemność.

Ostrożnie zanurzyłem w wodzie dłoń, z której zdjąłem rękawicę; okazała się również ciepła w porównaniu z normalną temperaturą lodowych obszarów południowego oceanu.

Wreszcie wyszliśmy z mgły. Przed nami roztaczała się Wyspa Thompsona.

Zidentyfikowałem ją natychmiast: trudno było nie rozpoznać niskiego płaskiego przylądka wschodniego, przypominającego pysk płetwala błękitnego. Widziałem ten przylądek na własne oczy, oglądałem też jego szkice wykonane przez Norrisa. Ukazały się strome zbocza przy wejściu do przystani, a na zachód od nich przylądek, który Norris nazwał

Dalrymple. Ale przede wszystkim przyciągał nasz wzrok wspaniały i urzekający ogromny lodowiec przykrywający wyspę niczym – używając słów samego Norrisa – koszmarny czepiec. Jego dziwny kolor instynktownie przywodził na myśl zło. Wznosił się pionowo na sześćset metrów. U podnóża lodowca znajdowała się przystań wewnętrzna, ciągle jeszcze pozostająca poza zasięgiem naszego wzroku. Nie było w nim matowej bieli ani błękitnych czy zielonych odcieni, charakterystycznych dla otaczającego wyspę pływającego lodowego kontynentu, odcieni, które tak podziwialiśmy wcześniej. Czepiec miał barwę butelkowej zieleni i był przezroczysty do tego stopnia, że widać było uwięzie w nim głęboko głazy. Mniej więcej w połowie wysokości występowało skupisko białych prążków, wyglądających jak szkielety pół tuzina płetwali błękitnych. Jadowita zieleń kojarzyła się ze złem, tym bardziej że bazaltowe i pumeksowe poszarpane klify przy wejściu do przystani przypominały otwartą paszczę węża. Nie było na nich śladu lodu czy śniegu.

Natomiast czepiec wznosił się w pełnej chwale i rozpościerał dalej na południe, poza zasięg naszego wzroku.

Upton, uwięziony przy wiosle, przyglądał się temu widokowi bez słowa. A kiedy odezwał się, wskazując na klify przy wejściu do przystani, jego głos zabrzmiał ochryple.

– Cez! Cez!

Białe warstwy i bruzdy, niby paski zebry, to były żyły bezcennej rudy. Nigdy jeszcze nie widziałem Uptona aż tak poruszonego. Jego wymizerowana, naznaczona piętnem srebrzycy i znużenia, nie ogolona twarz rozjaśniła się.

– Moje! – krzyczał. – Wszystko moje!

Silny prąd niosł nas do celu niby dryfujący pień. Pirow uśmiechał się.

Widok Wyspy Thompsona przywrócił mu morale.

– Czeka na pana flota, *Herr Kapitän!*

Odwrociłem się i spojrzałem na niego. Łódka, ominąwszy przylądek, wpływała do długiego fiordu.

– Niech pan popatrzy – powiedział.

Przy północnym brzegu przystani stał liniowiec pasażerski. Nie potrzebowałem odczytywać jego nazwy – sylwetkę tego statku, zbudowanego w Clyde, znałem równie dobrze jak sylwetkę Tower Bridge. Podziwiałem ją kiedyś: zespół kominów o liniach opływowych, usytuowany dalej od rufy, niż to było wówczas przyjęte, i charakterystyczny pół-

maszt na dziobie. Zdjęcie tego statku wisiało w kabinie nawigacyjnej HMS *Scott*. Pamiętam jeszcze ostatnią jego rozpacziwą depeszę z tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku. Zdażał wtedy do Melbourne.

»QQQ – QQQ – QQQ – 45° SOUTH, 10° WEST – LINIOWIEC *KYLE OF*

*LOCHALSH* – ZOSTAŁEM ZAATAKOWANY PRZEZ NIEZNANY OKRĘT”.

I oto stał teraz przede mną w przystani Wyspy Thompsona.

Nieco dalej, częściowo wyciągnięty na brzeg, widniał tankowiec *Grenlandia*. Rommel nigdy się nie dowiedział, że to Kohler na mroźnym pustkowiu południowego oceanu wygrał jedną z bitew zwycięskich dla Afriki Korps. Utrata piętnastu tysięcy ton paliwa lotniczego i oleju napędowego, które transportował na Środkowy Wschód, jeszcze bardziej zredukowała tamtejsze brytyjskie zasoby. *Grenlandia* zniknęła, kiedy była pod moją opieką. Jej potężne przewody zasilające wciąż jeszcze przerzucone były przez burtę. Zrozumiałem teraz, dlaczego Kohler dysponował wówczas nieograniczonymi zasobami paliwa.

Przycumowana wzdłuż burty *Grenlandii* stała kolejna ofiara *Meteora*

– statek klasy Liberty. Na jego pokładzie widoczne były załadowane czołgi i samochody ciężarowe, wyglądające absurdalnie nowo w jasnym świetle słonecznym. Frachtowiec ten również zniknął bez śladu daleko na południe od Przylądka Dobrej Nadziei.

Były to statki moje i Kohlera.

Nie podzielałem ani radości Uptona, ani satysfakcji Pirowa. Moje myśli odzwierciedlały ból, widoczny w oczach Heleny. Zdawałem sobie sprawę, że ten naturalny port mógłby stać się idealnym punktem etapowym dla samolotów lecących z Kapsztadu do Sydney nad biegunem południowym, a także ważną bazą strategiczną do patrolowania 219

lotniczego żywotnych szlaków morskich wokół Przylądka Dobrej Nadziei. Ale rozpaczą przejmował mnie widok żył cezu. Prywatna wojna Uptona zakończyła się triumfem, ale walka, jaką stoczy świat o niewy-obrażalne bogactwa owej ukrytej wyspy, mogła doprowadzić do chaosu.

Jak dotąd – pomyślałem, kiedy prąd niósł nas dalej w głąb fiordu – jedynie ja i Helena znamy tajemnicę położenia wyspy. Spojrzałem na Uptona. Gdyby tylko udało mi się zawładnąć schmeisserem...

Była jeszcze pewna liczba innych statków rozproszonych po przystani. Niektórych nazwy dawało się odczytać, innych nie. Znajdował się tam piękny duński żaglowiec szkolny *Kobenhavn* – jego zaginięcie przed wojną z załogą sześćdziesięciu kadetów było równie tajemnicze, jak przepadnięcie *Marie Celeste*. Obok niego stał *Berwick*, jeden z najsław-niejszych żaglowych kliprów tekowych, który w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku pobił wszystkie rekordy na trasie z Kalkuty do Londynu. Żelazne pokrycie żaglowca było rozłupane na pół wzdłuż refu. Maszty, pnie tekowe i dębowe, części dziobowe, słupy, drzwi od kabin, wielkie staromodne tekowe szafki na busole z kompasami Kelvina i olejowe latarnie świateł burtowych walały się jak fragmenty zwłok w trupiarni.

Długa grotreja wymierzona była w niebo, jakby zrzucono ją z samolotu.

Drabinki sznurowe i sejingi znajdowały się na swoich miejscach.

Przytłoczony tym widokiem, sterowałem automatycznie ku odległemu krańcowi fiordu, gdzie dostrzegłem unoszące się nad skałami smugi pary wydobywające się z jakiegoś podziemnego wulkanicznego źródła.

Nade wszystko imponujący był lodowiec. Tam, gdzie języki lodu wchodziły do wody, był ostry, nie gładki i zaokrąglony, jak można by oczekiwać ze względu na obmywanie przez prąd i wystawienie na czynniki atmosferyczne. Pomyślałem sobie, że w miejscu ulatniania się pary powinno być ciepło, a wszyscy tego potrzebujemy. Upton nic nie mówił, patrzył jak zaczarowany na warstwy cezu, kiedy sunęliśmy z prądem.

Pirow pomachał do mnie, gdy mijaliśmy *Grenlandię*.

– Niech pan spojrzy, *Herr Kapitän* – to właśnie pan na swoim Scot-cie spowodował, że porzuciliśmy te przewody, żeby szybko wypłynąć na morze.

Człowiek o Niezawodnej Dłoni! Te piękne statki były ofiarami za-równo jego, jak i Kohlera.

220

Wprowadziłem łódź na płyciznę, kierując się na miejsce postojowe przy wyboistej plaży bazaltowo-pumeksowej. Strumień pary buchał ze szczeliny w skałach na siedem metrów w górę. Zrobiło się tak ciepło, że zdjąłem rękawice. Przeskoczyłem niezgrabnie przez burtę, żeby zabezpieczyć łódź. Kiedy poczułem pod podeszwami ziemię, ogarnęła mnie fala emocji i słabości. Przycumowałem łódź, zarzucając pętlę liny na jedną ze skał. Małeńki skoczogon – bezskrzydła mucha Antarktyki –

usiadł na mej dłoni. Zaniósłem Helenę na brzeg i położyłem na śpiworze. Musiałem też zająć się

Sailhardym.

– Walter – odezwał się Upton. – Przynieś trochę gorącej wody i sprawdź, czy da się rozluźnić mi dłonie.

Miał je obtarte od wiosłowania, ale najwidoczniej nie odczuwał bólu.

– Weź ze sobą schmeissera, durniu – dodał, patrząc twardo. – Nie chciałbym, żeby w takiej chwili dostał się w ręce Wetherby'ego. A pan tym razem już się nie wykpi, Wetherby. Do tej pory broń już odmarzła.

Pirow również wygramolił się z łodzi i stanął obok mnie. Przyglądał się fiordowi.

– *Liebe Gott!* – powiedział ochryple. – Jak miło zobaczyć to jeszcze raz!

Na poszarzałym obliczu malowała się duma, arogancja i poczucie triumfu.

Zdumiało mnie, że statki uprowadzone przez Kohlera były w tak do-brym stanie. W swoich wojennych przekazach radiowych nawet nie napomknął, że wykorzystuje Wyspę Thompsona jako bazę. Było jasne, że zachował w tajemnicy przed Pirowem jej nazwę i położenie. Nie tylko przed nim. Nie ujawnił jej także wobec Oberkommando der Marine. W

ciągu dwóch lat niemiecki lis południowego oceanu przesłał swemu dowództwu zaledwie pół tuzina krótkich raportów o swych nadzwyczajnych sukcesach. Podobnie jak Pirow uważał, że szanse przeżycia ma tylko ten pirat, który przestrzega ciszy radiowej.

– Czy odsyłaliście załogi i potem zabieraliście tu statki? – spytałem Pirowa.

Potrząsnął głową.

– *Herr Kapitän* Kohler był marynarzem, tak jak pan. Wyzyskiwał

sposobności stwarzane przez południowe wody. Nie potrzebował akcji bojowej, skoro statki same przyływały tu, do fiordu.

– Co pan przez to rozumie?

– Prąd – odparł Człowiek o Niezawodnej Dłoni. – To niezwykły 221

prąd, *Herr Kapitän*. Jest głęboki i silny. Jeśli chwyci statek, to już po nim. Ma pan przed sobą te, które przyniósł z oceanu na to cmentarzysko.

– Prąd morski nie może być tak potężny.

– Na pełnym morzu nie, *Herr Kapitän*. Może jedynie porwać statki opuszczone przez załogę i



wszelkiego rodzaju rupiecie, które pan tu widzi. Ale w pobliżu Wyspy Thompsona staje się zabójczy. W przeszło-

ści utorował sobie wejście do fiordu, w którym się znajdujemy, a następnie... Niech pan spojrzy! – wskazał na podnóże lodowca, gdzie kotłował

się potężny wir. – Wydaje się, że tam schodzi niżej. Straciliśmy łódź z załogą próbując to zbadać. Przepięd po drugiej stronie fiordu jest w porównaniu z nim słaby. *Herr Kapitän* miał tam przystań i zawsze wchodził do fiordu po stronie przeciwną.

– Mówi pan, że tylko tu sobie siedzieliście...

Pokazał mi swoje dłonie.

– Statki przyływały, ponieważ je przyzywałem. Czasami fałszywym wezwaniem na ratunek, czasami... – wyszczerzył zęby w uśmiechu

– rozkazem dowódcy Południowoszetlandzkiej Grupy Operacyjnej Sił

Morskich, czyli pańskim, *Herr Kapitän* Wetherby. Wystarczyło je tylko zwabić podczas mgły, kiedy prąd staje się tak potężny. On załatwiał

resztę. Niósł je niczym jagnięta na rzeź.

– *Kyle of Lochalsh* był uzbrojony w działa sześciocalowe – powiedziałem.

Wskazał ruchem głowy drugą stronę fiordu.

– Nie zauważył pan tam stanowiska artyleryjskiego. Wymontowali-

śmy z pokładu *Meteora* jedno działo i zainstalowaliśmy je po tamtej stronie, żeby miało w zasięgu jednostki niesione prądem po tej stronie fiordu. Mieliśmy namierzony każdy centymetr tej trasy. Opór byłby samobójstwem.

Słuchając przechwałek Pirowa, przeczuwałem, że kryje się za nimi coś fatalnego. Wydarzenia i ofiary minionej wojny wydawały się bez znaczenia wobec potencjalnego zagrożenia nagromadzonego w złożach skalnych nad naszymi głowami.

Walter rozcierał Uptonowi dłonie ciepłą wodą. Zaniósłem Helenę nad ciepły, woniejący siarką strumień, który wyźłobił sobie ujście do fiordu przez pumeksowe skały. Przyniosłem parę kawałków pumeksu, żeby miała o co się oprzeć.

– Co ojciec teraz zamierza? – spytała. Ja również byłem tego ciekaw.

– Mówił coś o statkach – i są tu rzeczywiście – odparłem. – Ale, nawet zakładając, że po tylu latach

wciąż się do czegoś nadają, nie da się żadnym z nich odpłynąć bez załogi.

– Posłuchaj! – powiedziała.

Znajdowaliśmy się na zboczu, nieco powyżej łodzi. Dochodził nas ożywiony głos Pirowa.

– *Herr Kapitän* Kohler uznał, że sześciocalowe działo na tym stanowisku będzie z technicznego punktu widzenia lepiej usytuowane niż armaty, których użył Harwood w bitwie pod River Plate – entuzjazo-wał się. – Ale Kohler zawsze podziwiał szybkość, z jaką prowadzą ogień Anglicy. To działo zostało namierzone na każdą piędź fiordu. Po prostu nie sposób chybić.

Upton wreszcie oswobodził dłonie. Przyjrzał im się przez chwilę, a następnie zapytał Waltera.

– Umiesz załadować takie działo?

– Nie ma potrzeby dźwigać pocisków – wtrącił Pirow. – Jest mechanizm ładujący je prosto do komory naboowej.

– Chryste! – powiedział Walter. – Wygląda na to, że szykujecie się do wojny.

– Mam wyspę i mam środki do jej obrony – rzekł Upton, przeciąga-jąc się.

– Pod działem znajduje się duży magazyn; jest tam chyba także broń ręczna – ciągnął Pirow. – Kiedy *Meteor* wychodził w morze, zostawiał

przy dziale obsługę; tylko ostatnim razem, gdy płynął zmierzyć się z HMS *Scott*, nie zrobił tego.

– Bruce! – szepnęła Helena. – Robi się coraz gorzej. Jestem przera-

żona tym, co on knuje. Musisz dostać się do radia i wezwać *Thorshammera*.

Powolnym krokiem podszedł do nas Sailhardy.

– Słyszałeś, Bruce?

– Tak.

– Czy takie działo nadaje się do użytku po tylu latach?

Nadzieja pojawiła się na twarzy Heleny. Sailhardy nie czekał na moją odpowiedź.

– Lufa musi być wewnątrz nieźle zardzewiała. Jeśli Upton spróbuje je użyć, eksploduje i rozerwie go na kawałki.

Potrząsnąłem głową.

– Gdyby działo stało po ciepłej stronie fiordu, można by na to liczyć.

Ale tam nie ma ciepłych źródeł. W pobliżu lodowca panuje polarna temperatura. W suchym antarktycznym mrozie żelazo nie rdzewieje. Tuż po wojnie Amerykanie znaleźli w jakimś obozie przy Morzu Rossa strzelbę sprzed co najmniej pięćdziesięciu lat. Miała lufę gładką i błyszczącą.

Upton, Walter i Pirow wyszli na brzeg i poszli wzdłuż plaży. Upton gimnastykował sobie palce.

– Bruce! – nalegała Helena. – Nadszedł właściwy moment! Wszyscy trzej poszli się zająć tym, o czym rozmawiali. Radio jest w łodzi.

Połącz się z *Thorshammerem*!

– Pośpiesz się, chłopcze! – poparł ją Sailhardy. – Spójrz, co za działo, na miłość boską! Krzyknę, gdyby zawrócili.

Pognałem do łodzi, potykając się na nierównościach pumeksu. Rzuci-

łem się do radia, pod półpokład. Włączyłem aparat. Pozostało jeszcze trochę mocy w bateriach. Pomanipulowałem przez chwilę przy skali strojenkowej i wybrałem pierwszą częstotliwość, jaka przysła mi do głowy – częstotliwość piracką: dwadzieścia cztery metry.

– Trzy kropki – trzy kreski – trzy kropki! – SOS! – SOS!

Włączyłem odbiornik i trzymając przy jednym uchu słuchawkę, drugim nasłuchiwałem odgłosu kroków na plaży. Nadawałem wciąż, po desperacku. Nie byłem wprawnym radiotelegrafistą, a sygnał był słaby.

Musiałem się połączyć z *Thorshammerem*, podać nasze położenie i ostrzec przed prądem i działem. W tym niepokoju i usilnych staraniach przypomniał mi się mój kodowy sygnał z czasów wojny – nic więcej nie potrafiłem wymyślić.

– GBXZ – wystukałem.

Żadnej odpowiedzi. Przesunąłem skalę odruchowo na pasmo osiemnastu metrów.

– GBXZ – do wszystkich brytyjskich okrętów wojennych.

Miałem szczęście. Odpowiedź była głośna i wyraźna.

– Tu niszczyciel. Przybywam wam z pomocą. Nie przestawaj nadawać w celu namierzenia. VKYI.

– *Thorshammer*! Strzeż się... Tratwa ratunkowa...

Nie usłyszałem ostrzeżenia Sailhardy'ego. To Walter przeszkodził mi, wrywając słuchawki. Był z nim też Pirow. Złapał mnie kurczowo i odciągnął od swego drogiego radia, które

zbecześciłem. Walter wywlókł mnie do połowy na dolny pokład. Odepchnąłem go. Nie odzyskał jeszcze sił.

– Coś nadawał, Bóg jeden wie, co! – krzyknął Pirow. – Klucz jest unieruchomiony.

224

Upton podszedł do łodzi.

– Wyłączyłeś?

Pirow kiwnął głową. Z kolei zwrócił się do mnie.

– Co pan przekazał niszczycielowi?

– Idź pan do diabła! – odparłem. – Tak czy inaczej *Thorshammer* płynie po was. Tyle razy nas namierzał, że teraz z pewnością mu się udało.

– Włącz się – powiedział Upton Pirowowi. – Posłuchaj, co mówi *Thorshammer*. Wywołaj go, a my będziemy pilnowali Wetherby'ego.

Pirow wykonał polecenie.

– Nie mogę zrozumieć – odezwał się po chwili. Nadaje „GBXZ” –

brytyjski kod z czasów wojny: „do wszystkich okrętów brytyjskich”. A teraz: „niszczyciel przybywa wam na ratunek”.

– Czy jesteś pewien, że to z *Thorshammera*!

– Tak! – zawołał Pirow. – Teraz wzywa, żebyśmy nie przerywali nadawania.

Nastąpiła pauza.

– Teraz wzywa: „Halo, tratwa! Nie przerywać nadawania! Naciskaj-cie klucz! Czy mnie słyszycie? Czy mnie słyszycie?” – przekazywał

roztrzęsiony Pirow.

– Uspokój się – powiedział Upton. – Chcę, żebyś im przekazał wiadomość, słyszysz? Dokładnie tak samo, jak nadawałeś te wszystkie sfin-gowane sygnały tratwy ratunkowej. Podaj im dokładną naszą pozycję.

– Pan oszalał! – odezwał się Walter, a w tym momencie podeszli do nas Helena i Sailhardy. – Chce pan, żeby *Thorshammer* przybył i nas zgarnął? Przecież właśnie o to chodziło temu sukinsynowi.

Nie podobało mi się spojrzenie Uptona.

– Chcę, żeby przybył, ale wcale nie po to, by nas zgarnąć. Jakie jest nasze położenie, Wetherby?

– Idź pan do diabła! – odpowiedziałem. – Sam sobie wyznacz poło-

żenie Wyspy Thompsona.

– Nie ma sprawy – oznajmił Upton. – Przyciśnij klucz, tak jak sobie tego życzą, Pirow. Pozwól im zrobić dokładny namiar. Dowiedz się, jak są daleko i kiedy tu będą. To bardzo ważne.

Na twarzy Pirowa widać było napięcie.

– Mogę to troszkę podkolorować... technicznie, ma się rozumieć?

– Rób, co ci się żywnie podoba, bylebyś sprowadził tu okręt.

– Nie rozumiem... – zaczął Walter.

225

– I nie musisz – odparł Upton. – Masz być w dobrej formie. Najedz się teraz. Pirow zorientuje nas, kiedy możemy się spodziewać niszczyciela. Masz umieścić pociski w mechanizmie ładującym.

Zwalisty Norweg wydawał się zdziwiony.

– Chce pan... walczyć z *Thorshammerem*?

– Nie – stwierdził Upton, wskazując na cmentarzysko we fiordzie. –

Żadna z tych jednostek nie walczyła z *Meteorom*. Zabawię się w Kohlera. Fiord jest namierzony co do metra. Wystarczy wycelować działo.

Niech tylko *Thorshammer* znajdzie się w zasięgu prądu, Pirow tego do-pilnuje. A ty jesteś harpunnikiem, Walter! To pójdzie łatwo. Niszczyciel będzie wymarzoną celem.

– Mój Boże! – wykrzyknął Walter.

Przerwałem, nie wierząc własnym uszom. Wydawało mi się to krań-

cowym obłędem. Byłem przekonany, że Helena myśli tak samo.

– Nie może pan zatopić okrętu, Upton! Nie wolno panu...

– Zatopiłbym i całą flotę, żeby to zachować – odpowiedział, wskazując na żyły cezu w skałach. – Zamierzam go zniszczyć. Zaskoczenie będzie całkowite. Przypuszczam, że kiedy wpędzi go tu prąd, załoga nie będzie na stanowiskach bojowych.

– Niech pan nie będzie śmieszny – powiedziałem.

Raz jeszcze wskazał na żyły cezu.

– Wyspę Thompsona też uznano za śmieszłą. Pan o tym wie. Pana też wyśmiewano i pańską Stopę Albatrosa. A ja wierzyłem w Wyspę Thompsona i teraz ją mam. Wielka Brytania, Norwegia, Niemcy, Ameryka – wszyscy wydali mnóstwo pieniędzy szukając jej. Zaczęto więc sobie z niej kpić, myśleć, że nie istnieje. Pan wiedział, że istnieje. Ja tylko wierzyłem. Podobnie jak w cez. I rzeczywiście, jest tutaj.

Zjawiał się Pirow.

– Baterie są na wykończeniu, więc już się wyłączyłem. Wystarczą na nadanie jedynie paru sygnałów. Ale *Thorhammer* się cieszy. Udało mu się nas namierzyć i płynie tu.

– Kiedy tu będzie? Kiedy, człowieku?

Pirow był bardzo pewny siebie.

– Nie przed wieczorem, jeśli nawet dokładnie namierzył naszą pozycję. A różnie z tym bywa. Musi brać to pod uwagę, penetrując okolicę w promieniu, powiedzmy, dziesięciu mil. Na pewno w nocy zlokalizuje radarem Wyspę Thompsona. Myślę jednak, że to go tak bardzo zaskoczy, iż nie zaryzykuje wpłynięcia przed świtem.

226

– Jeść! – krzyknął Upton. – Musimy teraz zjeść gorący posiłek! Po południu udamy się na drugą stronę fiordu, do dział. Ty nie będziesz wiosłował, Walter, zrobią to Wetherby i Sailhardy. Chcę, żebyś przygotował dział do akcji na jutro rano.

Nazbieraliśmy drewna, które wyrzuciło morze i rozpaliliśmy na kamieniach w pobliżu łodzi wielkie ognisko. Nawet bez ognia było na tyle ciepło, że można było zdjąć wierzchnią odzież. Do popołudnia wszyscy doszliśmy do siebie. Ulżyło mi, kiedy blade policzki Heleny nabrały kolorów. Była wszakże bardzo milcząca i nie udzielała się prawie poza przygotowywaniem jedzenia.

Po kolejnym obfitym posiłku w środku dnia udaliśmy się na drugą stronę fiordu, na stanowisko artyleryjskie. Sailhardy był bardziej wyczerpany, niż myślałem, toteż pod koniec wiosłowania wyraźnie opadł z sił. Chociaż prąd był tak silny, nie przeszkadzał w poruszaniu się płytko zanurzonej lekkiej łodzi. Stosunkowo łatwo przedostaliśmy się przezeń, kierując ku czołu lodowca, a następnie wykorzystaliśmy przeciwpływ, by dobić do brzegu w pobliżu dział.

Widok armaty przejął mnie obawą. Była to wspaniała sześciocalów-ka, zainstalowana na żelbetowej podstawie na półce skalnej, około siedmiu metrów nad poziomem wody we fiordzie. Obetonowane było także nabrzeże, do którego przybiliśmy. Znajdowały się w nim metalowe pier-

ścienie do cumowania. Zobaczywszy dział, Helena zagryzła wargi i spojrzała na mnie z niepokojem. Sailhardy wydawał się zmęczony i zachowywał powściągliwie. Natomiast Upton i Walter triumfowali. Przycumowaliśmy. Walter i Upton wyskoczyli na brzeg. Walter pilnował nas ze schmeisserem, podczas gdy Upton badał teren. Było dla mnie jasne, że niszczyciel – nawet gotów do

akcji – toczyłby nierówną walkę z tym działem. Upton przybiegł z powrotem do nas po betonowych schodach, niosąc czeski pistolet, który musiał znaleźć w arsenale.

– Chodź, Wetherby! Chodź i zobacz! *Thorshammer* spotka się ze śmiertelną niespodzianką!

Nie było co do tego wątpliwości. Na stanowisku działa zdałem sobie sprawę, jak genialny musiał być oficer artylerii na okręcie Kohlera. Kiedy spoglądałem stamtąd, przypomniałem sobie na chwilę, ile szkody wyrządziły działa *Meteora* mojemu *Scottowi*, zanim zbliżyliśmy się na taką odległość, by go zatopić torpedami. Jeden z pocisków przebił pra-woburtowy kocioł, wyzwalaając z niego trzydzieści tysięcy koni mecha-nicznych zabójczej energii – okręt tak silnie przechylił się na prawą bur 227

tę, że kiedy ostatecznie zdołałem go jakoś doprowadzić przez Ryczące Czterdziestki do Kapsztadu, wzbudziło to nabożny szacunek i podziw w stoczni Simonstown. Jedna kotłownia i tylny pokład mesy były pełne wody i trupów, a momentami prawoburtową okrężnicę obmywały fale.

Pamiętam też, że po tym, jak wspaniała salwa Kohlera zadała nam tak miażdżące ciosy, instynktownie rozkazałem Sailhardy'emu odpalić w morze wszystkie torpedy „przygotowując się do zatonięcia”, zanim dojdzie do ich eksplozji na naszym okręcie. Spokojnie poprosił mnie wtedy, żeby ustawić okręt burtą do celu i pozwolić mu odpalić je raczej w nie-przyjaciela niż do morza. Okręt nabierał wody i niebezpiecznie się prze-chylał na wzburzonym morzu. A Sailhardy, jak kanonierzy Nelsona pod Trafalgarem, wystrzeliwał torpedy na wprost na grzbietach rozhuśtanych fal. Dwie salwy, po cztery torpedy każda, posłały *Meteora* na dno.

Przywołałem się do rzeczywistości. Spec od artylerii z *Meteora* zainstalował sprawnie funkcjonujący ręczny mechanizm ładujący ciężkich pocisków, ułatwiający prowadzenie ognia. Wyregulował też przyrządy celownicze tak, żeby uwzględniały szybkość prądu i warunki fizyczne fiordu. Odległość do przyładka wynosiła dziewięć tysięcy trzysta jardów. Dziwne, że podano ją w jardach, a nie w metrach. W miejscu gdzie klif zaczynał się wznosić przy wejściu do fiordu, znajdowała się łąta pumeksu przypominająca piec do wypalania cegieł – jej odległość okre-

ślono jako osiem tysięcy jardów.

Miałem już dość tej inspekcji. Jeśli *Thorshammer* okrąży przyładek i wpłynie do fiordu, jego los będzie przesądzony. Wracalem do łodzi w milczeniu. Walter zajął się działem, a Upton nas pilnował. Pirow wy-niósł radio z łodzi i spędził blisko godzinę, instalując je na stanowisku artyleryjskim.

Podróż powrotna na ciepłą stronę fiordu była łatwa: podryfowaliśmy z przeciwrądem po stronie lodowcowej ku wejściu, a następnie przedostaliśmy się na wiosłach do silnego prądu, który zaniósł nas przez cmentarzysko statków tam, gdzie tryskała z ziemi para, na miejsce, w którym wylądowaliśmy za pierwszym razem.

Nazbieraliśmy znowu drewna naniesionego przez morze i rozpalili-

śmy wielkie ognisko. W ostatnich promieniach słońca lodowcowy czepiec wydawał się jeszcze bardziej nieprzyjemnie zielony niż przedtem.

Zapadła ciemność. Nawet gwiazdy wyglądały złowrogo, odbijając się w lodowcu. Zjedliśmy obfity posiłek i ułożyliśmy się w śpiworach. Upton zapowiedział, że mamy być gotowi do wyruszenia przed brzaskiem.

228

Walter, który odzyskał już chyba siły, usiadł przy ogniu ze schmeisserem. Leżałem nie śpiąc, bezowocnie próbując coś wymyślić. W końcu zapadłem w ciężki sen.

Nierzeczywista atmosfera fiordu – działo i niszczyciel, który miał się zjawić na swą zgubę – jeszcze się pogłębiła, gdy zbudził nas Upton.

Fiord zdominowany był przez zorzę polarną, barwiącą go na niebiesko i fioletowo, połyskującą w czapie lodowca. Wiosłowaliśmy z Sailhardym jak lunatycy. Kiedy przeniknął nas chłód bijący od lodowca, Helena naciągnęła sobie kaptur na twarz. Nie widziałem jej oczu, ale czułem, iż musiały zaczerpnąć nierzeczywistego światła otoczenia. Pirow był rozmowny, napięty, z powrotem w roli Człowieka o Niezawodnej Dłoni z czasów wojny. Upton i Walter zawzięcie dyskutowali o odległościach strzeleckich i czasie ładowania. Poprzedniego popołudnia załadowali działo i ustawili przyrządy celownicze na wszystkie odległości strzeleckie. Na koniec wymierzyli w przylądek. Wystarczyło teraz tylko szarpnąć za sznur spustowy, kiedy ukaże się *Thorshammer*.

Łódź zbliżała się wolno do betonowego nabrzeża.

– Chodźcie, Walter i Pirow! – rozkazał Upton i dodał, zwracając się do mnie: – Wy, pozostali, macie tu zostać w łodzi, rozumiano? Jak się rozwidni, będziemy zajęci, ale nie próbujcie żadnych sztuczek, słyszycie?

– Czy oczekuje pan, że będę tu siedział z założonymi rękami, gdy *Thorshammer* odpowie panu ogniem? – spytałem.

– Nie odpowie – odparł z pewnością siebie – jesteście tu całkowicie bezpieczni.

Helena uniosła kaptur futrzanego palta.

– Ojczy, na miłość...

Odwrócił się od niej i rzucił szorstko Pirowowi.

– Wywołaj *Thorshammera* i skontaktuj się z nim.

W ciszy rozległy się ciężkie kroki trzech mężczyzn oddalających się po schodach ku działu. Usłyszałem, jak ożyło radio. Pirow monotonicznie relacjonował, co nadaje niszczyciel.

– Tu *Thorshammer* – idę wam na pomoc. Czy mam odpowiedzieć, Sir Fredericku? – spytał normalnym tonem.

W ciszy wyraźnie było słychać głos Uptona.



– Jak szybko się rozwidni, Walter?

Za jakieś pół godziny.

– Na tyle, że można będzie strzelać?

– Z pewnością. Już dostrzegam zarysy przyładka.

229

W pierwszych promieniach słońca przenikających przez wejście do fiordu zaczęły się wyłaniać maszty i sylwetki wraków po drugiej stronie, podczas gdy po naszej wciąż panowała ciemność. Głos Uptona zabrzmiał triumfalnie.

Dawaj go do środka, Carl! Dawaj go!

– Tu tratwa ratunkowa – nadawał kulawo Człowiek o Niezawodnej Dłoni. – Mosby do *Thorshammera*. Nie będę mógł już zbyt długo nadawać.

Przekaz pojawiał się, przerywał, odpływał słabnąc, wzmagął się na sile, wreszcie zanikał.

– Nadawaj, nadawaj!

Pirow podawał, co przekazuje niszczyciel:

– Robię namiar na twój sygnał.

Byłem pewien, że bawiąc się w kotka i myszkę, szczyrzył zęby w uśmiechu.

– Nie mogę dłużej nadawać... – zakończył, a następnie, jak wycień-

czony, czepiający się nadziei, dodał: – Czy jesteś blisko, *Thorshammer*?

– Gęsta mgła. Radar wykazuje ląd lub wielką górę lodową. Nadawaj. Nadawaj.

– Powiedz, że to lód, a nie ląd, Pirow – wtrącił się Upton. – Nie powinni być ostrzeżeni. Nie mają prawa niczego wiedzieć, dopóki nie opłyną przyładka z prądem.

Pirow podjął na nowo swą śpiewkę.

– Lód. Nie ląd. Tutaj jest dobra widoczność.

– Silny prąd – doszło z *Thorshammera*. – Czy was też chwycił?

Słysząc było triumfalny głos Uptona.

– Mamy go, Carl! Mamy go, Walter! Jest we mgle, prąd go capnął!

Wstałem i krzyknąłem:

– Upton! Dość tych szaleństw! Przestań...

Wychylił się znad krawędzi platformy artyleryjskiej. Był wściekły, mierzył do mnie z pistoletu.

Zamknij się, słyszysz! Zamknij się! Przestałeś już być użyteczny...

– Sir Fredericku! – zawołał Pirow. – Wzywa, żeby naciskał klucz.

Czy mam to zrobić?

Odwróciło to uwagę Uptona i uratowało mi życie.

– Na miłość boską, jak długo potrwa, zanim prąd go tu przyniesie? –

spytał, znikając z naszego pola widzenia.

– Myślę, że około dwudziestu minut – odparł Pirow.

230

– Naciśnij klucz! – polecił Upton. Szczebiot klucza zmienił się w ciągły dźwięk, słabnący w miarę wyczerpywania się baterii. W pełnym napięcia oczekiwaniu zapomniano o mnie. Minęło dziesięć minut. Wtem podniósł głowę Sailhardy.

– Bruce! Jest wiatr! Czujesz?

Poranna bryza podniosła się od strony lodowca ku przeciwległemu, ciepłemu brzegowi fiordu.

– Odcumowuję, stawiaj piorunem ten cholerny żagiel – szepnął, a potem zwrócił się do bladej, wymizerowanej Heleny: – Musi pani sięść do rumpla, pszepani, a my z Bruce'em odbijemy na wiosłach. Dobra?

Kiwnęła głową i spojrzała z niepokojem na działo. Nie było tam wi-dać nikogo.

– Bruce! – syknął Sailhardy. – Mój Boże! Spójrz!

Zza przylądka wyłonił się nagle *Thorshammer* obrócony rufą do przodu, najwyraźniej nie w pełni kontrolujący swe manewry. Jego turbi-ny zmagaly się z bezlitosnym prądem. Niewiele lepiej mógł sobie z nim poradzić od ofiar Kohlera. Przedstawiał wymarzony cel dla dział.

– Odbijamy! Odbijamy! – w podnieceniu zawołałem za głośno. Sailhardy odcumował, ale i on zdawał sobie sprawę, że musieli mnie usłyszeć ci na górze. Przekazał rumpel Helenie. Chwyciliśmy za wiosła.

– Proszę sterować w kierunku *Thorshammera*, pszepani! Zygzakiem, Bruce! Najpierw ty, potem ja!

Pociągnąłem z całą siłą długie wiosło. Rozprostowałem się po pierwszym wyczerpującym uderzeniu. Na platformie pojawił się Walter. Podniósł schmeissera. Zauważył go Sailhardy i szarpnął swoje wiosło, by łódź zboczyła. Było to potężne uderzenie, ale nie wystarczyło. Boleśnie powolnym ruchem podniosła się Helena. Przód futra miała podziurawiony ciężkimi pociskami, które przeszły jej ciało. Padła na wznak. Się-

gnęła jednak i chwyciła rumpel lewą ręką, nie mogąc władać prawą.

Następna seria poszła po wodzie koło łodzi. Pociągnąłem wiosło jak szalony, żeby wyjść z zasięgu. Kiedy kończyłem uderzenie, zatrzepotał

wyblakły żagiel barwy ochry. Dzięki niemu udało nam się oddalić na bezpieczną odległość.

Kiedy się rozprostowałem, usłyszałem odgłos, który wziąłem za szum krwi w uszach po wysiłku podczas wiosłowania. Zdezorientowany, przestałem uderzać wiosłem. Odgłos brzmiał jak odległe strzały. Potem wypaliło działo – zdawało się, że tuż nad nami. Pocisk pomknął nad fiordem.

– Wiosłuj! – darł się Sailhardy. – Ciągnij! Wspomóż żagiel!

231

– Helena... – zacząłem.

– Zostaw ją na moment – ciągnij! O, mój Boże!

Wieża celownicza na pomoście bojowym niszczyciela napęczniała wskutek bezpośredniego trafienia. Nabrzmiwała w dziwny sposób i jeszcze przez moment wydawało się, że się trzyma, a następnie zmieniła się w dziwną płataninę masztów i urządzeń radarowych. Wskoczyłem na ławę wiosłarską i wrzeszczałem bezsilnie ku stanowisku artyleryjskiemu na wyspie.

– Walter! Upton! Wy cholerni durnie! Przestańcie, zwyrodniałe skurwysyny! Dość...!

Patrzyłem prosto w wylot lufy działa. Cofnąłem się, czekając na ogłuszający huk. Wystrzał rzucił mnie na dno łodzi. Podniosłem się i zobaczyłem, że ciężki pocisk przebił nowoczesny, obudowany mostek niszczyciela. W ciszy, jaka potem nastąpiła, usłyszałem gongi wzywają-

ce na stanowiska bojowe. Za późno. Okręt zboczył z kursu, przechylił

się i zboczył ponownie. Zagrzechotała salwa, która trafiła w burtę Kyle of Lochalsh. W tej samej chwili rozpoczęła ogień wieża wyposażona w bliźniacze czteroipółcalówki. Jej pociski zadzwięczały na lodowcu, trzysta metrów ponad działem. Niszczyciel pochylił się jeszcze bardziej, zawadzając o burtę starego liniowca pasażerskiego. Następnie bliźniacze działko zaczęło strzelać gdzieś wysoko w lodowiec. Tak niecelnie, że zrozumiałem, co się stało – zniszczenie wieży celowniczej i mostka pozostawiło dziobową wieżę artyleryjską własnemu losowi.

Byliśmy prawie w połowie drogi przez fiord, kiedy grot złapał wiatr.

Pożeglowaliśmy szybko.

– Ustaw łódź równolegle do *Thorshammera* – zakomenderowałem.

– Popłyniemy dalej w głąb fiordu i wtedy wejdziemy w prąd. Sama dotrze do niszczyciela.

Złożyliśmy wiosła. Znalazłem się pierwszy przy Helenie, ale to Sailhardy delikatnie przeniósł ją od steru. Z rękawów spływała jej krew na rumpel.

– Powstrzymaj mego ojca! – szepnęła. – Wracaj, zrób coś, ale po-wstrzymaj to bezsensowne zabijanie!

Położyłem ją łagodnie na dnie. Czułem, że mi duszno od gorąca.

Wiatr, który nas pchał, też wydawał się gorący.

– Słuchaj! – powiedział Sailhardy z niedowierzaniem. – Strzelają działa!

Z południowej strony wyspy doleciał nas grzmot ciężkich armat.

Wstrząsy narastały, huczały, odbijały się echem po całym fiordzie.

232

– O Boże! – jęknęła Helena, kiedy kolejny wystrzał zakończył się wybuchem rozrywanego metalu i kłębem dymu nad *Thorshammerem*.

Wtedy to zobaczyłem. Morze u wejścia do fiordu zagotowało się.

Siedząc przy nieprzytomnej Helenie, poplamiony jej krwią, wskazałem na wodę.

– Sailhardy! Tuńczyk!

Zanim zdołał odpowiedzieć, doszły nas kolejne grzmoty ciężkiej artylerii z południa.

– Stopa Albatrosa! – wykrzyknął. – Druga odnoga Stopy Albatrosa!

Ujrzałem, jak połączone siły Stopy Albatrosa i gorącego strumienia Wyspy Thompsona zaatakowały czoło lodowca, które musiało jakąś gigantyczną szczeliną skalną sięgać głęboko pod ziemię. Zanurzyłem dłoń w morzu. Było ciepłe.

Sailhardy potrząsnął głową, kiedy to do niego dotarło.

– Ten huk to nie wystrzały armatnie, to pęka lód!

Uświadomiłem sobie, że tak silne grzmoty świadczą o tym, że pod wpływem ciepła Stopy Albatrosa popękało rozległe pole lodowe. W

każdej chwili mogło dojść do rozpadu lodowca. Ale czyż ten masywny czepiec mógł na tyle szybko rozłupać się, by powstrzymać szaleństwo Uptona? Podjąłem błyskawiczną decyzję.

– Ustaw łódź wzdłuż burty niszczyciela, Sailhardy! Chodź ze mną!

Jeszcze jeden pocisk nadleciał ze skowytem z drugiej strony fiordu i eksplodował w nadbudówkach starego liniowca. Bliźniacze działka Bo-forsa na rufie *Thorshammera* przy zastępczym stanowisku dowodzenia terkotały bezskutecznie. Nie potrafiły namierzyć działa Uptona, co świadczyło o fatalnym kierowaniu ogniem. Sailhardy ustawił łódź przy burcie niszczyciela od strony lądu. Wspiąłem się na dolny pokład. Ujrza-

łem ogromne spustoszenie. Wszędzie leżały zwłoki. Mostek był zdruzgotany. Sailhardy podał mi bezwładne ciało Heleny. Słusznie się domy-

ślałem, że kwatery starszych oficerów przekształcono w prowizoryczny lazaret. Przepchnąłem się przez dyżurnych i rannych i położyłem Helenę na stole służącym jako operacyjny. Nie czekałem, aż mnie ofuknie zaskoczony lekarz. Pokazałem bez słowa rząd otworów po kulach w jej ramieniu. Zaczął kląć gderliwie, ale odwróciłem się i pobiegłem na pokład do Sailhardy'ego.

Jakiś oficer stał krzycząc za wieżą dziobową. Był bez czapki i miał

osmalony mundur. Oszołomieni ludzie ściągali w to miejsce, zapewne jedyne, w jakim panował porządek, inni pomagali rannym dotrzeć do sali opatrunkowej, z której wracałem. Paliło się na rufie, ale najcięższe 233

zniszczenia były nad nami, na pomoście bojowym. Nikt na nas nie zwró-

cił uwagi poza młodym podporucznikiem stojącym na stalowym pomo-

ście zastępczego stanowiska dowodzenia. Krzyknął na nas, kiedy przeci-skaliśmy się przez wąskie przejście pomiędzy jego stanowiskiem a wentylatorem pokładowym kotłowni.

– Torpedy... – zacząłem mówić do Sailhardy'ego, ale on pociągnął

mnie siłą na pokład, gdyż kolejny pocisk nadleciał na pokieroszowany niszczyciel. Poszedł jednak odrobinę za wysoko, zaczepił o pogiętą ruinę anteny radarowej i wybuchł przedwcześnie nad starym liniowcem. Stalowe burty statku zadzwięczały jak dzwon.

Pobiegliśmy ku poczwórnym wyrzutniom torpedowym na lewej burcie, skierowanej ku fiordowi. Wspólnie obróciliśmy ich wyloty ku morzu. Wyspiarz je nakierował na stanowisko działa.

– Daj spokój!

Spojrzał na mnie, zdziwiony.

– Celuj w lodowiec! – rozkazałem.

– Bruce...

Grzmot pękającego lodu zagłuszył wybuch kolejnego pocisku. Lodowa czapa zaczęła się rozpadać. Przezroczysta zieleń butelkowa w mgnieniu oka pokryła się białą siatką jak stłuczona szyba samochodu.

Tysiące ton lodu poruszyło się. Myślałem gorączkowo, czy uda nam się wystrzelić torpedy dostatecznie szybko i dostatecznie daleko, by przerwać morderczą kanonadę Uptona. Odpowiedź zależała od Sailhardy'ego.

– Cel namierzony – zameldował. – Jest czoło lodowca. Tak trzymać.

– Wyrzutnia pierwsza! Ognia! – zakomenderowałem.

Sailhardy przesunął dźwignię. Ostre plaśnięcie ładunku wybuchowego utonęło w grzmocie pękającego lodu. Śmiercionośne cygaro sycząc ześlizgnęło się do wody.

– Wyrzutnia druga! Ognia!

Nie trzeba było mówić Sailhardy'emu, żeby rozrzucił torpedy po czołe lodowca.

– Wyrzutnia trzecia! Ognia! Wyrzutnia czwarta! Ognia!

Nie doszedł nas żaden odgłos głowic rozrywających się u podnóża lodowca – wszystko przytłumił grzmot lodu. Wzniosły się cztery słupy wody, niby fontanny płetwala błękitnego, poświadczając kunszt wyspiarza. Rozpadający się lodowiec wtłaczał się pomiędzy dwie oddzielne masy ładu. Na szkicach Norrisa tego nie zaznaczono. Na całej wysokości lodowych klifów pojawiły się pęknięcia przeskakujące aż na zielony 234

szczyt lodowca. Masa lodu zachwiała się, zatrzymała, zakołysała... i tysiące ton runęło w dół na stanowisko artyleryjskie Uptona.

Pozostawiłem Sailhardy'ego obserwującego ten kataklizm. Podąży-

łem ku wieży działowej, z której wyległa załoga, przyglądając się z na-bożnym lękiem przeciwległemu brzegowi. Oficer dowodzący złapał

mnie za rękę i zaczął coś wykrzykiwać po norwesku, wskazując na czoło lodowca i wyrzutnie torpedowe. Wyrwałem mu się i pobiegłem do zatłoczonej sali opatrunkowej.

Helena leżała na stole z zamkniętymi oczami. Chirurg kończył jej bandażować bark i pachę.

– Czy ona...? – zacząłem.

Uśmiechnęła się i otworzyła oczy na dźwięk mego głosu. Doktor też się uśmiechnął.

– Nic poważnego – żadne ważne dla życia organy nie zostały naru-szone – powiedział po angielsku.

– Miała sporo szczęścia, prawdę mówiąc.

Pierwszy raz opatrywałem postrzeloną kobietę.

Kiedy rozmawiałem z lekarzem, podniósł się z koi i podszedł do nas jakiś człowiek w mundurze. Miał obandażowaną głowę i prawą rękę na temblaku.

– Czemu czterdziestkapiątka wstrzymała ogień? Czy te skurwysyny rozpieprzyły nam również wieżę dziobową? Czemu wszystko ustało?

Spojrzałem na dystynkcje na mundurze.

– Kapitan Olstad?

– Tak! – odburknął. – Kim pan jest, u diabła! Co się dzieje na pokładzie?

Lekarz skończył bandażować Helenę. Dźwignąłem ją, by przenieść na koję.

– To długa historia, którą powinien pan usłyszeć – powiedziałem. –

Proszę się nie obawiać, już nie padnie żaden strzał z drugiej strony fiordu.

Młody podporucznik, którego widziałem na zastępczym stanowisku dowodzenia, zszedł do nas i stukając butami, zasalutował. Mówił coś gwałtownie po norwesku do Olstada, wskazując na mnie.

Położyłem delikatnie Helenę, ale przylgnęła do mnie. Oparła się na moim barku. Olstad podszedł do mnie i usiadł w nogach koi.

– Kim pan jest? – zażądał wyjaśnień. – Skąd pan i jakiś inny cywil znacie się na wystrzeliwaniu torped?

Powiedziałem mu, kim jestem.

235

– A ten jakiś inny cywil, jak pan go nazwał, był kiedyś jednym z najlepszych speców od torped.

– Bruce – odezwała się Helena. – Co z ojcem...?

Rozejrzała się po zatłoczonej sali, teraz nadmiernie ogrzanej przez biegnące wzdłuż ścian rury z parą. Wypełniali ją leżący, siedzący i stojący

cy ludzie oczekujący na pomoc medyczną. Szlochał histerycznie chłopak, któremu urwało dłoń, krzyczał po zaaplikowanej mu pośpiesznie morfinie jakiś marynarz fatalnie poparzony w okolicach oczu.

– O Boże! – zawołała. – Ci żyją, ale ilu zginęło? Bruce, kochany, czemu umilkło działo? Co...

– Lodowiec zaczął osuwać się na stanowisko artyleryjskie – powiedziałem. – Przyspieszyłem to czterema torpedami, żeby zapobiec dalszej masakrze.

Ukryła twarz.

– Kim są mordercy, którzy ściągnęli tu mój okręt i pozabijali ludzi?

– pieklił się Olstad. – Czemu, na miłość boską, to się stało? Przecież nie mamy wojny!

– Czy słyszał pan kiedyś o Wyspie Thompsona? – zapytałem.

– O Wyspie Thompsona! – na twarzy kapitana pojawiło się niedowierzanie. – Chce pan powiedzieć...?

– Właśnie – przytaknąłem. – To jest Wyspa Thompsona. Człowiek, który was ostrzelał, ma na jej punkcie obsesję.

Opowiedziałem mu, jak Upton przybył na Tristana i wplątał mnie w swoje plany, kiedy się dowiedział, że mam mapę Norrisa. Twarz Olstada przybrała zawzięty wyraz, gdy opisałem, w jaki sposób Walter zestrzelił

wodnopławiec i jak Człowiek o Niezawodnej Dłoni zwodził go fał-

szywymi sygnałami. W czasie kiedy mówiłem, doktor i jego pomocnicy opatrywali i bandażowali rannych leżących na materacach na podłodze.

Olstad kiwał głową w niemym zdumieniu, gdy mu wyjaśniłem tajemnicę Stopy Albatrosa i przyczyny dezintegracji lodowca. Rzucił mi bystre spojrzenie, kiedy powiedziałem, że widziałem Wyspę Thompsona podczas wojny, i pokręcił głową, dowiedziawszy się o odrzuceniu przez Admiralicję i Royal Society mojego odkrycia dotyczącego refrakcji światła i wyjaśnienia wpływu tego zjawiska na błędne określanie poło-

żenia Wyspy Thompsona.

Wszedł Sailhardy i ucieszył się na widok siedzącej Heleny. Olstad przyglądał się nam z nieukrywanym podziwem.

236

– My, Norwegowie, zawsze lubowaliśmy się w podróżach w nieznane – powiedział. – Przechowujemy w muzeum tratwę Kon-Tiki.

Chyba zasługuje na to również wasza łódź wielorybnicza. Trudno mi uwierzyć, że komuś udało się pokonać otwartą łodzią taki szmat drogi podczas takiego sztormu. Jutro musimy to uroczyście uczcić. Podnie-siemy flagi i oddamy salut armatni. Podjąłem decyzję.

– Jest pan, jako dowódca, upoważniony do sprawowania pewnej funkcji. Proszę, żeby zechciał pan



dać jej pierwszeństwo przed jakąkolwiek oficjalną ceremonią.

Norweg spojrzał zaskoczony.

– Obawiam się, kapitanie Wetherby, że moim nadrzędnym obowiązkiem jest dbanie o bezpieczeństwo okrętu i jego załogi. Wszelkie życzenia muszą być temu podporządkowane. *Thorhammer* musi znaleźć się w stoczni. Jego naprawa potrwa całe miesiące. Znajdujemy się w nieznanym przystani, o tysiące kilometrów od czegokolwiek...

– Nie wziął pan pod uwagę czterech kutrów – odparłem. – Niech pan je wezwie. Podam pozycję. Proszę je ostrzec, by podchodziły od południowego wschodu, jak zwykł to robić Kohler, inaczej będą miały kłopoty przy wchodzeniu do fiordu. Może pan tu zostawić załogę kadrową, by miała pieczę nad *Thorhammerem*, kiedy kutry zabiorą was do Kapsztadu. Stamtąd zorganizuje pan pomoc.

– Doskonały pomysł – powiedział, niespodziewanie uśmiechając się. – Tyle że trzeba będzie składać cholernie dużo wyjaśnień. A czego pan sobie życzy, kapitanie Wetherby?

Ująłem dłoń Heleny.

– Jest pan upoważniony do udzielania ślubów, prawda?

Twarz Olstada przybrała chłopięcy wyraz.

– Do pioruna, kapitanie! A więc pan i ta pani?

Helena pojaśniała jak Łuk Farry'ego. Na moje słowa usiadła wyprostowana, a futro zsunęło się jej z rannego ramienia, odsłaniając szyję.

Olstad uścisnął nam obojgu dłonie.

– To dobry omen dla Wyspy Thompsona! Wesele na cześć jej po-wtórnego odkrycia! Powinno to też poprawić morale mojej załogi. Nie-stety, mamy jeszcze do spełnienia smutny obowiązek. Musimy pocho-wać tych biednych chłopców leżących na pokładzie.

Potężny huk łamiących się lodów wstrząsnął okrętem. Dochodził teraz z większej odległości, przesunął się bardziej na południe. Olstad przez chwilę zastygł w napięciu, ale odprężył się, kiedy uświadomił sobie, że to nie artyleria.

237

– Chciałbym, żeby opowiedział mi pan o tej wyprawie swoimi własnymi słowami – zwrócił się do Sailhardy'ego.

– Zawsze mu się marzyło, żeby pożegłować z Bouveta do Kapsztadu! – wtrąciłem złośliwie.

– Niewygody, sztorm... – zaczął Olstad i wrzucił ramionami. – To coś więcej niż obsesja. Upton musiał być naprawdę szalony, jeśli zrobił

to wszystko po to tylko, by odkryć na nowo jakąś małą, bezużyteczną wysepkę.

Zmroziło mnie, kiedy przypomniałem sobie o żyłach rudy cezu. Coś podobnego musieli odczuwać także Helena i Sailhardy. Patrzyli na mnie, a ja milczałem. Któż – pomyślałem sobie – poza Uptonem i paru jeszcze wyspecjalizowanymi naukowcami ze Szwecji czy Cambridge, mógłby rozpoznać, że białe żyły na skałach to pollucyt zawierający najcenniejszy metal świata? Któż mniej zorientowany mógłby skojarzyć je z cezem?

Jeśli zachowamy naszą wiedzę dla siebie, to nikt się nie dowie. Sam przecież widywałem na rozmaitych wyspach południowego oceanu skały wyglądające podobnie, choć z innych powodów. Diabelnie silny prąd i strefa mgły sprawiają, że samo dotarcie na Wyspę Thompsona wiąże się z ryzykiem. Jeśli dochowamy tajemnicy, to kiedy minie przyływ zainte-resowania związany z jej ponownym odkryciem, wszyscy zapomną o tej wyspie.

– Bezużyteczną? – powtórzyłem.

Olstad ponownie wzruszył ramionami.

– Może mogłaby być przydatna jako przystań dla wielorybników, bo dla kogóż innego przy takim ryzyku? Bouvet nie ma przystani, a kutry niekiedy zarzucają tam kotwicę.

Miałem już coś powiedzieć o znaczeniu strategicznym z uwagi na szlak morski wokół Przylądka Dobrej Nadziei i o lotach nad biegunem południowym, ale zrozumiałem spojrzenie Heleny.

– Tak – stwierdziłem. – Wydaje się, że Wyspa Thompsona może mieć tylko ograniczone zastosowanie jako przystań wielorybnicza.

Sailhardy z pochyloną głową przysłuchiwał się odległym odgłosom pękającego lodu. Helena dotknęła mego ramienia.

– Staremu Johnowi Wetherby'emu to by się spodobało – powiedzia-

ła.

## **Spis treści**

Od autora

5

1. Stopa Albatrosa

7

2. Zwiadowczyni

25

3. Tajemnica płetwala błękitnego

38

4. Człowiek o Niezawodnej Dłoni

52

5. Wyspa, której nigdy nie było

73

6. Mapa kapitana Norrisa

94

7. Nieżeglowne morze

113

8. Zimny dreszcz przestachu

126

9. Niebiański metal

137

10. Wyspa Bouveta

156

11. Schronisko

178

12. Pod Łukiem Farry'ego

202

13. Wyspa Thompsona

216